



LONDYŃSKA SOCJETA SZUKA POMOCY
U SHERLOCKA HOLMESA.
POZOSTALI IDĄ DO NIEGO.

Detektyw Arrowood

MICK FINLAY

Mick Finlay

Detektyw Arrowood

Tłumaczenie:
Leszek Stafiej

Dla Anity, Johna i Mai

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn Południowy, 1895

Wiedziałem od razu, jak tylko przyszedłem z samego rana, że szef ma zły dzień. Twarz sina, oczy podkrążone, a włosy, czy raczej ich nędzne resztki egzystujące na poznaczonej bliznami łysej głowie, z jednej strony sterczały zatknięte za uchem, z drugiej leżały gładko przylizane. Nie ma co, wyglądał źle. Zatrzymałem się przy drzwiach na wypadek, gdyby znowu próbował rzucić we mnie czajnikiem. Nawet z tej odległości czuć było jego nieświeży oddech przetrawiony wczorajszym dżinem.

- Sakramencki Sherlock Holmes! - ryknął, waląc pięścią w stół.
- Wszyscy naokoło gadają tylko o tym szarlatanie!

- Tak, rozumiem, sir - zgodziłem się potulnie. Uważnie śledziłem gwałtowne ruchy jego rąk, świadomy, że w każdej chwili może chwycić kubek, pióro albo kawałek węgla, żeby we mnie cisnąć.

- Mówię ci, Barnett, gdybyśmy mieli te wszystkie sprawy co on, już dawno byśmy mieszkali w dzielnicy Belgravia, jak wszystkie te tuzy. - Jego twarz tak mu nabrzmiała, jakby miał za chwilę eksplodować. - I każdy z nas by wynajmował na stałe apartament w Savoyu.

Kompletnie wyczerpany opadł na fotel, a ja zauważyłem przyczynę jego wzburzenia. Na stole leżał magazyn *Strandotwarty* na stronie opisującej jedną z ostatnich przygód doktora Watsona. W obawie, że szef zarzuci mi zainteresowanie opowieścią przyjaciela Sherlocka Holmesa, odwróciłem wzrok

i udałem, że wpatruję się w ogień na kominku.

- Może zrobię herbatę - zaproponowałem. - Czy mamy dzisiaj jakieś spotkania?

Kiwnął głową, zamknął oczy i machnąwszy lekceważąco ręką, mruknął:

- Tak, w południe ma się zjawić jakaś kobieta.

- To doskonale, sir.

- Podaj mi, proszę, laudanum^[1], Barnett. - Mocno potarł skronie. - Ale szybko!

Wziąłem z półki dzbanek i skropiłem mu głowę. Odprawił mnie ruchem dłoni, jęcząc i krzywiąc się, jakbym przecinał mu wrzód.

- Jestem chory - narzekał. - Powiedz jej, że jestem niedysponowany. Niech przyjdzie jutro.

- Ależ sir! - zaprotestowałem, zbierając ze stołu puste talerze i porozrzucane gazety. - Od pięciu tygodni nie mieliśmy żadnej sprawy. Muszę zapłacić czynsz za mieszkanie. Jeśli w najbliższym czasie nie zarobię jakichś pieniędzy, to będę musiał zatrudnić się u Sidneya na dorożkach. A sam pan wie, jak bardzo nie lubię koni.

- Jesteś słaby, Barnett - jęknął, zapadając się głębiej w fotelu.

- Posprzątam tu trochę i przyjmiemy ją w południe, sir.

Nie odpowiedział.

Punktualnie o dwunastej rozległo się pukanie do drzwi.

- Jakaś pani do panów - oznajmił jak zwykle bolesciwym tonem Albert.

Ciemnym korytarzem przeszedłem do sklepu, na którego tyłach mieściły się pokoje szefa. Przy kontuarze stała młoda kobieta w czepku i obficie fałdowanej spódnicy. Miała zadbaną cerę jak osoba dobrze sytuowana, ale mankiety płaszcza były wytarte, a harmonię twarzy w kształcie serca zakłócał ułamany przedni

zęb. Przywitała mnie szybkim nerwowym uśmiechem i ruszyła za mną do salonu.

Zauważyłem, jak szef osłabł, kiedy stanęła w drzwiach. Potem zamrugał, zerwał się z fotela i ukłonił się nisko, ujmując jej wiotką dłoń.

- Madame.

Wskazał najwygodniejszy fotel w pokoju, czysty i blisko okna, żeby w jego świetle widać było jej delikatną urodę. Omiotła szybkim spojrzeniem sterty starych gazet różnej wysokości ciągnące się wzdłuż ścian.

- Czym mogę pani służyć, madame?

- Chodzi o mojego brata, panie Arrowood. - Mówiła z akcentem kontynentalnym. - Thierry zniknął. Albo Terry, jak tutaj niektórzy na niego mówią. Powiedziano mi, że pan może pomóc mi go odnaleźć.

- Czy jest pani Francuzką, madame? - zapytał szef, stając plecami do kominka.

- Tak, jestem Francuzką.

Szef posłał mi znaczące spojrzenie. Widziałem, jak pulsują mu nabrzmiałe skronie. Nie zapowiadało to nic dobrego. Dwa lata wcześniej wsadzili nas do paki w Dieppe, bo miejscowy sędzia uznał, że zadajemy zbyt wiele pytań na temat jego szwagra. Siedem dni o chlebie i wodzie wystarczyło, by szef stracił wszelki podziw dla tego kraju. Co gorsza, klient odmówił zapłaty. Od tej pory szef był uprzedzony do Francuzów.

- Obaj z panem Arrowoodem żywimy wielki szacunek dla pani nacji - pośpieszyłem z zapewnieniem, nim szef zdąży ją zniechęcić.

Zgromił mnie wzrokiem i zapytał:

- Skąd dowiedziała się pani o mnie?

- Skierował mnie do pana mój przyjaciel. Jest pan detektywem, prawda?

- Najlepszym prywatnym detektywem w Londynie - wyrwałem się w nadziei, że drobny komplement trochę poprawi mu humor.

- A ja sądziłam, że najlepszy jest Sherlock Holmes! - Szef zeszywniał, ale nie zauważyła tego i ciągnęła dalej: - Mówią, że to prawdziwy geniusz, najlepszy detektyw na świecie.

- Może więc powinna pani zwrócić się do niego! - rzucił szef.

- Nie stać mnie na Sherlocka Holmesa.

- Czyli jestem drugi?

- Bez obrazy, sir - odparła, wyczuwając napięcie w jego głosie.

- Proszę posłuchać, panienko...

- Cousture. Panna Caroline Cousture.

- Otóż pozory mylą, panno Cousture. Holmes jest sławny, gdyż jego asystent doktor Watson opisuje jego przygody. Jest więc detektywem, który ma własnego kronikarza. A co ze sprawami, o których nic nie wiemy? Z tymi, które nigdy nie zamieniają się w opowieści dla szerokiej publiki? Co z tymi, w których ludzie giną z powodu popełnionych przez niego błędów?

- Jak to... giną? - zaniepokoiła się.

- Czy zna pani sprawę Johna Openshawa?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Zwana także sprawą Pięciu Pestek Pomarańczy?

Nie знаła.

- A przypadek młodzieńca posłanego na śmierć przez Wielkiego Detektywa na moście Waterloo? I nie był to bynajmniej żaden wyjątek. Musiała pani słyszeć o Tańczących Sylwetkach? Pisano o tym w gazetach.

- Nie słyszałam, sir.

- A Hilton Cubitt?

- Nie czytam gazet.

- Został zastrzelony, a jego żona też omal nie zginęła. Nie, nie, nie! Holmes jest daleki od doskonałości. Czy pani wie, że posiada prywatny majątek? Podobno odrzuca tyle samo propozycji, ile przyjmuje. Jak pani sądzi, dlaczego? Dlaczego detektyw miałby odrzucać aż tyle spraw? I proszę nie sądzić, że mu zazdroszczę. Bo nie zazdroszczę. Ja mu współczuję. Dlaczego? Ponieważ Holmes jest detektywem dedukującym. Gromadzi drobne wskazówki i je rozdmuchuje, moim zdaniem bardzo często niesłusznie. No... - Szef zaczął machać rękami. - Wreszcie sobie ulżyłem. Oczywiście, że jest sławny, ale obawiam się, że Sherlock Holmes nie rozumie ludzi, nie widzi człowieka. U niego liczą się tylko tropy, na przykład jakieś ślady na ziemi, przypadkowy układ popiołu na stole, jakiś szczególny rodzaj mułu przylepiony do burty statku. A co się dzieje, kiedy nie ma żadnych tropów? A to zdarza się znacznie częściej, niż się pani wydaje, panno Cousture. I właśnie wtedy chodzi o ludzi. O czytanie ludzi. - Wskazał półkę, na której stał niewielki zbiór książek z psychologii umysłu. - A ja, panno Cousture, ja jestem detektywem emocji, nie detektywem dedukcji. Dlaczego? Bo ja widzę ludzi. Zaglądam im w dusze. Innymi słowy, wyczuwam prawdę, potrafię ją wywęszyć.

Mówiąc to, wbijał w nią tak intensywne spojrzenie, że aż się zaczerwieniła i spuściła wzrok.

- Czasem zapach prawdy jest tak silny, że wkręca się we mnie i świdruje jak jakiś robak - ciągnął dalej. - Znam się na ludziach. Znam się na nich tak dobrze, że aż mnie to męczy. I w ten właśnie sposób rozwiązuję powierzone mi sprawy. Może nie publikują mojego zdjęcia w *Daily News*. Nie mam gospodyni ani nie wynajmuję apartamentu na Baker Street. Nie mam także brata na rządowej posadzie. Ale jeżeli zobowiązuję się zająć jakąś sprawą -

a nie mogę tego zagwarantować, dopóki nie dowiem się, co pani ma do powiedzenia – jeżeli już zdecyduję się nią zająć, to nie zawiedzie się pani ani na mnie, ani na moim asystencie.

Patrzyłem na niego z zachwytem. Bo kiedy szef wpadał w trans, był nie do powstrzymania. A mówił samą prawdę. Emocje stanowiły jego siłę i zarazem największą słabość. Właśnie dlatego potrzebował mnie nawet bardziej, niż mu się zdawało.

– Przepraszam, sir – wtrąciła panna Cousture. – Nie chciałam pana urazić. Nie znam się na detektywistycznych sprawach, powtarzam tylko to, co się mówi o panu Holmesie. Proszę mi wybaczyć.

Udobruchany kiwnął głową i ponownie zasiadł w fotelu przy kominku.

– A teraz proszę nam o wszystkim opowiedzieć, dokładnie, ze szczegółami. Kim jest pani brat i dlaczego chce go pani odnaleźć?

Złożyła ręce na kolanach i wyprostowała się.

– Pochodzimy z Rouen, ale przed dwoma laty przyjechałam tu do pracy. Jestem fotografką. We Francji nie uznają kobiet w tym zawodzie, więc mój wuj pomógł mi zdobyć tutaj zajęcie, na Great Dover Street. Wuj jest marszandem, a mój brat Thierry pracował w cukierni w Rouen. Ale wpadł tam w pewne kłopoty.

– Kłopoty? – ożywił się szef. – Jakie kłopoty? – Gdy zawahała się, dodał: – Jeśli nie powie mi pani wszystkiego, to nie będę mógł pani pomóc.

– Został oskarżony o to, że okradał sklep – wydusiła w końcu.

– A okradał?

– Hm... Myślę, że tak – wyznała zawstydzona, po czym jej wzrok spotkał się z moim.

Chociaż od ponad piętnastu lat jestem żonaty z jedną z najbardziej rozsądnych kobiet w całej dzielnicy Walworth, to

muszę przyznać ze wstydem, że spojrzenie panny Cousture poruszyło we mnie coś, co dawno nie było ruszane. Ta kobieta o migdałowej twarzy z ułamanym zębem była prawdziwą pięknoscią. Ten dar otrzymała od natury, nie dzięki różnym sztuczkom.

- Proszę kontynuować - zachęcił szef.

- Musiał szybko opuścić Rouen, dołączył do mnie w Londynie i znalazł pracę w restauracji, ale cztery dni temu wrócił do domu przerażony i błagał, żebym pożyczyła mu pieniądze na powrót do Francji. Nie chciał powiedzieć, dlaczego chce wracać. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. - Przerwała, by złapać oddech i przyłożyć do oka róg poźółkłej chusteczki. - Nie mogłam się zgodzić, żeby tam wrócił. Nie chcę, żeby znów miał kłopoty. - Ponownie się zawahała, w jej oku zabłysła łza. - Ale może jeszcze bardziej chciałam, żeby był ze mną w Londynie. Obcy są tu samotni, sir, a samotna kobieta nie może czuć się bezpieczna.

- Proszę się nie śpieszyć, panno Cousture - wspaniałomyślnie oznajmił mój chlebodawca i pochylił się w fotelu, opierając wydatny brzuch na kolanach.

- Wybiegł wściekły - relacjonowała dalej. - I od tego czasu go nie widziałam. Nie stawiał się w pracy. - Łzy popłynęły już niehamowanym strumieniem. - Gdzie on może nocować?

- No dobrze, już dobrze, moja droga - pocieszał ją szef. - W tej sytuacji wydaje mi się, że wcale nas pani nie potrzebuje. Zapewne pani brat gdzieś się ukrywa. Odezwie się do pani, kiedy minie zagrożenie.

Zakrywała oczy chusteczką, usiłując się opanować. Wydmuchała nos.

- Oczywiście zapłacę, jeśli o to chodzi - odezwała się w końcu, sięgając do kieszeni płaszcza i wyciągając kilka gwinei z małej

portmonetki. - Proszę bardzo.

- Panno Cousture, niech pani to schowa. Jeżeli pani brat przeraził się aż tak bardzo, to z pewnością od dawna jest już we Francji.

- Nie, sir - zaproponowała, potrząsając głową. - Tego samego dnia, kiedy odmówiłam bratu pożyczki, po powrocie z pracy zauważyłam, że zniknął mój zegar i druga para moich butów, a także sukienka, którą kupiłam poprzedniej zimy. Gospodyni mówi, że był u mnie po południu.

- No właśnie. Sprzedał to wszystko, żeby mieć na bilet.

- Nie, sir. Wszystkie swoje ubrania i dokumenty zostawił w moim pokoju. Jak miałby wjechać do Francji bez paszportu? Coś musiało mu się stać. - Wrzuciła monety do portmonetki i wyjęła banknoty. - Panie Arrowood, bardzo pana proszę. Mam na świecie jego jednego. I poza panem nie mam do kogo się zwrócić o pomoc.

Szef obserwował, jak rozprostowuje dwa banknoty pięćofuntowe. Od dawna nie widziano w tym pokoju banknotów.

- Dlaczego nie pójdzie pani z tym na policję? - zapytał.

- Powiedzą to samo co pan. Błagam pana, panie Arrowood.

- Panno Cousture, mógłbym wziąć od pani pieniądze. Zresztą, jak mniemam, w Londynie jest wielu prywatnych detektywów, którzy by tak postąpili. Ale jedną z zasad, które wyznaję, jest to, że nigdy nie biorę pieniędzy, jeśli nie jestem przekonany, że rzeczywiście mam do czynienia z jakąś sprawą. A już zwłaszcza ich nie biorę od osoby dysponującej ograniczonymi środkami. Nie chciałbym pani urazić, ale jestem pewien, że pieniądze, które pani przyniosła, to albo pani oszczędności, albo oprocentowana pożyczka. Tymczasem, jak przypuszczam, pani brat zaszył się gdzieś z jakąś kobietą. Proszę odczekać kilka dni. Jeżeli nie wróci,

proszę odwiedzić nas ponownie.

Jej bladą twarz zabarwił silny rumieniec. Podniosła się i trzymając banknoty w wyciągniętej dłoni, podeszła do kominka.

- Jeśli nie zajmie się pan moją sprawą, to wrzucę te pieniądze do ognia - oznajmiła stanowczym tonem.

- Ależ szanowna pani! Proszę zachować rozsądek - zaproponował szef.

- Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. A pan, jak miemam, wolałby je mieć w portfelu niż w kominku.

Szef jęknął, nie spuszczając wzroku z banknotów. Pochylił się jeszcze bardziej do przodu w swoim fotelu.

- Zrobię to! - krzyknęła z determinacją, zbliżając dłoń z banknotami do ognia.

- Proszę przestać! - krzyknął szef, który był już na granicy wytrzymałości.

- A zatem zajmie się pan moją sprawą?

- Tak, myślę, że tak. - Westchnął z rezygnacją.

- I nie ujawni pan mojego nazwiska?

- Skoro tak sobie pani życzy.

- Nasza stawka wynosi dwadzieścia szylingów dziennie, panno Cousture - wyjaśniłem. - W przypadku osób zaginionych płatne z góry za pięć dni.

Szef przystąpił do nabijania fajki. Chociaż zazwyczaj brakowało mu pieniędzy, zawsze czuł się zakłopotany, kiedy je przyjmował. Uważał, że w ten sposób zbyt ostentacyjnie przyznaje się do tego, że ich potrzebuje. Podczas wypłacania należności odwrócił się do nas tyłem.

- A teraz poprosimy o szczegóły - powiedział, pociągając z fajki.

- Wiek, rysopis. Czy posiada pani fotografię brata?

- Brat ma dwadzieścia trzy lata. - Spojrzała na mnie. - Nie jest

tak postawny jak pan, gdzieś pośrodku między panem Arrowoodem a panem. Ma jasne włosy, koloru pszenicy, i podłużną bliznę po oparzeniu za uchem. Niestety nie mam zdjęcia, przykro mi. Ale w Londynie nie ma wielu ludzi, którzy mówią z takim akcentem jak my.

- Gdzie brat pracował?

- W restauracji Barrel of Beef.

Serce mi zamarło. Pięciofuntowy banknot, który trzymałem w ręce, przed chwilą jeszcze ciepły, wydał mi się nagle zimny jak szron na szybie. Dłoń szefa z fajką opadła na stół. Patrząc w milczeniu w głąb rozżarzonego kominka, pokręcił głową.

Caroline Cousture zmarszczyła brwi.

- Co się stało, sir?

Wyciągnąłem do niej rękę z pieniędzmi.

- Proszę to zabrać, panno Cousture - powiedziałem. - Nie możemy zająć się tą sprawą.

- Ale dlaczego? Przecież się umówiliśmy.

Spojrzałem na szefa, mając nadzieję, że osobiście udzieli jej wyjaśnień, ale zamiast tego tylko wymruczał coś niewyraźnie, po czym chwycił pogrzebacz i zaczął przerzucać rozżarzone węgle.

Panna Cousture spojrzała na niego, omijając wzrokiem moją dłoń z pieniędzmi, i spytała:

- Czy jest jakaś przeszkoda?

- Mamy pewne porachunki z restauracją Barrel of Beef. - W końcu sam musiałem służyć wyjaśnieniami. - Właścicielem lokalu jest Stanley Cream, o którym zapewne pani słyszała. - Gdy potwierdziła ruchem głowy, ciągnąłem dalej: - Występowaliśmy przeciwko niemu kilka tygodni temu, ale sprawa zakończyła się dla nas niepomyślnie. Pomagał nam niejaki John Spindle, człowiek bardzo poczciwy. Banda Creama zatłukła go na śmierć,

a my nie mogliśmy nic zrobić w tej sprawie. Cream przysięgł, że nas zabije, jeśli jeszcze raz wejdziemy mu w drogę. – Panna Cousture milczała, uznałem więc, że warto dodać również i to: – Zapewniam panią, że to jeden z najbardziej niebezpiecznych rzezimieszków w Londynie Południowym.

– A więc się boicie – stwierdziła z goryczą.

Szef, którego twarz niemal zagorzała od długiego patrzenia w palenisko, nagle odwrócił się do niej i zadeklarował stanowczo:

– Panno Cousture, nigdy nie cofam danego słowa. Weźmiemy tę sprawę.

Ugryzłem się w język. Jeżeli brat tej panny był powiązany z restauracją Barrel of Beef, to nic dziwnego, że miał kłopoty. Możliwe nawet, że już nie żyje. Nagle praca dorożkarza wydała mi się najwdzięczniejszym zajęciem w Londynie.

Caroline Cousture wyszła, a szef opadł ciężko na fotel. Głęboko zadumany palił fajkę i wpatrywał się w ogień.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kończyliśmy właśnie ziemniaki zapiekane z mięsem, które przyniosłem na obiad, kiedy ktoś gwałtownie otworzył drzwi i przed kominkiem stanęła kobieta w średnim wieku z torbą płócienną w jednej ręce i walizką w drugiej. Ubrana była na szaro i czarno. Wyglądała na doświadczoną podróżniczkę. Szefa natychmiast zatkało. Zerwałem się na nogi i ukloniłem się, wycierając zatłuszczone palce w spodnie.

Kobieta odpowiedziała na mój ukłon skinieniem głowy i spojrzała na szefa. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, on z wyrazem zaskoczenia i wstydu, ona z wyraźnym poczuciem uzasadnionej wyższości. W końcu udało mu się przełknąć ziemniaka i wykrztusił z trudem:

- Ettie? Co ty tu?... Skąd?

- Widzę, że przychodzę w samą porę - odparła, wodząc spojrzeniem po stertach dzbanków, garnków i karafek, patrząc na wysypujący się z kominka popiół, na sterty gazet i książek zajmujące każdy skrawek podłogi. - A więc Isabel nie wróciła? - Gdy szef zacisnął grube wargi i pokręcił głową, Ettie zwróciła się do mnie. - A ty to kto?

- Barnett, madame. Jestem pracownikiem pana Arrowooda.

- Dzień dobry, Barnett.

Na mój uprzejmy uśmiech odpowiedziała lekkim zmarszczeniem brwi. Szef poruszył się nieco swobodniej na fotelu i strzepnął resztki obiadu z wełnianej kamizelki.

- Myślałem, Ettie, że jesteś w Afganistanie.

- Wygląda na to, że w tym mieście można zrobić dla biednych

znacznie więcej. Dołączyłam do misji w Bermondsey.

- Jak to? Tutaj? - wykrzyknął szef.

- Zamierzam się u ciebie zatrzymać. Powiedz, gdzie mam spać.

- Spać? - Posłał mi spojrzenie pełne rozpacz.

- Tak, spać. Przecież na pewno macie tu jakąś służbówkę. -
Znów rozejrzała się wokół. - Od dzisiaj jestem służebnicą Pana,
bracie. Sądząc po wyglądzie tego miejsca, będzie co robić.
Zacznijmy od tego, że te sterty papierów stanowią zagrożenie. -
Jej wzrok padł na schody w głębi pokoju. - O, chyba już widzę
właściwe miejsce. Sama trafię, nie musisz mnie odprowadzać.

Postawiła bagaże na podłodze i ruszyła po schodach w górę.

Zrobiłem szefowi herbatę, bo siedział jak skamieniały, patrząc
tępo w ciemne szare okno, jakby miał zaraz umrzeć. Ułamałem
kawałek toffi w kieszeni i dałem mu do ręki, a on łapczywie
wepchnął je do ust.

- Szefie, dlaczego powiedział pan wcześniej, że panna Cousture
kłamie? - zapytałem.

- Musisz uważniej obserwować ludzi, Barnett - odparł,
pracowicie żując toffi. - Powiedziałem coś, na co się
zaczerwieniła i spuściła wzrok. Zrobiła to tylko raz, kiedy
powiedziałem, że potrafię wejrzeć w ludzką duszę. Że potrafię
wyczuć prawdę. Nie zauważyłeś?

- Pan to zrobił rozmyślnie, szefie?

- Nie, nie rozmyślnie, ale to całkiem niezły chwyt. Trzeba go
będzie jeszcze kiedyś zastosować.

- Nie jestem pewien. Pochodzę ze stron, gdzie kłamstwo jest na
porządku dziennym.

- Jak wszędzie, Barnett, jak wszędzie.

- Chodzi mi o to, że oni nie będą się czerwienić, kiedy ich pan
oskarży.

- Ale ja jej nie oskarżałem. Na tym polega trik. Ja tylko mówiłem o sobie.

Żuł toffi z taką zawziętością, że ślina ciekła mu z ust, które musiał wytrzeć ręką.

- Szefie, to na jaki temat skłamała?

Ostrzegawczo uniósł palec i wykrzywił twarz w dziwnym grymasie, próbując odkleić toffi od dziąsła.

- Tego nie wiem - odpowiedział, kiedy w końcu uporał się z cukierkiem. - Tak czy owak, muszę dzisiaj zostać dłużej, żeby zorientować się, co u licha zamierza tutaj robić moja siostrzyczka. Przykro mi, Barnett, ale sam będziesz musiał odwiedzić Barrel of Beef.

Wcale mnie to nie ucieszyło.

- Może lepiej zaczekajmy, aż będziemy mogli pójść razem? - zaproponowałem.

- Nie wchodź do środka. Zaczekaj na ulicy, dopóki nie wyjdzie stamtąd jakiś pracownik, pomywacz albo kelnerka. Ktoś, kto chętnie zarobi pensa. I spróbuj się czegoś dowiedzieć. Ale nie ryzykuj. A przede wszystkim nie pozwól, żeby zobaczył cię któryś z ludzi Creama. - Gdy tylko pokiwałem głową, dodał: - Mówię poważnie, Barnett. Nie wydaje mi się, żeby tym razem mogło ci to ująć na sucho.

- Nie mam zamiaru zbliżać się do nich - zapewniłem z ciężkim westchnieniem. - Najchętniej w ogóle bym tam nie szedł.

- Po prostu bądź ostrożny. I od razu wracaj, jak tylko się czegoś dowiesz.

Kiedy wychodziłem, podniósł głowę i spojrzał w sufit, wsłuchując się w odgłosy przesuwanych mebli na górze.

Restauracja Barrel of Beef mieściła się w trzypiętrowym

budynku na rogu Waterloo Road. Wieczorami odwiedzali ją głównie ludzie młodzi. Przyjeżdżali eleganckimi dorożkami z przeciwnej strony rzeki w poszukiwaniu rozrywki po spektaklu teatralnym czy mitingu politycznym. Na parterze było wejście do jednego z największych pubów w dzielnicy Southwark. Na dwóch kolejnych kondygnacjach znajdowały się dostatnio urządzone sale. Często je wynajmowano na kolacje w letnie wieczory, a kiedy grała muzyka, człowiek miał wrażenie, gdy szedł ulicą wzdłuż otwartych okien, że idzie nabrzeżem ryczącego morza. Na trzecim i czwartym piętrze sale zapełniały stoły do gier. To były najbardziej ekskluzywne pomieszczenia, reprezentacyjna strona Barrel of Beef. Natomiast od tyłu, przy cuchnącej uliczce pełnej żebraków i prostytutek, znajdował się lokal Skirt of Beef, podły szynk, tak ciemny i zadymiony, że już od progu cisnęły się do oczu łzy. W sumie stanowił całość z Barrel of Beef, ale był przeznaczony dla zupełnie innej klienteli.

Tymczasem mieliśmy zimny lipiec przypominający wczesną wiosnę. Przeklinając przejmujący wiatr, udawałem włóczęgę, a tak naprawdę zająłem dogodne miejsce do obserwacji w bramie po przeciwnej stronie ulicy, obok promieniującego ciepłem wózka sprzedawcy gorących ziemniaków. Naciągnąłem czapkę na oczy i owinąłem się starym workiem. Dobrze wiedziałem, co by zrobiły opryszki Creama, gdyby dowiedziały się, że znowu obserwuję ich siedzibę. Czekałem jakiś czas, aż wreszcie goście zaczęli wychodzić i odjeżdżać eleganckimi powozami, a na ulicy zapanowała cisza. Wkrótce wyszła też gromadka pomocników kuchennych i kelnerek w ponurych szaro-burych ubraniach. Wszyscy skierowali się na wschód, do Marshalsea. Potem wyszli czterej kelnerzy, a za nimi dwóch kucharzy. Na koniec zaś jakiś starszy gość, na którego czekałem. Miał na sobie długi

postrzępiony płaszcz i za duże buty. Pośpiesznie ruszył ulicą, potykając się, jakby biegł do wychodka. Szedłem za nim ciemnymi uliczkami i nawet się nie starałem, żeby mnie nie zauważył, bo nie było przecież żadnego powodu, by ktokolwiek mógł się nim interesować. Zaczął mżyć deszcz. Wkrótce mężczyzna dotarł do baru White Eagle przy Friar Street, jedyne go otwartego o tak późnej porze. Czekałem na zewnątrz, dopóki nie wziął kieliszka do ręki. Dopiero wtedy wszedłem do środka i stanąłem przy barze obok niego.

- Co podać? - zapytał gruby barman.

- Porter.

Byłem spragniony i szybko wlałem w siebie pół kufla, natomiast starzec sączył dżin małymi łyżkami, wzdychając przy tym. Miał pomarszczone czerwone dłonie.

- Kłopoty? - zagailem.

- Nie mogę już tego pić - mruknął, wskazując głową moje piwo.

- Sikam po tym jakąś zgnilizną. Chociaż bardzo bym chciał. Kiedyś lubiłem napić się piwka. Oj, lubiłem.

Nieopodal za szklanym przepierzeniem siedział na wysokim barowym krześle mężczyzna, którego widziałem na ulicy przed Barrel of Beef. Miał na sobie czarny surdut wytarty na łokciach i postrzępiony u dołu, i był łysy jak kolano. Sprzedawał zapałki, ale interes nie szedł mu najlepiej z powodu trapiących go częstych napadów skurczów i tików, które powodowały, że przechodnie odskakiwali na bok z przerażeniem. Teraz mruczał coś do siebie, wpatrując się w szklanekę dżinu. Jedną dłonią przytrzymał nadgarstek drugiej ręki, jakby próbował powstrzymać niekontrolowane odruchy.

- Taniec świętego Wita - szepnął mi do ucha starzec. - Ludzie mówią, że wlał mu w członki zły duch i za nic nie chce go

opuścić.

Wyraziłem współczucie z powodu niemożności picia piwa, a potem zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak to jest, kiedy człowiek się starzeje. Miał na ten temat sporo do powiedzenia. Postawiłem mu jeszcze jeden dzin, który pił łakomie. Zapytałem, czym się zajmuje.

- Jestem kucharzem - odparł. - Znasz pewnie gospodę Barrel of Beef?

- Jasne, że znam. To elegancka restauracja, sir - odparłem z szacunkiem. - Bardzo elegancka.

Wyprostował się i podniósł dumnie głowę.

- Zgadza się. Znam dobrze pana Creama, właściciela. Ty go znasz? Znam wszystkich, którzy tam rządzą. W zeszłe Boże Narodzenie dał mi w prezencie butelkę brandy. Podszedł do mnie, kiedy wychodziłem, i mówi tak: „Ernest, za to, co zrobiłeś dla mnie przez cały rok”, i daje mi tę butelkę. Tylko dla mnie. Całą butelkę brandy. Taki jest pan Cream. Znasz go?

- Wiem tylko, że jest właścicielem.

- I to była całkiem niezła brandy. Najlepsza, jaką można dostać. Smakowała jak złoto, jak jedwab albo coś takiego.

Siorbał dzin, krzywił się i kręcił głową. Oczy miał żółtawe i zażawione, i tylko kilka czarnych, krzywych i brunatnych zębów.

- Pracuję u niego od jakichś dziesięciu lat. Przez cały ten czas ani razu nie miał powodu, żeby się na mnie skarżyć. Nie, nie, pan Cream traktuje mnie jak należy. Mogę jeść, co tylko chcę z tego, co zostaje w kuchni na koniec dnia. Tylko nie wolno mi niczego zabierać do domu. Stek, nerki, ostrygi, barania zupa. Prawie nic nie wydaję na jedzenie. Pieniądze zostawiam na przyjemności.

Skończył dzin i zaniósł się kaszlem. Zamówiłem mu jeszcze

jedną szklanę. Z tyłu za nami jakaś znużona i złachana prostytutka targowała się z dwoma mężczyznami w brązowych fartuchach. Jeden próbował złapać ją za rękę, a ona go odtrąciła. Ernest patrzył na nią przez chwilę ze starczą tęsknotą, po czym odwrócił się do mnie i ciągnął dalej swoją opowieść:

- Nikomu innemu nie dał, tylko mnie. Bo ja tam pracuję najdłużej ze wszystkich. Żeberka wołowe. Filet z dorsza. A jak nie ma, to flaki. Jem jak lord, tak, tak, szanowny panie. To naprawdę dobry układ. Mam pokój przy tej ulicy, wynajmuję. Wiesz, gdzie jest piekarnia Penarvena? Mam pokój nad tą piekarnią.

- Znam jednego chłopaka, który tam pracuje - powiedziałem. - Francuz, ma na imię Thierry. Brat mojej znajomej. Pewnie też go znasz.

- Terry? Jasne, że znam. Ten z cukierni? Już nie pracuje. Będzie tydzień albo coś koło tego, odkąd go nie ma. Odszedł albo go wylali. Ale nie pytaj, bo nie wiem. - Zapalił fajkę i znowu zaczął kasłać.

- Próbuję go jakoś złapać - dodałem, kiedy mu przeszło. - Nie wiesz, gdzie go można znaleźć?

- Zapytaj jego siostrę. Powinna wiedzieć.

- Ale to ona go szuka. - Ściszyłem głos. - Chodzi o to, że jak jej pomogę, to pewnie mi się odwdzięczy. Rozumiesz, co nie?

Zarechotał, a ja poklepałem go po plecach. Nie spodobało mu się to, coś zaświtało mu w głowie i spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Taki zbieg okoliczności, co nie? Że mi to mówisz?

- Szedłem za tobą. Śledziłem cię.

Zorientował się dopiero po chwili, co mam na myśli.

- A, o to ci chodzi? - zachrypiał.

- Właśnie o to. To wiesz, gdzie go można spotkać?

Podrapał się po nieogolonej szyi, wychylił dzin do końca

i powiedział:

- Wiesz co? Podają tu niezłe ostrygi.

Przywołałem kelnerkę i zamówiłem miskę ostryg.

- Wiem tylko, że przyjaźnił się z taką dziewczyną, kelnerką, na imię ma Martha. Na to przynajmniej wyglądało, jak człowiek miał oczy otwarte - powiedział. - Czasami wychodzili razem. Zresztą sam ją zapytaj. Ma kręcone rude włosy, łatwo ją poznasz. Taka mała ruda ślicznotka, jeżeli nie masz uprzedzeń do katolików.

- Czy on miał jakieś kłopoty?

Osuszył szklankę do dna i nagle zachwiał się, zatoczył i chwycił krawędzi baru, próbując złapać równowagę.

- Ja się nie wtrącam w to, co tam się dzieje. Łatwo się w coś wpakować, patrząc na to, co się wyrabia w tym przybytku.

Kelnerka przyniosła ostrygi. Spojrzał na nie i zmarszczył się.

- O co chodzi? - zapytałem.

- O to, że wchodzi lepiej, jak mają poślizg - wyjaśnił, pociągając nosem.

Postawiłem mu jeszcze jeden dzin, a kiedy kończył ostrygi, zapytałem ponownie, czy Thierry miał jakieś kłopoty.

- Ja wiem tylko, że Terry zwinął się zaraz po tym, jak się pojawił ten Amerykanin. Taki wielki Amerykanin. Wiem, bo słyszałem, jak krzyczał na pana Creama. A przecież na szefa nikt nie może krzyczeć, absolutnie nikt. I po tym Terry już nie wrócił.

- Dlaczego krzyczał?

- Tego to ja już nie wiem - odparł, wyłuskując ostatnią ostrygę i rzucając muszlę na podłogę. Trzymał się kontuaru i wpatrywał w blat, jakby nie był pewien, czy może bezpiecznie stanąć na ziemi.

- Wiesz może, kto to był ten Amerykanin?

- Nigdy przedtem go nie widziałem.

- Ale na pewno coś słyszałeś.

- Ja tam z nikim nie gadam i ze mną też nikt nie gada. Robię swoje i idę do domu. I taką radę dałbym swoim dzieciom, gdybym je miał. - Roześmiał się i przywołał kelnerkę. - Hej, Jeannie, słyszałaś? Taką dałbym radę swoim dzieciom, gdybym je miał.

- Bardzo śmieszne, Ernest - odparła. - Jaka szkoda, że dziób już ci opadł.

Spochmurniał, a barman i siedzący na drugim końcu baru dorożkarz zarechotali głośno.

- Znam parę osób, które potwierdzą, że mój dziób wciąż dobrze sobie radzi. Dziękuję, przyjacielu - zachrypiał w odpowiedzi.

Ale barmanka już go nie słuchała, tylko rozmawiała z dorożkarzem. Starzec zmierzył ich złym wzrokiem, opróżnił szklankę i poklepał się po kieszeniach. Cienkie przeguby dłoni wystawały mu z rękawów płaszcza jak kije od szczotki.

- No to na mnie już czas.

- A czy możesz się dowiedzieć, gdzie on jest? - zapytałem, kiedy wyszliśmy na ulicę. - Dobrze ci zapłacę.

- Znajdź sobie innego frajera, szanowny panie - wycedził. - Ja nie mam zamiaru skończyć na dnie rzeki z mułem w płucach.

Spojrzał tęsknie w okno, za którym barmanka z dorożkarzem z czegoś się śmiali, po czym odwrócił się i ruszył ciężkim krokiem w dół ulicy.

ROZDZIAŁ TRZECI

W pokoju szefa zaszła zmiana. Podłogę zamieciono i umyto do czysta, zniknęły butelki i naczynia, wytrzepano i starannie ułożono narzuty i poduszki. Pozostały tylko sterty gazet pod ścianami. A sam szef, odziany w świeżą koszulę i gładko uczesany, siedział w fotelu i czytał książkę, która zajmowała go już od paru miesięcy. Było to dzieło osławionego pana Darwina „O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt”.

Przed paroma laty pani Barnett wyraziła oburzenie poglądami tego jegomościa, ponieważ, jak twierdziła, sugerował on, jakoby ona i jej siostry były córkami wielkiej małpy, a nie dziełem Stwórcy w Niebiosach. Oczywiście nigdy nie czytała książek pana Darwina, ale niektórzy członkowie jej kongregacji byli zagorzałymi przeciwnikami idei, że Pan Bóg nie stworzył kobiety z żebra mężczyzny, a mężczyzny nie ulepił z gliny. Szef, który w tej kwestii, o ile mi wiadomo, nie doszedł jeszcze do ostatecznych wniosków, czytał bardzo długo i powoli, dając wszystkim do zrozumienia, że czyta ją mimochodem. Sądził, że zawarte są tam jakieś sekrety, które pozwolą mu zgłębić oszustwa i działania podstępne, stanowiące codzienną treść naszej pracy. Trudno mi było jednak przeoczyć kolejną opowieść doktora Watsona, bo leżała otwarta na stoliku podręcznym.

- Od rana czekam na jakieś wieści od ciebie, Barnett - oświadczył szef z pretensją w głosie. - Jestem już dawno po śniadaniu.

- Wróciłem do domu po drugiej w nocy.

- A ona zbudziła mnie bladym świtem, żeby, jak mówiła,

porządnie pościelić łóżko - ciągnął dalej z rezygnacją. - Skoro świt! Czego więc się dowiedziałeś?

Zdałem relację ze spotkania, a on kazał mi natychmiast posłać po Neddy'ego. Neddy miał dziesięć albo jedenaście lat. Szeff nabrał do niego sympatii, odkąd kilka lat temu rodzina chłopca wprowadziła się do pokoju na rogu ulicy. Ojciec Neddy'ego umarł dawno temu, a matka była biedną praczką. Zarabiała za mało, żeby utrzymać siebie i trójkę dzieci, ledwie starczało jej na czynsz, więc Neddy sprzedawał na ulicy muffinki, żeby wesprzeć matkę i młodsze rodzeństwo. Wkrótce przybiegł. Był zarośnięty i w poszarpanej białej kamizelce, niósł koszyk z towarem na sprzedaż.

- Masz jeszcze jakieś muffinki, synku? - zapytał go szef od progu.

- Tylko dwie, sir - odparł Neddy, odsłaniając serwetkę. - Dwie ostatnie.

Nie mogłem się nadziwić grubej warstwie czarnego brudu za paznokciami Neddy'ego. Pod brązową, o kilka numerów za dużą czapką kłębił się wyraźnie widoczny żywy inwentarz. No cóż, taki już los zaniedbanych dzieci! Szeff chrząknął i sięgnął po muffinki.

- A ty już jadłeś, Barnett? - raczej stwierdził, niż zapytał, wgryzając się w pierwszą muffinkę, po czym z pełnymi ustami instruował Neddy'ego, że ma iść wieczorem pod drzwi gospody Barrel of Beef i poczekać, aż wyjdzie stamtąd kelnerka Martha, iść za nią do jej domu, a potem zapamiętać i przynieść nam jej adres. Kazał chłopcu obiecać, że będzie bardzo ostrożny i z nikim nie wda się w rozmowy.

- Przyniosę, sir - obiecał Neddy z zapalem.

Szeff włożył do ust ostatni kawałek muffinki i uśmiechnął się.

- Jasne, że przyniesiesz, synku. Ale zobacz, jaki jesteś usmolony

na twarzy. - Krzywiąc twarz, zwrócił się do mnie: - Czy lubisz dzieci z usmoloną twarzą, Barnett?

- Nie jestem usmolony - zaprotestował Neddy.

- Synu, gęba lepi ci się od brudu. Sam zobacz, spójrz w lustro.

Neddy stanął przed lustrem z ponurą miną.

- Wcale nie jestem.

Roześmialiśmy się. Szef przygarnął chłopca do siebie i poklepał po plecach.

- No to uciekaj - powiedział.

- Zapłaci mi pan za te muffinki? - zapytałem.

- Jasne, że zapłacę. - Szef oburzył się tak bardzo, że aż poczerwieniał. Wyciągnął monetę z kieszeni kamizelki i wrzucił chłopcu do koszyka. - Przecież zawsze mu płacę.

Spojrzeliliśmy po sobie z Neddym i uśmiechnęliśmy się porozumiewawczo.

Neddy poszedł, a szef otrzepał kamizelkę z okruchów muffinki.

- Całkiem nieźle wygląda teraz ten pokój, sir - zauważyłem.

- Tak - mruknął niechętnie, rozglądając się wokół z kwaśną miną. - Powiem szczerze, nie spodziewam się dobrego zakończenia tej sprawy. Z obawą myślę o tym, co mogło spotkać Francuza, jeśli wszedł w drogę Creamowi.

- A ja niepokoję się o to, co nam może grozić, jeśli zorientują się, że znowu o nich wpytujemy.

- Dlatego trzeba działać bardzo ostrożnie, Barnett. Żeby się nie zorientowali.

- Czy możemy zwrócić pieniądze pannie Cousture? - zapytałem.

- Przecież dałem jej słowo. No, a teraz muszę się zdrzemnąć. Bądź tu jutro z samego rana. Mamy dużo roboty.

Następnego ranka, zanim pojawiłem się w biurze, Neddy

przyniósł adres Marthy. Mieszkała w pensjonacie nieopodal Bermondsey Street. Dotarliśmy tam w ciągu dwudziestu minut. Budynek był zaniedbany. Z drzwi frontowych obłaziła farba, okna dawno niemyte, a z komina walił gęsty czarny dym. Na odgłos dochodzących ze środka krzyków szef skrzywił się z niesmakiem. Należał do mężczyzn, którzy brzydzili się wszelką agresją. Kobieta, która nam otworzyła, bynajmniej nie ucieszyła się na nasz widok.

- Drugie piętro - warknęła, odwróciła się i poszła do kuchni. - Na końcu korytarza.

Martha była rzeczywiście tak śliczna, jak opisał ją stary Ernest. Gdy nam otworzyła, była zaspana i owinięta w dwa stare płaszcze.

- Czy my się znamy? - zapytała.

Szefowi zaparło dech. Martha była bardzo podobna do Isabel, jego żony, tyle że wyższa i młodsza. Miała tak samo długie, brązowe i kręcone włosy oraz zadarty nosek. Jednak jej irlandzki akcent w niczym swą melodią nie przypominał języka z nizin środkowej Anglii, którym posługiwała się Isabel.

- Proszę nam wybaczyć to najście, madame - odpowiedział szef nieco drżącym głosem. - Chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów.

Spojrzałem nad jej głową w głąb pokoju. W rogu stały łóżko i stolik z lustrem, na wieszaku wisiały dwie sukienki, a na komodzie leżała równo ułożona sterta gazet.

- Słucham, czego panowie sobie życzą?

- Szukamy Thierry'ego, madame - odparł szef.

- Kogo?

- Pani przyjaciela z Barrel of Beef.

- Nie znam żadnego Thierry'ego.

- Ależ zna pani - powiedział szef najbardziej serdecznie, jak umiał. - Wiem, że to jest pani przyjaciel.

Skrzyżowała ręce na piersiach i po chwili namysłu spytała:

- A do czego jest wam potrzebny?

- Dostaliśmy od jego siostry zlecenie, żeby go odnaleźć - wyjaśnił szef. - Siostra uważa, że Thierry może mieć jakieś kłopoty.

- Nie wydaje mi się, sir.

Chciała zamknąć drzwi, ale zdążyłem zablokować je nogą. Spojrzała na mój but i widząc, że nie damy się odprawić, westchnęła.

- Chcemy tylko dowiedzieć się, gdzie on jest - zapewniłem. - Chcemy mu pomóc, to wszystko.

- Nie wiem, gdzie on jest, sir. Już nie pracuje w Barrel of Beef.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Piętro wyżej trzasnęły drzwi i rozległ się odgłos ciężkich kroków. Ktoś schodził po schodach. Martha szybko schowała głowę do pokoju i zamknęła drzwi. Na schodach pojawił się wysoki mężczyzna z wystającą szczęką. Zanim go rozpoznałem, było już za późno, żeby się odwrócić. Widywałem go pod Barrel of Beef cztery lata temu, kiedy pracowaliśmy nad sprawą Betsy. Nie wiem, czym się zajmował, po prostu cały czas tam się kręcił. Przechodząc obok, spojrzał na nas, ale nie zatrzymał się, tylko zszedł po schodach. Kiedy usłyszeliśmy, że drzwi frontowe zamknęły się za nim, Martha wychyliła się ze swojego pokoju.

- Nie mogę tutaj rozmawiać - wyszeptała. - Tu wszyscy pracują w Barrel of Beef. Spotkajmy się później, kiedy będę wychodzić do pracy. - Przerwała i nasłuchując, spojrzała zielonymi oczami w kierunku schodów. W jednym z sąsiednich pokoiów jakiś mężczyzna zaczął sobie podśpiewywać. - Spotkajmy się przed

kościółem Świętego Jerzego Męczennika o szóstej - zaproponowała.

Raz jeszcze rzuciła zaniepokojone spojrzenie w górę schodów i zamknęła drzwi. Byłem już na półpiętrze, kiedy zorientowałem się, że szef nie idzie za mną. Wciąż stał przed zamkniętymi drzwiami, wpatrując się w nie w głębokim zamyśleniu, jednak gdy go zawołałem, drgnął i ruszył za mną.

Na ulicy przerwałem milczenie.

- Szefie, czy panna Martha nie przypomina panu...

- Tak, Barnett - przerwał mi. - Przypomina.

Nie odzywał się przez całą drogę powrotną.

Poznałem panią Arrowood niedługo po tym, jak się pobrali. Pani Barnett zawsze zachodziła w głowę, dlaczego tak piękna kobieta wyszła za takiego beznadziejnego kartofla. Chociaż z tego, co widziałem, było im razem dobrze. On jako dziennikarz nieźle zarabiał, pracując w tygodniku *Lloyd's Weekly*. Prowadzili całkiem szczęśliwy dom. Isabel była miła i troskliwa, często odwiedzali ich ciekawi ludzie. Spotkałem go w sądzie, gdzie zostałem zatrudniony jako młodszy urzędnik. Czasem pomagałem mu zdobywać informacje do artykułów, które pisał, za co on zapraszał mnie do siebie na zupę i kotlet barani. Potem jednak gazeta została sprzedana, a nowy właściciel zatrudnił na miejsce szefa swojego kuzyna, którego szybko powołał do kierowniczego grona.

Pan Arrowood cieszył się już wtedy uznaniem, jako dziennikarz był ceniony za to, że potrafił dogrzebywać się tajemnic i sekretów, których inni woleli nie dotykać. Nie trzeba było długo czekać, żeby pewien znajomy zwrócił się do niego z prośbą o rozwiązanie, za opłatą rzecz jasna, pewnego osobistego

problemu związanego z jego żoną i innym mężczyzną.

Tak zaczęła się jego praca detektywistyczna. Jakiś rok później również i ja zostałem wyrzucony z pracy, ponieważ straciłem cierpliwość do jednego z sędziów pokoju, który miał zwyczaj wsadzać do więzienia niedorostków moim zdaniem bardziej potrzebujących pomocnej dłoni niż pobytu w więzieniu razem z dorosłymi przestępcami.

Wywalili mnie na bruk bez pożegnania i bez podziękowania. Kiedy szef dowiedział się o tym, odszukał mnie i po rozmowie z panią Barnett zaproponował pracę w charakterze asystenta przy sprawie, nad którą właśnie pracował. Była to sprawa Betsy, sprawa bigamii, mój chrzest ogniowy. W wyniku tej niefortunnej sprawy dziecko straciło nogę, a niewinny mężczyzna życie. Szef obwinał siebie za oba te wypadki, zresztą słusznie. Zamknął się w swoim pokoju i nie opuszczał go prawie przez dwa miesiące. Wyszedł dopiero wtedy, gdy skończyły mu się pieniądze. Wzięliśmy znowu jakąś sprawę, ale było oczywiste, że szef pije. Od tego czasu zlecenia pojawiały się nieregularnie i wciąż brakowało pieniędzy. Sprawa Betsy wisiała nad nami jak klątwa, zarazem jednak związała mnie z nim jak z bratem.

Isabel godziła się z nałogiem szefa i jego nieregularną pracą przez trzy lata, aż pewnego dnia po powrocie do domu nie zastał jej ubrań w szafie, a na stole leżał list. Od tego czasu nie miał od niej żadnych wiadomości.

Pisał do jej braci, kuzynów, ciotek, ale nikt nie chciał mu powiedzieć, co się z nią dzieje i gdzie się podziała. Kiedyś zaproponowałem mu, żeby ją odszukał, wykorzystując swoje umiejętności śledcze, ale tylko pokręcił głową.

A po chwili wyznał, zamykając oczy, żeby nie widzieć, jak na niego patrzę, że utrata Isabel jest karą za to, że pozwolił umrzeć

temu młodemu mężczyźnie związanemu ze sprawą Betsy, i że musi wytrwać tak długo, jak zechce Pan Bóg czy Pan Diabeł. Szeff nie był zbyt religijny, więc zaskoczyło mnie to, co powiedział. W każdym razie bardzo cierpiał z powodu odejścia żony. Zresztą trudno powiedzieć, co dzieje się w głowie porzuconego mężczyzny, który noc w noc przemyśliwuje swoją porażkę. Był jak pocisk w locie. Pocisk z opóźnionym zapłonem.

- Ta kobieta kłamie - stwierdził w końcu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Spóźniliśmy się. Popołudnie było szare, padał deszcz i wiał wiatr, na ulicach było pełno błota. O tej porze na St George's Circus panował tłok. Szefer, który miał za ciasne buty, podskakiwał między kałużami, pochrzając i wzdychając. Buty były używane, kupił je tanio od pewnej praczki i już następnego dnia narzekał, że są za małe na jego opuchnięte stopy. Praczka nie chciała przyjąć zwrotu, więc z oszczędności postanowił je nosić, dopóki się nie rozpadną albo stracą podeszwę, ale trwało to dłużej, niż miał nadzieję. Kiedy w końcu dotarliśmy do kościoła, Martha już na nas czekała owinięta w czarną pelerynę z kapturem. Opierała się o kościelne ogrodzenie tuż za bramą i patrzyła w głąb ulicy. Widać po niej było, że się niecierpliwi, więc szefer ścisnął mnie za ramię i przyspieszył kroku. Przed jedną z pobliskich garkuchni zebrał się tłum klientów. Kiedy przeciskaliśmy się między nimi, wyprzedził nas jakiś niewysoki jegomość, który pędził przed siebie w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, łopocząc na wietrze połami starego zimowego płaszcza.

Szefer zaklął z gniewem, kiedy węglarz zrzucił z wozu na chodnik tuż przed nami worek z węglem. Nagle, gdzieś na przedzie, usłyszeliśmy dziwny pisk. Kobieta z dzieckiem na ręku, która stała przy wejściu do kościoła, rozglądała się gorączkowo wokół, a niski mężczyzna, który nas wcześniej minął, biegł szybko w kierunku rzeki.

- To Rozpruwacz! - wrzasnęła kobieta.
- Wezwać lekarza! - krzyknął ktoś z tłumu.

Rzuciliśmy się przed siebie, a wiele osób wraz z nami biegło

w kierunku kościoła, żeby zobaczyć, co się stało. Gdy przedarliśmy się przez tłum, zobaczyliśmy Marthę. Leżała na mokrej ziemi zwinięta wpół z włosami rozrzuconymi na trotuarze jak plama roztopionego brązu.

Szef jęknął głośno i opadł na kolana tuż obok niej.

- Łap go, Barnett! - krzyknął do mnie, wkładając rękę pod głowę Marthy.

Rzuciłem się za złoczyńcą, wymijając zakosami przechodniów. Mężczyzna w za dużym płaszczu przebiegł przez ulicę, pędził ile sił na cienkich, krzywych nogach. Dopadł do następnego skrzyżowania, skręcił w Union Street, a ja przez moment widziałem jego profil, tłuste siwe włosy przyklejone do czoła i wydatny, zakrzywiony nos. Chwilę później wpadłem na to samo skrzyżowanie, ale zostałem odepchnięty przez mokrą, gęstą, falującą ciżbę ludzi i koni, a jego nigdzie już nie mogłem dostrzec. Biegłem dalej, szukając wzrokiem ciemnego płaszcza, ale w drogę wchodziły mi wozy, omnibusy, uliczni sprzedawcy. Gnałem na oślep, kierując się instynktem, aż w końcu czarny płaszcz mignął przede mną w oddali, zanim skręcił w boczną uliczkę. Przepchnąłem się między wozami do skrzyżowania, ale w wąskiej uliczce nie było nikogo oprócz stróża, który pukał do jakichś drzwi. Dysząc ciężko, zawróciłem na zatłoczoną Union Street. Nie miałem pojęcia, gdzie biec. Zgubiłem go.

Kiedy wróciłem pod kościół, tłum nadal tam się gromadził. Jakiś dzentelmen chodził po chodniku w tę i z powrotem, kręcąc głową z niedowierzaniem. Szef klęczał na ziemi, trzymając głowę Marthy na kolanach. Jej twarz była szara jak popiół, koniuszek języka wystawał w rogu ust, a biała bluzka kelnerska pod czarną peleryną poplamiona była lśniąca krwią. Ukląkłem przy niej i próbowałem wyczuć puls, ale po sposobie, w jaki szef pokręcił

głową, i po jego pustym spojrzeniu wiedziałem już, że Martha nie żyje.

Pojawił się konstabl.

- Co tutaj zaszło? - zapytał dudniącym głosem, który dominował nad gwarem zbiegowiska.

- Ta młoda kobieta została zabita - powiedział elegancki dżentelmen - dosłownie przed chwilą. A ten pan próbował dopaść sprawcę.

- Uciekł gdzieś przy Union Street - powiedziałem, podnosząc się z kolan. - Zgubiłem go w tłumie.

- Czy to jest prostytutka? - zapytał policjant.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał dżentelmen. - Nie żyje, na miłość boską! Została zamordowana.

- Pytam ze względu na Rozpruwacza, sir - wyjaśnił policjant. - Bo on zabija tylko prostytutki.

- Nie była prostytutką - warknął szef, a jego twarz pulsowała wściekłością. - Była kelnerką.

- Czy ktoś widział, jak to się stało? - zapytał konstabl.

- Ja widziałam, wszystko widziałam - wyrwała się kobieta z dzieckiem na ręku. Tak bardzo była przejęta, że aż brakło jej tchu. - Stałam tutaj, przy samej bramie, jak podszedł i dźgnął tę panienkę przez płaszcz, o tak! Raz, dwa i trzy. Właśnie tak. Biedne dziecko! I uciekł. Z wyglądu to powiedziałabym, że raczej nietutejszy. Jakiś Żyd. Myślałam, że zostawił mnie na później, ale uciekł.

Policjant pokiwał głową i klęknął wreszcie, żeby zbadać puls Marthy.

- Oczy miał nieludzkie - ciągnęła dalej. - Błyszczały jak u wilka. Jakby mnie też chciał rozpruć. Jedyne, co go powstrzymało, to ci ludzie, którzy tu przybiegli, po tym, jak ona krzyknęła. Wystraszył

się ich. Za późno dla niej, biedaczki.

Konstabl podniósł się znowu.

- Czy ktoś jeszcze widział to wydarzenie?

- Odwróciłem się, kiedy usłyszałem krzyk tej dziewczyny - powiedział elegancki mężczyzna. - Widziałem tylko, jak uciekał. Wyglądał mi na Irlandczyka, ale nie jestem pewien.

Policjant spojrzał na szefa.

- Czy pan był z nią, sir?

- On przyszedł potem - powiedziała kobieta.

- Widziałem ją w Barrel of Beef - powiedział szef bezbarwnym tonem. - Ale jej nie znam.

Policjant zanotował rysopis podany przez kobietę i eleganckiego dżentelmena, którzy zgodzili się, że był to cudzoziemiec, chociaż trudno powiedzieć, Żyd czy Irlandczyk. Następnie wziął rysopis ode mnie, posłał na posterunek po medyka i kazał nam się rozejść.

- Co teraz? - spytałem szefa w drodze powrotnej.

Ignorując moje pytanie, wykrzyknął:

- Niech piekło pochłonie Creama! Zabija, kogo chce.

- Przecież nie wiemy, czy miał z tym coś wspólnego.

Wyrznął laską w krawężnik, na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Doprowadziliśmy do śmierci tej dziewczyny. Widział nas u niej ten kundel z Barrel of Beef. Równie dobrze mogliśmy ją sami zabić.

- Przecież nie wiedzieliśmy, że oni wszyscy pracują w Barrel of Beef.

- Do licha, Barnett! Znowu wdepnęliśmy w przeklęty biznes Creama.

- Może powinniśmy zostawić tę sprawę policji?

- Ten idiota Petleigh nigdy nie wykryje sprawcy.

Spojrzał za siebie w kierunku kościoła. Kiedy minęliśmy skrzyżowanie i skręciliśmy za róg kamienicy, wyciągnął z kieszeni małą zmiętą chusteczkę.

- Zaciskała to w ręce - powiedział. - Jestem pewien, że chciała nam to pokazać.

Odwinął chustkę. Leżał na niej mosiężny pocisk karabinowy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na Great Dover Street byliśmy późnym wieczorem. We wszystkich witrynach sklepów - z kapeluszami, ubraniami i butami - paliły się już światła. Pachniało paloną kawą, bo na drugim końcu ulicy stanął właściciel ulicznej maszyny do mielenia kawy. Było tam tylko jedno studio fotograficzne, które nazywało się Fontaine. Za kontuarem stał długowłosy mężczyzna w zielonej aksamitnej marynarce i montował ramę do fotografii. W ręce trzymał mały młotek, a w ustach gwoździe.

- Kłaniam się panom - przywitał nas z nieszczerym uśmiechem.

- Czym mogę panom służyć? Czy chcieliby panowie zamówić portret?

- Szukamy panny Cousture - odparł szef, przyglądając się fotografiom wiszącym na ścianach. - Czy ją zastaliśmy?

- Jest zajęta - odparł, niedbale odgarniając opadające na kołnierz włosy. - Jestem właścicielem zakładu. Nazywam się Fontaine. Czy chcą panowie zamówić portret?

- Czy to pan robił te zdjęcia? - zapytał szef, wskazując na wiszące na ścianach fotografie. - Są naprawdę świetne.

- Tak, to wszystko moje dzieło. Mógłbym panom zrobić piękny portret, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Na przykład pan ma wspaniały profil.

- Naprawdę? - ucieszył się szef, wypinając pierś. Przyglądził włosy i dodał: - Od dawna myślałem o tym, żeby zrobić sobie portretowe zdjęcie. Sądzę, że mojej siostrze bardzo spodobałby się mój portret nad kominkiem.

Spojrzałem na niego, z trudem powstrzymując śmiech na myśl

o tak niezwykłym prezencie.

- Możemy się od razu umówić, sir. Powiedzmy na poniedziałek rano. Może być o jedenastej?

- Tak... To znaczy... Proszę poczekać. Chociaż właściwie... Może lepiej zaczekam, aż odbiorę nowy garnitur. A teraz czy możemy porozmawiać z panną Cousture? W sprawie prywatnej.

Gdy fotograf przyglądał nam się badawczo, trochę niecierpliwie zapewniłem:

- To jest bardzo ważna sprawa, panie Fontaine. Czy ona tutaj jest?

Odgarnął czarną grzywę i z teatralnym westchnieniem zniknął za zasłoną na tyłach sklepu. Chwilę potem z zaplecza wyszła panna Cousture.

- Dobry wieczór, panie Arrowood - powiedziała cicho. Miała wysoko upięte włosy i ubrana była w czarną spódnicę z wysoką talią i białą bluzkę z podwiniętymi rękawami. - Panie Barnett. - Skinęła mi głową.

Pan Fontaine stał z tyłu z założonymi rękami.

Natomiast panna Cousture zerknęła z ukosa w kierunku stojącego za nią pracodawcy, jakby chciała nam dać znak, że mamy nic nie mówić. Zapadła cisza. Jej blade policzki zaróżowiły się. Patrzyła w dół na swoje buty.

- Czy pozwoli pan, że porozmawiamy z panią na osobności? - zapytał w końcu szef.

Podszedłem do niego, żeby wyprostować mu krawat, bo jak tu szliśmy, wiatr zarzucił go na ramię.

- To moje studio - powiedział Fontaine. Pociągnął nosem, a potem potarł go dłonią. - Nad drzwiami wisi szyld z moim nazwiskiem, a nie z nazwiskiem tej pani. Jeśli macie panowie coś do powiedzenia, to proszę mówić.

- W takim razie czy zechce pani wyjść na zewnątrz, madame?

- Och, *putain*, Eric! - zaklęła, zwracając się do chlebodawcy. - To przecież zajmie tylko chwilę!

Wulgarnie przekleństwo w ustach pięknej kobiety zmroziło atmosferę. Fontaine szarpnął głową i zniknął na zapleczu. Słychać było jego gniewne kroki na schodach. Szef przysunął sobie krzesło, usiadł i z grymasem cierpienia masował obolałe w za ciasnych butach stopy. Przez chwilę milczał, aż w końcu przemówił:

- Musimy zadać pani kilka pytań.

- Oczywiście, proszę bardzo. Chociaż już wszystko wam powiedziałam, wszystko, co wiem.

- Musimy się dowiedzieć, jakiego rodzaju kłopoty miał pani brat - powiedział z bolesnym uśmiechem. - Ważne jest wszystko, co mówił, nawet najdrobniejsza rzecz. Proszę o całkowitą szczerość.

- Ma się rozumieć.

- Czy znała pani jego przyjaciółkę Marthę? - Gdy zaprzeczyła ruchem głowy, dodał: - Jego dziewczynę. Nie wiedziała pani o niej?

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Bo widzi pani, panno Cousture, właśnie dziś Martha została zamordowana.

Obserwowaliśmy, jak wyraz zaskoczenia na jej twarzy ustępował miejsca smutkowi. Chwyciła brzeg kontuaru i osunęła się na krzesło.

- Mój Boże... - wyszeptała.

- Byliśmy z nią umówieni na spotkanie, ale morderca był szybszy - wyjaśnił szef, a ona w milczeniu pokiwała głową. - Dowiedzieliśmy się także, że tuż przed zniknięciem Thierry'ego coś się wydarzyło w Barrel od Beef. Wiemy tylko tyle, że mógł być

w to zamieszany jakiś Amerykanin. Czy Thierry coś o tym wspominał?

- Amerykanin? - powtórzyła zawiedzionym tonem. - Nie, nic takiego nie mówił. A jak się nazywał?

- Tego też nie wiem. Powiedziano nam, że w dniu, w którym pani brat zniknął w Barrel of Beef, wybuchła sprzeczka z udziałem tego Amerykanina. Nawet nie wiemy, czy Thierry był w to zamieszany. Proszę sobie jeszcze przypomnieć. Czy coś się wydarzyło, zanim zniknął? Czy zachowywał się inaczej?

- Tylko tyle, że przyszedł i prosił mnie o pieniądze. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był naprawdę przerażony. - Zamilkła, patrząc to na mnie, to na szefa. - Czy myśli pan, że on nie żyje? Czy to ma pan na myśli, mówiąc „kłopoty”?

Szef chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- Za wcześnie na taki wniosek, panno Cousture.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, kiedy Fontaine odsunął zasłonę. Tym razem nie zamierzał ustąpić.

Wyszliśmy ze studia w stronę Waterloo. Wiatr ustał i zapadła mgła.

- Posłuchaj, Barnett - odezwał się szef po chwili. - Czy zauważyłeś coś dziwnego w tej sytuacji, w której przed chwilą uczestniczyliśmy?

Zastanawiałem się, próbując domyślić się, o co mu chodzi.

- Nie zauważyłem niczego niezwykłego - przyznałem w końcu.

- W takim razie powiedz mi, czy gdyby pani Barnett zniknęła, nie zabierając ze sobą ubrań ani dokumentów, a ty wynająłbyś detektywa, i gdyby dwa dni później ten detektyw przyszedł do ciebie... Pamiętaj, że szalejesz z niepokoju...

- Tak, szefie.

- To o co byś się zapytał w pierwszej kolejności?
- O to, czy ją pan odnalazł, szefie.
- No właśnie, Barnett - przyznał, marszcząc czoło. - No właśnie.

Szef udał się do domu, żeby dalej rozmyślać nad tym, co się zdarzyło, ja zaś wróciłem do White Eagle. Zjadłem miskę ostryg i talerz baraniny, do tego wypilem portera, a potem jeszcze jednego. To była głośna noc. Dobrze mi się siedziało w kącie i patrzyło, jak moi sąsiedzi bawią się pod ogromnym lustrem wiszącym pod sufitem. Po pewnym czasie przywłókł się sprzedawca zapalek. Przemierzył lepką od piwa podłogę, nie patrząc na nikogo, choć do twarzy miał przyklejony grymas udający uśmiech, na wypadek gdyby musiał odegrać jakąś anarchistyczną pantomimę. Zapłacił, wziął szklanekę i poszedł na swoje miejsce za szklanym przepierzeniem.

Kiedy goście zaczęli się rozchodzić, w barze zjawił się Ernest i stanął dokładnie tam gdzie poprzednio. Zamówił dżin i zgięty w pół nad kontuarem szybko go wypił. Miał na sobie ten sam gruby, czarny i wytarty płaszcz. Wydawało się, że nie zauważa wokół nikogo oprócz barmanki, która postawiła przed nim szklanekę tak zamasyście, jakby obraził jej matkę.

- Miło cię znowu widzieć, przyjacielu - zagailem, stawiając przed nim kolejny dżin. - Zapraszam do mojego stolika. Stęskniłem się za towarzystwem.

Zdziwiony podniósł wzrok. Spojrzał najpierw na dżin, potem znowu na mnie. Na dziąsłach miał krew z jedyne go i zepsute go przedniego zęba.

- Że co? - zapytał w końcu, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.
- Spotkaliśmy się tu dwa dni temu wieczorem, Erneście.

Poznaliśmy się...

Jego wodnisty wzrok wyostrzył się i wyglądało na to, że sobie mnie przypomniał. Wyprostował się. Nagle jednak nabrał podejrzeń.

- Nie mam pieniędzy - zastrzegł, po czym jednym haustem wychylił dzin do dna.

- Zapraszam. Postawię ci ostrygi.

- Czego ode mnie chcesz?

Zniżyłem głos. Dorożkarz, którego już tu przedtem widziałem, pochylał się w rogu sali nad kontuarem i rozmawiał z barmanką.

- Chcę od ciebie tylko kilku informacji.

- Ja nic nie wiem. - Pokręcił głową. - W ogóle nie powinienem z tobą rozmawiać ani wtedy, ani dziś.

Odwrócił się ode mnie. Za szklaną przegrodą pojawiła się jakaś ręka, zaraz potem dało się słyszeć pełne irytacji warknięcie. Kilku młodych mężczyzn o twarzach i rękach powalanych pyłem węglowym podeszło, żeby zobaczyć, co się dzieje. Rozbawił ich widok starego sprzedawcy zapalek, który bezskutecznie próbował poskromić uporczywe tiki. Wrócili do stolika, ale rozgardiasz trwał jeszcze kilka minut. Zza przepierzenia dobiegł kolejny stłumiony jęk i szpetne przekleństwo, co wywołało wybuch gromkiego śmiechu wśród młodych węglarzy.

- Zamówię ci jeszcze jednego. - Zanim zdążył odmówić, skinąłem na barmankę i postawiłem przed nim pełną szklanę dzinu, a on sięgnął po nią zniszczoną dłonią. - Usiądźmy. Dobrze ci to zrobi. Odpocznij sobie. Wygląda na to, Erneście, że masz za sobą ciężki dzień. - Posłusznie ruszył za mną do stolika, a gdy usiedliśmy, spytałem: - Czy widziałeś kiedyś w Barrel of Beef siostrę Thierry'ego? Taką ciemnowłosą ślicznotkę, Francuzkę, jak można przypuszczać.

Oddychał szybko, po czym wychylił całą szklanę dzinu.

- Nigdy jej nie widziałem. W ogóle nigdy go nie widziałem z żadną kobietą oprócz Marthy.

- A co z tym Amerykaninem? Co o nim wiesz?

- Mówiłeś coś o ostrygach? - Wymownym gestem skrzyżował ręce na piersiach.

Podszedłem do baru, żeby zamówić ostrygi i jeszcze jeden dzin.

Kiedy zjadł połowę porcji i wykonał serię beknięć, zapytałem ponownie o Amerykanina.

- Pan Cream ma różnych znajomych - odparł. - Codziennie ktoś do niego przychodzi. Niektórych znam z widzenia, ale tego widziałem po raz pierwszy. Łysy, z resztkami czarnych włosów na czubku głowy i z czarną brodą, no i te niebieskie świdrujące oczy. Podałem im kawę, a on przebił mnie wzrokiem na wylot. Był z nim jakiś Irlandczyk, ale tego widziałem już kilka razy. Nieduży, mówi grubym głosem, żółte kręcone włosy. Nie ma jednego ucha, wyglądał groźnie.

- Pewnie nie wiesz, czym się zajmuje.

- O interesach rozmawiają w biurze, nie w kuchni.

- Muszę wiedzieć, z kim jeszcze Thierry miał na pieńku, w ogóle z kim rozmawiał. Przypomnij sobie jakieś imiona, proszę.

- Już ci mówiłem, Martha. Z nią porozmawiaj.

- Potrzebuję jeszcze kogoś.

- Przecież ci powiedziałem - droczył się ze mną zaczerwieniony od dzinu. - Zapytaj Marthę. Jeśli ktoś coś wie, to ona.

Pochyliłem się nad nim i powiedziałem szeptem:

- Martha nie żyje, Ernie. Zamordowano ją dziś wieczorem w drodze do pracy.

Otworzył usta ze zdziwienia, wpatrywał się we mnie załzawionym wzrokiem. Wydawało się, że jego zamarynowany

mózg nie potrafi wchłonąć tego, co usłyszał.

- Rozumiesz, co powiedziałem? Zamordowana. Dlatego muszę rozmawiać z kimś innym.

Zaczął ogarniać go strach. Zamrugnął, drżącą dłonią uniósł szklankę i wypił dzin do końca. Zamówił następny. Kiedy go podano, pokręcił głową.

- Muszę już iść, sir - powiedział znużonym tonem. - Ja nic nie wiem.

Poruszył się, żeby wstać, ale chwycił go za rękę.

- Imię albo nazwisko, Ernie. Wystarczy jedna osoba. Ktoś, z kim Francuz mógł rozmawiać. Z kim pracował? Z kim w Barrel of Beef spędzał najwięcej czasu?

- Chyba z Harrym - powiedział szybko, lękliwie rozglądając się wokół. - Jego spróbuj zapytać. To jeden z pomocników kucharza. Pracowali blisko siebie w tej samej części kuchni.

- Jak ten Harry wygląda?

- Bardzo chudy, nie zwyczajnie chudy, ale nienaturalnie. Ma ciemne brwi, ale jasne włosy. Trudno go nie zauważyć.

Puściłem jego rękę.

- Dziękuję, Ernest.

Zerwał się, rzucił do wyjścia i wybiegł z pubu. Wstając, poczułem na sobie czyjś wzrok. Odwróciłem się. Nad krawędzią szklanego przepierzenia pojawiła się łysa głowa sprzedawcy zapalek. Przyglądał mi się z zainteresowaniem. Pociągnął nosem, zamachał rękami i znowu schował się za szklaną ścianą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz rano zastałem szefa w salonie. Twarz miał czerwoną i dziwnie błyszczącą, jakby dopiero co wypolerowała ją sprzątaczką.

- Wyszła. Nie ma jej - poinformował, ledwie stanąłem w progu.
- Poszła na zebranie organizacyjne.
- Zebranie organizacyjne? Co ma zamiar zorganizować?
- Będą odwiedzać biednych. - Przerwał na moment. - Czego się wczoraj dowiedziałeś?

Powiedziałem o kuchciku Harrym, a ponieważ żaden z nas nie palił się do pokazywania twarzy w Barrel of Beef, szef wezwał Neddy'ego od muffinek i polecił przekazać Harry'emu list. Podpisany był pseudonimem „Locksher”, którym szef często posługiwał się przy podobnych okazjach. Tym razem oferował nagrodę w wysokości jednego szylinga za wykonanie „krótkiego i prostego zadania”. Harry miał przyjść dzisiaj po skończonej pracy do kawiarni U Pani Willows na Blackfriars Road, jedyne lokalu w okolicy, który otwarty był do późna. Na końcu listu szef dodał dość lakoniczne wyjaśnienie:

Twój przyjaciel polecił nam zwrócić się do Ciebie.

Neddy otrzymał od szefa szczegółowe instrukcje:

- Z nikim nie gadaj, nigdzie nie zaglądaj, tylko wejdź prosto do kuchni, znajdź chudego młodzieńca z żółtymi włosami i czarnymi brwiami, daj mu list do rąk własnych i za nic nie zdradź jemu czy komukolwiek innemu, kto cię przysłał.

Chłopak wybiegł z salonu, szef nabił fajkę, a kiedy ją zapalił, spojrzał na mnie ponuro.

- Co sądzisz o śmierci tej dziewczyny, Barnett? Myślisz, że to kolejna robota Rozpruwacza?

- Nie wygląda mi to na Rozpruwacza.

- Masz rację, to nie w stylu Kuby. Wszystkie jego zbrodnie są do siebie podobne. Zabija w miejscach odludnych i masakruje ciała, co wymaga czasu.

Czekałem, aż skończy, bo z tego, w jaki sposób patrzył przed siebie, wywnioskowałem, że będzie ciąg dalszy.

- Trochę myślałem o tym człowieku - mówił dalej. - Po pierwsze, dokładność. Idzie do kościoła, zadaje trzy śmiertelne ciosy i znika w tłumie. Nic nie zostawia po sobie, żadnych śladów ani noża. Działa szybko i rozważnie. Dlatego można założyć, że nie jest to czyn emocjonalny ani rabunkowy. Rabuś nie wybrałby na ofiarę biednej dziewczyny i nie zabijałby w biały dzień przy ruchliwej ulicy.

- Nawet nie miałyby czasu, żeby przeszukać jej kieszenie.

- No właśnie. - Zaciągnął się fajką i znowu się zamyślił. - A do tego ten jego strój. Ma na sobie zimowy płaszcz w środku lata, do tego ten płaszcz jest na niego za duży. Więc albo to jest biedak, albo się przebrał. Czy zauważyłeś, żeby oglądał się za siebie podczas ucieczki?

- Nie obejrzał się ani razu. Nie spuszczałem go z oka, dopóki mi nie zniknął. Widziałem tylko fragment jego twarzy, kiedy skręcał za róg.

- Mówisz, że nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś go ściga?

- Gdy potwierdziłem ruchem głowy, zadał następne pytanie: - Gdybyś ty uciekał po dokonaniu morderstwa w biały dzień przy ruchliwej ulicy, to jak byś się czuł?

- Myślę, że krew by się we mnie gotowała i robiłbym wszystko, żeby nikt mnie nie dopadł.

- O to chodzi, o to właśnie chodzi! Czy oglądałbyś się za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś za tobą biegnie?

- Raczej tak.

- Nie potrafiłbyś się powstrzymać, choć to nierozsądne, bo ktoś mógłby zapamiętać twoją twarz, ale emocje przeważąłyby nad rozsądkiem. Ale ten człowiek nie jest taki jak ty. Więc kim on może być? Wynajętym zabójcą? Policjantem?

- Może żołnierzem?

Pokiwał głową, starannie ułożył fajkę w popielniczce i wstał z fotela.

- To tyle na początek. A teraz udamy się z wizytą do Lewisa. Nie chcę być ofiarą kolejnych aktów reorganizacji mojego życia. I lepiej, żeby ciebie też tu nie było, bo ona, jak już się rozpędzi, to może zabrać się również za twoje.

Lewis Schwartz prowadził ponury sklepik z bronią nieopodal Southwark Bridge. Przychodziło się do niego, żeby sprzedać rewolwer czy strzelbę albo kupić coś dla obrony osobistej. Nie był to biznes, którym chciałbym się zajmować. Z pewnością przybytek ten nawiedzali także kryminaliści, ale sam Lewis pozostał uczciwym i rzetelnym człowiekiem. Zdołał oprzeć się pokusom, które zatruwały morderczym jadem i tak ze swej natury dość mroczny interes. Lewis nie miał jednej ręki i nosił długie włosy, które opadały w lokach na brudny kołnierz. Szef od dawna się z nim przyjaźnił, a kiedy pracował w gazecie, często go odwiedzał, by zdobyć różne informacje. Odkąd zajęliśmy się pracą detektywistyczną, Lewis nadal nam pomagał, a szef w rewanżu przynosił mu porcję baraniny, smażonej wołowiny lub wątróbki z garkuchni. Po wejściu do sklepu rzucał je na mały zatłuszczony stolik, a ja zawsze trzymałem się z tyłu, wyobrażając sobie

wszystkie te choroby, których resztki z pewnością żywiły się brudem pokrywającym jak muł jedyną ocalałą dłoń naszego przyjaciela. Dzisiaj Lewis jadł powoli i ostrożnie, przeżuwając tylko lewą stroną.

- Kłopoty z zębami? - zapytałem.
- Dokucza mi jeden taki diabeł.
- Pokaż no go - poprosił szef.

Lewis otworzył usta i odchylił głowę, a szef skrzywił się z niesmakiem.

- Ten ząb jest cały czarny jak węgiel. Trzeba go wyrwać.
- Zbieram się na odwagę.
- Im prędzej, tym lepiej - stwierdził szef.

Dopiero kiedy Lewis zjadł befsztyk i wytarł ręce o spodnie, szef wyciągnął pocisk z kieszeni kamizelki i spytał:

- Powiedz mi, kto mógł używać takiego pocisku?

Lewis włożył okulary i obejrzał go w świetle lampy.

- Bardzo ładna sztuka - mruknął, gładząc pocisk i obracając go w palcach. - Kaliber .303. Proch bezdymny. Skąd to masz, William?

- Dała mi go umierająca dziewczyna - odparł szef. - Młoda, Bogu ducha winna dziewczyna. Została zamordowana na naszych oczach, a my chcemy dopaść zabójcę. Czy wiesz, z jakiego rodzaju broni pochodzi ten pocisk?

- Z karabinu powtarzalnego Lee-Enfield. - Zwrócił szefowi pocisk. - To karabin wojskowy, ma go obecnie na wyposażeniu niewiele jednostek. Nie jest to strzelba myśliwska, więc musiała go dostać od jakiegoś żołnierza. Miała chłopaka?

- Miała, ale nie był wojskowym.
- A więc od innego mężczyzny. Czy to była dziwka, William?
- Nie! Nie była dziwką! - zaprotestował szef gwałtownie.

- Dlaczego się wściekasz? - Lewis spojrzał na niego zaskoczony.
- Znałeś ją?

- Nie rozumiem, dlaczego wszyscy myślą, że była dziwką. Pracowała jako kelnerka w Barrel of Beef.

- Mogła to dostać od jakiegoś gościa tej restauracji - powiedziałem, domyślając się, że szef przypisywał Marcie taką samą cnotliwość jak swojej żonie.

- Dlaczego jakiś gość miałby dawać dziewczynie pocisk? - Lewis zmarszczył nos. - Napiwek to zrozumiałe, ale pocisk?

Szef pokręcił głową, podniósł się z krzesła i oznajmił:

- Właśnie tego musimy się dowiedzieć.

Staliśmy już przy drzwiach, kiedy za plecami zauważyliśmy blask zapalanej zapalniczki. Szef obejrzał się za siebie. Lewis siedział na fotelu w głębi sklepu wśród skrzynek z amunicją, ładunków wybuchowych i prochu, trzymając w ustach gorejącą fajkę.

- Pewnego dnia wylecisz w powietrze - skomentował szef. - Od tyłu lat cię ostrzegam. Dlaczego mnie nie słuchasz?

- Gdybym zaczął się o to martwić, musiałbym sprzedać ten sklep i zmienić branżę na handel ziemniakami. - Machnął lekceważąco ręką. - Powinieneś zobaczyć, z kim mam do czynienia na co dzień. Wystarczy im iskra, żeby eksplodowali. W porównaniu z nimi to żadne ryzyko.

Późnym wieczorem czekaliśmy na Harry'ego w kawiarni U Pani Willows. Obserwowałem przez okno ulicę ociekającą błotem i burym deszczem. Nocni przechodnie zataczali się i pokrzykiwali, zmęczone konie zwieszały nisko łby i opieszale stukały podkawkami o bruk. Mijała północ. Jej miejsce za brudnym oknem zajmował kolejny ponury dzień. Szef czytał gazety, a robił to tak zachłannie, jakby się nimi obżerał. Zaczął od *Puncha*, a pod udem

trzymał także *Lloyd's Weekly* i *Pall Mall Gazette*. Chudy jegomość w mundurze przedsiębiorcy pogrzebowego, który siedział przy sąsiednim stoliku, z nieszczęśliwą miną obserwował szefa znad porcji ślimaków, wciąż mając nadzieję, że zdąży coś przeczytać przed pójściem do domu. Ale szef wcale się nie śpieszył. Czytał od deski do deski każdą kolumnę i każdą szpaltę, a kiedy wydawało się, że przeczytał już wszystko, zaczynał od początku.

- Zobacz, Barnett - powiedział, pokazując rysunek, na którym rosły irlandzki wieśniak podnosi rękę z nożem nad skulonym ze strachu angielskim dżentelmenem. Podpis pod rysunkiem głosił: „Irlandzki Frankenstein”. - Znowu zaczynają publikować te rysunki. Co oni wyprawiają? Irlandczycy wyglądają jak małpy, mają owłosione twarze, a Anglik jest bezbronny. Mój Boże, kiedy to się skończy? Dlaczego nie widzą własnej agresji?

- Zapewne dlatego, że nie chcą jej widzieć, sir.

Przedsiębiorca pogrzebowy chrząknął i ruchem głowy wskazał gazetę. Szef zapalił fajkę, bez słowa oddał *Puncha*, podniósł nogę i przystąpił do czytania *Pall Mall Gazette*.

Nagle drzwi rozwarły się gwałtownie i ukazał się w nich nasz człowiek. Długie chude ramiona wystawały zza krótkich rękawów brązowego wełnianego płaszcza. Jasne włosy wepchnął pod szarą, naciągniętą na uszy czapkę. Spojrzał na przedsiębiorcę pogrzebowego, na panią Willows, która stała na progu kuchni, w końcu na nas. Ściągnął czarne brwi.

- Panie Harry - zwróciłem się do niego, podnosząc się od stołu.

- To jest pan Locksher. Zapraszam. Czego się pan napije? Może kawy?

Kiwnął głową, usiadł na krześle i spytał:

- A o co chodzi?

- Mamy przesyłkę dla twojego przyjaciela Thierry'ego -

powiedział szef cicho, pochylając się nad stołem. - Ale nie możemy go znaleźć.

- To miała być jakaś robota. - Harry wstał. - A ja tu nie widzę żadnej roboty.

- Zapłacimy za informację.

Przyglądał się nam badawczo przez chwilę, przygryzając wargę, wreszcie oznajmił:

- Nic z tego. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia, a gdy przytrzymałem go za rękę, rzucił ostro z groźnym grymasem na nieogolonej twarzy: - Puszczaj.

Czułem jego kościste ramię pod wełnianym rękawem. Był chudy jak włóczęga z przytułku dla bezdomnych. Cerę miał szarą jak popiół, oczy w czerwonych obwódkach, rysy twarzy ostre jak trupia czaszka. Bez trudu posadziłem go z powrotem na krześle. Był ode mnie wyższy, ale słaby jak pisklę.

Przedsiębiorca pogrzebowy poderwał się od stołu, wrzucił do kieszeni ślimaki pozostałe na talerzu i wyszedł, natomiast jak zawsze spokojna pani Willows podała kawę.

- Tylko grzecznie, bardzo proszę, panie Barnett - mruknęła.

- Będziemy dla naszego gościa bardzo uprzejmi, Reno - zapewnił szef.

- Ja nic nie wiem - powtórzył Harry. - Naprawdę. Nie mogę wam pomóc. Thierry zniknął parę dni temu i na pewno jest już we Francji. No, w każdym razie tak mi się wydaje. - Spojrzał na mnie. - I tylko tyle mogę wam powiedzieć.

- Jak na kucharza, to jesteś bardzo chudy - zauważył szef.

- Jestem tylko pomocnikiem, obieram i zmywam. Nie jestem żadnym kucharzem.

Nagle szef sięgnął przez stół do jego kieszeni i nim Harry się zorientował, wyjął zatłuszczony pakunek i rzucił go na stół.

- To tylko zwykły pudding - pośpiesznie wyjaśnił Harry obronnym tonem. - Pół porcji puddingu.

- A tam masz...? - zapytał szef, wskazując drugą kieszeń.

- Parę kartofli. I kawałek szynki z kością. To już było do wyrzucenia.

- Raczej wątpię - powiedziałem, zerkając mu do kieszeni.

- To przecież nic złego. Nawet jak jest już zepsute, to sprzedają w porcie nad rzeką albo tym, co śpią na ulicy. Ale proszę, niech pan o tym nie mówi, nie wyda mnie. Bardzo proszę. Ja to wszystko zwrócę. Nie chcę, żeby mnie za to wylali.

- Nie ma takiej potrzeby - uspokoił go szef. - Nie przyjaźnimy się z twoim chlebodawcą.

- A dlaczego jesteś taki chudy? - spytałem. - Chorujesz na coś?

- Tak, jeśli szóstka dzieci to choroba. Jedno ledwie skończyło dwa lata.

- Masz przecież stałe zajęcie - zdziwił się szef. - A twoja żona? Czy żyje? - Harry potwierdził gestem, że tak, żyje, zerkając w okno, za którym przejechała dwukółka. - I żona cię nie karmi?

Przełknął głośno, aż grdyka podskoczyła mu w górę na chudej szyi.

- Naprawdę nie mogę wam pomóc - powtórzył.

- A my, Harry, chcemy ci dać całego szylinga - powiedział szef łagodnie. - Jesteśmy prywatnymi detektywami, pracujemy na zlecenie rodziny Thierry'ego. Powiedziano nam, że zaginął. I martwią się o niego.

Harry wciąż patrzył za okno, nie potrafiąc się zdecydować, czy nam zaufać.

- Sami nie mogliśmy przyjść do Barrel of Beef, bo pan Cream żywi do nas szczególną urazę - ciągnął szef. - Dlatego posłaliśmy do ciebie naszego chłopaka.

Harry namyślał się przez jakiś czas, następnie wstał i oświadczył:

- Nie potrafię wam pomóc. Thierry po prostu zniknął. Nie miałem od niego żadnej wiadomości. A nawet gdybym coś wiedział, to nie wiem, czy bym wam powiedział. Nie lubię mieszać się w sprawy, które mnie nie dotyczą. - Mimo takiej deklaracji wciąż nie wychodził.

Szef przyglądał mu się w milczeniu dłuższą chwilę, wreszcie powiedział:

- Posłuchaj, Harry, byliśmy przy tym, jak zasztyletowano Marthę. Czekala na nas, miała się z nami spotkać. Trzymałem ją na kolanach aż do przyścia policji.

Harry zastygł w bezruchu. Łzy napłynęły mu do oczu. Położyłem mu rękę na ramieniu, a on nie protestował, kiedy pomogłem mu usiąść.

- Wydaje nam się, że ma to jakiś związek ze zniknięciem Thierry'ego - podjął szef. - Próbujemy się dowiedzieć, kto ją zabił. Ale potrzebujemy informacji.

- Przecież tam byliście.

- Zabójca uciekł, nie wiemy, jak wygląda. Martha poprosiła nas o spotkanie, chciała nam coś powiedzieć.

I nagle Harry przestał udawać, że nic nie wie. Pochylony nad stołem zaczął szybko mówić przyciszonym głosem, jakby nie chciał, żeby usłyszała go pani Willows:

- W Barrel of Beef coś się działo. Coś dziwnego i poważniejszego niż zwykle. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, ale pojawiła się cała banda, wchodzili i wychodzili. Tydzień temu pan Cream kazał Terry'emu jechać po przesyłkę. Radziłem mu, żeby tego nie robił, ale jeśli chce się pracować u pana Creama, to nie wolno mu się sprzeciwiać. Aż któregoś

dnia przyszli jacyś dwaj, weszli do biura pana Creama i zaczęli je rozwalać. Słyszeliśmy to z kuchni. Żaden z ludzi pana Creama nie próbował ich powstrzymać. Ani Piser, ani Long Lenny, ani Boots. Wszyscy stali w barze na dole cicho jak myszki.

- Kto to był? - spytał szef, a gdy Harry tylko wzruszył ramionami i podniósł brwi, sprecyzował pytanie: - Czy to byli Amerykanie?

- I Irlandczycy, tyle wiem. To miała być tajemnica. Od razu weszli bez pytania na górę do Creama, jakby to oni rządzą.

- Ale zastanów się, Harry - nalegał szef. - Coś musiałeś wcześniej o nich słyszeć.

- Tak, chodziły słuchy, że to jacyś złodzieje. Jak wiecie, pan Cream jest paserem. Ktoś słyszał, że obrabiają duże domy w Bloomsbury i innych bogatych dzielnicach, a także rezydencje wokół Hyde Parku, wille ministrów i ambasady. Rabują biżuterię, srebra i kosztowności. To, co się da łatwo wynieść. I tu do akcji wchodzi pan Cream. O tym była mowa. Ale żadnych nazwisk nie słyszałem.

- Dlaczego wywrócili do góry nogami jego biuro?

- Mogli mieć różne powody. - Harry wzruszył ramionami. - Oszukał ich, powiedział coś glinom, nie dotrzymał jakiejś obietnicy. Albo jeszcze coś innego.

- Co Martha mogła z tym mieć wspólnego?

- O ile wiem, to nic, tyle że Piser, jeden z członków obstawy pana Creama, miał do niej słabość. To jedyny związek, jaki widzę. A ona miała słabość do Thierry'ego, co Piserowi oczywiście się nie podobało.

- Czy doszło między nimi do jakiejś sprzeczki? - dociekał szef.

- Piser nigdy się z nikim nie sprzeczał. Zna za mało słów, żeby się kłócić.

- Więc dlaczego ktoś zabił Marthę, Harry?

Dopił kawę, wyprostował się, i patrząc szefowi prosto w oczy, odparł:

- Może dlatego, że miała się spotkać z wami, sir.

Szef miał taki wyraz twarzy, jakby ktoś wypompował z niego całe powietrze. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Kiedy tylko zobaczyliśmy, jak Martha leży na chodniku przed kościołem, i szef, i ja wiedzieliśmy doskonale, że zginęła przez nas.

- Może znasz jakichś znajomych Terry'ego? - zapytał, kiedy doszedł do siebie.

- Ja go znałem tylko z pracy w kuchni. Nie wiem, co robił po pracy.

- Nigdy nie rozmawiałeś z nim o życiu?

- Wiem, że lubił się napić, ale nie wiem z kim. Ja nigdy nie miałem pieniędzy na pijatykę.

- A gdzie chodził? Do jakiego pubu?

- Nigdy ze mną o tym nie rozmawiał.

Wręczyłem Harry'emu obiecane szylinga oraz wizytówkę z nazwiskiem i adresem szefa.

- Tak na wszelki wypadek, gdybyś coś usłyszał albo sobie przypomniał.

- Jasne, sir - zgodził się skwapliwie. - A mogę to zabrać? - zapytał, wskazując zawiniątko z puddingiem.

- Proszę bardzo.

- I nie powiecie nikomu, że ze mną rozmawialiście?

- Masz na to nasze słowo - zapewnił szef. - Ale powiedz, Harry, od jak dawna twoja żona pije?

Harry aż otworzył usta ze zdumienia.

- Ale ona... - zaczął, jednak nie potrafił skończyć.

- Znosisz to, przynajmniej na razie, co? - naciskał szef, po czym

swoim zwyczajem zamilkł.

Wiedziałem, że mam się nie wtrącać. Szef patrzył z sympatią na chudzielca, który przestępował z nogi na nogę, aż w końcu wychrypiał:

- Ale skąd pan wie, sir? Ktoś panu powiedział?

- Nikt mi nie mówił, przyjacielu. Widzę to po tobie.

- To nie takie proste, sir. Nie sypiam po nocach, nie mówiąc już o dzieciakach. Pracuję do późna i nie ma nikogo, kto mógłby jej przypilnować. W dodatku sąsiadka, stara wiedźma z naprzeciwka, sprowadza ją na złą drogę.

Szef wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Takie zrządzania losu poddają nas próbie charakteru, Harry. Wiem, że masz dość siły, żeby wyjść z niej zwycięsko. Ale musisz zacząć się szanować. Jesteś za słaby, żeby być dobrym ojcem. Musisz więcej jeść.

- Tak jest, sir - przyznał Harry ze wstydem, wbijając wzrok w podłogę.

- Dziękuję ci za pomoc.

Wyszedł, a my zawinęliśmy się ciasniej w płaszcze. Bo chociaż niebo przejaśniło się i chociaż było lato, panował przejmujący chłód.

Pani Willows zamiotła izbę i pogasiła lampy.

- Skąd pan wiedział o jego żonie? - zapytałem przy wyjściu. Po drugiej stronie ulicy przechodził posterunkowy.

- Wyczułem to, Barnett.

- Niech pan zdradzi, szefie. Skąd pan wiedział? Nie wyczuł, a wiedział?

- Jak myślisz, ile zarabia pomocnik kucharza? Trzydzieści szylingów na miesiąc? Czterdzieści? To wystarczy, żeby wykarmić rodzinę i zapłacić czynsz. Ale on wykrada jedzenie, ryzykując

utrata pracy, której bardzo potrzebuje. To znaczy, że jego zarobki idą na coś innego. Nie ma pieniędzy, żeby się napić, sam przyznał. Więc co się z nimi dzieje?

- Jest wiele możliwości - powiedziałem. - Na przykład hazard, długi.

- On jest na to zbyt wrażliwy. Bardzo uważał na każde słowo, zanim wreszcie nam zaufał, a tak nie zachowuje się hazardzista. Ale czy zauważyłeś, że odwrócił wzrok, kiedy zapytałem go o żonę? Jak od razu zmienił temat, kiedy zapytałem, czy daje mu jeść?

- Może jest obłożnie chora.

- Gdyby była chora, to opowiedziałby nam o tym, bo nie ma się czego wstydzić. Przecież połowa Londynu choruje. Przyznaję, że z pićm to był strzał w ciemno, ale to miasto tonie w alkoholu. I mój domysł okazał się słuszny.

- Szczęśliwy domysł.

- Bo jestem szczęściarzem, Barnett - rzucił ze śmiechem. - No, pod pewnym względem.

W drodze powrotnej, idąc o brzasku ulicami Londynu, minęliśmy pod przytułkiem zwały owiniętych w szmaty ludzkich ciał. Na postoju dorożek jakiś starzec zmagął się z ogromną stertą końskiego nawozu. Szef znowu się zaśmiał, a jego śmiech potoczył się echem po pustej ulicy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nazajutrz rano w salonie zastałem mocno wzburzoną Ettie.

- Piłeś z nim wczoraj, Norman? - naskoczyła na mnie. - Nie wrócił do domu!

- Nie, Ettie. Nie piłem z szefem.

Najpierw odniosłem wrażenie, że pokój szefa się powiększył. Dopiero po chwili zorientowałem się, że spod ścian zniknęły sterty gazet.

- Czy on jest u jakiejś kobiety? Tym się zajmuje?

- Po północy spotkaliśmy się z pewnym mężczyzną w sprawie, którą prowadzimy. Rozstałem się z nim na rogu Union Street niecałe pięć minut drogi stąd. Mówił, że wraca do domu.

- Naprawdę? - upewniała się surowo.

- Naprawdę - powtórzyłem.

Zajrzała mi prosto w oczy, gwałtownie wciągając poranne londyńskie powietrze.

- Rozumiem - przyznała w końcu. - W takim razie może został uduszony. I dobrze mu tak, bo na to zasłużył.

- Nie, nie. - Potrząsnąłem głową. - Jest takie miejsce, gdzie chodzi, kiedy jest zdenerwowany. Nazywa je nocną oazą. Myślę, że właśnie tam może być.

Ettie westchnęła ciężko i wzniosła oczy do nieba.

- A co go tak zdenerwowało tym razem?

- Obwinia się za śmierć pewnej kelnerki. Człowiek, z którym spotkaliśmy się wczoraj, też tak twierdzi. Podejrzewam jednak, że szef nie przejąłby się aż tak bardzo, gdyby ta dziewczyna nie przypominała mu Isabel. Trzymał jej głowę na kolanach aż do

zjawienia się policji. Nie chciał, żeby leżała na mokrym trotuarze. Prawie płakał wśród gromady gapiów.

Po krótkim namyśle Ettie zapytała:

- Czy on pije, odkąd Isabel odeszła?

- Tylko od czasu do czasu, nie bez przerwy.

- To miasto pogrążyło się w potwornym opilstwie, Norman. - Z irytacją pokręciła głową. - Te butelki, karafki, dzbany i beczki to istna armia Lucyfera. Zdaniem wielebnego Hebdena ulegają jej biedacy. Robotnicy przepijają strawę dla dzieci, wdają się w bójki, a potem kończą jako bezrobotni w porcie. Kobiety protestują i walczą. Tracą mężów i idą zarabiać na ulicy. Nie ma wątpliwości, że Kuba Rozpruwacz to kara boska za pijaństwo. A ostatnio rządzi nimi chiński dżin, słyszałeś o tym? I dobrzy ludzie, tacy jak mój brat, w chwilach słabości wpadają w jego sidła. Ty, mam nadzieję, nie pijesz?

- Z umiarem.

Pokiwała głową, schylając się po piórko leżące na podłodze.

- Czeka nas wielka bitwa, Norman. Ja stoję u boku wielebnego Hebdena. To miasto traktuje ubogich w okropny sposób, jak jakiś potwór. Może czytałeś książki Charlesa Bootha?

- Nie, proszę pani.

- On to wszystko dokładnie opisał. Teraz zajmujemy się Cutler's Court, jednym z tych brudnych zakątków. Słyszałeś o nim?

- Nie - odparłem.

Staliśmy na wprost siebie na środku pokoju, a Ettie dalej mówiła z przejęciem:

- Ponad czterysta osób mieszka w dwudziestu małych domach, a po obu stronach podwórza mieszczą się rzeźnie. W każdym pomieszczeniu śpi co najmniej dziesięć osób. Jest jedna pompa z wodą i dwie latryny. Wyobrażasz sobie? I wszędzie, jak okiem

sięgnąć, zalegają sterty muszli po ostrygach i porozrzucane kości.

Bez trudu potrafiłem to sobie wyobrazić. Niespełna dwadzieścia lat temu sam mieszkałem w takim miejscu. Dobrze znałem to miasto ze wszystkimi jego ciemnymi stronami, dojmującym okrucieństwem i złudnymi nadziejami, które potrafiło stwarzać, i okrutnym igraniem z ludzkim losem.

- Wokół tych kwater mieszczą się zakłady produkujące różne brudne odpady - ciągnęła dalej. - Resztki z rzeźni wyrzucane są do kanału odpływowego, który biegnie przez środek podwórza, gdzie mieszkańcy opróżniają także swoje nocniki. Panujący tam niewyobrażalny smród to obraza boska, Norman. A właściciel posesji odmawia zainstalowania dodatkowych sanitariatów. Po prostu odmawia! Na szczęście już się do tego zabraliśmy.

Opowiadała z taką pasją, że po raz pierwszy pojąłem, co daje jej taką siłę, i dzięki temu trochę lepiej zrozumiałem, o co jej chodzi.

Zamilkła i patrzyła na mnie w napięciu, oczekując równie emocjonalnej reakcji. Ja jednak wiedziałem, że w tej kwestii ją zawiodę. Chociaż zostawiłem daleko za sobą lokatorów z tego podwórza, nie potrafiłem myśleć o nich jak o obcych. W pewnym sensie to był nadal mój świat, a nie wyspa brudu i zła.

- Konkretnie czym się tam zajmujesz? - zapytałem, żeby przerwać milczenie.

- Prowadzimy kampanię na rzecz poprawy warunków. Pomagamy. Modlimy się o słuszne przewodnictwo. Nasza organizacja realizuje program obejmujący cały Londyn. Uczymy przestrzegania podstawowych zasad higieny, prowadzimy wspólne modlitwy i dostarczamy lekarstwa. Współpracuje z nami Ladies' Association for the Care and Protection of Young Girls^[2]. Może znasz tę organizację?

- Czasami widuję aktywistki na mieście.

- Zanim tu przyjechałam, nie zdawałam sobie sprawy ze skali zjawiska. Czy wiesz, że razem z Williamem wychowaliśmy się w...

- Zawahała się i zarumieniła. - To znaczy nasz ojciec posiadał...

- Wiem o tym, Ettie.

- Oczywiście. W każdym razie połowa mieszkanek żyje z nierządu. W niektórych rodzinach zarabiają w ten sposób matki i córki. Próbujemy pomagać najmłodszym. Są przytułki, w których mają szansę nauczyć się różnych pożytecznych umiejętności. W ten sposób próbujemy ochronić je przed najgorszym, zanim będzie za późno.

- To bardzo szlachetna działalność, Ettie.

- Ale nie jest nam łatwo, zapewniam. Mężczyźni nie chcą, żebyśmy ratowali te kobiety, więc nieraz mamy kłopoty. Ale ludzie ubodzy to nasze jarzmo i nasza odpowiedzialność. Tak powiada pismo, Norman. W tym mieście trwa wojna. Wojna, która toczy się na bocznych uliczkach i w przesmykach między domami.

Jej pierś falowała z emocji pod czarną suknią, czoło miała rozpalone. Poczułem ulgę, gdy wreszcie wzięła głęboki, uspokajający oddech. Nie chciałem już dłużej słuchać o ludziach z tego podwórka, o moich ludziach, bo wszystkie złe rzeczy, jakie robili, ja również robiłem, byłem ich świadkiem albo do nich zachęcałem. Doskonale znałem to wszystko, o czym mówiła, tyle że znałem to z drugiej strony.

- Teraz jednak niepokoję się o brata. Mówisz, że wiesz, gdzie się podziewa?

- Nie martw się, Ettie. Przyprawdżę go.

- Dobrze. - Zawróciła na schody. - Powiedz mu, żeby kupił trochę muffinek. Koniecznie gorących.

Tego ranka w pubie Hog, z nazwy kojarzącym się z wieprzem,

ostał się już tylko jeden klient. Był to potężny marynarz z włosami zawiązanymi do tyłu jak pirat. Spał na ławie przy kominku, miał za pasem nóż i chrapał z szeroko otwartymi ustami. Za ladą stała gruba kobieta i myła szklanki w cynowym wiadrze. Śmierdziało dymem papierosowym i rozlanym piwem, które jak plamy ropy zalegało na kamiennej podłodze.

Szef siedział przy stole w rogu tyłem do wejścia. W rękach trzymał butelkę portera. Dopiero kiedy podszedłem do niego, zauważyłem, że ma zamknięte oczy. Położyłem mu rękę na ramieniu i lekko potrząsnąłem. Jęknął i zaprotestował.

- Mam polecenie od pana siostry, żeby przyprowadzić pana do domu - powiedziałem.

Otworzył na chwilę opuchnięte oczy, żeby spojrzeć w moją stronę, i natychmiast pozwolił głowie opaść na blat stołu. Podparłem go ramieniem i wyciągnąłem zza stołu. Był ciężki. Cięższy za każdym kolejnym razem.

Gruba barmanka cmoknęła z dezaprobatą, obserwując, jak zmagam się z jego ciężkim jak ołów ciałem.

Powoli zaczął przesuwac po posadzce raz jedną, raz drugą stopę. Jęknął znowu i otarł usta. Otworzył i zmrużył oczy, złożył usta jak do pocałunku i wykrzywił zaczerwienioną twarz. Ale przynajmniej zaczął się poruszać.

- Miło cię było poznać, Humba - wymamrotał w stronę marynarza, który nadal chrapał na drewnianej ławie.

- Czemu go ze sobą nie zabierzesz? - zapytała barmanka ze śmiechem.

Szef odwrócił się do niej i złożył szarmancki, choć chwiejny ukłon.

- Z przyjemnością, kwiatuszku - wybełkotał.

- Mam nadzieję, że zanim pan wyjdzie, panie Arrowood, odda

pan Betts pół korony, które jest pan jej winien. Obiecałam, że je od pana odzyskam.

- Ach tak, oczywiście - wyrzeźił, grzebiąc w kieszeni kamizelki.

Monety rozsypały się po podłodze. Zebrałem je, wypłaciłem barmance koronę, a resztę wepchnąłem z powrotem do kieszeni szefa. Wciąż wisząc na moim ramieniu, uklonił się ponownie, a na ulicy zaskowyczał porażony jaskrawym światłem i zasłonił oczy.

- Nieś mnie, Barnett.

- Niech pan idzie, szefie.

- Ale ja cierpię.

- Ja również. I to niezasłużenie.

Zataczając się, z trudem torowaliśmy sobie drogę przez zatłoczoną ulicę.

W salonie na tyłach sklepu zastaliśmy Ettie w ulubionym fotelu szefa. Siedziała wyprostowana i cerowała skarpetkę. Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego rozczarowania.

- Czy chcesz, żebym pomogła ci wnieść go na górę?

- Dam sobie radę, siostrzyczko - wymamrotał. Dopiero teraz uwolnił moje ramię i stanął o własnych siłach. - Pomóż mi wejść na schody, Barnett.

Nie było łatwo wspinać się razem z nim po wąskich schodach, ale dotarliśmy w końcu na górę, gdzie szef, sapiąc i trzymając się za głowę, padł ciężko na swój materac. Ja też z trudem oddychałem.

- Barnett! - wyrzeźił, gdy zawracałem na dół. - Czy Nolan wyszedł z więzienia?

- Wyszedł w zeszłym tygodniu.

- Musisz go odwiedzić.

Sam podjąłem taką decyzję już poprzedniego wieczoru, kiedy domyśliłem się, że zaraz po naszym rozstaniu szef zmyje się do

pubu Hog. Ale mu tego nie powiedziałem, bo nie mieliśmy takiego zwyczaju.

- Przynieś mi jeszcze nocnik - mruknął.

- Sam sobie przynieś - powiedziałem, przysiadając na schodach. Zanim dotarłem na dół, już chrapał. Przynajmniej tyle dobrego, że jak śpi, to na finał pijaństwa nie zażyje laudanum.

Ettie patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Zaczekaj, Norman - zatrzymała mnie, kiedy położyłem rękę na kłamce. - Czy przyniosłeś muffinki, o które prosiłam?

- Bardzo przepraszam, ale miałem zajęte ręce.

- No tak, rzeczywiście.

Wyraźnie posmutniała. Podobnie jak szef, Ettie kochała jeść.

- Musisz kiedyś zaprosić panią Barnett na nasze zebranie - powiedziała. - Wielebny Hebden przyjmuje nowych członków z otwartymi ramionami. Jestem pewna, że jej się spodoba. Dam ci znać, kiedy mamy następne spotkanie.

- Dziękuję, Ettie.

Nagle zmrużyła oczy, z jej brzucha dobiegł dziwny odgłos i lekko się zarumieniła.

- W takim razie umowa stoi - podsumowała, wracając do cerowania. Oboje udawaliśmy, że nie słyszymy burczenia w jej brzuchu.

Nolan zajmował dwa pokoje w pensjonacie przy Cable Street. Był moim starym kumplem z Bermondsey. Od zawsze prowadził ciemne interesy, a my zaglądaliśmy do niego, kiedy chcieliśmy się dowiedzieć, co się dzieje w irlandzkiej części miasta. Kilka dni wcześniej Nolan wyszedł po czternastomiesięcznej odsiadce za kradzież płaszcza pewnemu Chińczykowi przy Mile End Road i natychmiast wrócił do starego trybu życia, czyli sprzedawał

wesołym damom z Whitechapel kradzione garnki i zegary podróżne.

- Nie wyglądasz najlepiej, Norman - powiedziałem na powitanie, kiedy zasiedliśmy za stołem w drugim pokoju.

Kobiety, czyli żona Nolana, Mary, jego matka i dwie kuzynki wysłane zostały do pokoju frontowego, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać. Mimo że na dworze świeciło słońce, w pokoju było zimno, bo okno zasłaniała oddalona zaledwie o kilka metrów ściana sąsiedniego budynku. Nolan miał na nosie zdezelowane okulary, w których jeden z zauszników zastąpił pogryzionym ołówkiem przymocowanym do reszty konopnym sznurkiem.

- Przykro mi, że nie odwiedziłem cię w pudle, przyjacielu - przyznałem. - Ale mam awersję do przestępców.

- Wybaczam ci, Norman. A jak się ma nasz staruszek?

- Cierpi po nocy spędzonej w pubie Hog.

Roześmiał się i poklepał po udach.

- Nigdy dobrze nie przyswajał. Jego problem to delikatny żołądek. No dobrze, o co chodzi tym razem?

- Może słyszałeś o jakimś irlandzko-amerykańskim gangu? Podobno obrabiają duże rezydencje na West Endzie.

Podniósł się, żeby zamknąć drzwi. Kiedy wrócił do stołu, uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Na twoim miejscu zostawiłbym to w spokoju, przyjacielu. Lepiej o nich nie wypytywać.

- Ale to ma ścisły związek ze sprawą, nad którą pracujemy.

- Może i ma, ale nie powinniście mieć z nimi nic wspólnego. Trzymajcie się od nich z daleka.

- Nie powstrzymam szefa. Zginęła dziewczyna, a on bardzo się przejął. Traktuje to jako sprawę osobistą. Mam wrażenie, że ta banda jest powiązana z...

- Nie chcę o tym słyszeć! - przerwał mi Nolan tak gwałtownie, że aż spadły mu okulary. - Czy powiedziałem, że mnie to interesuje?

- Nie, nie powiedziałeś, ale...

- No właśnie! - Pochylił się, żeby podnieść okulary z podłogi. - To są fenianie. Pamiętasz?

Kiwnąłem głową. Kto by nie pamiętał fenian? Dziesięć lat wcześniej miasto wpadło w panikę z powodu plagi zamachów bombowych. Codziennie pojawiały się doniesienia o kolejnych próbach udaremnianych przez policję. Ładunki wybuchowe znajdowano w linii metra, pod London Bridge, a nawet w siedzibie parlamentu. Ludzie byli tak przerażeni, że przestali jeździć pociągami. Sam szef napisał kilka artykułów do gazety o polowaniu na zamachowców, za którymi stoją Amerykanie irlandzkiego pochodzenia.

Było powszechnie wiadomo, że chodzi im o przeniesienie walki o wyzwolenie Irlandii do samego serca Anglii.

- Myślałem, że dali już sobie z tym spokój.

- Większość tak, ale nie wszyscy. Paru poszło własną drogą. To ci, którzy uważają, że jedyny sposób na Brytoli to wojna. Słyszałem, że mają jakiś związek z tymi kradzieżami, ale nic więcej nie wiem.

- Jakieś nazwiska?

- Tylko jedno: Paddler Bill. Podobno to jeden z Niepokonanych. Pamiętasz?

- Tych zamachowców?

- No właśnie, o nich mówię. To jeden z tych, którym udało się uciec i nawet o nim nie wspomnieli podczas procesu. Wielki rudzielec, jak go opisują. Nigdy go nie widziałem, ale mówią, że wciąż przeprowadza egzekucje wśród tych, którzy zdradzili.

Podobno zamordował własnego brata za donosicielstwo. Usmażył go w kotle z toffi w fabryce cukierków.

Poczułem, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

- Przestań, Nolan. Nie podoba mi się ta cała historia.

- To ludzie, których lepiej nie drażnić. Trzymajcie się od nich z daleka.

Przyglądał mi się badawczo, a ja zastanawiałem się, jak przekonać szefa, że ta sprawa nas przerasta. Wiedziałem jednak, że to marzenie ściętej głowy, bo kiedy szef da słowo, to to zawsze go dotrzymuje.

- Ale dlaczego włamują się do domów? - zapytałem. - Co to ma wspólnego z wolną Irlandią?

- Myślę, że chodzi o fundusze. Wojna kosztuje.

- Nie znasz żadnych innych nazwisk?

- Nie wiem już nic więcej i nikogo więcej nie znam. I zanim mnie poprosisz, uprzedzam, że nie mam zamiaru się rozpytywać. Ci goście potrafią związać człowieka i wrzucić nocą do rzeki. To się już zdarzało.

- Nie pytałbym cię o to, gdyby nie było tak ważne, Nolan.

Wepchnął ręce do kieszeni i pokręcił głową. Zza pieca wyszedł kot, podszedł z podniesionym ogonem na sztywnych łapach, żeby otrzeć się o jego nogi, ale Nolan go kopnął.

- Twoja Mary jest Irlandką, prawda? - zapytałem.

- Tak, ale urodziła się tutaj. Jej starzy przyjechali do Anglii podczas głodu. Nic nie wiedzą o tych fenianach, bo są to fenianie z Ameryki.

- Co ona o nich myśli?

- Jej kuzynka Kate chodzi na zebrania na temat reformy rolnej. Ale oni wszyscy są za wolną Irlandią. Jej ojciec też był, zanim wykitował.

- Jak mogą nie być, skoro mieszkają z tobą?

Nolan niejedną raz próbował mnie przekonać do samorządnej Irlandii. On sam przyjechał do Londynu podczas kryzysu gospodarczego, a jego brat trafił w Irlandii do więzienia. Zamknęli go w Tralee za pomoc udzielaną rolnikom protestującym przeciw wywłaszczeniom. Im częściej opowiadał mi o tym, co dzieje się na Zielonej Wyspie, tym bardziej wstydziłem się za to, co robią tam moi rodacy. Szef zgadzał się z Nolanem w tej kwestii i był to jeden z powodów, dla których szanowali się wzajemnie.

- Wielu twoich widzi w nas tylko brudasów - powiedział Nolan, kiwając głową. - Tymczasem jest wśród nas pełno Irlandczyków, którzy szanują prawo. Ja oczywiście nie, ale jest wielu innych. Tylko że zawsze, kiedy dochodzi do jakiegoś przestępstwa, to od razu mówią, że to my. A kiedy jest jakaś uczciwa praca w fabryce czy gdzie indziej, to proponują ją nam w ostatniej kolejności. Nasi ludzie naprawdę mają powody, żeby was nie lubić. Ale wiesz, Norman, chociaż do końca życia będę opowiadał się za wyzwoleniem mojej ojczyzny, to nie podobają mi się zamachy bombowe. I nigdy nie sięgałem po takie sposoby walki.

Skrzyżował ręce na piersi, a wyraz jego twarzy świadczył, że zamierza poruszyć jakąś poważną kwestię. Ale wtedy właśnie skrzypnęły drzwi i w progu stanęła Mary, która powiedziała:

- Przyszedł roznosiciel piwa, chłopcy

Nolan kwiknął, jakby wstrzymywał oddech, po czym z uśmiechem spytał:

- Piwko?

Wypiliśmy po piwku, a potem Mary poszła po ślimaki. Nie udało mi się jednak namówić go na żadne rozpoznanie, żadne podpytanie tu i tam w naszej sprawie. Naprawdę bał się fenian.

A Nolan zazwyczaj niczego się nie bał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy pojawiliśmy się wieczorem przed Studiem Fontaine, okazało się, że na ulicy doszło do wypadku. Padł koń i przewrócił dorożkę. Na schodach, zawodząc płaczliwie, siedziała jakaś dama z zakrwawioną twarzą i bukietem kwiatów w ręku. Dorożkarz usiłował wyprząc martwego konia od wozu. Zebrani wokół gapie szturchali konia i przyglądali się płaczącej kobiecie. Kiedy ją mijaliśmy, szef pochylił się nad nią, podał chustkę i zapytał:

- Czy coś się pani stało? Jest pani ranna?

Przestała płakać i przez załzawione oczy spojrzała najpierw na niego, potem na postrzępioną czerwoną chustkę. Na widok plam od tytoniu wzdrygnęła się i odwróciła głowę, a szef szybko schował chustkę do kieszeni.

- Czy trzeba kogoś zawiadomić? - zapytał.

- Nie dotykaj mnie - syknęła, zakrywając twarz rękami. - Nie potrzebuję twojej pomocy.

Szef uderzył laską o but i pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy. Można by pomyśleć, że poczuł się trochę zdezorientowany.

- Chodźmy już, sir - powiedziałem, dotykając jego ramienia. - Dorożkarz da sobie z tym radę.

Eric obserwował zbiegowisko przez okno studia. Kiedy weszliśmy, przesunął się pośpiesznie za ladę. Miał na sobie żółtą koszulę ze stójką, a pod szyją fular w kropki. Poznał szefa natychmiast.

- Ach, to pan, sir. W sprawie portretu, prawda? Niezmiernie się cieszę. Z rozkoszą wykorzystam możliwość zachowania pańskich

szlachetnych rysów dla potomnych. Posiada pan profil, który w pełni uzasadnia moją obecność w tej branży. Na taki właśnie profil czekałem.

- Tak, w rzeczy samej - wydukał szef zakłopotany tak wylewnym pochlebstwem.

Co się jednak dziwić. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby ktokolwiek wyrażał się w ten sposób o jego kartoflanej głowie.

- Jaki termin panu odpowiada, sir? - zapytał Fontaine, otwierając książkę zamówień i sięgając po pióro. - Tak, sir?

- Zaraz to ustalimy, ale najpierw chcielibyśmy prosić o krótką rozmowę z panną Cousture, sir - powiedział szef. - Oczywiście jeśli nie sprawi to państwu kłopotu. Chodzi o bardzo krótką rozmowę.

Fontaine wykrzywił wargi, odsłaniając dwa przednie zęby, co upodobniło go do królika.

- Nie ma jej dzisiaj. Kilka godzin temu powiedziała, że wychodzi na zupę, i nie wróciła. Gdybyście ją spotkali, proszę przekazać, że jestem bliski zatrudnienia nowej asystentki. Bo wie pan, zdecydowałem się zatrudnić kobietę, ponieważ jestem zwolennikiem emancypacji kobiet.

- Podobnie jak moja siostra - zauważył szef sucho.

- I tak mi się odwdzięczono.

Powiedział to rozdrażnionym tonem, a ja w sposobie, w jaki wymawiał samogłoski, wyraźnie usłyszałem irlandzką nutę. Szef rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

- To bardzo szlachetna postawa - skomentował. - Od jak dawna panna Cousture pracuje u pana?

Fontaine z westchnieniem uniósł pióro, mówiąc przy tym:

- Rozmawialiśmy o terminie sesji...

Szef kiwnął głową i zaczął studiować wiszące na ścianach

portrety.

- Ma pan bardzo dobre oko - zauważył, pocierając brodę w zamyśleniu. - Dostrzegam w tych twarzach prawdziwą duchową głębię.

- Taki właśnie cel artystyczny mi przyświeca - wyznał Fontaine z pełną powagą, wskazując wiszący za ladą portret mężczyzny w wojskowym mundurze. - Ten portret wyszedł mi najlepiej.

- Rzeczywiście! To prawdziwe dzieło sztuki - przyznał szef.

Fontaine przez chwilę kontemplował wykonany przez siebie portret, po czym spojrzał na szefa i oznajmił:

- Pan również ma wrażliwe oko, sir.

- A może teraz zrobimy tę sesję?

- Dlaczego nie? Proszę bardzo. Mam akurat przerwę. Zapraszam. - Wskazał czarną zasłonę oddzielającą zaplecze od reszty studia. - Człowiek pana pokroju zasługuje ze wszech miar na to, by jego podobizna stanowiła ozdobę holu, zawisła w salonie czy nawet w bibliotece. Absolutnie!

Wciąż mówił, gdy zniknął za ciężką zasłoną. Odczekałem chwilę, a potem, korzystając z okazji, przejrzałem zawartość szuflad za kontuarem. Pełno w nich było śrubek, klisz i żarówek. W dolnej szufladzie znalazłem księgę z rachunkami, z której dowiedziałem się, że panna Cousture pobierała wynagrodzenie od stycznia tego roku, czyli zaledwie od czterech miesięcy. Szukałem jakiegoś adresu, aż wreszcie znalazłem. Był zapisany na odwrocie małego notesu.

Szef wyszedł zza zasłony po około dwudziestu minutach. Włosy miał gładko zaczesane i po bokach pokryte brylantyną, a krawat starannie zawiązany pod szyją.

- Tak jest, sir - mówił Fontaine. - Tydzień. Czy mogę prosić o pański adres?

- Coin Street pięćdziesiąt dziewięć. Wejście przez sklep z puddingami.

- Pozwolę sobie oprawić portret w ramkę, podobnie jak portret tego oficera. Pańska siostra będzie zachwycona. - Otworzył drzwi i przytrzymał je dla nas, dodając: - Zapewniam pana, sir.

- Ciekawe doświadczenie - zauważył szef, kiedy skręciliśmy za róg. - Wygląda na to, że nasza klientka wcale nie została polecona przez handlarza obrazów, jak twierdzi. Według Fontaine'a przedstawił mu ją miejscowy duchowny podczas świąt Bożego Narodzenia. Zaproponował Fontaine'owi zatrudnienie panią za połowę stawki rynkowej. Nie miała zielonego pojęcia o fotografii. Ale jak wiemy, ładna buzia i łagodna perswazja Kościoła potrafią wiele zdziałać.

- Tania siła robocza - skwitowałem.

- Masz rację, Barnett.

- Zaczął jej płacić dopiero w styczniu - dodałem. - Przynajmniej tak wynika z ksiąg.

- Widzę, że nie marnowałeś czasu. Aha, jeszcze coś. Panna Cousture odrzuciła propozycję intymnego zbliżenia ze strony pana Fontaine'a. Choć został odprawiony, co z pewnością uraziło jego ambicję, nie zamierza ponawiać starań zaciągnięcia jej do łóżka.

- Pan to potrafi namówić ludzi na zwierzenia, szefie - skomentowałem ze śmiechem.

- Akurat tego mi nie powiedział. Ja to z niego wyczytałem.

- Wyczytał pan, sir?

- Tak, Barnett, wyczytałem. Wygląda na to, że te zniknięcia zdarzają się panie Cousture często i bez uprzedzenia. Tyle mi powiedział. Zdarzają się częściej, niż gotów jest akceptować typowy pracodawca, a jednak jej nie odprawił, chociaż bardzo go

to irytuje. Dlaczego? Jak powiada pan Darwin, wystarczy uwzględnić zwierzęce podstawy ludzkiej natury. Powodem jest uroda panny Cousture i pragnienie pana Fontaine'a, zresztą podzielane przez większość mężczyzn, by znaleźć się między jej udami. Nie ulega wątpliwości, że ze względu na swoje stanowisko jest przekonany, że ma do tego prawo, i trudno go za to winić. Lwie prawo zezwala, czy też wręcz nakazuje lwu brać samice ze swojego stada. A nasz fotograf to taki mały lew. Sądzę, że większość sklepikarzy na tej ulicy sypia ze swoimi pracownicami. W tym mieście jest pełno takich drobnych lwów. Fakt, że panna Cousture nie chce się oddać panu Fontaine'owi, z pewnością staje mu ością w gardle. To tak, jakby kupił smakowite ciastko, które leży przez cały dzień na stole, a jemu nie wolno go zjeść.

- Może jest żonaty.

- Och, Barnett, czasem jesteś taki słodki.

- Skąd pan może wiedzieć, że ona go pociąga?

- Bo jest bardzo ładna. Kiedy na nią patrzę, czuję pożądanie, tak samo jak ty.

- Ja nie czuję!

- Czujesz, przyjacielu. Widziałem, jak tracisz przy niej tę swoją naturalną szorstkość. Owszem, jesteś przywiązany do szacownej pani Barnett, ale zarazem jak wielu z nas pozostajesz pod urokiem panny Cousture.

Musieliśmy przerwać na chwilę rozmowę i zatrzymać się, żeby przepuścić skręcającego w boczną uliczkę straganiarza z wózkiem wyładowanym ubraniami.

- Taki sposób rozumowania przypomina dedukcję Sherlocka Holmesa, i to nawet bardziej, niż się panu wydaje, sir - zauważyłem, kiedy znowu ruszyliśmy przed siebie.

- Nie, Barnett, nie masz racji. Ja rozszyfrowuję ludzi, on

rozszyfrowuje tajemnicze szyfry i rabatki. Jesteśmy zupełnie inni, ten cały Holmes i ja. I mówiąc szczerze, zaczynają mnie już męczyć twoje docinki związane z nim.

Zaśmiałem się w duchu, a kiedy przechodziliśmy pod wiaduktem kolejowym, spytałem:

- Szefie, dlaczego panna Cousture nas oszukała?

- Też tego nie rozumiem. Ponieważ jednak Fontaine nie chciał mi zdradzić jej adresu zamieszkania, to musimy czekać, aż znowu się pojawi. To twoje zadanie na jutro, Barnett. Módlmy się, żeby znowu nie padało.

- W takim razie dobrze, że znalazłem ten adres, sir.

Wyraz zadowolenia rozjaśnił pochmurną twarz szefa.

- Dobra robota, Barnett. - Poklepał mnie po plecach. - Miejmy nadzieję, że zastaniemy ją w domu.

Kiedy skręcaliśmy w Broad Wall, zwróciłem uwagę na mężczyznę, któremu do nogawki spodni przykleił się skrawek brązowego papieru. Widziałem już ten papier w kawiarni, i pijąc piwo, zastanawiałem się, w jaki sposób przykleił się do ubrania tego mężczyzny. A teraz szedł drugą stroną ulicy i patrzył w okna wyższych pięter mijanych kamienic.

- Może skręcimy w boczną uliczkę, sir? - zaproponowałem.

- Dlaczego? - spytał szef.

- Wydaje mi się, że ktoś nas śledzi. Proszę się nie oglądać. Jest po przeciwnej stronie ulicy. Średniego wzrostu, w szarym płaszczu.

Szef zacisnął pięści i przygryzł wargę, walcząc z pokusą, żeby spojrzeć.

- Nie! Proszę się nie oglądać! - syknąłem.

- Tak, tak, Barnett - odpowiedział kpiąco, z trudem usiłując

patrzeć przed siebie. Kuśtykał w przyciasnych butach i posapywał z powodu nadwagi. – Słyszałem.

– Ale miał pan zamiar się obejrzeć, sir.

– Wcale nie.

Doszliśmy do skrzyżowania z wąskim, ciemnym przesmykiem między wysokimi ścianami warsztatów i fabryk, które na tle szarego nieba zdawały się nachylać ku sobie. Większość z nich była już zamknięta, ale tu i ówdzie za brudnymi szybami widać było jeszcze blade światło. Mijali nas zmęczeni przechodnie w grubych brudnych ubraniach ze wzrokiem wbitym w ziemię. Uliczka pokryta była żwirem i błotem. W głębi ładowano skrzynki na wóz. Minęliśmy go i skręciliśmy jeszcze raz, a potem znów w jeszcze węższą uliczkę. Nie oglądaliśmy się za siebie. Na koniec skręciliśmy w ciemny przesmyk. W milczeniu pokazałem zaułek, przed którym wznosił się niewysoki mur.

– Tak, idealnie – zgodził się szef.

Ruszyliśmy tam i schowaliśmy się za murem. Wychyliłem się, żeby spojrzeć w stronę, z której przyszliśmy. Szef stał za mną i opierał się o drzwi, z trudem łapiąc oddech. Mężczyzna pojawił się wkrótce. Szedł szybkim krokiem prosto na nas.

– Idzie – wyszeptałem.

– Trzymaj się – mruknął szef.

Naraz usłyszeliśmy za plecami jakiś hałas. Drzwi, o które opierał się szef, otwarły się raptownie i stanęła w nich kobieta w łachmanach z nocnikiem wypełnionym po brzegi śmierdzącą zawartością. Wyglądała na zaskoczoną widokiem dwóch dżentelmenów stojących na progu jej domu, gotowych przyjąć obfitą porcję rodzinnych nieczystości. Nie będąc już w stanie zatrzymać ruchu ręki nawykłej do codziennej czynności, z rozmachem chlusnęła zawartością nocnika na ulicę.

Szef cofnął się przed cuchnącym strumieniem, przez co znalazł się na środku alejki tuż przed oczami naszego prześladowcy. Który zawrócił i zaczął uciekać w kierunku, z którego przyszedł.

- A niech to wszyscy diabli! - zaklął szef, gdy zawartość nocnika lądowała na nogawkach jego spodni.

Natomiast ja rzuciłem się w pogoń za uciekającym mężczyzną. Gdy skręciłem za rogiem, zobaczyłem, jak biegnie wzdłuż czarnego ceglanego muru. Stopniowo skracałem dystans, więc kiedy minął kolejny róg, byłem pewien, że go dopadnę. Skręcił w prawo, oddalając się od świateł głównej ulicy Broad Wall. Zanurzał się coraz głębiej w wilgotny labirynt ciemnych budynków. Znowu musiałem zwolnić, bo na drodze stanęła mi furmanka, która najpierw próbowała skręcić, a w końcu zablokowała mi drogę.

- Stój, stój, do licha! - wrzasnął woźnica. - Płoszysz mi konia! - Gdy wskoczyłem na wóz, wrzasnął: - Pieprzony kutas! - i zamierzył się na mnie batem.

Uliczka przede mną była pusta.

Biegłem dalej aż do skrzyżowania. Instynktownie skręciłem w lewo, w kierunku świateł głównej ulicy. Wtedy ktoś mnie podciął i padłem ciężko na ulicę. A kiedy uderzyłem biodrem w ziemię, otrzymałem jednocześnie silne uderzenie w plecy. Zawyłem z bólu. Zdążyłem jeszcze odwrócić głowę, żeby uchwycić spojrzenie zmrużonych oczu jakiegoś brodacza, który podnosił pałkę, żeby ponownie mnie uderzyć. Widziałem jego dłoń zaciśniętą na rękojeści pałki i złamany paznokieć kciuka, który wydał mi się wściekły i mściwy, jakby mężczyzna był tylko jego narzędziem. Wyciągnąłem rękę, żeby zasłonić się przed uderzeniem. Zaraz potem ogarnęła mnie fala mdłości i odpłynęła ze mnie cała energia. W uszach dzwoniło mi jak w kościele Christ

Church, w oczach miałem łzy. Byłem bezsilny. Zwinąłem się w kłębek i zacisnąłem powieki, gotów na następne uderzenie.

Nie nastąpiło. W obawie, że mogę dostać w twarz, jeśli odwrócę głowę, postanowiłem zamienić się w słuch. Po chwili przestało mi dzwonić między uszami. Usłyszałem kobiecy głos, który dochodził z okna jednego z budynków. Zebrałem się na odwagę i odwróciłem głowę. Mężczyzny nie było.

Niepewnie usiadłem, obawiając się, że nie zdołam stanąć na nogi. Przy każdym ruchu czułem ostry ból. Podniosłem wzrok i spojrzałem w głąb uliczki, żeby upewnić się, że prześladowcy już tam nie ma. Potem powoli, opierając się o ścianę, podniosłem się na nogi.

Przeszywający ból w plecach kazał mi natychmiast usiąść z powrotem na ziemi. Siedziałem, rozcierając ramię i czekając, aż przejdą mi mdłości.

Zza węgła wyszła kobieta z ciężkim garnkiem pod pachą.

- Przewróciłeś się, przyjacielu? - zapytała.

- Jakoś tak, madame - powiedziałem, starając się mówić normalnym głosem. - Potknąłem się.

- Pomóc ci?

Odstawiła garnek i podała mi rękę. Była solidnej postury, podobnie jak pani Barnett. Już sama jej obecność dodała mi sił.

- Może mijał panią niewysoki brodacz? - zapytałem - Pewnie biegł.

- Był tu taki. Bardzo się śpieszył - odparła, zabierając garnek. - A co, obrobił cię?

- Można tak powiedzieć.

- Lepiej nie zwracaj sobie głowy policją, chyba że masz do stracenia pół dnia albo więcej.

- Widziała pani, jak wyglądał?

- W tym świetle nie za bardzo. Małe wąskie oczka, podejrzany wygląd. Ale, jak mówię, radzę nie wzywać policji.

Szliśmy przez chwilę obok siebie. Ból w plecach stawał się z każdym krokiem coraz bardziej dojmujący.

- Nie pytasz dlaczego? - dodała po chwili.

- No właśnie, dlaczego?

- Bo miał u pasa policyjną pałkę. To był pas policyjny, przyjacielu. Ale nie był w mundurze, miał tylko na nogach policyjne buty.

- Widzę, że nieźle się pani orientuje, w czym chodzą gliniarze.

- Mój stary był konstabłem. Ale już odwalił kitę. Co rano musiałam polerować mu te buty. Żonaty jesteś?

Potwierdziłem ruchem głowy. Kiedy zniknęła mi z oczu, usiadłem na schodach przed siedzibą Home and Colonial, żeby odpocząć od bólu. Dopiero po godzinie nabrałem sił do dalszej drogi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia rano zastałem szefa w fotelu, w salonie, z kuflem piwa w ręku. Ettie siedziała w fotelu pod oknem z dłonią przyłożoną płasko do czoła. Odnotowała moje przyście krótkim skinieniem i zaraz zamknęła oczy. Szef ostrzegawczo potrząsnął wielką jak monstrualna rzepa głową i pociągnął długi łyk piwa. Czuł się winny z powodu tego, co zaszło, ale swoim zwyczajem nie zamierzał mnie za to przeproszać.

Ostrożnie usiadłem na kanapie. Byłem pewien, że mam na plecach wielką ranę. Szef zwrócił uwagę na moją opuchniętą rękę.

- Na miłość boską, Barnett! Co ci się, u licha, stało? Czy trzeba wezwać doktora?

- A koszty wizyty jak zwykle potrąci mi pan z wynagrodzenia, tak? - odparłem nieco ostrzej, niż zamierzałem, a gdy spojrzał na mnie z urazą, dodałem już łagodniejszym tonem: - To tylko otarcia.

Pomyślałem, że Ettie, która przecież była pielęgniarką, mogłaby mnie zbadać, jednak nie kwapiła się, żeby oderwać rękę od czoła.

- Ktoś cię powinien obejrzeć - nalegał szef. - Mogę wezwać doktora, żeby przy okazji zbadał także Ettie. Razem wyjdzie trochę taniej.

- Nie potrzebuję żadnego lekarza - zaprotestowała pośpiesznie, nie otwierając oczu.

- Ja też nie - dodałem. - Ale kropla czegoś mocniejszego choć trochę ukołoby nerwy.

Szef podał mi małą niebieską butelkę.

- Chlorodyna^[3] - wyjaśnił. - Magiczny lek. Z pewnością dobrze ci zrobi.

Wypiłem trochę, a szef wyjął kufel i nalał mi piwa. Czując, jak lekarstwo rozgrzewa gardło, opowiedziałem, jak zostałem pobity.

- Coś takiego! - powiedział, kiedy skończyłem. - Ta sprawa komplikuje się z dnia na dzień, Barnett. Zachodzę w głowę, dlaczego panna Cousture kłamie. Wyobraź sobie, że przyszła tutaj, kiedy nas nie było. Ettie z nią rozmawiała. Nagle zaczęła się niecierpliwic i wypytywać, czy są jakieś postępy, ale nie zostawiła adresu. Czy to nie dziwne, Barnett?

- W tej sprawie nic mnie już nie dziwi, sir.

- Na domiar złego śledzi nas jakiś policjant, który od razu cię leje, nawet nie próbując przesłuchać.

Ettie westchnęła głośno i poruszyła się na fotelu z grymasem cierpienia na pobladłej twarzy.

- Co ci dolega, Ettie? - wyszeptalem.

- Zeszła nad dół słaba i w podłym nastroju - odpowiedział szef, podnosząc głos z każdym słowem. - Nie chce położyć się do łóżka, tylko tak tu siedzi od rana.

Dostrzegłem lekkie drżenie pod jej powiekami. Było oczywiste, że słucha, ale nie zamierza odpowiadać. Szef wzniósł oczy do nieba i zabrał się do czyszczenia fajki.

- Jutro z samego rana odwiedzimy pannę Cousture, zanim wyjdzie do pracy. Rozejrzemy się po jej mieszkaniu i może znajdziemy jakieś wskazówki.

- Sądzi pan, że nas wpuści, sir?

Zaśmiał się, po czym odparł:

- Jestem pewien, że nie, ale nasza wizyta może sprowokować ją do tego, żeby wreszcie wyznała prawdę.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Pokonując ból, podniosłem się, żeby

otworzyć. Za drzwiami stał inspektor Petleigh w towarzystwie młodego konstabla z dudniącym głosem, którego poznaliśmy na miejscu zbrodni pod kościołem Świętego Jerzego Męczennika. Zaprosiłem ich do salonu, gdzie szef siedział już sam. Skrzypienie desek podłogi na górze świadczyło o tym, że Ettie poszła do siebie.

- Czy to oni? - zwrócił się Petleigh do konstabla.

- Tak, to ci sami - potwierdził policjant.

- Wiedziałem! - ucieszył się inspektor. - Z opisu wynikało, że to muszą być właśnie ci dwaj.

Zaśmiał się nieprzyjemnie. Z inspektorem mieliśmy do czynienia od lat z różnym powodzeniem, a czasem bez. Nie pochwalał tego, czym się zajmujemy, zdawał sobie jednak sprawę, że ma za mało funkcjonariuszy, żeby badać wszystkie przestępstwa, do jakich dochodzi w tym rejonie miasta. Petleigh nie był złym człowiekiem, chociaż szef nigdy by tego nie przyznał.

- Ten wysoki za nim pobiegł - uzupełnił konstabl. - A drugi podtrzymywał jej głowę. Znali ją. Przyznali, że się znali.

Petleigh usiadł nieproszony i zwrócił się do szefa.

- Rozczarowujesz mnie, William. Jestem głęboko zawiedziony. Myślałem, że wzięłeś sobie do serca niedawną nauczkę. Obiecałeś, że będziesz zajmował się drobnymi przestępstwami, których dopuszcza się służba domowa, i zradami małżeńskimi. Tymczasem znowu spotykamy się na miejscu zbrodni.

Podkreślił węża i wyprostował nogi. Miał nowe skórzane buty, których podeszwy były pokryte mokrym błotem. Zauważyłem, że młody konstabl, który stał przy drzwiach z czapką policyjną pod pachą, także nie wytarł butów. Podeszedłem do szafki, żeby wyjąć miotłę.

- Cieszę się, że przydzielili do tej sprawy tak bystrego fachowca

- zagaił szef, zapalając fajkę. - I co, złapałeś już zabójcę?

- Dochodzenie jest w toku. Wygląda to na nieudany napad rabunkowy, chociaż dziewczyna niewiele miała przy sobie. Możliwe też, że powrócił Kuba Rozpruwacz. Komisarz ma na niego oko.

- No nie, daj spokój, Petleigh! - zawołał szef. - To śmiechu warte. Przecież Kuba nigdy nie działał w biały dzień, do tego na ruchliwej ulicy.

- To prawda, dlatego badamy szereg różnych tropów. Jednak bylibyśmy bliżej rozwiązania zagadki, gdyby nie zatajano przed nami pewnych informacji.

- Czy można wiedzieć, co to za tropy?

Petleigh westchnął, pokręcił głową, rozciągając wąskie wargi w smutnym uśmiechu, po czym spytał oficjalnym tonem:

- Panie prywatny detektywie, czyżbyś brał mnie pan za głupca?

- Ależ skądże znowu, sir! - oburzył się szef. - Biorę pana za imbecyla!

Nos inspektora spurpurowiał.

- Posłuchaj, Arrowood, mogę cię oskarżyć o utrudnianie śledztwa.

- Nic takiego nie robi...

- Pracuje pan nad sprawą związaną z morderstwem - gwałtownie przerwał mu Petleigh. - Chyba się nie mylę?

- Nie myli się pan.

- Więc posiada pan informacje, których nie przekazał pan nam w stosownym czasie. Upłynęło już kilka dni od dokonania przestępstwa, więc sprawca zyskał wystarczająco dużo czasu, żeby się ulotnić. Sąd może uznać, że usiłował pan chronić zabójcę.

- Nie wiemy przecież, kto jest mordercą - odparował szef. - On

się tylko o nas otarł. Barnett go ścigał, ale bezskutecznie.

- Jaką sprawą się pan teraz zajmuje?

- Szukamy narzeczonego pewnej damy. Mieliśmy się z nią spotkać. Byliśmy umówieni pod kościołem.

- Czy to ona was wynajęła? - zapytał Petleigh.

- Nie.

- W takim razie kto?

- Tego nie mogę zdradzić - odparł szef, kręcąc głową. - Nasz klient prosił o zachowanie dyskrecji.

- Macie natychmiast powiedzieć inspektorowi - warknął konstabl. - Bo was zamkniemy na noc w pudle.

Petleigh ruchem dłoni powstrzymał nadgorliwego funkcjonariusza.

- Możemy panu pomóc w ujęciu mordercy, inspektorze - powiedział szef.

- Ma pan o sobie bardzo wysokie mniemanie, panie Arrowood - skwitował inspektor, zakładając nogę na nogę. - Taki z pana Sherlock Holmes? - Gdy szef tylko odchrząknął nerwowo, Petleigh oznajmił: - Postawmy sprawę jasno. To my jesteśmy z policji. To my zajmujemy się zabójstwami, przemocą i rabunkami. To my mamy do czynienia z groźnymi przestępcami. A pan ściga prawników, którzy fałszują dyplomy i kontrakty, mężów, którzy zbiegli z pokojówką, i takie tam. No i przede wszystkim to nie my przekazujemy panu informacje, lecz pan nam. Powtarzam więc pytanie: dla kogo pracujecie i co pan wie o tej zbrodni?

- Powiem panu to, do czego jestem upoważniony, ale pod warunkiem, że poda mi pan nazwisko policjanta, który dziś pobił Barnetta - oświadczył szef.

Wszyscy trzej spojrzeli na mnie.

- Śledził nas, panie inspektorze - wyjaśniłem. - Pomyślałem nawet, że może na pana polecenie.

Petleigh spojrział na podwładnego i spytał:

- Wiesz coś o tym?

Gdy konstabl przecząco pokręcił głową, pokazałem mu spuchniętą rękę, a potem podciągnąłem koszulę, żeby pokazać siniak na plecach.

- Matko Boska! - wykrzyknął szef, kuląc się na swoim fotelu. - Coś fantastycznego! Musi nieźle doskwierać, co, Barnett? Myślę, że jednak trzeba wezwać doktora.

- Nie, szefie. Proszę nikogo nie wzywać. Nie stać mnie na lekarza. - Włożyłem koszulę w spodnie i zwróciłem się do inspektora: - To był gliniarz. A pan nie odpowiedział na pytanie, inspektorze. Czy on działał na pańskie zlecenie?

- Ależ nie, Normanie - zapewnił. - Przysięgam. Opowiedz, co się stało.

Opisałem mężczyznę najlepiej, jak umiałem, i zrelacjonowałem, co zaszło, na co inspektor powiedział:

- Czy jesteś pewien, że to był funkcjonariusz policji?

- Miał na sobie pas policyjny i okładał mnie policyjną pałką.

- Na podstawie twojego opisu nie rozpoznaję nikogo z naszych. A wy, konstablu?

- Jest u nas taki jeden, choć może pan go nie kojarzyć z wyglądu. Pracuje w rejonie stacji Elephant and Castle. Pasuje do tego rysopisu. Nie wiem, jak się nazywa. Choć prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby to mógł być ktoś z naszych.

- Jeżeli w ogóle to był funkcjonariusz, a tego jeszcze nie wiemy na pewno. Jeśli jednak był to policjant, to czy zamierza pan złożyć skargę? - dociekał Petleigh.

- Chcemy wiedzieć, jak się nazywa - powtórzył szef. - Na razie

tylko tyle.

Petleigh namyślał się przez chwilę.

- Rozejrzemy się. A teraz powiedzcie, co wiecie.

Szef szczegółowo zrelacjonował sprawę, a Petleigh dokładnie notował, co i rusz dopytując się o nazwisko naszego zleceniodawcy i nazwiska informatorów. Ale w tej kwestii szef milczał jak zaklęty.

- Dziewczyna zaciskała to w ręce. - Wyciągnął pocisk z kieszeni kamizelki. - Myślę, że chciała nam to przekazać.

Petleigh obejrzał pocisk w świetle lampy i odłożył go na stół.

- Może chłopak dał jej go na przechowanie albo gdzieś znalazła. Nie sądzę, żeby to było ważne.

- Czyżby? - zdziwił się szef. - No cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak zaufać pańskiej opinii. A jaką ma pan teorię, inspektorze?

- Nie, nie - zaprotestował Petleigh znużonym głosem. - Najpierw pan, Arrowood.

Szef odchrząknął i wyprostował się na fotelu.

- Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że Francuz był zamieszany w jakieś interesy między Creamem a bandą fenian. Coś poszło nie tak i chłopak albo uciekł, albo został zabity. Martha zginęła, bo chciała mi coś powiedzieć, a to oznacza, że sprawa jest poważna. Znacznie poważniejsza, niż nam się wydawało, kiedy przyjęliśmy zlecenie. Tak to widzę, a raczej przypuszczam. A do czego wy doszliście? Jakie są wasze wnioski?

Petleigh wstał i strzepnął nieistniejący pył z marynarki.

- W zasadzie takie same - odparł, badając uważnie rękawy koszuli. - Albo bardzo podobne.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu, na co Petleigh zrobił kwaśną minę, po czym powtórzył po raz już któryś:

- Muszę znać nazwiska waszych informatorów.

Podszedłem do kominka i poruszyłem pogrzebaczem dogasający żar. Szef w milczeniu cmokał fajkę, szukając w kieszeniach zapalek.

- Przysparza mi pan sporo kłopotów, Arrowood - powiedział w końcu Petleigh i starannie nasadził kapelusz na głowę. - Radzę panu zostawić tę sprawę policji, sir. Jeżeli Cream albo fenianie postanowią pana dopaść, to zgniotą jak... jak... jak... - Zabrakło mu słowa i stał z otwartymi ustami, co znacznie osłabiało powagę jego ostrzeżenia. - Kluskę! - wydusił w końcu, po czym zwrócił się do mnie: - Ciebie też to dotyczy, Norman.

- Również jak kluskę, inspektorze?

- Ciebie złamię jak herbatniczek.

- Oczywiście, sir.

- Mówię poważnie! - ze złością krzyknął Petleigh. - Nie macie z nimi najmniejszych szans. Wiem, że to ludzie Creama stoją za falą zabójstw popełnionych w ciągu ostatnich kilku lat. I wszystko wskazuje na to, że możemy do tego dodać także zabójstwo tej dziewczyny. Nawet w połowie nie macie pojęcia o tym, co się dzieje, Arrowood. Topienie, bicie, podpalenia...Wszystko, co tylko przychodzi do głowy. Najokropniejsze pomysły. Zabiją każdego, kto im wejdzie w drogę. Ludzie tak bardzo się ich boją, że nie chcą zeznawać. Chyba nie muszę wam przypominać sprawy Spindle'a, prawda? Sami widzieliście, co z nim zrobili. - Gdy szef ze smutkiem pokiwał głową, Petleigh dodał z mocą: - Naprawdę chcecie, żeby was też to spotkało?

Szef siedział w zamyśleniu i splótłszy ręce na brzuchu, wpatrywał się w ogień.

- W takim razie prześle mi pan nazwisko tego tajniaka, tak, Petleigh? - upewnił się.

- Tak, prześlę - potwierdził z westchnieniem. - Ale zabójstwo kelnerki zostawcie policji. Jeżeli czegoś się dowiedzie, natychmiast dajcie nam znać, ale przekażcie wiadomość przez chłopaka od muffinek. Sami nic nie róbcie, ostrzegam was.

Po wyjściu policjantów siedzieliśmy w ciepłym salonie nad kolejnym kuflem piwa. Szef uśmiechnął się smutno.

- W zasadzie takie same! - powtórzył słowa inspektora. - Słyszałeś, Barnett? Albo bardzo podobne. Skończony idiota! Przecież Petleigh doskonale wie, że bez nas nie rozwiąże sprawy tego zabójstwa.

- To co jutro robimy, sir?

- Jutro zobaczymy, o co chodzi tej francuskiej damulce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mimo że byłem wyczerpany i spragniony odpoczynku, kiepsko spałem tej nocy. Z powodu sińca na plecach nie mogłem ułożyć się wygodnie, a do tego piekła mnie ręka. Przez całą noc kłębiły mi się w głowie różne myśli, w których zawsze pojawiali się jacyś mężczyźni, żeby nas zabić. Gdyby to ode mnie zależało, od razu zwrócilibyśmy pieniądze, jak tylko panna Cousture wspomniała o Barrel of Beef. A teraz mieliśmy jeszcze na karku fenian. Zabito dziewczynę, ja zostałem pobity. Nasuwał się tylko jeden wniosek: im głębiej w to wchodzimy, tym więcej komplikacji.

Wyłożyłem to szefowi kawa na ławę, kiedy szliśmy Old Kent Road, mijając przepełnione omnibusy i ludzi śpieszących do pracy, a na koniec podsumowałem:

- Wszystko wskazuje na to, że zanim sprawa zostanie zamknięta, pan i ja stracimy życie.

- Nie musimy, jeśli zachowamy ostrożność. - Powiedział to takim tonem, że trudno było stwierdzić, czy sam w to wierzy.

- Czy pana niepokoją fenianie, sir? - zapytałem.

Spochmurniał. Chociaż zdecydowanie popierał niezależność Irlandii, to jednak zamachy bombowe, które dziesięć lat temu zorganizowali fenianie, wprawiły go w przerażenie. Opisywał dynamitardów w *Lloyd's Weekly* i wysiadywał na procesach Niezwycięzonych, bombardierów z Mansion House, spiskowców z Dynamite Sunday. Prowadził śledztwo dziennikarskie na temat Skirmishing Fund i The Traingle oraz badał zagmatwane relacje między Clan na Gael a Parnellem. W tamtych latach stał się innym człowiekiem i pewnie dlatego w końcu stracił pracę

w gazecie. Przedtem był nieustraszony, gonił za sensacją do samego końca bez względu na to, dokąd prowadziła. Ale życie w ciągłym poczuciu zagrożenia odcisnęło na nim swoje piętno. Przestał pijać herbatę z mlekiem, bo zaczął wierzyć w opowieści o tym, że fenianie zatruwają termosy strychniną. Po dekonspiracji spisku w kolejce podziemnej przestał wchodzić do tuneli i do dziś podróżuje po mieście wyłącznie omnibusami. Przez cały rok, jak wielu jemu podobnych dzielnych ludzi, kupował wodę na wsi, na wypadek gdyby zatruto wodociągi. Nigdy przedtem nie spotkałem nikogo, kto byłby tak bardzo wystraszony jak on. Między innymi to skłoniło Isabel do rozstania. Kilka lat trwało, zanim zaczął odzyskiwać swoją osobowość, jednak część tego strachu wciąż w nim tkwiła. Czasami dochodziła do głosu w nagłych napadach furii na przemian z łagodnością i mieszaniną różnych innych cech, które składały się na jego osobowość.

- Jak pan myśli, co nam powie? - zapytałem. - Oddajmy pannie Cousture pieniądze, przecież trafi nam się coś innego. A jak tylko Cream albo fenianie zorientują się, że się tym interesujemy, to wylądujemy na dnie rzeki. A na dodatek mamy skorumpowanego gliniarza. No i skąd wiadomo, że wszystko, co usłyszy od nas Petleigh, nie trafia do nich?

Szef milczał. Pewnie myślał o sprawie Betsy, w której John Spindle został pobity na śmierć przez osiłków Creama. A kiedy przyjmowaliśmy tę sprawę, wydawało się, że jest taka prosta. Betsy poprosiła, żebyśmy obserwowali jej męża, który pracował w dokach, bo podejrzewała, że uprawia hazard, chociaż okazało się, że pieniądze szły na utrzymanie jego drugiej żony mieszkającej w pobliżu Pickle Herring Stairs. Prosta sprawa, myśleliśmy, warta kilka szylingów. Kilka dni śledzenia męża po pracy i można się brać do czegoś nowego. I tak by się stało,

gdyby nie to, że szefowi wpadła w oko druga żona męża Betsy. A jak już wpadła mu w oko, to go skusiła, żeby pomógł wyciągnąć jej kuzyna z jakiegoś szamba, w które wpadł po uszy. Właśnie przez to zginął John Spindle. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robimy, wystawiliśmy go, a potem, choć było to uzgodnione, nie przyjechaliśmy dorożką, żeby go zabrać. Zostawiliśmy go na pastwę Pisera i Bootsa, którzy zatłukli go na śmierć pałkami w kotłowni kamienicy, gdzie go ukryliśmy. Od tej pory żyjemy z ciężkim poczuciem winy. A także trwaliśmy w postanowieniu, że będziemy trzymać się z dala od zleceń, które mogą wyjść nam bokiem. Wytrwaliśmy przez cztery lata. Mimo to wspomnienie Johna Spindle'a sprawiało, że czuliśmy się najbardziej pożałowania godnymi mieszkańcami Londynu.

Szef zatrzymał się.

- Posłuchaj, Barnett! - zaczął podniesionym głosem. - W tamtej sprawie popełniliśmy wielki błąd, ale dostaliśmy nauczkę. Wiedziałem, że nadejdzie taki dzień, kiedy będziemy musieli za to odpokutować i wykorzystać tę lekcję. - Stał z rękami w kieszeniach wśród płynącego w obie strony tłumu przechodniów, wpatrując się we mnie znad okularów wiszących na czubku czerwonego nosa. - Ta sprawa nas wybrała. Zabili Marthę, biedną dziewczynę, zabili ją z powodu jakiejś mrocznej tajemnicy, którą mogła ujawnić. To dla Marthy musimy dalej drażnić tę sprawę. Tym razem nie mogą ujść bezkarnie, a Petleigh sam tego nie załatwi, o czym doskonale wiesz. Policja nic nie może zrobić, dopóki nie zdobędzie niezbitych dowodów, poza tym mają za mało ludzi.

- Da pan pensa dla dziecka, szanowny panie - zaskrzeczała za nami jakaś kobieta owinięta w brudne szmaty. - Jest bardzo chore, biedactwo.

Szef wydłubał monetę i dał żebraczce. Spojrzał na brudną twarz dziecka, na gluta pod nosem i żółtą ropę, która zaklejała mu oczka, po czym wyciągnął z kieszeni kamizelki nową chusteczkę, która była na jego wyposażeniu zaledwie od wczoraj.

- Wytrzymaj dziecku buzię - powiedział.

Nędzarka spojrzała na chusteczkę, jakby podejrzewała jakiś podstęp. Westchnął zniecierpliwiony, wytarł dziecku twarz i wetknął nowiutką chusteczkę w brudny koc, w który zawinięte było dziecko.

- Tylko jej nie sprzedawaj - rzucił na odchodnym - Nie jest dla ciebie, tylko dla małego.

Po chwili znowu zwrócił się do mnie.

- Ta sprawa nas wybrała, Barnett - powtórzył. - Mamy szansę wszystko naprawić.

Pod wskazanym adresem przy szerokiej alei wśród obszernych, wygodnych rezydencji stała willa z szarej cegły. Na ścianie wisiała mosiężna tablica z krzyżem i literami CSJ. Drzwi otworzyła nam przełożona w czarnej sukni i białym szalu zawiązanym wokół głowy. Nie była zadowolona z naszej porannej wizyty i zaproponowała, żebyśmy przyszli po południu, ale gdy nie ustąpiliśmy, wpuściła nas do środka i kazała zaczekać, a sama poszła na górę po pannę Cousture.

Pokój przyjęć był ciemny i ponury. W rogu stało pianino, a pod ścianą długa sofa. Żadnych kwiatów, żadnych rycin czy obrazów, na ścianie wisiał tylko srebrny krzyż z postacią cierpiącego Jezusa. Dobiegały nas jakieś odgłosy, ktoś przechodził tu i tam, a na piętrze rozlegały się kobiece śmiechy. Wyglądało na to, że w budynku przebywa wiele kobiet.

- Całkiem porządne miejsce jak dla sprzedawczyni - zauważył szef.

- Może wujek jej załatwił.
- Jeśli rzeczywiście ma wujka.

Z kuchni dochodził brzęk talerzy i zapach potraw. Od rana nic nie jadłem, więc zacząłem się ślinić. Szefowi też wydobył się z brzucha odgłos jak u cielącej się krowy. Właśnie wtedy do pokoju weszła panna Cousture. Wstaliśmy obaj jak jeden mąż, wdychając zapach jej świeżo wykąpanego ciała, podziwiając doskonałość stroju i włosów, które lśniły nawet w tym ciemnym pomieszczeniu. Poprosiła, byśmy usiedli, i zajęła miejsce w niedużym fotelu bujanym.

- Czy pańska siostra przekazała, że wczoraj zjawiłam się w pana domu? - zapytała.

- Tak, owszem - przyznał szef. - Chcemy przekazać pani nowe informacje.

- Jak mnie panowie znaleźli, skoro nie zostawiałam adresu?

- Panno Cousture, przecież jesteśmy detektywami.

- No tak, w samej rzeczy... Jakie macie dla mnie wieści?

- Zanim zaczniemy, musimy zbadać pani pokój. - Szef wstał i podszedł do drzwi. Zrobiłem to samo. Był to jego chwyt. Szef uważał, że trudniej wyrazić sprzeciw, gdy już coś jest w trakcie realizacji, niż gdy tylko wyrażony jest zamiar.

Panna Cousture nawet nie drgnęła, spytała tylko zdziwiona:

- Ale dlaczego? W jakim celu?

- Żeby sprawdzić, czy w rzeczach pani brata nie ma jakiejś wskazówki, na którą tylko detektyw może zwrócić uwagę.

- Nic tam nie ma.

- Chce pani powiedzieć, że nic nie zwróciło pani uwagi, czy też w ogóle niczego tam nie ma?

- Jedno i drugie.

- Proszę zrozumieć, musimy się upewnić. Czy pani pozwoli?

Gdy nawet nie ruszyła się z fotela, spytałem:

- Panno Cousture, zależy pani na odnalezieniu brata, prawda?

- Nie możecie wejść do mojego pokoju. Mężczyznom nie wolno wchodzić na górę.

- Ale nie pani bratu.

Jej oczy błysnęły gniewnie, zarumieniła się.

- Nie było mu wolno - oznajmiła. - To dom boży.

Szef usiadł. Spojrzał na nią życzliwie, czyli zastosował inną sprawdzoną sztuczkę: łagodne spojrzenie nad surowo zaciśniętymi ustami.

Zniosła to nieźle przez minutę, po czym poczuła się nieswojo. Spojrzała na mnie, potem w ogień na kominku, aż w końcu wybuchła:

- *Putain!* - Walnęła dłonią w oparcie fotela. - Tak, przyznaję, nie mówiłam prawdy. Nie mieszkał tutaj. Zadowoleni? To chcieliście ode mnie usłyszeć?

- Ale dlaczego, panno Cousture? - zdziwił się szef. - Przecież staramy się pani pomóc.

Posłała mu wyzywające spojrzenie. Gniew wciąż tlił się w jej oczach.

- Proszę nie traktować mnie, jakbym popełniła jakąś zbrodnię - syknęła. - Obawiałam się, że nie potraktujecie sprawy poważnie, wiedziałam, że będziecie twierdzić, że wrócił do Francji, więc powiedziałam, że zostawił dokumenty.

- A więc nie zostawił dokumentów? - wykrzyknął zdziwiony szef, rozkładając ręce.

- Sama nie wiem - przyznała, umykając wzrokiem.

- A ja nie wiem, czy wierzyć w cokolwiek, co pani mówi, panno Cousture - odparł szef.

- Reszta to święta prawda - zapewniła żarliwie. - Wszystko

prawda. Panie Arrowood, bardzo pana proszę, musi pan odnaleźć mojego brata. Przecież panu zapłaciłam, a pan dał słowo. A ja przepraszam, bardzo przepraszam, że pana oszukałam.

Szef spojrział na mnie i unióśł brwi, co znaczyło, że się zastanawia.

- Gdzie w takim razie nocował? - zapytał. - Skoro nie u pani?

- W noclegowniach. Przenosił się z jednej do drugiej. Nie wiem, gdzie był ostatnio.

- Zna pani jakiś adres?

- Niestety nie, sir.

- Ale dlaczego nie mieszkaliście razem? - zapytał ostro.

- Tutaj czuję się bezpieczna. To dom kościelny, dla kobiet samotnych, a Thierry nie najlepiej radzi sobie z pieniędzmi i trochę popija. Nie mogę płacić za mieszkanie za niego i za siebie. - Pochyliła się, chwyciła szefa za rękę i dodała żarliwie: - Proszę, sir, nie porzucajcie tej sprawy. Wiem, że są kłopoty. On się bardzo bał. Bardziej niż kiedykolwiek.

- I dlatego wrócił do domu - zasugerowałem. - To się zgadza.

- Nie zostawiłby mnie tu samej, nie informując, gdzie zamierza pojechać. Gdyby nie mógł tego zrobić sam, na pewno przesłałby mi wiadomość. Owszem, za dużo pije, ale jest lojalny.

Szef usiadł wygodniej w fotelu. Wyjął fajkę i zaczął ją napełniać, opowiadając przy tym, czego się ostatnio dowiedzieliśmy.

Kiedy skończył, oczy panny Cousture były przepełnione smutkiem.

- To straszne - wyszeptała. - Jest bardzo źle, prawda?

- Czy możemy podać pani nazwisko policji? - zapytał szef. - Inspektor Petleigh bardzo na to nalega. - Gdy zaprotestowała gwałtownie, kręcąc głową, oznajmił: - W takim razie nie podamy. A dlaczego, jeśli można wiedzieć, woli pani pozostać w cieniu?

Zamrugła i przełknęła głośno. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że straciła pewność siebie. Potarła i zmarszczyła drobny nosek, po czym odparła:

- Z powodu pana Fontaine'a. Z pewnością by się nie ucieszył, gdybym sprowadziła policję do jego sklepu.

Szef znowu w zdziwieniu uniósł brwi.

- Pan Fontaine byłby niezadowolony?

Pokiwała głową i pochylając się bliżej, dodała cicho:

- Robi zdjęcia kobiet. No... takie zdjęcia. Mógłby wybuchnąć skandal. Sama nie wiem...

- Jakie zdjęcia?

- Zdjęcia dla mężczyzn.

- Ma pani na myśli zdjęcia intymne? - zapytał szeptem.

- Zdjęcia seksualne, pani Arrowood.

Teraz to szef zaczął mrugać, jakby do oka wpadła mu mucha.

- I pani mu w tym pomaga?

Nie odpowiedziała, a w tym czasie otworzyły się drzwi i weszła przełożona.

- Musimy panów przeprosić. Caroline, jesteś potrzebna w kuchni.

Pana Cousture wstała.

- Tak jest, proszę pani, zaraz idę. A panowie już wychodzą.

Przełożona spojrzała wrogo na szefa i na mnie, po czym wyszła na korytarz. Panna Cousture zamknęła za nią drzwi i zwróciła się do szefa:

- Panie Arrowood, musi pan koniecznie odnaleźć mojego brata.

- Kładąc rękę na klamce, powtórzyła z naciskiem: - Musi pan dostać się do Barrel of Beef i sprawdzić, czym oni się tam zajmują.

- Zabiją nas, jak tylko nas tam zobaczą - powiedziałem.

- W takim razie musicie się tam włamać, kiedy lokal będzie zamknięty.

Szef spojrział na mnie. Tak samo jak mnie, ta sugestia bardzo go zaskoczyła.

- No więc? - zapytała wyczekująco.

Szef kiwnął głową, a ja chrząknąłem.

- Potrzebne nam są fundusze, panno Cousture - powiedziałem.

Wyciągnęła portmonetkę schowaną w fałdach spódnicy.

Szef podniósł się z fotela.

- Zaczekam na zewnątrz, Barnett. Do widzenia, panno Cousture.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Późnym wieczorem wpadłem znowu do White Eagle.

Skulony Ernest siedział nad barem tam gdzie zawsze, ściskając dżin w sękatej dłoni.

- Na Boga! - warknął. - Znowu ty?

- Postawić ci kolejkę, staruszk?

- Nie będę odpowiadał na żadne pytania! - oznajmił głośno i rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy wszyscy go usłyszeli. - Odpieprz się i daj mi spokój.

Barmanka podniosła głowę i zmarszczyła brwi. Trzy dziwki siedzące przy stole pod oknem nie zwracały na nas uwagi. Za przepierzeniem czuwał sprzedawca zapalek. Skrzyżowaliśmy spojrzenia. Wytrzymał mój wzrok, mimo że lewa część twarzy drgała i krzywiła się szpetnie. Usiłując opanować drganie, uśmiechnął się i zasłonił policzek dłonią.

Gdy złożyłem zamówienie, Ernest oznajmił podniesionym głosem:

- Niczego od ciebie nie chcę.

- Tylko kilka pytań i zostawię cię w spokoju. - Wcisnąłem mu do ręki szylinga. Spojrzał wilkiem, ale schował monetę do kieszeni. - Szukam informacji na temat Marthy. Co o niej wiesz?

- Nic. Przyjaźniła się z Terrym, to wszystko. Weszło pogadywali, żartowali razem.

- Czy byli kochankami?

- Nie wiem. Myślę, że miała się za lepszą od wszystkich, co pracują w Barrel of Beef. Pewnie czekała, że spotka jakiegoś dżentelmena, który zapewni jej wygodne życie. - I dodał,

wybijając rytm kolejnych fraz: - Na dżentelmena. Czekala na lepszą propozycję. Na kogoś z góry, z wyższych sfer.

- Czyli nie była łatwą zdobyczą?

- Nie, była inna, nie taka pospolita. - Wychylił dżin.

- Widziałeś ją kiedyś z jakimś żołnierzem?

- Ja pracuję w kuchni. Nie widzę, co się dzieje na górze.

- Ale może słyszałeś coś o wojskowym, oficerze albo jakimś innym, że tam przychodził? - Nie odpowiedział, tylko pociągnął nosem i wytarł go postrzępionym rękawem szarej kapoty, a ja zadałem następne pytanie: - Czy jest jakieś tylne wejście do kuchni?

- Są drzwi na podwórze.

- Masz do nich klucz?

- Nawet gdybym miał, i tak bym ci nie dał. Zresztą na noc rygluje się drzwi na górze i na dole. Nawet jakbyś miał klucz, i tak nie wejdiesz. - Z ulicy dobiegł krzyk jakiejś kobiety, której policjant wykręcał rękę. Przez duże okno knajpy widać było, jak kobieta próbuje się wyrwać, a gliniarz ją trzyma i popycha. Ernest patrzył przez chwilę na tę scenkę, po czym spojrzał na mnie i mrużąc oczy, spytał: - I co by ci to miało dać, nawet gdybyś się tam dostał? Planujesz skok?

- Chciałbym cię prosić, Ernie, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedziałem. - Zostaw jutro wieczorem otwarte okno od tyłu. To wszystko. Zajmie ci to minutę, pół minuty.

- Nie ma szans - powiedział, a różowe oczy zaczęły mu łzawić. - Pan Cream jest w porządku, to i ja chcę być w porządku wobec niego.

- Mam dla ciebie pół korony.

- Idź do diabła. Nie zrobiłbym tego nawet za pięć funtów.

Wypił dżin do końca. Opróżnił szklankę i odwrócił się do

wyjścia, ale chwyciłem go za rękę i zatrzymałem.

- Odczep się - warknął, tym razem z gniewem.

- Jeszcze nie skończyłem, ptaszku.

Próbował się wyrwać, ale wzmocniłem chwyt. Czułem jego żylaste ramię pod kapotą.

- Odwal się! - krzyknął ponownie, próbując się wyrwać. - Puszczaj, sukinsynu!

- O co chodzi? - zapytała barmanka, podchodząc do nas. - Mam nadzieję, że tylko się wygłupiacie.

- Taka rodzinna sprzeczka - wyjaśniłem z najbardziej ujmującym uśmiechem, na jaki mogłem się zdobyć. Otrzepałem przód kapoty Ernesta i wygładziłem klapy. - No już, wszystko w porządku.

Posłał mi wściekłe spojrzenie i pośpiesznie wyszedł z lokalu.

Następnego dnia rano na Coin Street szef, który siedział w fotelu na środku perfekcyjnie wysprzątanego salonu, jakoś się nie ucieszył na wieść, że poniosłem porażkę. Spojrzał na mnie pochmurnie i nakazał:

- Mów dokładnie, co ci ten Ernest powiedział.

Zacząłem relacjonować przebieg spotkania, ale już po pierwszych słowach w kierunku mojej głowy pofrunął jeden z modlitewników Ettie.

- Nie od wczorajszego wieczoru! - wrzasnął szef. - Mów, co było za pierwszym razem! Każde pojedyncze słowo, które pamiętasz.

Próbowałem się uspokoić, oddychając powoli i miarowo. Fatalnie to znosiłem, gdy na mnie krzyczano, o czym szef dobrze wiedział. Gapiłem się na niego, jak siedzi w fotelu z tą swoją czerwoną gąbczastą twarzą. Opadły mu ramiona.

- Przepraszam, Barnett. Obiecałem, że nie będę już w ciebie niczym rzucał, wiem, że ci to obiecałem. Ale moja siostra doprowadza mnie do białej gorączki. Tyle tylko mogę powiedzieć. Już nie będę w ciebie rzucał.

- Radzę tego nie robić nigdy więcej - ostrzegłem spokojnym tonem. - Bo wepchnę panu tę książkę do gardła tak, że będzie się pan musiał modlić dupą, sir.

Zamrugnął kompletnie zaskoczony, mowę odzyskał dopiero po dłuższej chwili:

- Masz moje słowo, Norman. A teraz opowiedz po kolei. Postaraj się jak najdokładniej powtórzyć to wszystko, co powiedział.

Odtworzyłem wszystkie trzy rozmowy z kucharzem, ale szef przesłuchiwał mnie nadal, wypytyując o szczegóły, na przykład jak często wychodził na siku, kiedy pił piwo, jaki prezent dostał od Creama i w jaki sposób barmanka i dorożkarze śmiali się z jego fiuta. Potem siedział w milczeniu, pykając z fajki w rytm tykania zegara na kominku.

W końcu oznajmił:

- Mam pewien plan. Posłuchaj uważnie.

Późnym wieczorem tego dnia znów zjawiłem się w White Eagle. Szef już tam był, siedział nad talerzem ostryg przy stole nieopodal baru. Był ubrany w swój najlepszy garnitur, gładko uczesany i wyperfumowany, miał czyste paznokcie. Pił wino z kubka. Ernest kulił się jak zwykle przy barze, z nosa mu ciekło, a poszarpaną kapotę położył na kolanach. W pubie siedział też ten sam co zawsze dorożkarz i rozmawiał z barmanką. Kilku innych gości stało przy barze, wpatrując się w milczeniu w stojące przed nimi naczynia. Podeszedłem do baru, rzuciłem monetę na kontuar

i zamówiłem piwo.

- A dla mojego przyjaciela jeszcze raz to samo, co pije.

Ernest tak na mnie spojrzał, jakbym go zbudził z wiecznego snu.

- Na litość boską! Nie! Nie zrobię tego. Mówiłem ci, że tego nie zrobię. Nic z tego. I nie chcę, żebyś mi cokolwiek stawiał.

Mimo to podsunąłem mu dzin, a sam stałem obok, sącząc piwo.

Obok przeszedł gruby barman ze skrzynką piwa.

- Ernest! - zawołał dorożkarz z głębi baru.

- Czego? - warknął kucharz.

- Piszą o tobie w gazecie.

- Co?

Dorożkarz podniósł gazetę, pokazał nagłówek, a potem przeczytał go donośnym głosem:

- Człowiek wpadł do wychodka!

Wszyscy goście wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Pierdol się - zachrypiał Ernest.

Kiedy barmanka wyszła na zaplecze, opróżnił szklanekę i ruszył do drzwi. Zatrzymałem go za błyszczący, mokry i lepki rękaw.

- Odczep się! - parsknął, aż ślina prysnęła mu na kapotę. - Dość tego!

- Tylko okno, stary! - wyszeptałem mu do wielkiego ucha. - Tylko o to cię proszę. Zobaczysz, że dobrze na tym wyjdiesz. Nie pożałujesz.

Szarpnął ręką, ale trzymałem go mocno.

- No puść, sukinsynu! - krzyknął.

- Puść go! - wtrącił się szef, podnosząc się od stolika. - Chyba widać, że ten pan nie ma ochoty na rozmowę, sir?

- A panu co do tego? - odparłem z groźnym spojrzeniem. - Siadaj pan i nie wtrącaj się do rozmowy.

Szef podniósł laskę i silnie uderzył mnie w rękę, którą trzymałem Ernesta. Puściłem starego, klnąc z bólu. Zabolało tak, jakbym dostał rozpalonym prętem. Znacznie bardziej, niż miało zboleć, zgodnie z obietnicą szefa. Zresztą nawet gdyby przysiągł, że nie uderzy mocno, i tak wymierzył cios w to samo miejsce, gdzie dwa dni wcześniej walnął mnie pałką gliniarz, niemal łamiąc kość.

- A masz, draniu! - krzyknął szef. - Już nigdy nie zaczepiaj tego człowieka, zrozumiałeś?!

Wycofałem się, udając przerażenie i powstrzymując złość.

Szef spojrział na Ernesta i powiedział uprzejmie:

- Zapraszam do mojego stolika. Niech pan ochłonie. Co za natręt! Wyjątkowo nieprzyjemny człowiek.

- Bardzo dziękuję, sir - odparł Ernest. - Doceniam pana pomoc, ale już sobie pójdę. Byle dalej od tego typu.

- Oczywiście, jasna sprawa - zgodził się szef, zastępując mu drogę. - Ale czy mogę zatrzymać pana na chwilę? Obiecuję, że nie pozwolę mu zbliżyć się do pana. - Groźnie popatrując na mnie, zamachał laską. - Nie jestem stąd, przyjechałem tylko na kilka dni i potrzebuję porady na temat tej części miasta. Chciałbym w tej okolicy zainwestować w pewien interes. - Pochylił się nad starym, i wskazując gości w barze, wyszeptał: - Ci tutaj, a już zwłaszcza niektórzy, wyglądają na półgłówków, i jest ich zdecydowana większość. Ale pan sprawia wrażenie osoby rozsądnej i zorientowanej, która wie, co jest czym i kto jest kim, czyli zna się na rzeczy. Mam rację, sir?

- Rzeczywiście, to prawda - skwapliwie zgodził się Ernest. - Mieszkam tu i pracuję od prawie sześćdziesięciu lat, więc nie wiem, kto może znać to miejsce lepiej ode mnie. - Zerknął na mnie. - Tylko wolę trzymać się z daleka od niego.

- Nie będzie się już pana czepiał. Moja w tym głowa - uspokoił go szef, prowadząc do stolika. - Jeśli okaże się pan tak miły, to proszę usiąść ze mną na chwilę.

- No dobrze, niech będzie - zgodził się Ernest i usiadł.

Odwróciłem się do nich tyłem i sączyłem piwo. Przez pewien czas szef wypytywał go o opinię na temat spraw lokalnych. Jak daleko jest East End, jakie są najlepsze hotele, gdzie są teatry i tak dalej. Podeszła kelnerka i szef złożył zamówienie:

- Dla mnie jeszcze raz to samo i szklankę dżinu dla mojego przyjaciela, madame.

- Jeden dżin nie zaszkodzi, to prawda - przyznał Ernest.

- Bardzo nie lubię, kiedy ktoś traktuje ludzi z góry - oświadczył szef. - Nie podoba mi się to. Nikt nie ma prawa traktować w ten sposób człowieka pracy, takiego jak pan. Domyślam się, że wraca pan z pracy, czy tak?

- Prosto z pracy, tak jest.

- A gdzie pan pracuje?

- W gospodzie Barrel of Beef, przy Waterloo Road. Wie pan, gdzie to jest?

- A, Barrel of Beef? Byłem tam kiedyś! To bardzo elegancka restauracja, chyba najlepsza w tej części miasta. Przynajmniej tak mówią...

- Pracuję tam w kuchni - powiedział Ernest, łykając dżin. - Będzie już dobre dziesięć lat.

- Dziesięć lat! O, to właściciel musi pana wysoko cenić.

- Tak jest. To pan Cream, prawdziwy bogacz, jeden z najbogatszych w okolicy.

- Ja mam hotel w Gloucester - głośno powiedział szef. - Dwadzieścia pokoi. Zatrudniam tam człowieka takiego jak pan, jest ze mną od samego początku. Przysięgam, że to ostatni

człowiek, którego chciałbym się pozbyć. Zawsze jest w pracy na czas, nie opuścił ani jednego dnia, chyba że z powodu choroby. Wydaje mi się, że pan jest taki sam, mam rację?

- Zgadza się, sir. Nie opuściłem ani dnia.

- Wiedziałem! Porządnego człowieka od razu można poznać po jego wejrzeniu. Wiedziałem to, jak tylko się pan odezwał. Posłuchaj, przyjacielu. Mam ochotę na jeszcze jedną porcję ostryg. Przyłączysz się pan do mnie?

Po zamówieniu ostryg i następnej kolejki napojów szef ruszył do kolejnego ataku:

- Naprawdę nie lubię, kiedy ktoś się wywyższa. Niektórzy myślą, że jak się jest młodszym i trochę lepiej zbudowanym, to od razu jest się lepszym. Nie interesuje ich to, co w środku, ta wielka mądrość wynikająca z wieku, mądrość życiowa. Kiedy widzę, jak młodzi wynoszą się ponad starszych, to mam ochotę połamać im kości. Mało co tak mnie denerwuje.

- Jestem tego samego zdania, sir.

- Wie pan co? Pomyślałem, że może chciałby pan pracować u mnie. Dałbym panu dobre stanowisko i płacę, z której byłby pan zadowolony. Potrzebuję jeszcze jednego pracownika godnego zaufania.

- No... Sam nie wiem...

- Oczywiście - przerwał mu szef - nie musiałby pan opuszczać swojego pracodawcy, nic z tych rzeczy. Wiem, że pan nie jest taki. Źle zacząłem rozmowę na ten temat, nie powinienem stawiać pana w niezręcznej sytuacji. Ożeż, do czorta! - syknął szef i złapał się za nogę. - To moje diabelskie kolano! Ostatnio dają mi się we znaki wszystkie stawy. Starość to nic przyjemnego, prawda, przyjacielu?

- Co racja, to racja, sir - przyznał Ernest. - W nocy muszę

używać nocnika pięć, sześć razy. Jestem bardziej zmęczony jak wstaję, niż kiedy się kładę do łóżka. Starość nie jest łaskawa dla ciała, to prawda.

- To straszne! - przyznał szef, kręcąc ze współczuciem ogromną głową. - W takim razie nie ma pan lekkiego życia.

- Rajca, sir, nie mam. Ale się nie skarżę.

- Nie wygląda pan na takiego, co narzeka. Zauważyłem, jak prosto się pan trzyma, kiedy pan tu wchodził. Czy panu też doskwiera kręgosłup?

- O tak! Boli bez przerwy. Próbuję brać mniej pastylek black dropu^[4], bo chce mi się po nich spać, ale niestety wciąż za dużo ich zażywam.

- Nie pozwalam na to, żeby człowiek, którego dręczą takie bóle, pracował. Mój pracownik, ten, o którym już opowiadałem, też cierpi na ból w krzyżu. Kiedy widzę, że ma atak tej dolegliwości, każę mu się położyć do łóżka, i nadal mu płacę. Taką mam zasadę. W końcu wszyscy musimy się kiedyś zestarzeć. Twój chlebodawca zapewne postępuje tak samo. Czyż nie?

- W gruncie rzeczy to raczej nie. Oczekuje, że będę pracował bez względu na to, czy mnie coś boli, czy nie. Tak się już to jakoś ułożyło.

- Jak to? Mimo że jesteś wzorowym pracownikiem?

- Tak jest, sir.

Szef pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Muszę przyznać, że jestem zaskoczony.

Podano ostrygi i na kilka minut zapadło milczenie. Kiedy szef skończył jeść, zapytał:

- A ile panu płaci pan Cream, jeśli można wiedzieć, sir? - Szef uniósł kufel, czekając na odpowiedź.

- Sześć szylingów tygodniowo - odparł Ernest.

Natomiast szef zakrztusił się i wypluł fontannę piwa na stolik. Złapał się za pierś, kaszłąc, parskając i kręcąc głową.

- To nie może być prawda! - wykrzyknął w końcu, pałając słusznym oburzeniem. - Sześć szylingów dla człowieka tak lojalnego i ciężko harującego jak ty? To skandal! - Gdy Ernest w milczeniu pokiwał głową, szef ciągnął dalej: - Chociaż nigdy nie opuściłeś ani jednego dnia!? I chociaż pracujesz mimo bezustannego bólu? Wstając pięć razy w nocy z powodu niezaleczonej choroby pęcherza? Sześć szylingów tygodniowo?

Ernest ponownie tylko pokiwał głową.

Szef też milczał, a z jego oczu buchały zdumienie i oburzenie. Wreszcie przemówił:

- Powiem ci, Ernest, że zaczynam tracić szacunek dla pana Creama. Przykro mi to mówić, zważywszy na to, jak bardzo jesteś mu oddany i lojalny wobec niego, ale wydaje mi się, że ten dżentelmen okropnie cię traktuje. Mam nadzieję, że przynajmniej raz w roku dostajesz podwyżkę.

- Nigdy nie dostałem żadnej podwyżki, sir.

Szef aż otworzył usta ze zdumienia, a zakłopotany Ernest rozejrzał się wokół, podrapał się w krocze i wypił resztkę dzinu.

- Jak to? Od dziesięciu lat? - zapytał w końcu szef.

- Nigdy, sir. Teraz, jak pan to mówi, to myślę, że rzeczywiście powinienem już dostać podwyżkę.

- Nie jedną, przyjacielu, nie jedną! To wprost nie do wiary. A co z wolnymi dniami? - Gdy Ernest przecząco pokręcił głową, szef dodał: - No wiesz, żeby zobaczyć się z rodziną.

- Nie mam rodziny.

- Nic dziwnego, że boli cię krzyż. Ani jednego dnia wolnego?

- Faktycznie, jak pan o tym mówi, to myślę, że co jakiś czas powinien mi dać wolny dzień.

- To on wpędza cię w chorobę.

Szef zamówił następną kolejkę, a kiedy pojawiły się trunki, pociągnął długi łyk piwa i wytarł usta.

- Mój człowiek dostaje pół funta tygodniowo za taką samą robotę jak twoja, i co roku pensa więcej. Ma też prawo w każdym miesiącu do dwóch dni wolnych. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że o tym mówię. Ale jestem przekonany, i potwierdza to wielu pracodawców, że każdy człowiek zasługuje na szacunek. Jeśli przedsiębiorca osiąga rozsądny dochód, to powinien traktować swoich najlepszych pracowników z należyty szacunkiem. A jednak widzę, że ty, Erneście, jesteś traktowany niegodnie.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że tak ma być, bo tak jest i już, sir.

Szef popatrywał na niego ze współczuciem, wreszcie powiedział z uśmiechem:

- Wypij, zamówię jeszcze jedno. Dobrze mi się z tobą rozmawia, przyjacielu.

A przy następnej kolejce szef oznajmił:

- Wybacz, że mówię, co myślę, przyjacielu, ale nie mogłem się oprzeć. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem?

- Jak pan mówi, że tak nie powinno być, to znaczy, że taka jest racja, sir - zgodził się Ernest z łatwością, jaką dają człowiekowi trzy szklanki dżinu. - Jest pan dżentelmenem i biznesmenem, na mój nos orientuje się pan, o co chodzi. Prawda jest taka, że czasem wydaje mi się, że on nie traktuje mnie tak jak powinien. Już od pewnego czasu tak czuję. Pozwala, żeby jego ludzie sobie ze mnie żartowali, bo jestem stary i tak dalej. A najgorszy z nich jest taki jeden typek, Long Lenny. Z radością posłałbym go na dno rzeki.

- Wiedziałem - odparł szef, waląc dłonią w blat stołu. - Twoje poczucie lojalności nie pozwalało ci o tym wspomnieć. Ale spodziewałem się, że coś jest na rzeczy.

Stary westchnął i kichnął jednocześnie.

Szef obniżył głos.

- A czego chciał od ciebie ten gość przy barze? Chciał cię obrobić?

- Nie, on szykuje jakiś skok. - Ernest był już dobrze pijany i plątały mu się słowa. - Chce włamać się do pubu, no i próbował mnie przekupić, żebym zostawił otwarte okno. Tak, tak, przekupić. Zaoferował pół korony.

- Jakiś złodziej, tak? - szepnął szef.

Reszty nie usłyszałem.

- Chyba tak - odparł Ernest. - Nie zgodziłem się, ale się upierał i znowu przyszedł. Nie chce się odczepić.

- Powtarzam, że jesteś wymarzonym pracownikiem.

- Jak widać, nic mi z tego... - bełkotał Ernest, bekając głośno.

- Szczerze mówiąc, przyjacielu, wydaje mi się, że pan Cream, skoro tak źle cię traktuje, w pełni zasługuje na to, żeby ktoś go obrobił. I niech Bóg mi wybaczy, że mówię to otwarcie. Ale tylko pomyśl, Erneście. Z takiego interesu pan Cream musi mieć kupę forsy, ale przez tych długich dziesięć lat nie dał ci ani jednej podwyżki. To się w głowie nie mieści! Przecież po tylu latach wiernej służby, nie mówiąc już o przepracowaniu i biorących się z niego dolegliwościach zdrowotnych, zasługujesz na gratyfikację, czyż nie?

- Być może rzeczywiście zasługuję. Bo ból jest taki, mówię panu, sir, że trudno wytrzymać. - Kiwał się na krześle, chwilami bełkotał.

- Ile ci ten człowiek zaproponował, powiadasz?

- Pół korony.

- Zażądaj całej korony.

Ernest wziął głęboki oddech i przytrzymał się stołu. Cmoknął i przejechał językiem po złamanym zębie. Wyraźnie miał taką chwilę w pijackim transie, że nie był w stanie nic powiedzieć.

- To ci się należy po tych wszystkich latach - ciągnął szef. - Po tym, jak zostałeś oszukany przez pana Creama. Że omal ci krzyż nie pękł z przepracowania. A to, że nie zamkniesz okna... To wygląda całkiem bezpiecznie, nikt się nie zorientuje. Wiesz co, zawołam tego człowieka...

Ernest czknął głośno.

- Przepraszam, sir. To samo z człowieka wychodzi. Ale mówi pan, że to w porządku z tym oknem?

- To najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Możesz mi wierzyć. To rada człowieka biznesu. A to, co jest w porządku, jest w porządku. I nie ma się co z tym spierać.

- No chyba tak...

Szef podniósł się, zapiął płaszcz i potrząsnął mocno ręką Ernesta, który po takiej porcji dżinu wyglądał szczególnie staro.

- Kolana tak bardzo mi dokuczają, że niestety muszę już iść, przyjacielu. To wielka przyjemność i honor poznać człowieka tak uczciwego i pracowitego jak ty. Przyjemnie się z tobą rozmawiało. Jeśli kiedykolwiek będziesz w Gloucester, koniecznie wpadnij w odwiedziny. Zjemy razem smaczny lunch.

- Ja tak...

- Tak, właśnie tak. Miło będzie znowu cię zobaczyć. A teraz posłuchaj... - Podeszedł do mnie i uderzył laską w plecy, a ja natychmiast odwróciłem się do niego. - Cena wynosi koronę, draniu. Całą koronę, słyszysz? Mój przyjaciel robi to, o co go prosisz, ale płacisz z góry.

- Tak jest, sir. - Wydłubałem monetę z kieszeni, a ból przeszył mi ramię aż do kości. Klnąc pod nosem, podszedłem do Ernesta i włożyłem mu monetę do ręki.

- Zrobi to jutro w nocy - ciągnął szef. - Które okno, przyjacielu? Ernest zamrugął.

- Które okno? - warknąłem.

- Od podwórza, na dole, w bocznej ścianie - wymamrotał Ernest. - Małe okienko obok drzwi zaraz przy kuchni.

- Bardzo małe?

- Takie, że dziecko się przecisnie...

- Wrócę tu jutro - powiedział szef, zwracając się do mnie. - Jeżeli dowiem się, że ukradł pan te pieniądze mojemu przyjacielowi, będzie pan miał ze mną do czynienia. Czy wyrażam się jasno?

Spuściłem wzrok, udając spłoszonego, i przesunąłem czapkę na tył głowy.

- Dobranoc, sir - powiedział szef i ruszył do wyjścia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Późną nocą, kiedy pozamykano już wszystkie kawiarnie i puby, bezdomni okutani w szmaty chrapali w ciemnych zaułkach, a spokój na ulicy tylko czasem zakłócał jakiś przypadkowy powóz jednokonny, wyprawiliśmy się do Barrel of Beef, lokalu, który znajdował się w tym samym budynku i w sumie stanowił całość ze Skirt of Beef, speluną nawiedzaną przez całkiem inną klientelę.

Do świtu brakowało ze trzy godziny. Za nami, potykając się o płyty chodnikowe, włókł się mały Neddy. Nie rozmawialiśmy po drodze. Mieliśmy znaleźć się w tym lokalu po raz pierwszy od czterech lat. Skręciłem w przesmyk na tyłach, blisko wejścia, i ukryłem się w bramie, skąd miałem dobry widok na okna lokalu. Szef z Neddym poszli sprawdzić od frontu. W budynku było ciemno i cicho. Upewniwszy się, że wewnątrz nie ma już nikogo, przeszedłem na front, żeby się z nimi spotkać. Wąską alejką wiodącą wzdłuż budynku dotarliśmy do furtki, przez którą, płosząc szczury, weszliśmy na małe podwórko. Było zaśmiecone obierkami i resztkami, które wysypywały się z przepełnionych kubłów na śmieci. Odpływ kanału był zatkany, a wydobywający się z niego fetor świadczył o tym, że tam właśnie oddawali mocz pracownicy kuchni. Uchylone okno znajdowało się tuż obok ciężkich, dębowych drzwi. Neddy stał przy furtce, trzęsąc się z zimna i emocji.

- Zimno ci, Neddy? - zapytałem najciszej, jak mogłem.
- Trochę.
- Boisz się, co?
- Jeszcze nigdy nie brałem udziału w napadzie.

- To nie jest napad, Neddy. My niczego nie kradniemy. My tylko szukamy wskazówek.

- Wiem, ale gliny tego nie wiedzą, prawda?

- Posłuchaj, Neddy. - Szef usiadł na skrzynkach i gestem przywołał chłopca, po czym położywszy mu ręce na ramionach, powiedział cicho pokrzepiającym tonem: - Wiem, że dzielny z ciebie chłopak. Kiedy tylko cię spotkałem, wiedziałem, że jesteś wyjątkowy. Powiedziałem do pana Barnetta: Ten chłopak daleko zajdzie. Dlatego uczymy cię, jak być detektywem.

- Wiem, sir.

- I o to chodzi. A teraz to ci zajmie minutkę, najwyżej dwie, i zaraz stamtąd wychodzisz. Podsadzimy cię, wejdiesz do środka, a kiedy już tam się znajdziesz, odrygluj drzwi. Zobaczysz rygle u góry i u dołu. Jeśli będzie trzeba, przystaw sobie stołek. Jak tylko otworzysz drzwi, od razu wyjdiesz na zewnątrz.

- A jak ktoś będzie w środku? - zapytał Neddy, przestępując z nogi na nogę. Miał na nogach buty nie do pary, jeden brązowy, drugi czarny, oba za duże na niego o kilka rozmiarów.

- Nikogo tam nie ma. Nigdzie się nie świeci.

- Może śpią.

- Na pewno nikt nie śpi w kuchni - powiedziałem. - No jazda, wskakuj. Daj czapkę.

Chłopak rzeczywiście był odważny. Podsadziliśmy go do okna, a on wślizgnął się do środka jak węgorz. Usłyszeliśmy, jak z tłumionym stęknieniem upadł na podłogę, a po krótkiej chwili otworzył drzwi i wyszedł.

- Zuch chłopak! - pochwaliłem go. - Jesteśmy z ciebie dumni.

Pociągnął nosem. W świetle ulicy dostrzegłem, że po uderzeniu o podłogę oczy ma pełne łez. Rozcierał łokieć.

- Dzielny chłopiec - potwierdził szef. - A teraz poczekaj na nas

na ulicy od frontu i bądź czujny. Jeśli zobaczysz, że gdzieś zapaliło się światło, albo gdyby ktoś przyszedł i otworzył drzwi, masz rzucić kamieniem w okno. – Podał mu kamień.

- A jak zbiję szybę?

- Chcę, żebyś ją zbił. Rzuć tak, żebyśmy usłyszeli, a potem od razu zmykaj. Biegnij do domu najprędzej, jak potrafisz.

- Tak jest, sir.

Szef zmierzwił mu czuprynę.

- No to do roboty.

W kuchni wciąż było ciepło od tłącego się paleniska. Czujnie przystanęliśmy na chwilę, ale jedyne, co usłyszeliśmy, to chrobotanie myszy za ścianą. Szef zapalił ogarek świecy, który ze sobą przyniósł, i zaczęliśmy się skradać po kamiennym korytarzu, aż natknęliśmy się na schody. Pierwszy stopień zaskrzyphiał okrutnie. Zamarłem z przerażenia, a szef szarpnął mnie od tyłu za kubrak. Jeśli w budynku ktoś był, to musiał to skrzywienie usłyszeć. Z góry nie doszedł jednak żaden odgłos, więc ruszyłem dalej. Wspinaliśmy się jak najciszej na pierwsze piętro. Znajdował się tam obszerny pokój jadalny z długimi stołami i rzędami krzeseł. Dwoje drzwi w głębi prowadziło do pokoiów prywatnych. Wszędzie panowały mrok i cisza. Piętro wyżej było podobnie, tyle że u szczytu schodów znajdowały się ciężkie i pomalowane na zielono drzwi z oknem na środku. Jak zwykle w takich przypadkach użyłem małego łomu i drzwi ustąpiły. Zanim weszliśmy na ostatnią część schodów, zatrzymaliśmy się raz jeszcze, nasłuchując. Szef sapał ciężko, ja też miałem przyśpieszony oddech. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk.

Na ostatnim piętrze znajdował się pokój gier z długim stołem hazardowym na środku, kołem ruletki, kilkoma porozstawianymi

tu i tam mniejszymi stolikami do kart.

Przez całą długość jednej ze ścian ciągnął się kontuar baru. Szeff rozglądał się wokół, a ja podszedłem do okna i spojrzałem na ulicę cztery piętra niżej. Zaczęło padać. Neddy siedział skulony w drzwiach sklepu naprzeciwko. Czapkę naciągnął głęboko na oczy i objął rękami kolana.

Biuro Creama znajdowało się na tyłach budynku. Łom ponownie poszedł w ruch i wkrótce również i te drzwi stanęły otworem.

- Masz bardzo delikatne palce, Norman - szepnął szef z uznaniem.

Jeszcze raz nadstawiliśmy uszu na ewentualne odgłosy z dołu, a potem weszliśmy do środka. Szeff powoli obszedł ze świeczką całe pomieszczenie.

Pod oknem stało ciężkie biurko, w rogu, obok oszklonej szafki, sejf i drugie, mniejsze biurko pod ścianą. Półki zastawione były rzędami segregatorów.

- Od czego zaczynamy? - zapytałem, zapalając własną świeczkę.

Musieliśmy się uwijać. Gdyby ludzie Creama zastali nas na górze, znaleźlibyśmy się w pułapce.

- Ja zajmę się biurkiem - postanowił szef - a ty szafką. Zwracaj uwagę na wszystko, co wyda ci się dziwne i co napisano mniej więcej w czasie, kiedy zniknął Thierry. Szukaj nazwisk, które znasz, tropów irlandzkich i tego wszystkiego, co może mieć związek z karabinami.

Z otwarciem biurka i szafki nie miałem żadnego kłopotu. Już jako mały chłopiec pobierałem od wuja Norberta nauki w zakresie otwierania zamków wytrychem. Wujek Norbert był ślusarzem i przygotowywał mnie do pracy w swoim warsztacie, zanim zginął tragicznie pewnej nocy, zgnieciony na rzece między dwiema

barkami. Mówią, że był pijany, i nie mam podstaw, żeby w to wątpić. Umiejętność posługiwania się wytrychem, mało przydatna w pracy urzędnika sądowego, okazała się wprost bezcenna, gdy zostałem asystentem pana Arrowooda. Nie zabierałem się do drogich, skomplikowanych zamków, takich jak przy zewnętrznych drzwiach do Barrel of Beef, ale w mniejszych i w starszych modelach byłem całkiem dobry. Szafa zawierała rejestry sprzed wielu lat. Przejrzałem je i znalazłem jedynie księgi rachunkowe z restauracji oraz paru innych lokali Creama, dokonane płatności i faktury. Nic, co mogłoby nam się przydać.

Szef siedział przy biurku nad grubym czerwonym zeszytem i zapisywał coś w swoim notesie. Na odgłos najmniejszego skrzypnięcia czy powiewu wiatru zastygaliśmy w bezruchu, pełni obaw, że wracają ludzie Creama. Próbowałem otworzyć sejf, ale jak się spodziewałem, był zamknięty. Wujek Norbert nie nauczył mnie łamania szyfrów, więc zabrałem się do ksiąg ustawionych na półkach. Wtedy usłyszeliśmy z dołu brzęk rozbijanego szkła.

- Wiejemy! - syknął szef.

Wymknęliśmy się z gabinetu, przystając na szczycie schodów i nasłuchując. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Schodziliśmy po schodach, usiłując przenosić ciężar ciała na same krawędzie stopni, żeby nie skrzypiały. Zatrzymaliśmy się na półpiętrze. Stamtąd usłyszeliśmy stłumioną rozmowę na dole i odgłos przesuwania jakiegoś ciężaru po podłodze. Czekaliśmy. Szef starał się powstrzymać świszczanie w płucach, a mnie serce biło jak młot.

- Chowamy się? - wyszeptałem.

- Musimy się stąd wydostać - odparł ledwie słyszalnie.

Wiedziałem, że ma rację. Ludzie Creama nosili noże i pistolety, więc gdyby nas nakryli, nie mielibyśmy szans. Miałem wrażenie,

że odgłosy przenoszą się na zewnątrz, a potem znowu wróciły do środka. Znowu usłyszeliśmy, że po podłodze przesuwany jest jakiś ciężar. Szef dźgnął mnie łokciem. Zeszliśmy niżej, zatrzymując się na półpiętrze. Teraz słyszeć ich było lepiej. Czekaliśmy. Szef chwycił mnie za rękę i wskazał drzwi do jednego z pokoiów na tyłach jadalni.

Zanim zdążyliśmy tam dotrzeć, z dołu dobiegło wołanie. Potem rozległ się tupot. Ktoś w ciężkich butach wybiegł z budynku na ulicę.

Wykorzystaliśmy okazję i zbiegliśmy ze schodów ile sił w nogach, przebiegliśmy przez kuchnię i wypadliśmy na uliczkę, skręcając w stronę Skirt of Beef, byle jak najdalej od wejścia do Barrel of Beef. Szef nie mógł biec szybko w za ciasnych butach i z tą swoją nadwagą, więc tuż przy końcu uliczki zwolniliśmy, upewniwszy się, że nikt nas nie ściga. Przemierzaliśmy szybkim krokiem kolejne ulice, zostawiając Barrel of Beef daleko za sobą, aż przecięliśmy Waterloo Road. Mocno się rozpadało, księżyc skrył się za chmurami, na ulicach panowała kompletna ciemność. Kluczyliśmy uliczkami, alejkami i przesmykami, dopóki ponownie nie minęliśmy kilku sklepów sąsiadujących z Barrel of Beef. Tam skryliśmy się za gruzami zburzonej kamienicy.

Przed restauracją stało lando Creama. Woźnica palił papierosa w bramie. Obok stała konna platforma policyjna załadowana beczkami i kilkoma podłużnymi skrzyniami. Wóz był zaprzężony w chudą szkapinę z żałośnie zwieszonym łbem. Była zdecydowanie za stara, żeby stać na deszczu o tak późnej porze. Spoza uchylonych drzwi, skąd sączyło się na ulicę mdłe światło, słyszeliśmy męskie głosy.

- No to przeprowadziliśmy niezłą operację - powiedział szef, kiedy już wyrównał oddech.

- Mieliśmy szczęście - powiedziałem.

Poruszyłem się, żeby usiąść wygodniej na stercie cegieł. Plecy wciąż mnie bolały w miejscu, gdzie uderzył gliniarz. Miałem nadzieję, że szef ogłosi niebawem pomyślny koniec akcji i pójdziemy do domu spać. Minęło około dziesięciu minut i na ulicy nic się nie zmieniło.

- Powiedz mi, Barnett - zaczął szef szeptem, moszcząc się na kamieniach. Strumienie deszczu spływały z runda jego kapelusza.

- Co sobie pomyślałeś, kiedy panna Cousture zaproponowała, żebyśmy włamali się do Barrel of Beef?

- Zdziwiłem się, że taka propozycja pada z ust damy.

- Odnoszę wrażenie, że panna Cousture to kobieta z silnym charakterem. Ciekaw jestem, kiedy i dlaczego taka się stała.

- Może dzięki tanim kryminałom - szepnąłem.

Zanim odpowiedział, z bramy wyszli trzej mężczyźni. Jednym z nich był Cream. Trzymał się prosto, w ręce dzierżył parasol. Zdjął kapelusz, przygładził włosy i z powrotem włożył go na głowę. Za nim szedł Long Lenny, którego poznałem z widzenia podczas obserwacji gospody prowadzonej w ramach sprawy Betsy. Trzeciego z nich nie znałem. Osłaniał twarz przed deszczem szalem i czarną czapką naciągniętą na oczy. Wskoczył na tył wozu i zaczął zabijać wieka beczek, każdą z nich zamykając na kłódkę z kliknięciem, które rozbrzmiewało echem po ulicy.

Cream wszedł do landa i konie ruszyły przed siebie. Kiedy powóz odjechał w dół ulicy, pozostali dwaj mężczyźni ściągnęli z wozu jedną z długich skrzyń i zanieśli do gospody. To samo zrobili z następną. Potem wrócili z ciężką komodą, którą załadowali na wóz obok pozostałych skrzyń. Mężczyzna owinięty szalem zamienił kilka słów z Lennym, wszedł na kozioł i odjechał. Lenny wrócił do budynku.

Czekaliśmy chwilę, na wypadek gdyby Lenny wyszedł. Wtedy moglibyśmy wrócić do środka, żeby kontynuować przeszukiwanie. Deszcz padał równo. Ulica zamieniła się w błotniste jezioro, woda przelewała się nad zatkanyymi odpływami kanalizacyjnymi i pościanach otaczających budynków. Ubrania nasiąkły deszczem jak gąbka. Po upływie pół godziny szef dał mi kuksańca pod żebro i wskazując okno na pierwszym piętrze, w którym widniał ciemny otwór wielkości jabłka z gęstymi rysami pęknięć przypominającymi pajęczynę, stwierdził:

- Porządny chłopak. Dam mu za to ekstra szylinga. Znalazłeś coś ciekawego w tych księgach?

- Nie. Niczego nie znalazłem.

- A ja myślę, że znalazłem coś ciekawego w tym zeszycie.

Kiedy to mówił, z bramy oddalonej o kilka kamienic od nas wyłoniła się jakaś ciemna postać i zaczęła szybko zbliżać się do nas. Wcisnąłem głowę szefa w dół, za krawędź sterty gruzu. Kiedy mężczyzna nas minął, wychyliłem się za nim. Z początku sądziłem, że mi się tylko tak w ciemności wydaje, albo że to z powodu czapki, którą naciągnął na oczy. Ale jego chód i pewność, z jaką kroczył, nie pozostawiały żadnej wątpliwości: to był on. Ten sam, który stojąc nade mną z płonącym wzrokiem, okładał mnie pałką, nie dając szansy, żebym się zasłonił, a tym bardziej żebym mu oddał. Poczulem nagły przyływ gniewu. Jakże marzyłem o tym, żeby odwdzińczyć mu się za bolesnego siniaka na plecach, który palił mnie i budził co noc.

Wyciągnąłem łom i podniosłem się, żeby ruszyć na niego, kiedy poczułem tak silne uderzenie w udo, że aż krzyknąłem zdumiony. Zachwiałem się i upadłem na ostre krawędzie kamieni z nogą zdrętwiałą z bólu. Odgłos kroków tajniaka ucichł w oddali. Szef stał nade mną z kawałkiem zardzewiałej rury w ręce.

- Przepraszam, Barnett. Ale to naprawdę nie był dobry pomysł. Zaciskając zęby z bólu, rozmasowałem nogę i w końcu poczułem się w miarę normalnie.

- Nic ci nie jest? - zapytał szef, wysypując tytoń z fajki na gruzu. - Mam wezwać dorożkę?

- Panie Arrowood, jeśli pan to zrobi jeszcze raz, przysięgam, że wybiję panu zęby.

- Rozumiem cię doskonale, Norman.

Pomógł mi wstać i pokuśtykaliśmy ulicą, aż złapaliśmy jedną z pierwszych porannych dorożek. Zegar na kościelnej wieży wybił czwartą rano.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym wysiadł pierwszy? - spytał szef cicho, kiedy usiedliśmy z tyłu. - Wiesz, z uwagi na moją podagrę.

- Pieprzyć pana podagrę, sir - oznajmiłem gromko i podałem dorożkarzowi swój adres.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Następnego dnia po południu w salonie zastałem Ettie w towarzystwie sześciu innych dam. Siedziały na krzesłach przyniesionych ze sklepu i raczyły się herbatą. Na dworze chłód ustąpił i zrobiło się parno, więc otwarto szeroko okno.

- Pozwoli pan, panie Barnett, że przedstawię pana damom z London Mission - powiedziała Ettie. - Pani Boothroyd, panna Crosby, pani Campbell, pani Dewitt, panna James oraz nasza organizatorka, pani Truelove.

Skłoniłem się każdej z nich z osobna.

- Wiele słyszałem o waszej pożytecznej działalności - oznajmiłem z szacunkiem.

- Jesteśmy jedynie narzędziem Pana, który zesłał na nas to posłannictwo, panie Barnett - odparła pani Truelove, skromnie pochylając głowę, jednak z niezwykle czarującym błyskiem w oku.

- Nie mamy zasług, za to mnóstwo do zrobienia.

- Czy przekazał pan zaproszenie pani Barnett? - zapytała Ettie.

- Niestety, pani Barnett jest niedysponowana.

- Ojej! Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Dziękuję, panno Arrowood. I w rzeczy samej, to tylko lekka niedyspozycja.

- Proszę jej przekazać najlepsze życzenia.

Wyraziłem wdzięczność uprzejmym skinieniem głowy. Damy uważnie mi się przyglądały, a ja stałem w drzwiach, ściskając oburącz kapelusz.

- Jest na górze - poinformowała mnie w końcu Ettie.

Szef leżał w łóżku w rozpiętej kamizelce. Z żółtej dziurawej

skarpetki wystawał gruby czerwony paluch. Łysa głowa też była czerwona, rozgrzana i spocona. W ręce trzymał książkę.

- Wyrzuciły mnie - poskarżył się. - Ich gdakanie słysząc przez sufit.

- Próbują zrobić coś pożytecznego.

- Tak, tak, Barnett. Nie zrozum mnie źle. Jestem poirytowany, bo do tej pory nie zdążyłem napić się popołudniowej herbaty.

Przysiadłem na sąsiednim łóżku. Zasłona oddzielająca oba łóżka została rozsunięta i przymocowana do ściany. Małe okienko wychodziło na ceglana ścianę po przeciwnej stronie uliczki pełną wilgotnych zacieków. Dusznego upału czającego się za oknem nie zakłócał najmniejszy powiew wiatru.

Wskazując tacę stojącą na komodzie, szef powiedział:

- Kupiłem ci coś. Jadłeś już? - Gdy zaprzeczyłem ruchem głowy, dodał: - To dobrze. Przyłączę się do ciebie. Proszę bardzo, poczęstuj się.

Na tacy leżała pokrojona szynka, porcja jeszcze ciepłych ziemniaków, okazały bochenek chleba i pół funta sera. Nałożyłem sobie pełny talerz i usiadłem z powrotem na łóżku. Szef wstał, chrząknął i też sobie nałożył.

Jedliśmy, słuchając fragmentów dyskusji, które dochodziły spod podłogi. Wziąłem dokładkę szynki. Była smaczna. Dawno takiej nie jadłem.

Ta szynka to były przeprosiny szefa.

- Czy wiesz, że w dzieciństwie mieliśmy w domu gosposię, Barnett? - powiedział z pełnymi ustami. Mokry kawałek chleba przykleił mu się do brody. - Nasza mama uważała, że nie wypada jej zajmować się porządkami domowymi. Też chciałbym mieć gospodynię, ale obawiam się, że nigdy nie będzie mnie na nią stać. Ty pewnie nigdy nie miałeś gospodyni, co, Barnett?

- Moja mama pracowała jako gospodyni u pewnych ludzi.
- A tak, mówiłeś mi kiedyś.

Tak, mówiłem. Ale nie powiedziałem, że trwało to do czasu, kiedy umarł jej pracodawca, stary Dodds. Potem już nie mogła znaleźć żadnej pracy. Kto chciałby mieć służącą o twarzy przypalanej jak porcja surowej wątróbki? A przecież to właśnie stary Dodds przyłożył jej policzek do rozgrzanego garnka. Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Przenieśliśmy się do Weavers Court w Bermondsey, co dla nas obojga było ogromnym szokiem. Jak na swój wiek byłem wyjątkowo dobrze rozwinięty i szybko nauczyłem się sztuki życia na cuchnącym podwórku. Trzeba było się dostosować i dobrze się bić. Z tych dziecięcych lat wyniosłem dwa wspomnienia, które nie zawsze pomagały mi w dorosłym życiu. Po pierwsze, niechęć do wszystkich, którzy traktują służbę gorzej niż siebie samych. A po drugie, głębokie poczucie winy z powodu tego, co robiłem, żeby przetrwać te trzy lata, które spędziliśmy tam z matką.

- Powiem ci, Barnett, że czytam tu o bardzo ciekawych sprawach - zwierzył się szef, odkładając talerz i biorąc do ręki książkę. - Napisał to psychiatra Henry Maudsley. Muszę przyznać, że ma sporo do powiedzenia na temat zbrodni i szaleństwa. - Przerzucił kilka stron, zanim znalazł właściwy fragment. - Píše tutaj o dwóch rodzajach ludzi twórczych. Jedni spokojni i intelektualnie rozwinięci, a drudzy ograniczeni intelektualnie i porywczy, pełni niespożytej energii. Te dwa typy kształtują świat. Ale posłuchaj, powiedz, czy to nie pasuje jak ulał do mojej siostry: „Drugi typ to osoby bystre, lecz lekkomyślne, uzdolnione, lecz niestabilne, emocjonalne, lecz w wąskim zakresie, sumienne, lecz zawzięte. To ci wszyscy, którzy rzucają się bez opamiętania w wir nowych ruchów bez względu na to,

jakie wartości te ruchy reprezentują, dobre czy złe, i cierpią na brak właściwej równowagi oraz odpowiednich umiejętności”. Czyż to nie jest doskonała charakterystyka Ettie?

- Nie znam jej aż tak dobrze, sir.

- Nie do wiary! Zupełnie jakby ten Maudsley był jej mężem.

- Chyba nie dostrzega pan zalet swojej siostry, sir. - Rzucił mi zdumione spojrzenie, po czym zajął się tym, co zostało na talerzu, a ja spytałem: - Czy ma pan jakieś wiadomości od naszego inspektora?

- Ach tak, Petleigh. Nie, nie przysłał żadnych wiadomości. Poślę do niego Neddy’ego, jak się pojawi.

- Jak to? Neddy jeszcze nie wrócił?

- Na pewno stoi na ulicy z muffinkami - odparł szybko, widząc mój niepokój. - Albo sprząta po matce.

- Zwykle przychodzi natychmiast, żeby odebrać zapłatę.

- Między rozbiciem szyby a ich bieganiną po ulicy upłynęło co najmniej pięć minut. Neddy nie jest durniem. Czmychnął, jak tylko rzucił kamieniem. - Odłożył książkę na komodę. - Chłopak ma dobrze poukładane w głowie.

- Też tak sędzę. Wolałbym jednak wiedzieć, że nic mu nie jest. - Odstawiłem talerz. - Co pan wyczytał w zeszycie Creama?

- Znalazłem listę z datami z kilku lat wstecz. Ceny i nazwiska, ale rzadko razem. Znalazłem jedno nazwisko, które mnie zastanowiło. Longmire, pułkownik Longmire. Mówi ci to coś, Barnett?

- Nie, nic. - Pokręciłem głową.

- Jeżeli to ten, którego mam na myśli, to jest to wysoki urzędnik w Ministerstwie Wojny. Pojawia się raz po raz na tej liście od czterech lat. Żadnej informacji, tylko data i nazwisko.

- Czy to ma jakiś związek z pociskiem?

- Niewykluczone. Może także z naszą Marthą, jeżeli to ten sam Longmire.

Na schodach zaskrzypiały kroki i w drzwiach stanęła Ettie.

- Na dole jest jakaś kobieta, która chce się z tobą widzieć w sprawie Neddy'ego - powiedziała. - Czeka w sklepie.

Szef kiwnął głową.

- Włożę tylko buty. Niech wejdzie.

- Wolałabym, żeby została w sklepie, William.

- Wolałabyś?

- Jest zrozpaczona.

Szef westchnął ciężko i spojrzał na mnie znacząco.

- Powiedz, że zaraz schodzimy.

Zazwyczaj o tej porze w naszym sklepie z puddingami panował duży ruch, ale dzisiaj był znacznie większy niż zwykle. Chuda i ponura twarz Alberta mokra była od potu, podczas gdy tłoczący się klienci próbowali przyciągnąć jego uwagę. Albert był nieruchawy i zupełnie nie nadawał się do tej pracy. Jego żona, pani Pudding, mieszała ciasto w ogromnej kadzi, podczas gdy John i Mały Albert, ich dwaj synowie, doglądali ognia w piecu i garnków na ogniu.

- Co tu się dzieje, chłopcy? - zapytałem, kiedy przepchnęliśmy się przez drzwi na tyłach sklepu.

- Paliło się u Gleasona - odparł John, zatrzymując się na chwilę.

- Wczoraj w nocy. Dlatego wszyscy przychodzą tutaj. Nie możemy nadążyć, w dodatku to chyba najgorętszy dzień roku.

- Gotów do wyjęcia! - zawołał Albert. - Czy mógłby pan nie tarasować przejścia, panie Arrowood? Jak pan widzi, mamy tu krytyczną sytuację. Przyszli wszyscy klienci od Gleasona.

- Tak, oczywiście, widzę - mruknął szef. Czuł się oszołomiony

pośród wygłodniałego tłumu.

Na dźwięk jego nazwiska precyzyjnie się do niego matka Neddy'ego.

- Panie Arrowood! - Jej głos zabrzmiał dziwnie wysoko, jakby język przykleił się do podniebienia. Skołtunionie włosy upięte na czubku głowy wyglądały jak wiązka spleśniałych gałganów. Szyję miała brudną i pokrytą sadzą, brakowało jej wielu zębów, a pozostałe były żółte i brązowe. Długa suknia ciągnęła się po podłodze pod bardzo zniszczonym płaszczem, który zapewne kiedyś należał do zamożnej damy. Wśród klientów sklepu była jedyną osobą w płaszczu. - Niech pan posłucha - zaczęła bez żadnego wstępu - nic nie mam przeciwko temu, żeby poszedł na służbę, naukę czy coś takiego, nic w tym złego, niech mu służy i nam, całej rodzinie, ma szczęście, że spotkał takich panów jak wy, panowie, pan i pan. - Uwzględniła moją obecność ruchem głowy. - Wszystko w porządku, dopóki nie zapomina o swojej rodzinie, o swojej siostrze, która ma skrzywoną nogę, i tej drugiej, która nie może się nauczyć mówić jak należy. Dopóki coś zarabia, choćby parę szylingów tu czy tam, na tych kilka ziemniaków dla nas i tak dalej, sir. Dopóki się troszczy o nas, swoją rodzinę, jak jestem chora, co mi się regularnie zdarza z powodu słabych płuc, co je mam. - Wypięła chudą pierś i zakaszła z cicha.

- Ale o co pani chodzi, madame? - zapytał szef, usiłując wyrwać się z jej szponów, którymi wczepiła się w niego, mocno przyciągając do siebie. - Wie pani przecież, że nie mogę pani zapłacić, nawet gdybym chciał.

- Proszę pana, gdziekolwiek on się podziewa, niech pan przypilnuje, żeby nie zapomniał przesłać nam pieniędzy, codziennie albo co tydzień. A dzisiaj nie dostaliśmy nic, ani pensa. Dzieciaki mogłyby dostać choćby trochę tego puddingu, bo nic

dzisiaj jeszcze nie jadły.

- Niech pani mu powie, żeby się zgłosił po zapłatę. Uczciwie zarobił.

Spojrzała na niego bokiem, mrużąc oczy.

- Ja go nie widziałam od rana. Dlatego tu przyszłam.

- Jak to? Nie wrócił w nocy do domu? - zdziwił się szef.

- Nie widziałam go, odkąd wczoraj wyszedł do pana do pracy.

Szef spojrzał na mnie.

- Jest pani pewna, że nie wrócił do domu? - zapytał ponownie. - Albo że nie poszedł gdzie indziej? Do ciotki? Z kolegami?

- To pan nie wie, gdzie on jest?

- Nie wiem. Rozstał się z nami około trzeciej.

- O mój Boże! - zawołała. - Wielki Boże! - Chwyciła szefa za rękę, a klienci przyglądali się tej scenie ze zdziwieniem. - Jak nic, złapali go gliniarze! - krzyknęła. - Co kazaliście mu robić tak późno w nocy? Zaufałam panu, zaufałam. Pewnie go gdzieś pobili. Ale coście robili? Taką późną nocą z małym chłopcem? Co wyprawialiście?

- Mieliśmy dostawę. To wszystko, proszę pani - pośpieszyłem z wyjaśnieniem. - Niech pani posłucha. Czy jest ktoś, do kogo mógł pójść?

- Do nikogo. On do nikogo nie chodzi. O Boże! Złapała go policja, że tak późno się włóczył poza domem. Zaraz go o coś oskarżą, że coś nabroił. I co my, biedne, będziemy jeść, jak go zapuszczają?

Sięgnąłem do kieszeni i dałem jej kilka pensów. Chwyciła je łapczywie i wrzuciła do kieszeni płaszcza.

- Muszę go szukać - oświadczyła, odwracając się do wyjścia. - O Jezu, Jezusieńku, same kłopoty!

Patrzyliśmy za nią w milczeniu. Klienci spragnieni ciastek

przepychali się i gadali wokół nas. Nie musiałem patrzeć na szefa, by wiedzieć, że wpadł w taką samą panikę jak ja.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Czekaliśmy na posterunku na inspektora. Kiedy Petleigh wreszcie się pojawił, zaprowadził nas na tył budynku, a potem po wąskich schodach weszliśmy do ciemnego biura. Okno było otwarte i zablokowane polanem, ale i tak w środku panował zaduch. Jeszcze zanim usiedliśmy, szef zaczął opowiadać o Neddym. Petleigh opadł na fotel za krzywym biurkiem i słuchał go w milczeniu, a kiedy szef skończył, złączył palce w piramidkę i odsunął fotel od biurka.

- Ale z was durnie! - powiedział.

- Inspektorze, musi pan przeszukać Barrel of Beef! - ciągnął szef, na przemian zaciskając i rozprostowując dłonie. - Niech Cream wie, że pan wie o tym, że on porwał Neddy'ego. Nie ma czasu do stracenia. Boże, mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

- Mhm.

- Chodźmy tam już teraz - nalegał szef, wkładając kapelusz i zmierzając do drzwi. - Natychmiast!

- Panie Arrowood, ja przyjmuję polecenia od mojego szefa, od głównego inspektora, a nie od pana.

- Proszę, inspektorze. Nie należałbym, gdyby to nie była pilna sprawa. Przecież pan doskonale wie, że Cream jest bezwzględny. Z przyjemnością zrobi dziecku krzywdę.

- Ostrzegalem, żeby się pan nie wtrącał.

Szef nadął się tak, że oczy omal nie wyszły mu z orbit.

- Słuchaj pan, Petleigh! Popełniliśmy wielki błąd, przyznaję, ale Cream wpadnie we wściekłość, kiedy się zorientuje, że ktoś się do

niego włamał. Nie cofnie się przed niczym, żeby sprawdzić, kto za tym stoi. Rozerwie chłopaka na strzępy, żeby tylko wyjawiał, co i jak, a potem wrzuci jego zwłoki do rzeki. Musi pan ruszyć od razu, natychmiast!

Petleigh przyglądał nam się przez chwilę, po czym powiedział:

- Myślę, że zanim popełnimy kolejny błąd i udamy się do Barrel of Beef, odczekamy chwilę. Neddy prawdopodobnie spotkał jakiegoś kolegę i gdzieś się z nim zasiedziało. Taki chłopak może lubić małe włamy, co? Albo pojechał gdzieś i zgubił się na West Endzie. Jeśli nie wróci, powiedzmy do jutra wieczorem, wtedy rozważymy możliwość złożenia wizyty panu Creamowi.

- Co takiego? - oburzył się szef.

- Może pan zapomniał, że aktualnie zajmujemy się sprawą morderstwa. Nasi funkcjonariusze prowadzą liczne przesłuchania, naprawdę są zajęci. Jestem pewien, że chłopiec wkrótce szczęśliwie wróci do domu.

Szef wyrzucił pięścią w stół.

- To nie wystarczy! Była trzecia w nocy. Żadnych dorożek, żadnych kolegów, na których można się natknąć. Ulice były puste. A Neddy jest tak samo uczciwy jak pan. A teraz jest w niebezpieczeństwie. Przysięgam!

- Tylko proszę na mnie nie krzyczeć, panie Arrowood. - Rozdrażniony Petleigh szarpnął wąsy. - Nie będzie się tu pan ze mną wyklócał.

- Będę krzyczał, dopóki chłopcu grozi niebezpieczeństwo. Natychmiast idź do Barrel of Beef, ty nikczemny, leniwy kundlu!

- Wynosić się stąd! - ryknął Petleigh, wstając z fotela.

- Nie wyjdę, dopóki nie zrobisz, co do ciebie należy.

- Sam decyduję, co do mnie należy.

- Jeśli chłopcu stanie się krzywda, opiszę cię w gazecie,

Petleigh! I podam twoje nazwisko!

- Zjeżdżajcie mi stąd! I to już! - Petleigh podskoczył do drzwi i krzyknął w dół schodów: - Konstabl Reid! Do mnie!

- Niech pan wykonuje swoje obowiązki! - powtórzył szef. Był zgrzany, twarz mu spurpurowiała.

Chwyciłem go pod ramię i wyciągnąłem z biura.

- Proszę poczekać na mnie na zewnątrz, sir - syknąłem stanowczym tonem. - I niech się pan już lepiej nie odzywa.

Był wściekły, ale się nie opierał. Na schodach pojawił się konstabl.

- Upewnijcie się, że ten dżentelmen już wychodzi, Reid! - zawołał Petleigh i wrócił do swojego pokoju.

Wszedłem tam za nim i zamknąłem drzwi.

- Bardzo przepraszam, panie inspektorze - powiedziałem. - Pan Arrowood jest bardzo wrażliwy. Serce czasem rządzi głową. Nie chciał pana obrazić. Ma dobre intencje.

- Aresztuję go za napaść na funkcjonariusza.

- Ma pan do tego pełne prawo.

Znużony usiadł za biurkiem. Odniosłem wrażenie, że jest bardzo spięty. Przysiadłem na krześle przy drzwiach.

- Ma pan trudną pracę, inspektorze - zagaiłem.

- Nawet nie ma pan pojęcia, jak bardzo trudną. - Przetarł czoło chustką, wyciągnął z kieszeni cygaro i zapalił.

- Ten chłopak jest dla niego jak syn - wyjaśniłem. - Ojciec Neddy'ego nie żyje, a matka to prosta kobieta. Pan Arrowood opiekuje się chłopcem od kilku lat. Bardzo martwi się o niego. Wie, że tylko pan może go odnaleźć, dlatego się uniósł. Zna pańskie możliwości i docenia pana talent.

Petleigh pokiwał głową i zaciągnął się cygarem.

- Słuchaj, Barnett - powiedział. - Ty mnie chyba masz za

głupca.

Patrzyłem, jak wydmuchuje dym z cygara.

- Pograł pan z nim sobie? - zapytałem.

- Przyznaję, że tak. Lubię patrzeć, jak się wścieka. Oczywiście, że sprawdzę Barrel of Beef. Cream to zakała tej dzielnicy i z radością bym go przymknął, ale nie lubię, kiedy tacy jak Arrowood mi rozkazują. Nie lubię nawet, jak rozkazuje mi zastępca komisarza. - Gdy podniosłem się z krzesła, dodał: - To nie był jednak ten funkcjonariusz z Elephant and Castle, o którym myśleliśmy. Ten ma gruźlicę i od miesięcy jest urlopowany. Ale jest taki jeden w Scotland Yardzie, który odpowiada rysopisowi. Tak mi w każdym razie powiedział detektyw, który dzieli ze mną ten pokój. Byli razem na jakiejś imprezie, ale nie zostali przedstawieni, więc nie znam jego nazwiska. Nie jest jednak konstablem. Nie wiem, jakie ma stanowisko.

- Może pan się zorientować?

- Popytam.

- Dziękuję, inspektorze. O której pan wróci?

- Pójdę od razu. Powinienem być z powrotem koło szóstej. - Wyjął z kieszeni kolejne cygaro i podał mi. - Zapal na zewnątrz, Barnett. Idź do swojego szefa i uspokój go.

O szóstej znów byłem na posterunku i czekałem na inspektora, ale nie wracał. Siedziałem ponad godzinę na ławce, obserwując pocziwych mieszkańców Southwark, którzy przychodzą i wychodzą, składają skargi, opowiadają o swoich nieszczęściach, czekają. Po prostu walczą.

W końcu Petleigh przyszedł razem z konstablem Reidem i skinął na mnie, żebym poszedł za nim do biura.

- Cream jest wściekły - powiedział, zamknąwszy drzwi. -

Rzeczywiście coś się tam dzieje, to pewne. Coś, co bardzo go niepokoi.

- Znalazł pan chłopaka?

Pokręcił głową i zmarszczył brwi.

- Przeszukaliśmy wszystkie kąty. Jeśli go trzymają, to gdzie indziej.

- Widzieliśmy, jak wynoszą skrzynie i ładują na wóz. Pan Arrowood podejrzewa, że mogli go tam zamknąć. Przesłuchiwał pan jego ludzi?

- Tak, Pitera i Lenny'ego, ale nic to nie dało.

- Może ich pan tu ściągnąć?

- I co, poddać torturom? - Spojrzał na mnie z ironią.

- Tak.

- Nie, Barnett. Na tym posterunku nie używamy takich metod.

- A co z chłopcem?

- Wiesz przecież, że nie możemy ich bić, Barnett. W każdym razie już wiedzą, że ich podejrzewamy. Może to wystarczy, żeby uratować chłopca.

- Nie wystarczy, inspektorze.

- Masz lepszy pomysł?

Wyszedłem z biura.

Barrel of Beef już zamknięto. Stałem po przeciwnej stronie ulicy za tą samą stertą gruzu co poprzednio. Cream, jak zwykle elegancki, wyjechał wcześniej swoim landem z Piserem i Bootsem. W oknach na górze zgasły światła, potem wyszły pomoce kuchenne, kelnerki i barmani. Na końcu Ernest, ale go nie zaczepiałem. Nie o niego mi chodziło tym razem. Wreszcie otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Long Lenny. Chociaż wciąż było ciepło, jak zawsze miał na sobie płaszcz od deszczu i czapkę

nasuniętą na oczy.

Szedłem jakieś sto metrów za nim pustą ulicą. Zatrzymał się, żeby spojrzeć w okno na górze, skąd coś wykrzykiwał właściciel lombardu, i poszedł dalej. Usłyszałem za sobą odgłos końskich kopyt, po chwili przejechała czterokołowa zamknięta dorożka.

Minęliśmy zasłonięte okiennicami witryny sklepowe przy Lambeth Road i długi mur szpitala Bethlem. Lenny nie oglądał się za siebie, tylko zmęczony włókł się do domu, jak najdalej od tego, z czym miał do czynienia przez cały dzień. Pracując nad sprawą Betsy, całymi godzinami przesiadywałem w Barrel of Beef nad kuflem piwa, zbierając informacje na temat tych, którzy tam pracowali. Już wtedy śledziłem kilka razy Lenny'ego, kiedy dostarczał przesyłki. Nigdy mnie nie zauważył. A kiedy wreszcie się ujawniliśmy, on już siedział w pudle za napad. Lenny był po prostu zbiorem i tyle. Robił, co mu kazano. Popełniał błędy i był opieprzany. Nie podejmował żadnych samodzielnych decyzji. Ale robił, co trzeba, i to na tyle dobrze, że złodzieje i dziwki schodzili mu z drogi.

Teraz skręcił w uliczkę i zniknął mi z oczu. Podbiegłem, a kiedy skręciłem za róg, był zaledwie kilkanaście metrów przede mną. Zatrzymał się i gwałtownie odwrócił głowę, patrząc na mnie z ukosa.

- Czego chcesz? - warknął.

Zorientowałem się, że bierze mnie za rabusia.

- Chciałem cię przeprosić, Jack - powiedziałem, podchodząc do niego, chwiejąc się i bełkocząc.

- Odpieprz się - warknął, odwracając się ode mnie. - Nie jestem żaden Jack.

Szybkim ruchem przyłożyłem mu do ust chloroform, wykręcając rękę do tyłu. Był ode mnie wyższy, ale ja byłem silniejszy.

Próbował się wyrwać, ale szybko osłabł, bo płyn zaczął działać. Wiedziałem, że chloroform nie rozłoży od razu tak postawnego mężczyzny, ale zaskoczył go na tyle, że nie zdążył podjąć walki.

W noclegowni za nami ktoś otworzył okno i wylał na ulicę wiadro z nieczystościami. Kiedy okno zamknięto, jadący za nami powóz zatrzymał się przy wylocie alejki i z kozła zeskoczył Sidney, mój szwagier. Chwycił Lenny'ego za nogi, ja wziąłem za ramiona i zaciągnęliśmy go do powozu. Trochę się natrudziliśmy, bo Lenny był wysoki i nie stracił do końca przytomności, w końcu jednak dał się zapakować. Na ulicy nie było nikogo, mieliśmy więc szczęście. Wdrapałem się do powozu, gdzie siedział szef. Związałem Lenny'emu ręce, a ja związałem nogi. Kiedy został już dokładnie unieruchomiony, szef siłą otworzył mu usta i wlał do gardła fiolkę eteru.

Sidney wskoczył na kozioł i popędził konie. Jeździł teraz na dorożce, ale całą młodość spędził na morzu, gdzie nauczył się robić niezły użytek ze swoich pięści. Jego żona zmarła przy porodzie i zostawiła go z dwójką dzieci. Żył mu się różnie, raz na wozie, raz pod wozem, ale zawsze był gotów do pomocy, kiedy potrzebowaliśmy solidnego wsparcia.

Powóz poruszał się szybko, podskakując na bruku. Wkrótce zatrzymaliśmy się przy schodach nabrzeża w pobliżu London Bridge. Był wysoki przypyływ. Powiązane ze sobą łodzie podskakiwały na wodzie i obijały się o siebie w ciemności. Zaaplikowałem Lenny'emu kolejną dawkę chloroformu, po czym zaciągnęliśmy go na kraniec drewnianego pomostu, gdzie zza barki nie widać nas było od strony brzegu. Lenny coś tam mamrotał, ale lekarstwo działało, więc nie sprawiał kłopotu. Ułożyliśmy go na plecach w taki sposób, żeby lędźwie miał na krawędzi pomostu, a resztę nad wodą, i z Sidneyem usiedliśmy

mu na nogach.

Ocknął się, gdy tylko dotknął głową powierzchni wody. Zaczął się rzucać, wykręcać, kopać nogami i krzyczeć. Ale im głośniej ryczał, tym głębiej zanurzał się w wodzie. Podnosił głowę, kaszłał, krztusił się i pluł cuchnącą cieczą z Tamizy. Szarpał się, próbując wyswobodzić ręce związane na plecach. Czekaliśmy cierpliwie. Nie mógł walczyć zbyt długo, bo utrzymanie głowy nad wodą zależało jedynie od siły mięśni brzucha.

- Posłuchaj Lenny - zwróciłem się do niego, kiedy chwyciwszy za mokre włosy, przytrzymałem jego głowę nad wodą. - Jeśli powiesz nam to, co chcemy wiedzieć, to wyciągniemy cię z rzeki i zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi.

- Wyciągnijcie mnie! - zacharczał. - Pracuję dla pana Creama. On was zabije.

- Chcemy tylko zadać ci kilka pytań, Lenny.

Gdy zaczął krzyczeć, z całej siły nadepnałem mu na kostkę i krzyk przeszedł w jęk, a głowa znowu zniknęła pod wodą. Wynurzył się, ciężko dysząc. Wierzgnął nogami, złapał powietrze i znowu zniknął pod wodą. Kiedy się ponownie wynurzył, parskając i krztusząc się, chwyciłem go za klapy kurtki i powiedziałem bardzo łagodnym tonem:

- Jak nam nie powiesz, to będziemy cię musieli utopić, Lenny.

- A nurt jest tutaj bardzo wartki i zdradliwy - zauważył szef, zapalając cygaro. Stał na czatach przy burcie barki i obserwował ulicę.

- Ponieważ zaś masz związane ręce i nogi - dodałem - sam wiesz, czym to grozi, prawda?

- Cream was dopadnie - jęknął ochrypłym głosem.

- Policja pomyśli raczej, że to robota Creama - odparłem. - A on się nie dowie, że to my, prawda? Bo od kogo miałby się

dowiedzieć? A jak wiadomo, pan Cream ma wielu wrogów. – Poklepałem go po mokrym policzku. – Cóż, przyjacielu, znalazłeś się w trudnej sytuacji. – Wepchnąłem mu głowę z powrotem pod wodę.

Szarpał się, bo przetrzymałem go znacznie dłużej niż do tej pory, a kiedy go wyciągnąłem, już tylko dyszał i charczał.

– Gdzie jest ten mały chłopak? Ten, który wczoraj w nocy wybił szybę w waszym oknie.

– Ja nic nie...

Głowa Lenny'ego ponownie znalazła się pod wodą. Powtórzył rutynowe już ruchy, a ja go wyciągnąłem.

– Proszę – jęknął błagalnie, kiedy złapał oddech. A potem ten wielki mężczyzna rozplakał się.

– Gdzie jest chłopak?

Znowu rozkaszał się i zakrztusił, wypluwając wodę. Wbiłem mu łokieć w brzuch, aż tak rozpaczliwie zawył, że nawet Sidney się wzdrygnął.

– Nie wiem – wysapał ze szlochem. – Przysięgam, nie widziałem żadnego chłopca.

– Wczoraj w nocy, kiedy byliśmy u was, w Barrel of Beef, schwytaliście chłopaka. Gdzie on jest?

– Nie widziałem żadnego chłopaka! – wykrzyczał. – Naprawdę nie widziałem, przysięgam!

– Rozumiem cię doskonale – stwierdziłem przyjacielskim tonem.

– Chcesz powiedzieć Creamowi, że nic nam nie powiedziałaś, więc ci zadam łatwiejsze pytanie.

– Ja nic nie wiem o żadnym chłopcu.

– Zamknij się i słuchaj. Dokąd wczoraj w nocy pojechał wasz wóz? Wyruszył z Barrel of Beef i dokąd zawiózł te skrzynie?

Spojrzał na mnie nieprzytomnie. Chwyciłem go za kłapy

i wepchnąłem pod wodę.

- Powiem ci - zdążył wrzasnąć, zanim się zanurzył. - Tylko mnie wyciągnij.

Sidney pomógł mi wywlec go na pomost. Ciężko oddychał, siedząc z wyciągniętymi przed siebie nogami i rękami związanymi na plecach. Woda ściekała z niego na deski.

- Do Milky Sal, na Southwark Bridge Road sto dwanaście - wydusił z siebie wreszcie.

- Czy tam jest nasz chłopak?

Wypluł z siebie kolejną porcję wody.

Przykucnąłem i spojrzałem w jego zmaltretowaną twarz.

- Czy chłopak jest u Milky Sal, Lenny?

- Powiedziałem, że nic nie wiem o żadnym chłopaku - powtórzył. - Słowo. Nie widzieliśmy żadnego chłopca.

- Lenny, jeśli go tam nie ma, to wrócimy po ciebie.

Całkiem stracił ochotę do walki, już tylko na mnie patrzył.

- A co się stało z Terrym, cukiernikiem? - zapytałem.

- Co?

- Tym Francuzem.

- A kto pyta?

- Odpowiedz na pytanie.

- Odpowiedziałem już na wszystkie twoje pieprzone pytania. Teraz mnie puść.

Sidney chwycił go za mokrą kapotę, ja za nogi i pociągnęliśmy go znowu na krawędź pomostu.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie, wijąc się i szarpiąc, żeby wrócić na molo.

Wcisnęliśmy mu głowę pod wodę.

- Hej tam! - dobiegł nas okrzyk z ulicy.

Spojrzeliliśmy w górę. Na brzegu stał policjant i wpatrywał się

w głąb pomostu.

Noc była bardzo ciemna, a snop światła z jego latarki kończył się na powierzchni wody daleko do nas. Podskakujące ciało Lenny'ego ukryte było za burtą barki.

- Proszę nam pomóc, panie konstablu! - zawołał szef. - Jakiś człowiek wpadł do wody! - Wyciągnęliśmy Lenny'ego. Leżał bezwładnie, zupełnie jakby naprawdę się utopił.

- Wyciągnęliście go? - zapytał konstabl.

- Tak. Jest pijany.

Słyszeliśmy, jak policjant zaklął i ruszył w kierunku schodów prowadzących na pomost. Sidney wyjął nóż, przeciął szybko więzy na nogach i rękach Lenny'ego i wrzucił je do wody. Lenny przewrócił się na bok. Dyszał i rzeził. Wszyscy trzej ruszyliśmy naprzeciw policjantowi, który schodził na pomost.

- Zauważyliśmy z ulicy, jak wpadł do rzeki - wyjaśnił szef. - Na szczęście w porę zdążyliśmy, żeby go wyciągnąć. Pijany do nieprzytomności.

- Będzie lepiej, jak sam go zabiorę - powiedział policjant.

- Bogu dzięki, że są jeszcze tacy porządni ludzie jak pan, młodzieńcze. - Szef poklepał konstabla po plecach. - Dobry z pana człowiek.

- Dziękuję, sir.

- No to my już pójdziemy. Przez tego pijaka spóźnimy się na spotkanie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przybytek madame Milky Sal miał trzy kondygnacje nad poziomem ulicy i jedną pod nim. W pobliżu domu nie było latarni, ale powoli się rozwidniało i niebawem miasto obudzi się do życia. Czekaliśmy na inspektora i jego ludzi. Nadjechali w dwóch policyjnych karetkach konnych. Ledwie z nich wyskoczyli, od razu zaczęli się dobijać pałkami do drzwi. Drzwi szybko otwarto i ukazał się w nich wąsaty mężczyzna w portugalskich spodniach, a za nim zaspana, blada i wyraźnie znużona Milky Sal z żółtym czepkiem nocnym na głowie. Kiedy Petleigh wyjaśnił cel wizyty, zaczęła głośno i wulgarnie go wyklinać. Na znak dany przez inspektora stojący za nim policjanci odepchnęli ją i weszli do budynku.

Sidney musiał wracać do domu, więc tylko my z szefem przyglądaliśmy się tej scenie ukryci za policyjnymi karetkami. Z wnętrza dochodziły krzyki i protesty wyrwanych ze snu kobiet, które z tupotem bosych stóp biegały po schodach w górę i w dół. Z piwnicy wybiegły trzy młode kobiety w płaszczach narzuconych na nocne koszule, wspięły się po schodkach i pognały na ulicę. Na nasz widok przystanęły, ale gdy zrozumiały, że nie zamierzamy ich zatrzymać, ruszyły pędem przed siebie. Następnie wyprowadzono i wsadzono do karetek dwie najwyżej czternastoletnie dziewczyny.

- Czy jest tam chłopak? - zapytał szef.

- Nie widzieliśmy żadnego chłopaka, sir. Ale jest pełno kobiet.

Policjanci zaryglowali karetkę i wrócili do budynku. Po chwili wyprowadzili stamtąd Portugalczyka. Świecił gołym torsem, a na

ramieniu miał długą, głęboką bliznę. Był skuty kajdankami. Eskortujący go policjant krwawił z rany na policzku. Tak mocno zepchnął Portugalczyka ze schodów, że powalił go na bruk, po czym brutalnym szarpnięciem ustawił do pionu i wepchnął na tył karetki.

- Nie widzieliście chłopca? - zapytał szef z rosnącym niepokojem.

- Nie, sir.

Tego już było dla niego za wiele. Zerwał się, wpadł do budynku i rzucił się po schodach na górę.

- Co tam jeszcze znaleźliście? - zwróciłem się do jednego z policjantów.

- To jest burdel - wyjaśnił z oblesnym uśmiechem. - Nigdy jeszcze nie widziałem tylu dam w koszulach nocnych naraz.

- A te dziewczęta?

- Pewnie nielegalne.

Znowu otworzyły się drzwi i stanęła w nich Milky Sal prowadzona za ręce przez dwóch funkcjonariuszy. Teraz miała na sobie czarną sukienkę i przypięty do włosów mały kapelusik, z którego na twarz opadał elegancki welonik.

- To jest najście na porządną kobietę, która prowadzi zwyczajny interes - oznajmiła z goryczą. - Powinniście się wstydzić, że przerywacie tak drogocenny dla moich dziewcząt sen regeneracyjny. Ostrzegam was, że pewne ważne osobistości, które u mnie goszczą, będą bardzo niezadowolone z tego zatrzymania. - Policjanci milczeli, natomiast Milky Sal krzyknęła: - Nie szczyp mnie, do cholery! - I wyrwała rękę z chwytu wyższego członka eskorty.

- Tak jest, madame - odparł.

- Na co się gapisz, palancie? - Splunęła, mijając mnie w drodze

do karetki.

- Czy znaleźliście chłopaka? - spytałem jednego z policjantów.

- Nie ma tam żadnego chłopaka, sir - odpowiedział niższy, wytarł twarz chustką i spojrzał w niebo, na którym gromadziły się ciemne chmury. - Burza idzie. W tym kotle nie da się oddychać.

Szefa spotkałem na schodach do piwnicy. Był czerwony na twarzy jak burak.

- Nie ma? - spytałem, a gdy przecząco pokręcił głową, dodałem:

- Co tam jest?

- Kuchnia i kotłownia.

- A podwórze?

- Nic oprócz prania.

Z salonu wyszedł inspektor Petleigh.

- Co wam powiedziała? - zapytał szef.

- Nic nie powiedziała. - Petleigh nie wyglądał na szczęśliwego.

- Twierdzi, że nic nie wie o żadnym chłopcu, podobnie jak o tych dziewczynkach. I nigdy nie słyszała o Creamie.

- Może ja ją przesłucham? - zaproponował szef.

- Nie igraj ze mną, Arrowood. Żadna z dziewcząt nie widziała tego chłopaka. Gdyby nie to, że znaleźliśmy te nieletnie, cała ta operacja byłaby kompletną stratą czasu. Tym razem ci się udało.

Podczas gdy szef sprzeczał się z inspektorem, ja postanowiłem sprawdzić, co jest na dole.

Schody prowadziły do przestronnej kuchni, która zajmowała większą część piwnicy. Od frontu okna i drzwi wychodziły na drugie schody prowadzące na ulicę, od tyłu było wyjście na podwórze i jeszcze jedne drzwi do spiżarni. Okna, pokryte czarną skorupą zaschniętego błota, wpuszczały niewiele światła. Wzdłuż tylnej ściany stał długi stół. Kamienna podłoga lepiała się od brudu zasypana kuchennymi resztkami i obierzynami, których sterty

zalegały po kątach. Przy piecu kuchennym stała stara kobieta i mieszała coś w dużym garze. Odwróciła się, kiedy wszedłem, spojrzała na mnie obojętnie i wróciła do mieszania.

- Czy wczoraj wieczorem był tutaj jakiś chłopiec? - spytałem.

- Nie pytaj mnie o chłopca - zaskrzeczała wciąż odwrócona do mnie tyłem. - Nie wchodzę na górę. Wiem tylko, jak schodzą na dół, żeby jeść.

- Od dawna tu jesteś?

- Od dawna.

- Masz dzieci?

- A co ci do tego? - odcięła się, uderzając chochlą o krawędź garnka i odkładając ją na bok.

- Właściwie nic. - Usiadłem przy stole i dodałem: - Ktoś porwał małego chłopca, miał dziesięć lat. Taki mały łobuziak. Podobno tu go przywieźli. - Gdy w milczeniu przykryła garniec pokrywką i wytarła ręce w fartuch, stwierdziłem na koniec: - Mogą zrobić mu krzywdę.

- Tak, miałam siedmioro - odparła wreszcie na moje pytanie. - Sześcioro umarło, zanim dożyły pięciu lat, a ostatni jest na morzu. - Podeszła powoli do stołu i usiadła naprzeciw mnie.

Miała cienkie siwe włosy, wzdęty brzuch, jakby była ciężarna, nogi i ręce cienkie jak patyczki.

- A twój marynarz ma dzieci? - zapytałem.

Wreszcie się uśmiechnęła, odsłaniając dwa chwiejne zęby w górnej szczęce.

- Całą czwórkę. Widziałam je w ostatnie Boże Narodzenie. Dałam każdemu drewnianego konika. - Zachichotała. - Za miesiąc zabiorę ich na wyścigi.

- O, to będzie wielki dzień! Lubisz konie?

- Od zawsze, od kołyski.

Pochyliłem się nad stołem i ruchem głowy wskazałem stertę szmat w kącie pod drzwiami.

- Tam śpisz? To twoje legowisko?

- Na podłodze.

- Trochę twardo, co?

- Przywykłam. - Wzruszyła ramionami. - Przynajmniej mam tu napalone. - Skrzywiła się i chwyciła za wzdęty brzuch.

- Jesteś chora, prawda?

- A kto nie jest?

- Wiesz, że nie jestem gliną.

- Możesz być tajniakiem, kto cię tam wie.

- Chcę tylko uratować tego chłopaka, zanim zrobią mu coś złego. - Kiwnęła głową i spojrzała na mnie wyblakłymi oczami, a ja spytałem: - Słyszałaś coś nocą, nad ranem, dwa dni temu? Ktoś tu przyjeżdżał?

Zastanawiała się przez chwilę, stukając palcami w blat stołu, po czym powiedziała:

- Przyjechał wóz. Portugalczyk ich wpuścił. Nad ranem, tak jak mówisz.

- Wiesz, co robili?

- Coś przywieźli, wyładowali z wozu jakieś rzeczy, coś ciężkiego, bo stękali. Nie mogę spać w nocy. Ale nie wstawałam, żeby zobaczyć, co się dzieje, jeśli o to ci chodzi.

- A chłopaka słyszałaś?

Pokręciła głową.

- Nie słyszałam ani nie widziałam żadnego dzieciaka. Zresztą wóz zaraz odjechał.

- Czy mogli gdzieś w tym domu schować chłopca?

- Nie wiem, nigdy nie byłam na górze. Wiem, że na dole na pewno go nie ma.

- Jesteś pewna, że nie wiesz, co wyładowali?

Pokazała palcem brudne okno wychodzące na ulicę. Widać przez nie było fragment koła karetki policyjnej i końskie kopyta.

- Wielki biały koń z czarnymi skarpetkami.

- Kto powoził?

- Sparks. Prowadzi zakład bednarski na Cutler's Court. Ładną ma tę kobyłkę, ale nie traktuje jej dobrze. Ani mnie. - Zarechotała. - Ale z nią to my się dobrze rozumiemy. Czasem coś jej zaniosę, jak tam tak stoi. Starą marchew albo coś. Albo dam wody, kiedy jest gorąco. - Gdy wstałem, szykując się do wyjścia, spytała nerwowo: - Ale nie powie pan Sal, że z panem rozmawiałam, co?

- Jasne, że nie. A ty lepiej idź do doktora.

Skuliła się i zmarszczyła twarz w brzydkim grymasie.

- Życzę ci, żebyś znalazł tego chłopaka - powiedziała, przyciskając głowę do kolan z bolesnym jękiem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ulice były zatłoczone. Do gęsto rozmieszczonych w tej dzielnicy fabryk szły gromady kobiet z naręczami drucianych szkieletów do produkcji parasolek, workami pełnymi czapek, a także pracownicy portowi i tragarze.

Z nieba nieśmiało pokapywały krople deszczu, ale na panującą duchotę nie było to żadne lekarstwo, więc powietrze wciąż było gęste i lepkie. Niepokoilem się o szefa. Z jego chorych płuc wydobywały się groźne świsty i gwizdy. Utykał na zaatakowaną podagrą nogę i pocił się tak obficie, że pot przenikał przez cienką niebieską marynarkę. Innymi słowy, wyglądał żałośnie. Patrząc, z jakim trudem przedziera się przez poranną falę przechodniów, sam poczułem się wyczerpany. Próbowałem go przekonać, żeby wrócił do domu, a ja poproszę o pomoc Sidneya, ale tylko się zmarszczył i machnął mi laską przed nosem.

- Minęły już dzień i noc - powiedział. - Chłopak na pewno strasznie się boi, musi być na skraju wyczerpania.

I brnął dalej przed siebie, garbiąc się pod ciężarem dojmującego poczucia winy. Nie rozmawialiśmy o tym, czego obawialiśmy się najbardziej: że Neddy jest już za granicą, bo został sprzedany przez Creama jakiemuś cudzoziemcowi. Albo że już nie żyje.

- Znajdziemy go - powiedziałem.

Szliśmy dalej.

- Zastanawiam się nad tym, jak go złapali - mruknął, z trudem łapiąc powietrze. - A jeśli nie pobiegł od razu do domu po tym, jak rzucił kamieniem w okno?

- Kazaliśmy mu natychmiast uciekać, jak tylko nas ostrzeże.

- Ale Neddy uwielbia mi zaimponować. Zawsze robi więcej, niż się go prosi. Nie wystarcza mu, że zapewnia byt siostrze i matce, stara się zrobić także coś dla mnie, żebym był zadowolony. Więc może został na wypadek, gdybyśmy go jeszcze potrzebowali? Może chciał sprawdzić, co robią ludzie Creama?

Minęliśmy ostatnie skrzyżowanie przed zakładem bednarskim, gdy nagle, bez ostrzeżenia, szef złapał mnie za koszulę i pociągnął w wąską uliczkę.

- Jezus Maria! - syknął, zaglądając ostrożnie w głąb uliczki. - To ona!

- Kto?

- Moja siostra - wyszeptał. - I cała reszta. Schowaj się.

Przycupnęliśmy w bramie, czekając, aż nas miną. Główną ulicą dumnie i zdecydowanie defilowało siedem dam. Siedem, czyli wszystkie: Ettie, pani Truelove, panna James, pani Campbell, panna Crosby, pani Boothroyd i pani Dewitt. Każda z wyrazem determinacji na twarzy, każda z koszykiem w ręce. Minęły zakład bednarski i skręciły w następną alejkę po prawej.

- Co to za ulica, w którą skręciły? - zapytał szef.

- Cutler's Court.

- No przecież! - Jęknął z cicha. - Powinienem był pamiętać! To jest miejsce, które będą ratować.

Kiedy ostatni czepek zniknął za rogiem, wróciliśmy na ulicę. Do zakładu bednarskiego wychodziło się dwuskrzydłową bramą. Wewnątrz dwaj mężczyźni wykuwali metalowe obręcze, dwaj inni pracowali przy piłach. Na zewnątrz stał wóz zaprzężony w wielkiego białego konia w czarnych skarpetkach, z którym zaprzyjaźniła się stara kucharka. Koń zwieszał smutno łeb, miał spojrzenie pełne cierpienia i pianę na czarnych wargach.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i weszliśmy do zakładu. W środku panował żar od rozgrzanego niewielkiego pieca hutniczego. Robotnicy pracowali bez koszul. Na kamiennej podłodze pod ścianami piętrzyły się sterty beczek różnych rozmiarów. Wszędzie wokół, na ścianach i w rękach robotników, widziałem piły, młoty, siekiery, topory oraz kawałki drewna o ostrych krawędziach poznaczone wilgotnymi i różowymi w blasku ognia śladami po świeżych cięciach. W głębi, na tyłach zakładu, były drzwi, które prowadziły na podwórze. Tam także, pod gołym niebem, stały rzędy beczek. Tak spotkaliśmy Sparksa, który rozmawiał z jednym z woźniców.

- Słucham, czym mogę służyć? - zwrócił się do nas. Miał piegowatą twarz, ubrany był w marynarkę założoną na gołe ciało. Przez dziury w butach wystawały palce.

- Przyszliśmy po chłopaka - oświadczył szef.

Sparks zmarszczył brwi, po czym odparł:

- Nie ma tu żadnych chłopców, sir.

- Wiemy, że tu jest - powiedziałem. - Więc lepiej go oddaj.

Jego spojrzenie stwardniało. Podniósł głos.

- Powiedziałem już, że nie ma tu żadnego pieprzonego chłopca. Zabierajcie się stąd.

Stukanie młotów ustało, robotnicy patrzyli na nas. Wyglądali dość przerażająco: poorani bliznami, potłuczeni i okopceni sadzą, groźny wzrok. Mieli też przewagę liczebną.

- Sir - zaczął szef. - Nie chcemy sprawiać kłopotu. Oddajcie nam tylko chłopca. Grzecznie was proszę. Bez niego stąd nie wyjdziemy.

- Chłopaki! - krzyknął Sparks. - Chodźcie no tu!

Jeden z potężnych drabów odłożył piłę i zbliżył się do nas. Drugi, który wyglądał jak jego brat, podszedł z drugiej strony

z pałką policyjną w dłoni. Jeszcze inna para, jeden z pogrzebaczem, a drugi z wielkimi obcęgami, podbiegło od strony pieca. Na koniec jeszcze czterech odcięło nam drogę do wyjścia.

- No dobrze już, dobrze. - Szef, przestępując z nogi na nogę, próbował zażegnać zagrożenie mniej już pewnym głosem. - Nie ma powodu do niepokoju, sir. Proszę nam tylko powiedzieć, gdzie jest nasz chłopiec. W przeciwnym razie będziemy musieli wezwać policję, żeby przeszukała pański zakład.

Od razu wiedziałem, że był to błąd. Przez twarz bednarza przemknął leciutki uśmiezek. Byliśmy zdani na jego łaskę i niełaskę, o czym doskonale wiedział.

- A kim wy, do diabła, jesteście, łachmyty zapaprane? - zapytał, mierząc nas pogardliwym spojrzeniem.

- Jesteśmy opiekunami tego chłopca, sir - odparł szef, wkładając kciuki za rękawy kamizelki w geście mającym wyrażać pewność siebie, której trudno było dopatrzeć się w wyrazie jego twarzy. - Proszę się uspokoić i powiedzieć nam, gdzie on jest.

Sparks ruchem głowy przywołał dwóch braci, którzy chwycili mnie mocno za ramiona, a dwaj młodszy pracownicy złapali szefa. Podszedł do nas także atleta o kręconych jasnych włosach, machając ogromnym młotem kowalskim.

- Zaprzyj drzwi, Dennis - rozkazał Sparks.

Dennis, najniższy z nich, zamykał wrota od ulicy, a atleta stanął między nami. Opierał młot kowalski na piersi i przekrzywiwszy głowę, czekał na rozkaz. W jego jasnych oczach nie było cienia życzliwości.

- Panowie - próbował jeszcze szef, zwilżając językiem suche wargi. - Nie ma potrzeby posuwać się do przemocy. To tylko pogorszy sytuację.

Próbowałem się wyrwać, ale bracia wykręcili mi ręce na plecach, aż zawyłem z bólu. Szef spojrział na mnie z przerażeniem. Sparks podrapał się pod pachą przez marynarkę. Wrota zostały zamknięte z głośnym łomotem.

- No więc, panowie - wycedził powoli Sparks - mówcie, kim jesteście i o co tu chodzi, do kurwy nędzy.

- Pański wóz widziano wczoraj - z nerwowym pośpiechem zaczął szef - przed domem Milky Sal.

- Co to ma wspólnego z jakimś chłopakiem?

- Policja dostała cynk, że chłopak jest u Milky Sal, ale go tam nie znaleźli. Stąd wniosek, że został zabrany, zanim przyjechali.

- Aha, i niby ja go zabrałem, tak? - zapytał Sparks ironicznie.

- Tak nam się wydaje - potwierdził szef.

Ktoś zaczął uderzać młotkiem w stojącą za nami beczkę, a po chwili drugi młotek uderzył w kowadło. Uderzenia brzmiały jak dwa niesynchronizowane zegary i rozchodziły się echem po całym warsztacie. Sparks wpatrywał się w oczy szefa. Spróbowałem jeszcze raz wyrwać się z uścisku braci, ale trzymali mocno. Atleta oparł młot na ramieniu i świdrował mnie zimnym spojrzeniem. Za każdym walnięciem młotka szef kulił się, jakby te uderzenia spadały wprost na niego. Czułem, że mnie także zaczyna to denerwować.

- Kto dał cynk glinom? - zapytał Sparks.

- Nie wiemy kto - odpowiedział szef pośpiesznie. - Nie powiedzieli nam, tylko kazali przyjechać pod Milky Sal.

Sparks dał znak osiłkom, którzy trzymali szefa. Podcięli mu nogi i pan Arrowood z okrzykiem bólu runął na posadzkę. Jeden z oprawców wykręcił szefowi rękę z tyłu, a drugi usiadł mu na nogach. Uderzenia młotków przybrały na sile.

- Puszczajcie, dranie! - krzyknął szef zduszonym głosem.

Sparks postawił but na szyi szefa i przycisnął mu twarz do ziemi.

- A dlaczego myślisz, że mam tego chłopaka?

- Gliny zabrały Sal i całą resztę na posterunek - wtrąciłem. - Kiedy stamtąd wychodziliśmy, z okna wychylił się sąsiad i krzyknął, że był tam jakiś wóz.

Sparks skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał na rozplaszczonego na podłodze szefa. Namyślał się przez chwilę.

- To znaczy, że gliny nie wiedzą, że tu jesteście - stwierdził, po czym spojrzał na kędzierzawego atletę z młotem. - Trochę to popieprzone, co nie, Robbie?

- Popieprzone na fest - przyznał atleta.

Sparks zbliżył się do mnie i spojrzał mi zimno w oczy. Twarz miał spoconą, a oczy żółte.

- No dobra, zaczniemy od tego dużego - oznajmił.

Wyprężyłem się najsilniej, jak tylko mogłem, próbując strząsnąć z siebie osiłków, ale nie miałem na to żadnych szans.

- Dobrze wiedzą, że tu jesteśmy! - krzyknął szef, podnosząc głowę znad podłogi. Okulary zsunęły mu się z nosa, wisiały tylko na jednym zauszniku. Młodzi bednarze mocniej przycisnęli go do ziemi, a on dodał jeszcze: - Daliśmy im znać, że tu idziemy!

Sparks popatrzył na niego złym wzrokiem, po czym bez ostrzeżenia uderzył mnie w twarz otwartą dłonią. Widziałem, jak się zamierza, ale ci dwaj trzymali mnie tak mocno, że nie mogłem się uchylić.

Zakląłem, wypluwając krew z ust na kamienną posadzkę.

- Nie myślisz chyba, Sparks, że przyszliśmy tutaj sami dla przyjemności - oznajmił szef. - Nie jesteśmy idiotami.

Sparks znowu się namyślał, spoglądając z odrazą na czerwoną twarz szefa. Zamachnął się znowu, żeby mnie uderzyć. Skuliłem

się, ale jednak nie uderzył. Roześmiał się tylko szyderczo i warknął:

- Zabierzcie ich stąd, chłopcy.

- Nie! - wrzasnął szef, kiedy zaczęli ciągnąć go po posadzce. - Oddaj nam chłopaka!

Sparks chwycił szefa za kołnierz płaszcza i przyciągnął go do siebie tak blisko, że ich twarze niemal się dotykały.

- Nie wiem o żadnym chłopaku - wysyczał. - Odpieprz się i podziękuj, że jednak nie wrzuciłem cię do tego pieca. Choć co się odwlecze...

Zaciągnęli nas do wyjścia i wyrzucili na ulicę. Dennis wprowadził białego konia z wozem do zakładu i zatrzasnął wrota.

Wyplułem resztę krwi, która ciekła mi z ust. Byłem wściekły. Szef otrzepywał ubranie z brudu i kurzu.

- On tam jest - powiedziałem z przekonaniem. - Zauważył pan, jak Sparks drgnął, kiedy zapytał pan o chłopca?

- Tak, zauważyłem - potwierdził szef, popatrując w stronę zakładu. - Ale nie byłem pewien. Jak twoje zęby?

- Mniejsza o nie. Co teraz? Jak odzyskamy chłopaka?

- Wciąż zastanawiam się nad tym, co powiedział Lenny. Naprawdę zachowywał się tak, jakby nie wiedział, gdzie jest Neddy. Coś mi się wydaje, Barnett, że on nie jest aż taki twardy, żeby wytrzymać podtapianie, jakie mu zafundowaliśmy.

Nie słuchałem, co mówi. Martwiłem się, że straciliśmy jedyną szansę na odzyskanie chłopaka. Jeśli go tam nie było, to nie wiedziałem, co robić.

- Moim zdaniem Sparks coś kombinuje - powiedziałem. - Dlaczego zamknął wrota, chociaż skwar aż bucha? Przecież tam jest kuźnia, a w niej dziesięciu facetów, z których leje się pot. I po co miałby wprowadzać tam wóz z koniem, który ledwie dyszy

w tym upale. Coś czuję, że będzie próbował wywieźć Neddy'ego z tego zakładu.

Szef szedł powoli wąską uliczką zatopiony w myślach. Myślałem, że mnie nie usłyszał, jednak odpowiedział:

- Neddy'ego albo inny złodziejski łup, który chce ukryć przed policją.

Nieznośny upał przygniatał nas do ziemi i sprawiał, że czułem się coraz bardziej poirytowany.

- Musimy coś zrobić, i to zaraz! - zawołałem. - Jeżeli on tam jest, to za chwilę Sparks wywiezie go w siną dal.

- Przecież wiem! - krzyknął rozjuszony. - Niech to wszyscy diabli, Barnett! Musimy tam wrócić. Nie mamy czasu, żeby wzywać policję.

Zaczął chodzić zrozpaczony w tę i z powrotem, ociekając potem.

Aż nagle rozbłysły mu oczy.

- Mam pomysł! Chodź za mną! Pośpiesz się!

Popędził przed siebie, minął zakład i skręcił w jakieś podwórze. Pobiegnęłam za nim. Wewnątrz panował półmrok, ponieważ budynki, choć niewysokie, ze wszystkich czterech stron stały ciasno obok siebie, zasłaniając słońce. Między nimi rozciągał się podłużny błotnisty dziedziniec, a na jego środku znajdował się otwarty odpływ ścieku. Smród był nie do zniesienia. Wokół walały się puste muszle po ostrygach, łąziły psy i nagie dzieci.

W budynkach nie było drzwi, zamiast nich ziały czarne otwory, wszystkie okna na parterze były pozabijane deskami. Pijana starucha siedziała na schodach z zamkniętymi oczami i bełkotliwie nuciła wulgarną przyśpiewkę. Pod ścianą stała gromada brudasów w poszarpanych koszulach i w milczeniu gapiała się na nas.

Natomiast w bramach stały misjonarki i rozmawiały z mieszkańcami. Nadąsana młoda kobieta, trzymając brązową paczkę, słuchała pani Truelove. Chudy jak szczapa mężczyzna z twarzą pokrytą wrzodami mówił coś głośno i szybko do pani Dewitt, która odsuwała się od niego jakby w obawie, że ją zarazi. Dwie matki z dziećmi na rękach uprzejmie potakiwały, słuchając obszernego wywodu pani Campbell.

Szef podszedł do Ettie, która wręczała siedzącemu na skrzynce staruszkowi paczkę mydła karbolowego.

- William! - wykrzyknęła Ettie. - Jak mnie znalazłeś?

- Słuchaj, siostrzyczko, mamy do was pilną sprawę. Uprowadzono Neddy'ego. Ludzie Creama ukryli go w zakładzie bednarskim przy końcu tej uliczki. - Wyciągnął chustkę, żeby przetrzeć twarz. - Pobili Barnetta, a mnie chcieli pogruchotać kości kowalskim młotem. - Ettie z wrażenia zaparło dech, a szef przeszedł do sedna: - Potrzebujemy waszej pomocy, żeby przeszukać ten zakład. Jestem pewien, że nie ważą się was tknąć.

- Chcesz, żebyśmy tam poszły i go uwolniły?

Staruszek zachichotał, ale ten śmiech przerodził się w głęboki przejmujący kaszel.

- Myślę, że Neddy jest zamknięty w którejś ze skrzyń - powiedział szef. - Ale mogli go też do czegoś przywiązać. Trzeba przeszukać cały teren.

- To nie jest bezpieczne, William. Ilu ich tam jest?

- Dziesięciu.

- A nas jest tylko siedem.

- Jestem pewien, że kobiet nie tkną. Pokażcie im krzyżyki, przywołajcie imię Ukrzyżowanego...

- Och, Williamie! - gwałtownie wpadła mu w słowo. - Czyżbyś nie czytał gazet? Nie ma dnia, żeby jakiś mężczyzna nie

zamordował jakiejś kobiety. Powinniście wezwać policję.

- Nie ma na to czasu. Ta banda myśli, że policja jest w drodze. Musimy to zrobić natychmiast, zanim chłopaka gdzieś wywiozą.

Ettie splotła dłonie i marszcząc brwi, rozejrzała się po podwórzu.

- To ci sami ludzie, których dotyczy twoje śledztwo?

- Tak, Ettie.

- Bracie mój! Ostrzegałam cię, żebyś nie wplątywał dzieci do swojej niebezpiecznej pracy. Przecież cię ostrzegałam! Przecież mówiłam!

- Proszę cię, Ettie. Oni chcą go gdzieś wywieźć, sprzedać, może nawet zamordować. To nasza jedyna szansa, żeby go uratować.

Patrzyła na niego surowym wzrokiem. Oddychała ciężko, nozdrza jej drżały... i nagle odwróciła się w kierunku kobiet, po czym klasnęła w dłonie. Natychmiast wszystkie wyłoniły się z bram.

- Drogie panie! - gromko oświadczyła Ettie. - Mój brat potrzebuje pomocy. W tym zakładzie bednarskim uwięziono chłopca. Musimy go uwolnić!

Panie dały wyraz swemu oburzeniu, a pani Dewitt stwierdziła z emfazą:

- Szatan nas tutaj wyprzedził. Ale przepędzimy Nieczystego!

- Chłopiec ma dziesięć lat i ma na imię Neddy - ciągnęła Ettie.

- Musimy tam wejść i go odszukać. Zaglądajcie wszędzie, gdzie mogli go ukryć. Będą tam robotnicy, ale nie zwracajcie na nich uwagi.

- Czy mogą nas powstrzymywać? - zaniepokoiła się pani Truelove.

- To niewykluczone - przyznała Ettie. - Dlatego musimy działać szybko, zdecydowanie i z pełnym przekonaniem. Nasz Pan da

nam siłę!

Pani Truelove przybrała bojową postawę i klasnęła w dłonie.

- No to do dzieła, moje panie! - zakomenderowała.

Opuściliśmy dziedziniec i udaliśmy się pod zakład bednarski. Panie zaczęły łomotać do drzwi, a kiedy je otwarto, wkroczyły do środka i bez słowa rozbiegły się po całym wnętrzu.

My zatrzymaliśmy się na ulicy i obserwowaliśmy, co się dzieje.

- Hej! - krzyknął Sparks, przecinając podwórze. - Co wy tu robicie?

- Proszę zostawić nas w spokoju, sir - odparła pani Truelove. - Szukamy tu chłopca.

- Nie ma tu żadnego chłopca!

Sparks aż buchał wściekłością. Twarz mu poczerwieniała, dziko wymachiwał rękami.

- Już mówiłem jego opiekunom, że go tu nie ma. Wynoście się stąd! Jazda z zakładu!

Pani Truelove zignorowała go i jak pozostałe damy kontynuowała poszukiwania, podnosząc pokrywy beczek, zaglądając w każdy kąt, wykrzykując:

- Neddy! Neddy!

Robotnicy patrzyli w milczeniu, nie wiedząc, co robić.

Pani Truelove podeszła do sterty beczek pod ścianą i zaczęła sprawdzać zawartość każdej z nich po kolei.

- Drogie panie! - krzyknęła. - Szukajcie skrzyni. I zaglądajcie tylko do beczek z pokrywami. Pani Dewitt, panno James, proszę sprawdzić, czy jest tu jakiś magazyn.

Sparks rzucił się do niej, chwycił za rękę i szarpnął gwałtownie do tyłu. Ettie, która przeszukiwała stajnię, natychmiast przybiegła z pomocą.

- Puść ją! - krzyknęła, szarpiąc go za kurtkę.

Nie zwracając na nią uwagi, Sparks uderzył panią Truelove w twarz i pociągnął w kierunku drzwi. Pani Truelove opierała się dzielnie, ale Sparks był znacznie silniejszy i wypchnął ją na ulicę.

- Wypieprzajcie stąd, wiedźmy! - ryknął w głąb zakładu. - Chłopaki, połapcie je i powyrzucajcie!

Robotnicy rozbiegli się po terenie i zabrali się do zadania. Pani Dewitt, popchnięta przez jednego z braci, z piskiem runęła na stertę nitów i rozcięła sobie dłoń. Z rany obficie pociekła krew. Nie zważając na to, olbrzym chwycił ją za nogę i ciągnął do wyjścia. Sparks zapędził pannę James w pułapkę między dwoma wielkimi kadziami, złapał ją za włosy i też powlókł w kierunku drzwi. Panna James wyła jak szalona, machając rękami i drapiąc go po twarzy.

Sparks zaklął i krzyknął do atlety:

- Robbie, pomóż mi, do kurwy nędzy!

Podnieśliśmy panią Truelove z trotuaru. Miała spuchnięte usta, ale wygładziła tylko spódnicę i natychmiast zawróciła do środka. Ruszyliśmy za nią, a kiedy wchodziliśmy przez wrota, szef klepnął mnie w ramię, wskazując wóz, który wraz z wymęczoną szkapą stał w pobliżu pieca. Był wyładowany takimi samymi długimi skrzyniami, jak te, które widzieliśmy poprzedniej nocy w Barrel of Beef. Tyle że tym razem było ich więcej, co najmniej trzydzieści. Na podłodze obok leżała zwinięta plandeka.

Podczas gdy robotnicy zajmowali się wyłapywaniem kobiet, my opukiwaliśmy skrzynie. Pani Truelove z furią chwyciła szufłę do ładowania węgla i pobiegła za Sparksem.

Nagle od strony podwórza dobiegły gromkie słowa wykrzyczane ze szkockim akcentem przez panią Campbell:

- Jest tutaj! Mam go! Znalazłam!

Neddy wyskoczył na środek zakładu, po czym rzucił się do

ucieczki, przykucając raz po raz i biegnąc zakosami w kierunku wyjścia. Bednarze stali zdumieni, nie wiedząc, czy mają go zatrzymać, czy łapać kobiety. Twarz miał pobrudzoną sadzą, oczy zaczerwienione od płaczu, nie miał butów ani czapki.

- Łapcie go! - wrzasnął Sparks, puszczając pannę James. - Co tak stoicie, do diabła!

Jednak Neddy już dopadł do drzwi.

- Biegnij! - krzyknął szef. - Uciekaj stąd!

- Zmykaj, Neddy! - przyłączyłem się.

Chłopak puścił się pędem w głąb uliczki i wkrótce zniknął za rogiem, nim Sparks zdążył zebrać swoich ludzi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kiedy dotarliśmy na Coin Street, Neddy siedział w sklepie na wysokim stołku nad wielką porcją puddingu. Przywitał nas uśmiechem promiennym na tyle, na ile pozwalały mu pełne puddingu i spuchnięte usta. Szef objął go bez słowa.

- Dałam mu pudding, Ettie - powiedziała pani Pudding, przerywając zamiatanie. - Bo jak tu przybiegł, to wyglądał na strasznie wygłodzonego, biedaczek.

- Dziękuję - odparła Ettie. - Całą noc był zamknięty w beczce.

Patrzyliśmy z Ettie, jak szef przytulił chłopca. Widzieliśmy jego sękatą głowę poczerwieniałą od wysiłku i gorąca, skurczoną w grymasie twarz, zaciśnięte powieki za okularami. I widzieliśmy, jak po jego tłustym policzku stoczyła się łza. Wtedy gwałtownie puścił chłopca, żeby ją otrzeć.

- Oj, Neddy, Neddy, ty łobuzie. Jesteś dzielny chłopcem.

- To nic wielkiego, sir.

Dopiero wtedy zauważyliśmy, że chłopak stracił jeden ząb.

- Wybili ci ząb? - zapytałem.

- Beczka spadła z wozu - powiedział chłopak. - Nawet wcale nie bolało, sir.

- Sami widzicie, jaki jest dzielny - powiedział szef z dumą, patrząc na nas.

- Cieszę się, że mnie znaleźliście, sir. Nie podobało mi się w tej beczce.

- Też by mi się nie podobało - przyznał szef z uśmiechem. - Zwłaszcza w taki gorący dzień.

- O tak, było naprawdę gorąco. Prawie się ugotowałem. Nie

wiedziałem, gdzie jestem.

- Opowiedz, jak to się stało.

- Przepraszam, sir. Powinienem zaraz uciekać, jak pan kazał.

- No tak. - Szef zerknął na mnie z triumfalnym uśmieszkiem.

- Ale kiedy weszli do środka, to pomyślałem, że mogę ich podsłuchać - ciągnął Neddy. - Rozmawiali chyba o czymś ważnym. Chciałem się dowiedzieć i powiedzieć panu, panie Arrowood. Tak jak pan uczył, schowałem się pod wozem, żeby nikt mnie nie wyparzył.

- Mów dalej, Neddy.

- Wtedy przyjechało lando i zaparkowało od frontu. Myślałem, mogą mnie zobaczyć, i wlałem do beczki. Ale jak przyszli, to ją zamknęli, i już się nie mogłem wydostać.

- Czy zrobili ci coś złego, synu?

- Oni w ogóle nie wiedzieli, że tam jestem, sir. Siedziałem cicho przez całą noc, nawet jak przenosili beczkę. Wiedziałem, że pan przyjdzie i mnie uratuje, panie Arrowood. Dlatego ani nie krzyczałem, w ogóle się nie odzywałem. Wiedziałem, że pan przyjdzie.

- Miałeś wielkie szczęście, Neddy - powiedział szef twardo. - Jak długo byś tam wytrzymał?

- Niewiele dłużej, sir - odparł chłopiec cicho. - Już prawie miałem wołać, żeby mnie wypuścili. Było tak gorąco, że prawie się upiekłem.

- Nigdy więcej tego nie rób, Neddy. Zawiodłem się na tobie. Czy wiesz, że ci ludzie mogli cię zabić? - Gdy Neddy skulił się w sobie, dodał: - Moglibyśmy cię nigdy nie znaleźć.

Szef patrzył na spuszczoną głowę chłopca i na jego ramiona, które zaczęły gwałtownie podrygiwać, a Ettie podeszła do mnie i zapytała szeptem:

- Czy on płacze?

Gdy potwierdziłem ruchem głowy, Ettie dźgnęła szefa łokciem.

- No dobrze już, Neddy - powiedział szef cicho, kładąc mu ręce na ramionach. - Zapomnijmy o tym. Chciałeś nam pomóc. Rozumiem to. Byłeś bardzo dzielny.

Chłopiec pokiwał głową.

- Czy boli cię warga? - zapytała Ettie.

- Nic mi nie jest, psze pani, wytrzymam.

- A pomogłaby ci jeszcze jedna porcja ciasta?

Podniósł oczy mokre od łez.

- Może trochę pomóc.

- W takim razie skończ pudding i pójdziemy na ciastko.

- Ja nic bym im nie zdradził, sir - zapewnił Neddy, odzyskując pewność siebie. - Powiedziałbym, że robiłem włam na ich garnki, żeby je komuś sprzedać. Wszystko sobie zaplanowałem.

- Całkiem sprytnie - pochwalił szef, grzebiąc w portfelu. - Ale następnym razem pamiętaj: pierwsza zasada detektywa, to nie narażać się na niebezpieczeństwo. No, a teraz masz tu szylinga, którego ci obiecałem.

Neddy pokiwał głową, z poważnym wyrazem twarzy wziął monetę i schował do kieszeni.

- Sir? - zwróciłem się do szefa, a kiedy na mnie spojrzał, wytrzymałem jego wzrok.

Wtedy pogłaskał chłopaka po głowie i przygarnął go do siebie, pośpiesznie i na krótko.

- Dobry chłopak - powiedział.

- Sir? - powtórzyłem, patrząc na niego wyczekująco.

- No dobrze, chłopcze - ciągnął szef, kompletnie mnie ignorując. - Twoja matka niepokoi się o ciebie. Zabieraj ciastko i zmykaj do domu. Kup trochę grochowego budyniu dla rodziny.

Ja zapłacę, Albercie. Oczywiście z rabatem, jak zwykle.

- Mówił pan o premii - nie wytrzymałem.

- Premii? - zdziwił się. - Jakiej premii? Ja mówiłem coś o premii?

- Tak. Mówił pan, że mu pan da szylinga ekstra za te wszystkie przejścia. Chłopak stracił buty. I czapkę.

Szef zadarł głowę i zmrużył oczy.

- Nie przypominam sobie...

- Tak, Williamie - poparła mnie Ettie, zorientowawszy się, o co chodzi, i mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

- Daj mu tego szylinga ekstra, Williamie. Obiecałeś, że mu dasz.

Szef chrząknął, po czym z ociąganiem wyłowił kolejną monetę z portfela.

- Dziękuję, proszę pana - powiedział Neddy. Oczy rozbłysły mu na myśl o nagłym bogactwie.

- Proszę bardzo, synku. A teraz idź do salonu, niech Ettie obetrze ci twarz.

Na posterunku policji zastaliśmy inspektora, który jeszcze nie poszedł do domu. Ucieszył się na wiadomość, że odnaleźliśmy Neddy'ego.

- Powinniście być zadowoleni, że jednak nie zmarnowaliście całkiem mojego czasu - oznajmił Petleigh, gdy tylko weszliśmy do jego biura. - Jedna z dziewcząt, które zatrzymaliśmy u Milky Sal, zeznała, że była bita i wykorzystywana przez wielu mężczyzn. Nie pozwalano jej opuszczać domu, faktycznie była uwięziona. Na podstawie tego świadectwa możemy podać Sal do sądu. Jest więc jakiś pożytek z twojego fałszywego tropu, Arrowood. Dziewczyna jest Francuzką i ma czternaście lat. Niczego nie pragnie bardziej, jak powrotu do domu.

Szef pokręcił wielką jak gigantyczna rzepa głową i stwierdził, że niestety dziewczyna ma już i tak zrujnowaną reputację.

- Nie wierzysz w poprawę, w powrót do normalnego życia, Williamie? - zapytał Petleigh.

- Żyła jak dziwka, jej umysł uległ zmianie. - Szef wzruszył ramionami. - Czy to się da cofnąć?

Nie znośm, kiedy tak mówił. Nie znam się na poglądach, gubię się w tych wszystkich rozważaniach, ale wydaje mi się, że jego opinie jakoś się nie kleiły. Raz doszukiwał się pozytywnych stron w największych łajdactwach Londynu, a kiedy indziej bez zająknięcia podzielał najgłupsze poglądy swojej klasy.

- No cóż - podsumował Petleigh. - To nie należy już do policji. Na dzisiaj została uratowana, więcej nie możemy dla niej zrobić.

- A jaka jest jej historia? - zapytałem.

- Ojciec zmarł na gorączkę, matka poszła na służbę. Dziewczyna ma czterech młodszych braci. Dopóki matka nie straciła pracy, opiekowała się nimi babka, ale bez pensji matki babka nie miała na ich utrzymanie. - Petleigh westchnął i oparł się na fotelu. - Dowiedziały się o jakiejś Angielce, która szuka dziewcząt na służbę. Wygląda na to, że niektórzy nasi arystokraci wolą służące z Francji. Panuje powszechne przekonanie, że Francuzki są grzeczniejsze i mają lepsze maniery. Tak czy owak, to była ściema. Angielka sprowadziła dziewczynę z Rouen, z dala od rodziny, i tyle. Druga dziewczyna też jest Francuzką, ale nie mówi po angielsku.

Spojrzelismy po sobie z szefem.

- Obie są z Rouen? - zapytał szef.

- Obie.

- Danina z dziewic? - zapytałem.

- Wciąż to samo. - Petleigh mocno skinął głową. - Choć na

okrągło piszą w gazetach, że ten proceder został wykorzeniony, handel ludźmi wciąż kwitnie po obu stronach kanału. Nasze dziewczyny przewozi się na kontynent, a ich dziewczyny płyną do nas. Niestety w tym przeklętym mieście mamy zbyt mało policjantów, a za dużo przestępców. - Twarz miał mokrą od potu. Podniósł się, żeby otworzyć drzwi i zrobić przewiew. Okno było otwarte i zablokowane słoikiem marynowanych ogórków. - Przeklęty upał! - Kopnął wściekle stojący przy biurku wiklinowy kosz na śmieci.

- Może porozmawiam z Milky Sal - zaproponował szef, podnosząc się z krzesła.

- Już z nią rozmawiałem.

- Proszę, niech pan mi da pięć minut.

- Mówi, że nic nie wie o tym morderstwie.

- Muszę ją zapytać o coś innego.

- W sprawie morderstwa?

- W sprawie, którą nam zlecono. Panu też może się to przydać.

Petleight westchnął zniecierpliwiony. Zrzucił z siebie czarny płaszcz i powiesił go na oparciu fotela.

- Poradzimy sobie bez ciebie, Arrowood.

- Przecież znaleźliśmy chłopca - przypomniał szef.

- Ale najpierw go zgubiliście!

- Jeszcze jedno: kiedy Sparks myślał, że policja jest już w drodze, zaczął ładować te same drewniane skrzynki na wóz, które przywiózł z Barrel of Beef poprzedniej nocy. On coś ukrywa, coś kombinuje.

- Posłuchaj, Arrowood. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Czy myślisz, że będę sobie zawracał głowę kradzieżą jakichś skrzynek?

- Proszę tylko o rozmowę z Sal.

- Powtarzam, nie!

- Niech cię licho, Petleigh! - wykrzyknął szef rozeźlony jego uporem. Otarł twarz z potu i dodał: - Francuz, którego szukamy, jest z Rouen. Sal może coś wiedzieć na ten temat, a nam bardzo brak informacji.

Petleigh założył ręce na piersiach. Oczy rozbłysły mu wojowniczo.

- Dosyć tego! - powiedział. - Proszę wyjść z mojego biura, obydwaj! Nie ma o czym gadać!

- Posłuchaj, Petleigh... - nalegał szef.

- Sir - powiedziałem, kładąc mu łagodnie rękę na ramieniu - nie w ten sposób.

- Wynoście się! - powtórzył Petleigh, gorączkowo szarpiąc wąsy. - Nie mam czasu na zajmowanie się waszymi histerycznymi opowiastkami.

Na ulicy zwróciłem się do szefa z propozycją:

- Sir, może następnym razem pójdę do inspektora sam? Panu trudno utrzymać nerwy na wodzy. Jak na osobę, która zagląda ludziom w dusze, jest pan wyjątkowo ślepy na tego człowieka.

Szef mruknął coś, po czym oznajmił już w sposób zrozumiały:

- On mnie po prostu denerwuje. - Niecierpliwie machnął ręką.

Przy ulicy była kawiarnia i poczuliśmy zapach pieczonego ciasta. Szef wziął mnie pod ramię i zaprowadził do środka.

Lewis był również w nie najlepszym nastroju. W jego jaskini zawalonej do sufitu produktami, których nigdy nie sprzeda, panował jeszcze większy zaduch niż w piekarni, tym bardziej że na tyłach nie było ani okna, ani tylnego wyjścia, żeby zrobić przewiew. Na zewnątrz wisiały przywiązane do framugi drzwi kabury i pęki rękawic bokserskich, a nad framugą szeroki wybór

noży myśliwskich. Na trotuarze przed wejściem stały skrzynie z białą bronią, łukami, laskami, parasolkami, a w witrynie można było podziwiać przegląd różnych rodzajów rewolwerów. Lewis siedział w pełnym słońcu wśród swoich skarbów. Był spocony i okutany grubym czarnym płaszczem, twarz miał pokrytą plamami i lśniąca, tłuste włosy przyklejone do czaszki. Ożywił się na widok porcji smażonej ryby, którą mu przyniosłem. Przesunęliśmy ławkę w cień i zabraliśmy się do jedzenia.

Kiedy skończyliśmy, szef zapytał Lewisa, czy zna niejakiego Longmire'a.

- Tego z Ministerstwa Wojny? Tak, słyszałem o nim. - Rzucił tłusty papier na ulicę, podniósł się, stękając, i wszedł do sklepu, a po chwili wrócił z książką w ręku. - No tak, tak, rzeczywiście - mruzczał, przerzucając kartki. - Pułkownik Montague Longmire. Jest podwładnym generała Evelyn Wooda. - Spojrzał na nas. - Czy to ma związek z tym pociskiem?

- Może mieć. Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

- Drugi syn lorda Longmire'a. Rodzina z Gloucester. O ile pamiętam, jest sprzymierzeńcem Naczelnego Dowódcy.

- Czy służył w Irlandii? - zapytał szef.

- Tego nie wiem.

- Katolik?

- Wątpię.

- Żonaty?

- Czy każdy szacowny dżentelmen jest żonaty?

- Na przykład ty, Lewis - powiedział szef.

Lewis roześmiał się, po czym spytał:

- Masz jakieś wieści od Isabel?

Szef ponuro pokręcił głową, podsuwając przyjacielowi notes.

- Znasz któreś z tych nazwisk?

- Nie, nie znam - odparł po chwili. - Tylko Longmire.

Zapaliliśmy cygara i siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, obserwując wozy turkoczące po ulicy w tę i z powrotem między magazynami. Wreszcie Lewis zaczął wypytywać o nasze postępy w śledztwie. Opowiedzieliśmy mu wszystko, czego się dotychczas dowiedzieliśmy. Skupiał się na każdym szczególe, zadając mnóstwo pytań. Wiele razy jego sugestie lub dodatkowe informacje bardzo nam pomagały. Kiedy dowiedział się o tym, jak kobiety uratowały Neddy'ego w zakładzie Sparksa, nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Wiem to i owo o Sparksie - powiedział, przybierając poważniejszy ton. - Ten zakład bednarski to jedna z kryjówek Creama. Łatwo ukryć różne rzeczy w beczkach. Policja musiałaby przeszukiwać ich setki, żeby znaleźć jedną rzecz. I nie trzeba się obawiać, że ktoś cię okradnie.

Szef zapatrzył się w dal, rozważając słowa przyjaciela, po czym dodał:

- Można też wozem bednarskim bezpiecznie przewozić różne towary po mieście.

- Cream nie jest głupi - skwitował Lewis. - Ma swoje sposoby.

Szef podniósł się. Wóz wyładowany po brzegi skrzynkami herbaty przejechał ulicą w kierunku rzeki.

- Jeśli się jeszcze czegoś dowiesz, daj nam znać, przyjacielu.

- Uważaj! - ostrzegł Lewis. - Fenianie to fanatycy, dla nich najważniejsza jest sprawa. Jeśli staniesz im na drodze, to szybko cię sprzątną.

- Znam fenian, Lewis - powiedział szef cicho.

- Czy jesteś pewien, że udźwigniesz tę sprawę, William?

Szef spojrzał na mnie i wydawało mi się, że w jego spojrzeniu dostrzegam ślad wahania.

- Znajdziemy zabójcę Marthy - odparł, wytrzymując moje spojrzenie. - A poza tym niczego już nie jestem pewien.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Musieliśmy poczekać, aż Fontaine skończy rozmawiać z jakimś eleganckim dżentelmenem, którego różowa twarz okolona była obfitym wianuszkiem białych bokobrodów. Gość miał na głowie elegancki szary kapelusz z czarną tasiemką, a na rękach, mimo upału, białe rękawiczki. Na zewnątrz stał lśniący czarny powóz z woźnicą w liberii. Dwa białe konie, pochrapując dziarsko, niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. Dżentelmen spojrzał na nas i schylił głowę, jakby chciał uniknąć rozpoznania.

- W każdym razie proszę wysłać wiadomość - rzucił, pośpiesznie kończąc rozmowę.

- Oczywiście, sir. Zajmie nam to najwyżej dwa dni.

Fontaine skłonił się i wyszedł z za kontuaru, żeby pożegnać dżentelmena. Kiedy gość wyszedł, z za zasłony wyłoniła się panna Cousture.

- Miło mi panów widzieć - przywitał nas Fontaine, zanim panna Cousture zdążyła się odezwać. - Z pewnością ucieszy was wiadomość, że portret jest już gotowy. - Uśmiechnął się, zacierając ręce.

- Doskonale! - szczerze ucieszył się szef, zapominając o swym skrajnym wyczerpaniu z powodu upału. - Proszę nam pokazać. Nie mogę się doczekać.

- Jestem pewien, że będzie pan zadowolony, sir.

Kiedy zniknął za zasłoną, dyskretnie podałem pannie Cousture liścik, który szybko ukryła w rękawie.

- Czy macie panowie coś nowego? - zapytała, wciągając powietrze.

- Proszę przeczytać list - szepnąłem.

Zza zasłony wszedł tyłem Fontaine, niosąc okazałych rozmiarów portret opakowany w brązowy papier.

- Muszę przyznać, że wyszedł całkiem nieźle - oznajmił z dumą.

- Wygląda pan nadzwyczaj szlachetnie, sir. Ten portret może być prawdziwą ozdobą niejednej rezydencji.

- Proszę pokazać, proszę pokazać - niecierpliwił się szef.

- Pomóż mi, proszę, Caroline.

Postawił portret na kontuarze, po czym delikatnie zaczęli odwijać brązowy papier.

Podobizna naprawdę robiła wrażenie: szare tło, szef opiera się łokciem o pulpit. Z tyłu, na długiej gałęzi nad jego ramieniem, siedzi papuga. Szef trzyma rękę zatkniętą za kamizelkę w napoleońskim geście.

- Brawo, panie Fontaine! - wykrzyknął z zachwytem. - Nie spodziewałem się aż tak uderzającego podobieństwa.

Muszę przyznać, że tonacja sepii, w której utrzymany był portret, w magiczny sposób złagodziła nieregularność rysów twarzy modela.

- Mam wrażenie, że udało mi się oddać prawdziwego ducha pańskiej osoby, panie Arrowood: poszukiwacz przygód, człowiek dzielny i szlachetny. Bo taki naprawdę pan jest.

Szef przyglądał się portretowi, kiwając głową i pomrukując z uznaniem.

- Mam nadzieję, że nie obrazi się pan na mnie, ale pozwoliłem sobie pokazać to dzieło memu dobremu przyjacielowi. Pan Flint, który piastuje wysokie stanowisko w College of Fine Arts, posiada wyjątkowe kompetencje w dziedzinie malarstwa portretowego. Jestem tak dumny z tego portretu, że nie mogłem oprzeć się pokusie.

- Rzeczywiście, tak, słusznie... I co powiedział?
- Stwierdził, że dostrzega w panu coś, co przywodzi mu na myśl Mojżesza.

- Mojżesza!? - krzyknął szef. - Doprawdy?
- Dodał, że jest to niezwykle i zadziwiające.
- Mojżesz! - powtórzył szef, podpierając ręką brodę i pozerając wzrokiem swoją podobiznę. - No cóż, czuję się zaszczycony. Jak sądzisz, Barnett? Co powie moja siostra? Czy jej się spodoba?

- Będzie go ubóstwiać.

Szef udał, że nie usłyszał. Westchnął z zadowoleniem i zwrócił się do Fontaine'a:

- Czuję się tak, jakbym spotkał się po latach z dawno utraconym przyjacielem.

Fontaine z uśmiechem przeciągnął dłonią po lśniącej czuprynie.

- To zaszczyt dla mnie, sir. Temat taki jak pan sprawia, że mógł wszystkich moich pozostałych sesji stać się wart wysiłku. Jest pan dla mnie bardzo łaskawy, sir.

- Ty też musisz sobie sprawić taki portret, Barnett. Pani Barnett z pewnością to doceni. Chyba że... - Urwał i spojrzał na Fontaine'a. - Chyba że nie dostrzega pan w nim tyle co we mnie, panie Fontaine.

- *Au contraire*, sir - pośpieszył Fontaine, przenosząc spojrzenie na mnie i przyglądając mi się badawczo od stóp do głów. - Mógłbym równie dobrze uszlachetnić pańską osobę, panie Barnett. Stanowi pan imponująco dorodny okaz mężczyzny.

- Chyba jednak nie równie dobrze! - zaproponował szef, patrząc na mnie z przyganą. - Nie równie dobrze, choć jestem pewien, że pani Barnett ucieszy się z portretu.

- Nie mogę sobie pozwolić na takie zbytki.

- Ach tak! - skwitował pośpiesznie Fontaine i odwrócił się ode

mnie. - Czy mogę zatem odprowadzić pana do dorożki, panie Arrowood? A może życzyliby pan sobie także portret siostry?

Czekaliśmy na pannę Cousture w kawiarni U Pani Willows. Portret zawinięty z powrotem w brązowy papier stał przy stole oparty o ścianę. Szef siedział tuż obok. Jak zwykle sięgnął po gazety, umieszczając pod udem dwie, których jeszcze nie czytał.

- O właśnie, mamy tu ciekawy przypadek - powiedział, rozkładając kolumnę *Daily Chronicle*. - Niejaka Susan Cushing, pięćdziesięcioletnia wdowa z Croydon, otrzymała przesyłkę zawierającą dwoje zanurzonych w soli uszu w kartonowym pudełku. Sprawą zajmuje się inspektor Lestrade.

- Ludzkie uszy?

- Jasne, że ludzkie - potwierdził ze spokojem. Czytał zachłannie, zacierając ręce z przyjemności. - Co za sprawa, Barnett, co za sprawa! Dlaczego nam takie nigdy się nie trafiają? Podejrzani są trzech studenci medycyny, których wyrzucono z kwatery. Motywem miała być zemsta. Ładne rzeczy! To jednak zupełnie nie tłumaczy tej soli. Chyba przeoczyli jej znaczenie. Idę o zakład, że sól miała zwrócić na coś uwagę wdowy Cushing. Pytanie tylko, na co? - Przewrócił stronę i głośno chrząknął. - O, koniec, nie ma zakończenia...

Rena Willows przyniosła nam po kanapce z wołowiną z kawałkiem ciasta. Oprócz nas w lokalu był jeszcze żołnierz w mundurze piechoty, ale dopił kawę i wyszedł.

- Wciąż piszą o śmierci Marthy - zauważył szef, jedząc. - Aż na trzech stronach w tej gazecie.

- Coś nowego?

- Takie tam głupoty... Jej sąsiad mówi, że była Walijką. Kompletni idioci. A tutaj konstabl twierdzi, że to może być

sprawka Kuby Rozpruwacza, że mu przeszkodzono, zanim zdążył ją napiętnować. A dalej kolejne dwie strony o morderstwie w Whitechapel ze wszystkimi najbardziej okrutnymi szczegółami. Mój Boże! A ja miałem nadzieję, że mamy to już za sobą.

- Jakież nowe teorie? - zapytałem.

- *Lloyd's Weekly* twierdzi, że niedawno wykupiła polisę ubezpieczeniową, co kieruje podejrzenia na jej ojca.

- Skąd pochodzi ta informacja?

- Nie podali - odparł szef. - Ale to by tłumaczyło, dlaczego wynajęto zabójcę.

- Żadnej wzmianki o Creamie ani o fenianach?

- Żadnej.

Weszła panna Cousture. Twarz miała rozpaloną i czerwoną od gorąca, ciężko oddychała.

- Panie Arrowood - zaczęła, zanim usiadła. - Proszę o najnowsze wiadomości. Mam niewiele czasu.

- Jest pewien postęp, panno Cousture - oświadczył szef. - Wygląda na to, że Cream ma jakieś konszachty z pułkownikiem Longmire'em, który współpracuje z Ministerstwem Wojny. Może to mieć związek z pociskiem.

- Jeżeli pocisk jest aż taki ważny - powiedziała ostrym tonem. - Czy ma pan pewność, że istnieje jakiś związek?

- Wiemy, że w ubiegłym roku Cream spotykał się często z pułkownikiem Longmire'em. Wiemy też, że pocisk pochodzi z karabinu, który dopiero niedawno wprowadzono do wyposażenia armii.

- Tak? I co z tego?

- Cream ukrywa łupy z grabieży u znajomego bednarza. Wozi je po całym mieście wozem bednarskim. Wiemy też, że prowadzi dom publiczny, którym zarządza niejaka Milky Sal. - Przerwał,

żeby wgrzyźć się w kanapkę.

Panna Cousture wciąż stała, wpatrując się w niego intensywnie i mnąc batystową chusteczkę.

- Proszę usiąść, madame - powiedział szef.
- Byliście w burdelu?
- Owszem, byliśmy.
- Dowiedzieliście się tam czegoś?

Rzeźnik w poplamionym krwią fartuchu próbował otworzyć drzwi. Zablokowałem je nogą i pokręciłem głową. Coś tam burknął i poszedł sobie. Pani Willows to zauważyła, ale nic nie mówiąc, przeszła na zaplecze.

- Panno Cousture, ma pani ochotę na dobrą kawę? - zapytałem, przełykając ostatni kęs kanapki.

Chyba mnie nie usłyszała, tylko ponowiła pytanie, intensywnie wpatrując się w szefa:

- Co znaleźliście w burdelu? Czy natrafiliście na jakiś ślad, który prowadzi do Thierry'ego?

Szef przeżuwał kanapkę, patrząc na pobladłą twarz panny Cousture, aż wreszcie zapytał:

- Może pani chciałaby coś nam powiedzieć na ten temat?
- Co pan ma na myśli?
- Nie interesuje pani pocisk, chociaż to najlepszy trop, na jaki trafiliśmy. Nie interesuje pani działalność rabunkowa Creama. Ożywia się pani dopiero wtedy, kiedy wspominam o burdelu.

- Interesuje mnie ten pocisk, ale nie rozumiem, jaki to ma związek z moim bratem.

- Wydaje mi się, że najbardziej interesuje panią burdel.

W milczeniu popatrywała za okno, aż wreszcie oświadczyła:

- Ponieważ mój brat bywa w domach publicznych, więc wcale bym się nie zdziwiła, gdybyście natknęli się tam na jego ślady.

Oto dlaczego.

- Tak, rozumiem, rozumiem - przyznał szef tym razem tonem łagodnym i pełnym współczucia. - Jednak muszę panią zapytać ponownie: Czy pani coś przed nami ukrywa, panno Cousture?

Spojrzała na niego z gniewem, rozdymając nozdrza. Jej piersi falowały gwałtownie.

- *Mon Dieu!* Za każdym razem domaga się pan pieniędzy, nie przynosząc niczego w zamian.

- Panno Cousture - zaczął szef wciąż bardzo uprzejmym tonem.

- Wiem, że nie jest pani łatwo. Jest pani zrozpaczona, a w tym wielkim mieście nie wiadomo, komu ufać. Ale nie możemy pomóc pani w poszukiwaniu brata, jeśli nie powie nam pani prawdy.

- Powiedziałam prawdę.

Szef westchnął ciężko i zastosował swój sprawdzony chwyt, czyli surowo zaciśnięte usta pod najłagodniejszym spojrzeniem, na jakie potrafił się zdobyć. Czekał. Zapadła cisza tak gęsta, że nawet muchy przestały brzęczeć. Jednak zamiast wyznania panna Cousture skrzyżowała ramiona na piersiach i odwróciła wzrok.

- Proszę usiąść na chwilę, madame - poprosił szef.

Prychała i rzucała gniewne spojrzenia, zanim wreszcie przysiadła na brzegu krzesła naprzeciw niego. Ja zostałem przy drzwiach.

- Wiemy, że to nie wuj, lecz pastor znalazł pani pracę. - Szef przerwał, żeby zamieszać kawę. Podmuchał, siorbnął głośno pierwszy łyk, odstawił filiżankę i dopiero wtedy zaczął mówić dalej: - Nie przyjechała pani do Londynu, żeby kontynuować swoją karierę, prawda, panno Cousture?

Gdy spojrzała na mnie, zrobiło mi się jej żal.

- Skąd pan to wie? - zapytała cicho.

- Od pani pracodawcy, pana Fontaine'a.

- Mogłam się tego spodziewać! - Wykrzywiła się ze złością.

- Proszę zrozumieć, nie mamy pani za złe, że nas pani okłamuje. Musi mieć pani swoje powody. - Gdy potwierdziła ruchem głowy, szef dotknął jej dłoni i wyszeptał: - Dlaczego pani kłamała?

- Ach, panie Arrowood - odparła cicho, spuszczać wzrok. - Wstydzę się prawdy o swoim życiu. Eric traktuje mnie bardzo źle, płaci grosze. Czuję się jak niewolnica.

- A pastor?

- Dom, w którym mieszkam, to dom misyjny. Jak już mówiłam, udziela schronienia niezamężnym kobietom z miasta. Jestem pastorowi bardzo wdzięczna. Ale prawda jest taka, że żyję z jałmużny. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Tego również się wstydzę. Kiedy przyjechałam do Londynu, sądziłam, że będę kimś więcej, stanę na własnych nogach. Moja rodzina to dumni ludzie, ja też mam swoją dumę. Nie zgodziłabym się pracować u Erica, gdyby nie wielebny, który znalazł mi tę pracę. Musiałam ją przyjąć, żeby nie wyrzuciono mnie na ulicę. Tam nie przyjmuje się odmowy. Ale przyrzekłam sobie, że nie wrócę do Francji, dopóki nie nauczę się porządnego zawodu. Pewnego dnia odejdę z zakładu Fontaine'a, żeby wrócić do domu być może jako pierwsza kobieta fotograf we Francji.

Słuchając jej, szef włożył nóż do słoika z musztardą i w roztargnieniu posmarował wewnątrz kanapki grubą warstwą. Następnie powtórzył tę czynność, w efekcie czego warstwa musztardy stała się grubsza niż plaster wołowiny.

- Szefie... - próbowałam zwrócić mu uwagę.

Uciszył mnie ruchem ręki.

- Jeżeli ma pani tak niskie wynagrodzenie - zapytał - to skąd ma pani w portmonetce tyle pieniędzy?

- Proszę nie pytać - odparła panna Cousture. - Z pewnością ich

nie ukradłam.

- Nie twierdzę, że pani ukradła.

- Więc proszę nie zadawać takich pytań.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jest kolejne kłamstwo?

- Teraz mówię prawdę. - Otrzepała ręce. - Żadnych więcej kłamstw.

- Więc skąd te pieniądze? - zapytałem.

Odwróciła się i spojrzała na mnie niewinnie. Kilka niesfornych kosmyków wymknęło się spod kapelusza i opadło na bladą, wilgotną od upału szyję. Potrzasnęła głową.

- Tego panu nie powiem.

Wymieniliśmy z szefem spojrzenia i obaj pomyśleliśmy o tym samym. Nie należało do rzadkości, by samotna kobieta w taki właśnie sposób uzyskiwała dodatkowe dochody. Nie potępiałem jej za to i wiedziałem, że szef myśli podobnie.

- Powiedziała pani, że mieszka z bratem - zauważył.

- Powiedziałam tak, żeby pan zajął się tą sprawą. A jestem pewna, panie Arrowood, że Thierry ma poważne kłopoty.

- Nie musi się pani obawiać - wtrąciłem. - Wiemy już wystarczająco dużo, żeby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości.

- Chciałbym czegoś jeszcze dowiedzieć się od pani - powiedział szef głosem uprzejmym i troskliwym. - I musi nam pani powiedzieć całą prawdę. - Gdy panna Cousture kiwnęła głową na zgodę, spytał: - Co pani wie o Milky Sal?

- Nie znam żadnej Milky Sal! - krzyknęła. - Kto to jest? Dlaczego wciąż pan o nią pyta?

- Jak dotąd wcale o nią nie pytaliśmy.

- Aha... - Zawahała się przez chwilę. - Widocznie mi się zdawało.

- Proszę powiedzieć, dlaczego zdecydowała się pani przyjechać do Anglii. Tym razem proszę o prawdę.

- Przyjechałam tu razem z bratem. Jak już mówiłam, miał kłopoty z powodu kradzieży. Poszukują go pewni ludzie z Rouen.

Kiedy to mówiła, szef zrobił coś niezwykłego, mianowicie podniósł do ust kanapkę i mocno ją ścisnął. Spomiędzy ściśniętych warstw chleba trysnęła obficie żółta musztarda i osiadła grubą, tłustą warstwą na jego brzuchu. Jednak szef nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, tylko odłożył kanapkę na talerz i rozparł się wygodnie na fotelu, opierając ręce na podłokietnikach. A panna Cousture mówiła dalej, nie przerywając sobie. Chociaż patrzyła wprost na niego, sprawiała wrażenie, że nie zauważyła tego, co właśnie zrobił.

- Mój brat nie jest zbyt rozsądny. Obawiałam się, że jeśli go tutaj, w Londynie, nie przypilnuję, to wróci do Francji. Przyjechaliśmy razem i czuję się za niego odpowiedzialna. Dlatego tu jestem. Przyznaję, że nie miałam zamiaru pracować jako fotograf. Jednak powiedziałam tak, ponieważ...

- Czy w Rouen zaproponowano pani pracę służącej? I ta posada miała na panią czekać w Anglii? - przerwał jej szef, nadal opierając dłonie na oparciu fotela. Musztarda na białej koszuli wyglądała jak ogromna żółta rana.

Panna Cousture przełknęła ślinę.

- Nie, sir.

- Czy zna pani jakieś dziewczęta z Rouen, które zostały w tym celu zwerbowane przez jakąś Angielkę do pracy w Londynie?

- Nie, sir.

- Bo widzi pani, panno Cousture, trafiliśmy na trop dziwnego związku. Cream jest właścicielem burdelu, który prowadzi Milky Sal. Owa Milky Sal bywała często w Rouen, gdzie udawała, że

rekrutuje dziewczęta do służby w Anglii. Po przybyciu do Londynu dziewczyny, i owszem, trafiały na służbę, ale nie do normalnych domów, ale do burdelu, gdzie były więzione i nieludzko traktowane. - Zamilkł, ale wyglądało na to, że nie zrobiło to żadnego wrażenia na pannie Cousture. Nadal patrzyła przez okno na ulicę, na konie słaniające się w upale oraz dzieci, które były tak wyczerpane, że niemrawo szły bez słowa. Smukłym paznokciem skrobała blat stołu, a rozgrzana musztarda ściekała powoli po koszuli szefa. - Sama pani rozumie - dodał szef - że musimy wyjaśnić ten związek.

Potrząsnęła głową i nadal kontemplowała ruch uliczny za oknem.

- Nic mi o tym nie wiadomo, sir - powiedziała wreszcie. - Nie widzę żadnego związku. Chyba że... - Zastanawiała się przez chwilę. - Chyba że Milky Sal zna ludzi, którzy ścigają mojego brata. - Jej źrenice rozszerzyły się z podniecenia. Spojrzała na mnie, potem na szefa. - Tak, tak! To może być to! Powiedziała im, że Thierry pracuje w Barrel of Beef. Na pewno zna ich z Francji. Proszę, zbadajcie całą jej działalność. Z kim utrzymuje kontakty, z kim robi interesy i jakie to interesy, jakich ma klientów. Zbadajcie ją, panie Arrowood. - Wyciągnęła portmonetkę i wyjęła dwie gwinee.

Szef chrząknął i odwrócił wzrok, kiedy wręczała mi monety.

A kiedy panna Cousture wyszła, poprosił panią Willows o mokrą ścierekę, by oczyścić koszulę.

- Ettie zmyje mi za to głowę - mruknął posępnie. - Ale nie miałem innego pomysłu.

- Jak to, sir? Zrobił pan to celowo? - zapytałem.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do lokalu z wrzaskiem wpadło troje małych łobuziaków.

- Macie pieniądze, małe nicponie? - zapytała pani Willows.

- Mamy, proszę pani - odparła dziewczynka, pokazując miedziaka. - Poprosimy o ciasto owocowe, trzy duże porcje. Przez cały dzień zszywaliśmy worki.

- No właśnie. I jesteśmy głodni jak wściekłe psy, psze pani - zapiszczał chłopiec o połowę od niej mniejszy.

Szef odezwał się tak głośno, jakby chciał ich wystraszyć i przepędzić:

- Czy zauważyłeś, Barnett, że nie zareagowała na mój wypadek?

- Rzeczywiście, to było bardzo dziwne.

- Nie takie dziwne, jeżeli masz choćby nikłe pojęcie o tym, jak działa ludzki umysł. Można założyć, że trudniej jest nam kłamać niż mówić prawdę. Kiedy więc skupiamy uwagę na ukrywaniu prawdy i matactwie, nie mamy czasu zajmować się innymi sprawami.

- Więc to była próba prawdomówności?

- Tak. I ona nie przeszła tej próby.

- Nie stosował pan wcześniej tej metody, szefie.

- Wcześniej tylko ją rozważałem.

- Może jednak pan się myli. Może umysł jest bardziej czujny, kiedy ktoś kłamie? I lepiej rejestruje to co wokół?

- Możliwe. Jak jednak wytłumaczysz jej zachowanie?

- Uprzejmość? - Posłał mi gniewne spojrzenie. - Zakłopotanie?

- Nie chcesz mi chyba wmówić, Barnett, że tak zachowuje się osoba zakłopotana?

Dawno nie widziałem, żeby szef był z siebie aż tak bardzo zadowolony.

Wróciliśmy na Coin Street. Ku wielkiemu rozczarowaniu szefa,

Ettie wcale nie zachwyciła się jego portretem. Właściwie była wściekła i domagała się informacji, ile za to zapłacił, ale szef zdecydowanie odmówił. Już miałem wychodzić, kiedy Ettie uspokoiła się i zaczęła mnie namawiać, żebym został na herbatę i kawałek migdałowego ciasta. Zasiadliśmy więc w salonie, a Ettie próbowała wydusić z szefa najnowsze szczegóły dotyczące sprawy. On jednak przedstawił jej tylko ogólny zarys sytuacji. To jej nie zadowoliło i nalegała dalej.

Słuchając ich przekomarzenia, delectowałem się wieczornym chłodem oraz przyjemnym odgłosem okiennic poruszanych podmuchami wiatru. Wtedy do salonu wszedł zziębnięty posłaniec z listem.

- Gliny mówią, że macie natychmiast przyjechać - oświadczył, z trudem łapiąc oddech. - Biegłem całą drogę, sir. Kazali mi biec jak najszybciej.

Szef dał mu pół pensa, a gdy posłaniec wyszedł, rozerwał kopertę, zerknął na tekst i otworzył usta ze zdziwienia.

- Zakładaj buty, Barnett - powiedział, podnosząc się z fotela. - Od inspektora - powiedział, podając mi list.

Petleigh napisał:

Przyjeżdżajcie jak najszybciej do kostnicy przy Dufours Place. Może znaleźliśmy waszego Francuza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wzięliśmy dwukólkę i w ciągu dwudziestu minut byliśmy na miejscu. W korytarzu przed drzwiami kostnicy czekał na nas konstabl Reid. Jego policyjna czapka leżała na krześle, a w ręce trzymał małe opakowanie ciasteczek peek freans.

- Inspektor kazał was od razu wpuścić - powiedział, strzepując okruchy z czarnego munduru.

Petleigh czekał na nas w środku. Siedział przy drzwiach, a w przeciwległym rogu niskiego i zimnego pomieszczenia pod łukowatym sklepieniem stał wysoki, siwowłosy mężczyzna w brązowym fartuchu i pochylał się nad drewnianym stołem, na którym leżało nieforemne, białe, nagie ciało.

- To może być twój klient, William - powiedział Petleigh.

- Zwłoki leżały przez dobrych kilka dni w wodzie - wyjaśnił chirurg policyjny, wycierając ręce w szmatę. - Są wzdęte i pozbawione włosów. Brak włosów łonowych i pod pachami, na głowie zostało tylko kilka kosmyków. Tkanka napuchnięta albo w stanie kompletnego rozkładu. Skóra na twarzy jest tak nabrzmiała, że musiałem usunąć gałki, żeby określić kolor skóry. Proszę podejść i zobaczyć, czy go panowie rozpoznają.

Szef nie ruszał się z miejsca, patrząc szklanym wzrokiem ponad głową lekarza.

- No podejź bliżej, William - zachęcał Petleigh, zbliżając się do stołu. - Przyjrzyj mu się.

Szef nadal stał w miejscu.

- Nigdy przedtem nie widział pan zwłok, panie Arrowood? - zapytał lekarz. - Wydawało mi się, że jest pan detektywem czy

coś w tym rodzaju.

- Jestem detektywem - mruknął szef - ale nigdy nie widziałem zwłok w takim stanie.

- Gdzie go znaleźliście?

- Niedaleko Dartford - odparł Petleigh. - Flisak znalazł go w trzcinach i wyciągnął na brzeg.

- Dlaczego miałyby to być Thierry? - zapytałem.

- Nic nie miał na sobie, zachował się tylko rękaw. Ale do szyi miał przywiązany kawałek liny, a na jej drugim końcu były bednarska klepka i stalowa blacha. Pomyślałem, że to może mieć jakiś związek z tym waszym bednarzem. Prawdopodobnie obciążyli beczkę błotem i przywiązali go do niej. Ale proszę podejść i sprawdzić, czy ciało odpowiada rysopisowi.

Powoli zacząłem przesuwając się w kierunku stołu. Słyszałem, jak szef po cichu porusza się za mną. Chirurg odsunął się od stołu i obserwował nas z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nawet z tej odległości widziałem, że ciało było w okropnym stanie, a im bliżej podchodziłem, tym wyglądało gorzej. Fetor przyprawił mnie o takie mdłości, że omal nie zwróciłem wypitej niedawno herbaty. Skóra, tam gdzie jeszcze się zachowała, była z wierzchu jaskrawoczerwona, a pod spodem szara. Niektóre fragmenty rąk i nóg były tak rozdęte, jakby za chwilę miały eksplodować. Gdzie indziej długie pasy skóry zostały wyrwane i widać było mięśnie i kości. Od szyi aż do brzucha ciągnęło się głębokie cięcie, które odsłaniało narządy wewnętrzne. Szef wycofał się i opadł ciężko na krzesło pod ścianą. Nie mogłem oderwać wzroku od wnętrzości i trwało chwilę, nim odważyłem się podnieść wzrok na oczodoły, głowę, a potem kolejną chwilę, zanim odzyskałem mowę.

- Zaraz, ale gdzie jest twarz? - wydusiłem z siebie w końcu.

- Tutaj, to jest nos. - Lekarz wskazał skalpelem. - Został

wchłonięty przez policzki. - Włożył uchwyt narzędzia chirurgicznego w otwór i rozsunął brzegi. - Widzi pan, tu są schowane nozdrza. - Znow wskazał skalpelem. - A ten fioletowy wykwit to wargi. - Zanurzył skalpel, a drugą ręką odciągnął mocno w dół kość policzkową, która była ogołocoła ze skóry i tkanki. Wewnątrz fioletowego wykwitu pojawiły się drobne żółte zęby. - Tutaj jest oko. To był jedyny sposób, żeby rozpoznać kolor skóry.

Sięgnął na półkę za plecami, zdjął porcelanową miskę i wyciągnął przed siebie. Z dna miski patrzyło na mnie oko. Gałka oczna była zgnieciona, otoczona krwawą plamą, a wisząca z tyłu niebieska wiązka nerwów wyglądała jak ogon. Źrenica była brązowa.

- Czy to on? - zapytał Petleigh.

- Skąd mamy wiedzieć? - zapytałem. - Przecież nie ma twarzy.

- A oko?

- Mamy go rozpoznać po jednym oku?

- Zresztą i tak nigdy go nie widzieliśmy - dorzucił szef spod ściany.

- Nigdy go nie widzieliście?! - wykrzyknął chirurg. - To co wy tu, u diabła, robicie? Petleigh, po co ich pan tu ścigał?

Inspektor skrzywił się.

- Czy wasz zleceniodawca podał wam kolor jego oczu? - zapytał.

- Nie - odparłem. - Ale za lewym uchem powinien mieć bliznę po oparzeniu.

Chirurg obejrzał dokładnie obie strony głowy.

- Trudno powiedzieć, zachowało się za mało skóry. Musi pan przysłać jakiegoś krewnego, Petleigh. Nie rozumiem, dlaczego pan jeszcze tego nie zrobił.

- Nie możemy wykluczyć, że mordercą jest ktoś z rodziny, panie Bentham - wyjaśnił Petleigh. - To jedna z tych, nad którą pracujemy.

- Nie! - krzyknął szef. - To wykluczone! Ona nie może być sprawczynią. Po co by nas wynajmowała? Uwierz mi, Petleigh. - Podrapał się po głowie i mruknął jakby do siebie: - Uf, jestem w kropce.

- A więc to jest kobieta? - ucieszył się inspektor, jakby właśnie dzięki sprytnemu podstępowi zdobył ważną informację. - Jak się nazywa? Teraz macie obowiązek podać jej personalia.

Zerknąłem na szefa. Westchnął, po czym przyzwalająco kiwnął głową.

- Panna Caroline Cousture - odpowiedziałem. - Mieszka w Kennington przy Lorrimore Road numer pięćdziesiąt sześć. To dom misyjny. Jest siostrą zaginionego.

- Reid! - ryknął Petleigh, a gdy młody konstabl wszedł, wysłał go pod wskazany adres, nakazując pośpiech.

- Idź z nim, Barnett - polecił mi szef. - Ona może potrzebować wsparcia.

- Nie - zaprotestował Petleigh. - Reid pójdzie sam.

Szef porwał się z krzesła i zawołał oburzony:

- Ależ inspektorze! Ona wpadnie w histerię z rozpaczy.

- Może pan poczekać na nią w korytarzu. I powinien mi pan za to podziękować.

- Nie możemy tego odłożyć do rana, Petleigh? - zapytał Bentham z głośnym westchnieniem.

- Przykro mi, nie możemy.

Chirurg spojrział na niego ze złością, po czym powiedział zrezygnowany:

- No dobrze... Skoczę do Hand and Flower coś przegryźć.

Zawołajcie mnie, kiedy przyjdzie.

Wrócił sam po godzinie. Ciągnął się zanim zapach baraniny i wina. Zachowywał się bardziej przyjacielsko, ale unikał naszego wzroku, jakby nie bardzo wiedział, jak zachować się pod wpływem alkoholu. Inspektor wszedł za nim do kostnicy, a wkrótce pojawili się Reid i panna Cousture. Konstabl prowadził ją pośpiesznie korytarzem w naszym kierunku. Twarz miała ukrytą za przyszytą naprędce czarną woalką, która zwisała nierówno z kapelusza. Chociaż pan Arrowood tak bardzo obawiał się jej reakcji na wieść o tym, że prawdopodobnie znaleziono zwłoki jej brata, nawet nie zatrzymała się przy nim ani nie odpowiedziała, kiedy szef do niej zagadnął. A kiedy próbowaliśmy wejść wraz z nią do kostnicy, Petleigh nas zatrzymał.

- Proszę poczekać na zewnątrz - polecił, zamykając za nią drzwi.

Siedliśmy więc z szefem na twardych drewnianych ławach i czekaliśmy. Po dziesięciu minutach otworzyły się drzwi, wyszła panna Cousture, podniosła woalkę i powiedziała:

- To nie on. - Lekki uśmiech przemknął przez jej twarz... i nagle źrenice jej oczu jakby się zapadły.

Szef poderwał się w tej samej chwili, gdy ugięły się pod nią kolana. Przytrzymał ją w pasie i posadził na ławce.

- Ach, przepraszam - powiedziała, nie otwierając oczu. - Biedak. - Wyciągnęła szarą chusteczkę z rękawa i przyłożyła do ust. - Co za okropny odór.

- Jest pani pewna, że to nie on? - zapytał Petleigh.

- Oczywiście, że jestem pewna. Mój brat miał włosy jak łan pszenicy, a tam zobaczyłam tylko czarne. Niedużo, ale czarne. To nie on.

- Przykro mi, że musiała pani to oglądać - powiedział Petleigh.

- Zaraz... - Pytająco spojrzała na szefa. - Chyba mówiłam wam, że ma jasne włosy?

Zerknąłem na szefa i po wyrazie jego twarzy zorientowałem się, że wstydzi się tak samo jak ja. Co z nas za idioci! Tak bardzo przejęliśmy się stanem tego ciała, że żaden z nas nie pomyślał o czarnych kosmykach. Nieźli z nas detektywi!

- Powiedziała im pani, jakiego koloru miał włosy? - zapytał Petleigh, po czym zwrócił się do nas: - A wy uznaliście, że to bez znaczenia?

- Przyznaję, że widok tych zwłok zbił mnie z tropu - sumitował się szef.

W tym momencie dotarło do mnie coś, na co już wcześniej patrzyłem. Nie czekając, aż szef skończy się tłumaczyć, wszedłem do kostnicy i ruszyłem po zimnej posadzce do zdeformowanego ciała leżącego na stole. Chirurg właśnie zakrywał je kocem.

- Proszę zaczekać - powiedziałem.

- O co chodzi? - zapytał Petleigh, podbiegając do mnie.

Przełknąłem ślinę i chwyciłem zimny przegub dłoni. Jeszcze zanim go dotknąłem, doznałem skurczu żołądka. Ręka była bezwładna i miękka jak flak, a fetor wypełnił mi usta. Zaciskając zęby, odwróciłem bezwładną dłoń. Paznokieć palca wskazującego był złamany i zniekształcony. Teraz nie wyglądał już tak groźnie jak przedtem. Był miękki i niewinny, jakby należał do dziecka ze stłuczoną rączką.

- Wiem, kto to jest - powiedziałem. - To ten tajniak, który mnie pobił. Ten ze Scotland Yardu.

- Policjant!? - zdziwił się chirurg. Mówił trochę niewyraźnie, bełkotliwie. - Mój Boże!

- O co chodzi, panie Bentham? - dopytywał się Petleigh.

- Coś wam pokażę. - Chirurg odsunął koc i odsłonił stopy denata. - Mówicie, że jesteście detektywami. Więc jak to wytłumaczycie?

Wsunął kij od szczotki pod kolana denata i uniósł obie nogi, a wtedy stopy opadły palcami w dół pod nienaturalnym kątem, jakby były przymocowane do kostek nicią. Drugą ręką chirurg chwycił jedną stopę i tak ją wykręcił, że pięta dotknęła łydki.

Panna Cousture gwałtownie wstrzymała oddech.

Szef jęknął.

- Wiecie dlaczego? - zapytał Bentham.

- Czy kości rozpuściły się w wodzie? - zapytałem.

Chirurg machnął lekceważąco ręką.

- A pan, inspektorze Petleigh? - zwrócił się do niego z ponurym uśmiechem.

- Niech pan mówi, zanim się wszyscy porzygamy.

- Oba ścięgna Achillesa zostały podcięte, a kości zmiażdżone. I następne pytanie do panów detektywów: dlaczego zabójcy to zrobili?

Tym razem nie odpowiedział żaden z nas.

- Żeby im nie uciekł. Jeśli utnie się stopy, efekt będzie podobny, ale z powodu zbyt dużej utraty krwi ofiara umiera. A tak ofiara żyje i można kontynuować tortury i przesłuchanie.

- *Mon Dieu!* - szepnęła panna Cousture.

- Widziałem już raz taki przypadek kilka lat temu - ciągnął chirurg. - Pracowałem wtedy w Manchesterze. To był patologiczny złodziej. Czterokrotnie był skazywany, aż wreszcie znaleziono go martwego z takimi samymi obrażeniami.

- Czy schwytano zabójców?

- Nie, ale z pewnością chodziło o zemstę za jakieś inne przestępstwa. Podejrzewam, że policja uznała, że szkoda na to

czasu. Mieli tylko dwóch inspektorów na całe miasto.

- Chwileczkę - przerwał mu szef. - To nie może być ten policjant. Widzieliśmy go żywego dwa, najwyżej trzy dni temu. Jak jego ciało mogło ulec aż takiemu rozkładowi?

- Trzy dni temu? Czy jest pan tego pewien? - zaniepokoił się chirurg.

- No właśnie. Czy ciało może ulec takiej zmianie po dwóch dniach leżenia w wodzie? - zapytałem.

- To mało prawdopodobne - odparł chirurg. - Ale mogłoby to tłumaczyć inne zastanawiające objawy. Jego skóra jest bardzo czerwona, a na ciele widnieją liczne ślady przypominające oparzenia, na przykład na dłoniach i podbiciu stóp. Przyjąłem, że to stare blizny.

- Oparzenia? Ale przecież ciało nie jest spalone? - zdziwił się Petleigh.

- Chwileczkę... - Chirurg zmarszczył brwi i zmrużył oczy. - On nie został poparzony, ale taki sam efekt osiąga się, gdy człowiek zostanie ugotowany.

Panna Cousture wydała z siebie głuchy jęk. Skryła twarz w dłoniach, cała się trzęsła. W zimnej sali zaległa cisza. Chwyciłem poręcz krzesła, bo zakręciło mi się w głowie. Spoglądaliśmy wszyscy po sobie, nie potrafiąc uwierzyć w to, co mówił chirurg.

- Podłe sukinsyny - odezwałem się w końcu.

- Trzeba sprawdzić, jaką sprawą zajmował się ten policjant, inspektorze - stwierdził szef. - I dlaczego nas śledził. To musi mieć coś wspólnego z Creamem. Widzieliśmy też, jak obserwował restaurację.

Petleigh rozłożył ręce.

- Arrowood, czy kiedyś wreszcie zrozumiesz, że moja praca nie

polega na tym, żeby pomagać ci w rozwiązywaniu twoich zleceń? Przekażę sprawę do CID^[5]. To ich człowiek, więc się zajmą tą sprawą.

- A więc go znasz i wiesz, kto to jest, Petleigh.

Na chwilę inspektor jakby się zakłopotał, zaraz jednak odparł:

- Nie wiem, jak się nazywał. Nie rozmawiałem jeszcze z dowódcą.

- A powinieneś być rozmawiać - zauważył szef. - Nasza sprawa musi mieć związek również i z tym morderstwem.

- Zamknij się, William. Nie mogę wtrącać się do pracy CID. I nie zdziw się, jeśli będą chcieli spotkać się z tobą już jutro rano.

- Doskonale! - ucieszył się szef. - Bo ja też chcę się zobaczyć z dżentelmenami z wydziału śledczego.

Petleigh był już bliski ostatecznej utraty cierpliwości, co szefowi nie wróżyło zbyt dobrze, ale odetchnął głęboko, zapanował nad sobą i zwrócił się do panny Cousture:

- Przykro mi, że musiała pani to wszystko oglądać.

Gdy w milczeniu skinęła głową, szef zaproponował:

- Odwieziemy panią do domu, panno Cousture. - Wziął ją pod ramię.

Jej woalka zsunęła się, więc nie widziałem jej twarzy w mroku kostnicy, ale wydało mi się, że płacze. Na jej miejscu też bym się bał, że to samo mogło przydarzyć się memu bratu.

- Tak, panie Arrowood - zgodziła się ledwie słyszalnym głosem.

- Panno Cousture, proszę być na posterunku jutro o dziewiątej rano - powiedział Petleigh przy wyjściu. - Będę miał kilka pytań. A ty, Williamie, spodziewaj się jutro wizyty dżentelmenów z CID.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Szef kazał mi przyjść rano w najlepszym ubraniu. Miał pewien plan. Zanim dotarłem do niego, wysłał Neddy'ego z listem do Scotland Yardu, a konkretnie do CID. W liście prosił, żeby przysłali do nas kogoś w sprawie utopionego funkcjonariusza. Zaproponował też czas i miejsce spotkania:

Będziemy czekać w południe w kawiarni U Pani Willows.

Szef był zdania, że człowiek jest taki, jak go traktują, dlatego urzędnicy i funkcjonariusze stają się tym bardziej normalni, im dokładniej rozbierze się ich z oficjalnych kostiumów i pozbawi służbowych rekwizytów. Dlatego lepiej i bezpieczniej spotykać się z nimi na naszym terytorium i na naszych warunkach. W ten sposób, jak twierdził, dzielący nas dystans i nierówność wynikająca z różnych pozycji na tyle ulegną zatarciu, że być może uda nam się wyciągnąć od nich jakieś informacje na temat sprawy, którą zajmował się zabity gliniarz. Nie byłem przekonany, że to zadziała, ale nie mogę powiedzieć, żebym miał jakiś inny pomysł. Zresztą nauczyłem się już, że z szefem nieraz warto coś zrobić, nawet gdy człowiekowi się zdaje, że jest to niepotrzebne, nieskuteczne czy nawet głupie.

Szef miał na sobie swój najlepszy czarny garnitur, zieloną kamizelkę i śnieżnobiały fular. Buty wypucowane, włosy gładko przyczesane na wielkiej łysiejącej głowie. Przystanąłem zdziwiony, bo uśmiechał się jak kot. Nad kominkiem wisiał jego fotograficzny portret.

- Ach, Barnett - odezwał się zmartwionym tonem. Ekscentryczny uśmiech wciąż błąkał się po jego twarzy. - Jak ty

wyglądasz? Spójrz na swoje włosy. Czy pani Barnett nie spojrziała na ciebie, zanim wyszedłeś z domu? Masz na głowie nie prawdziwą fryzurę, ale jakiś kolcolist. To nam z pewnością nie pomoże. Ettie, bądź tak dobra i zejdź do nas, proszę.

Siostra szefa z zaciętym wyrazem twarzy zeszła na dół energicznym krokiem, jednak na mój widok złagodniała.

- Podobno wasza sprawa nabiera kolorów, czy tak, Normanie?

- Tak, wygląda na to, że się rozpędzamy.

- Czego dowiedzieliście się w kostnicy?

Już miałem odpowiedzieć, ale szef był szybszy:

- Siostrzyczko, czy mogłabyś uporządkować mu fryzurę?

- Jego fryzurę, Williamie? - spytała zdziwiona, muskając dłonią pasek spódnicy z wysokim stanem. - Nie rozumiem, co masz na myśli.

Przejrzałem się w wiszącym przy drzwiach lustrze.

- Po prostu przytnij mu włosy - wyjaśnił szef.

Przestępował z nogi na nogę nadal z tym dziwnym grymasem przyklejonym do twarzy. Zastanawiałem się, czy z samego rana nie najadł się orzeszków cola.

- Użyj balsamu. Uczesz go tak ja mnie. Mamy dzisiaj spotkanie z CID.

- Nie, Ettie - powiedziałem, widząc jej zakłopotanie. - Nie wypada. Pójdę do golibrody, jeżeli moje włosy naprawdę tak źle się prezentują.

- Źle mnie zrozumiałeś - odparła, a ja poczułem się nieswojo pod jej łagodnym spojrzeniem. Dostrzegłem w jej oczach dziwny błysk. - Zawahałam się nie ze względu na przyzwoitość. W Afganistanie wykonywałam czynności znacznie bardziej intymne niż strzyżenie. Ciało to jedynie naczynie wypożyczone nam przez Pana, a tylko dusza jest święta, prawda?

- No... tak, jak sędę.
- Chętnie pomogę, ale martwię się, co na to powie pani Barnett.
- Z pewnością zrozumie, że to strzyżenie służbowe, że tak się wyrażę - odparłem. - Nie chciałbym jednak stawiać pani w trudnej sytuacji.

Nie wyglądało to najlepiej. Kobieta tak dobrze urodzona nie powinna zajmować się pielęgnacją włosów kogoś takiego jak ja. Zresztą od kilku tygodni nie myłem się porządnie i wolałem sobie nie wyobrażać, na co może się natknąć w tej gęstej dżungli na mojej głowie. Dziwiło mnie tylko, że rzeczywiście chciała mnie ostrzyć.

- Czy pani Barnett czuje się już lepiej? - zapytała.

Pytanie tak bardzo mnie zaskoczyło, że zapomniałem języka w gębie.

Nie mam pojęcia, czy to z powodu sposobu, w jaki przeżyłem miniony miesiąc, czy z jakiejś innej przyczyny, w każdym razie łagodność wejrzenia Ettie tak bardzo mnie rozczuliła, że czułem się tak, jakby poruszyła moje najskrytsze wspomnienie pani B., które nosiłem na samym dnie serca. Nagle zapragnąłem mówić, chociaż dobrze wiedziałem, że nie jestem w stanie przezwyciężyć smutku i rozpacz, jaką poczułem, słysząc to pytanie. Pokręciłem więc tylko głową.

- Chciałabym ją odwiedzić, Norman, i opowiedzieć, czym zajmujemy się w naszej misji.

- Ach tak. Rozumiem.

- Gdy poczuje się lepiej, mógłbyś poprosić ją o spotkanie? Może pod koniec tygodnia?

- Tak, oczywiście, zapytam ją.

- Doskonale! - ucieszyła się, zabierając krzesło od stołu. - A teraz usiądź przy umywalce.

Usiadłem, Ettie położyła mi ręcznik na ramiona, wzięła do ręki grzebień, nożyczki i zaczęła rozczesywać kołtuny na mojej głowie.

- Za godzinę wychodzimy - poinformował szef, siedząc w swoim fotelu i zabierając się do czytania książki o życiu uczuciowym ludzi i zwierząt.

- Czy skończył pan czytać te zagadki, które mi pan kiedyś pokazywał? - zapytałem niewinnie, próbując odpędzić melancholię. - Te w *Strand Magazine*?

- Tak, przejrzałem, przejrzałem - mruknął.

- I było coś ciekawego?

Ettie zaśmiała się cicho, a szef odparł krótko:

- Nic.

- Ach! - zaczęła Ettie. - Słyszeliście o kobiecie z Croydon, która odebrała paczkę z parą uszu w soli?

- A tak, czytaliśmy o tym wczoraj - odparł. - Interesujący przypadek.

- Poprosili o pomoc Sherlocka Holmesa. Dzisiaj to wiadomość z pierwszej strony.

- Mogłem się domyślić - przyznał szef.

Po raz pierwszy tego ranka w jego głosie wyczułem ślad irytacji.

- Jak dotąd to najciekawszy przypadek tego lata. Doktor Watson z pewnością się ucieszy.

- Piszą, że to sprawka studentów medycyny - powiedziała Ettie.

- Wątpię - odparł szef. - Kradzież uszu zmarłych to poważne przestępstwo. Dlaczego mieliby ryzykować przyszłą karierę tylko po to, żeby nastraszyć jakąś staruszkę? I nie sądzę, żeby zapraszali Holmesa, gdyby sprawa była aż tak oczywista. - Rozdrażnienie już mu minęło, mówił tonem żartobliwym. - Jak myślicie? Będzie kosztował sól, w której leżą uszy, żeby

rozpoznać kopalnię w jakimś nadbałtyckim kraju? A może przedziwnym zbiegiem okoliczności pisze właśnie rozprawkę na temat regionalnej typologii kształtów ludzkiego ucha.

Zamilkł na chwilę. Ettie rozczesywała mi włosy.

- Ciekaw jestem, czy rozwikła tę sprawę - dodał po chwili szef.
- Jeżeli o niej już nie usłyszymy, to będzie znaczyło, że poniósł porażkę.

Ettie zerknęła na niego i dodała swoje trzy grosze:

- A ty bardzo chcesz, żeby poniósł porażkę, prawda, kochany braciszku?

- Nic podobnego.

- Przyznaj choć raz, Williamie, że Sherlock Holmes ma wielki umysł. Jest najlepszy, nie ma sobie równych.

- Popełnia zbyt wiele błędów, żeby zasłużyć na to miano.

Ettie cmoknęła, po czym oznajmiła:

- Po prostu mu zazdrościsz.

Ku memu zaskoczeniu szef zamiast wybuchnąć gniewem, roześmiał się.

- Ależ Ettie, nic podobnego! Opatrzność traktuje jednych bardziej łaskawie niż innych. Nawet ty musisz to przyznać, siostrzyczko. Z tego, co pisze doktor Watson, wynika, że wiele słynnych dedukcji Sherlocka Holmesa to bardziej kwestia szczęścia niż geniuszu. A co dzieje się z tymi sprawami, które nie dostają się na łamy *Stranda*? W tych sprawach jest zapewne mniej skuteczny.

- Williamie, odkąd straciłeś posadę w gazecie, gardzisz wszystkimi, którzy odnoszą większe sukcesy niż ty. Nawet nie próbuj zaprzeczać.

- Bzdura, siostrzyczko - odparł, śmiejąc się po bratersku, czyli z miłością, lecz zarazem protekcjonalnie. - Chociaż przyznaję, że

Holmes nigdy nie musiał cierpieć za swoją sztukę. Czy wiesz, ile płaci mu król Czech za trzy dni pracy?

- To dlatego nie chcesz przyznać mu tego, co mu się należy? - zapytała. - Uważasz, że jesteś niedoceniany?

- Przyznasz chyba, że szczęście nie dopisuje mi ani w pracy, ani w miłości.

Zazwyczaj podczas tego typu rozmowy stawał się purpurowy na twarzy, tym razem jednak tylko chichotał i wiercił się, jakby ktoś go łaskotał.

- Po prostu myślę, że jesteś zazdrosny, Williamie. A co ty o tym sądzisz, Norman?

Od czasu do czasu przychodziło mi to do głowy, ale uznałem, że lepiej o tym nie mówić. Szef był w pogodnym nastroju i wolałem, żeby pozostał w nim jak najdłużej. Nie czekając na odpowiedź, poderwał się sprężyście z fotela i udał się do wychodka.

- Dziś rano przyszedł list - powiedziała Ettie, kiedy zniknął za drzwiami. - Od Isabel. To dlatego zachowuje się jak wariat. zaproponowała, żeby się spotkali za kilka dni.

- Wraca do niego?

- On wierzy, że tak, ale ja wątpię. Podejrzewam, że będzie się od niego domagać pieniędzy.

- Co zrobisz, jeśli do niego nie wróci?

- Nie sądzę, żeby to się miało zdarzyć. A teraz czy możesz mi powiedzieć, czego dowiedzieliście się w kostnicy? William próbuje mnie chronić, ale nie rozumie, że widziałam więcej zła na świecie niż on.

Opowiedziałem jej, co zdarzyło się w kostnicy, a ona, stojąc za mną, kończyła porządkować moją fryzurę. Zamknąłem oczy, żeby włosy nie wpadały mi do nich, i wkrótce poczułem senność. Widać było, że już to kiedyś robiła. Ruszała się żwawo. Czułem, jak jej

gorset ociera się o moje plecy. Zanim skończyłem relacjonować wydarzenia z poprzedniego dnia, rozczesała kołtuny i zabrała się do strzyżenia. Pracowała w milczeniu z typową dla niej pewnością siebie. Słysząc było tylko jej oddech i tykanie babcinego zegara na kominku. Po kilkunastu minutach usunęła szczotkę włosów z moich ramion i ogoliła szyję brzytwą. Potem znowu chwyciła grzebień, ale zamiast go użyć, zanurzyła palce w moich włosach i zaczęła rozczesywać je palcami, masując skórę czaszki i skórę za uszami. W pierwszej chwili pod dotykiem jej palców lekko się wzdrygnąłem. Mój fryzjer, do którego chodzę od lat, nigdy nie dotknął skóry mojej głowy. Nie mogę powiedzieć, że to nie było miłe, więc rozparłem się na fotelu i odprężyłem, zastanawiając się, czy powinienem mieć poczucie winy z powodu przyjemności, którą odczuwałem.

Niestety przyjemność szybko się skończyła, zbyt szybko. Ettie strzepnęła ręcznik i zaczęła przycinać bokobrody oraz wąsy. Ponownie wyprostowałem się na fotelu i otworzyłem oczy, sądząc, że to już koniec. Jednak ni stąd, ni zowąd położyła dłonie na moich policzkach i powoli przesunęła je w kierunku oczu. Kiedy to robiła, jej oddech stawał się coraz głębszy, a ja czułem bliskość jej twarzy przy moim ramieniu. Wyprężyłem całe ciało i chciałem się odwrócić, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale obawiałem się, że może to niepotrzebnie skierować uwagę na to, co robi, i wprowadzić ją w zakłopotanie. Delikatnie przesunęła palce od mojej szyi przez włosy aż do czubka głowy i z powrotem. Czułem jej gorący oddech na szyi.

- Skończyłaś już, siostrzyczko? - zapytał szef, z impetem wpadając do salonu. - Napiłbym się herbatki.

Oderwała ręce od mojej głowy i odsunęła się od krzesła.

- Tak, tak - wymamrotała głosem, który zdecydowanie

złagodniał. - Chyba tak.

- No, obróć się, Barnett, niech ci się przyjrzę - nakazał.

Podniosłem się z krzesła i kątem oka złapałem wzrok Ettie. Zarumieniła się i umknęła wzrokiem.

- Doskonale! - z zachwytem zawołał szef. - Teraz trochę balsamu, Ettie. Ostatni szlif, prawda?

- Butelka stoi na szafce - odpowiedziała pośpiesznie.

- A może powinniśmy zjeść po kawałku ciasta? - zaproponował.

Patrzyłem na nią, nie rozumiejąc, co zaszło.

- Przejrzyj się w lustrze - poradził szef. - I weź perfumy, żeby zdusić ten przykry zapach. Prosiłem cię, żebyś poszedł do łaźni.

- Za wcześnie zamykają - odparłem.

Znowu zauważyłem ten błysk w oku Ettie. Szybko się odwróciła.

- Pośpiesz się i nastaw herbatę, siostrzyczko. Musimy zaraz wyjść.

Rozłożyła ręce i wybuchnęła:

- Sam sobie nastaw, ty leniwa ropucho! Siedzisz tu od rana i nic nie robisz.

- Ettie! - zawołał zdziwiony i dotknięty. - O co chodzi? Co się dzieje?

- Och, cicho bądź. - Wbiegła po schodach na górę.

Patrzyliśmy za nią, aż zniknęła.

- O co jej chodzi? - zapytał, kiedy zostaliśmy sami.

- Ona myśli, że próbujesz ją chronić - wyjaśniłem, czując wspomnienie jej palców na skórze głowy i szybkie bicie serca.

- Zastanawiam się, czy nie była szczęśliwsza w Afganistanie. To może wrócić. Próbowałem jej to zasugerować.

- Może dlatego jest na pana zła, sir.

Westchnął i spojrzał w sufit.

- Lepiej już zrób tę herbatę, Barnett.

Ledwie zdążyliśmy wypić parę łyków, kiedy do drzwi zapukał Mały Albert.

- Jacyś dwaj dżentelmeni, panie Arrowood. Zatrzymałem ich w sklepie, tak jak pan kazał.

Wstałem, żeby ich wpuścić, lecz oni weszli sami, odpychając Małego Alberta. Zmierzyłem ich wzrokiem. Starszy miał na sobie brązowy garnitur, jego oczy były czerwone i rozmyte, a brodę rozjaśniała początkowa siwizna. Ten nie powinien sprawić kłopotu. Co innego młodszy. Miał na sobie czarną, zakurzoną kurtkę, która widziała lepsze czasy. Ledwie wszedł, od razu zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, szukając moich słabości. Był ode mnie niższy, wyglądał jak bokser. W dolnej szczęce brakowało dwóch zębów, a krzywy nos zdawał się wąchać lewy policzek. W szeroko rozstawione oczy aż trudno było patrzeć. Twarz gargulca. Stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, co miało wyrażać gotowość do użycia pięści. Taką postawę widziałem już wiele razy w pubach tuż przed wybuchem rozróby. Buty też miał zniszczone i stare, a sznurowadło w jednym z nich urwane.

- Mieliście zaczekać w sklepie - narzekał Mały Albert.

- Nie jesteś nam już potrzebny - odprawił go starszy. Mówił z irlandzkim akcentem. - Uprzejmie ci dziękujemy, już damy sobie radę.

Mały Albert spojrzał na szefa, który ścisnął oburącz solidną mosiężną laskę, którą trzymał zawsze obok krzesła. Przesunąłem się w kierunku kominka, zerkając z ukosa na pogrzebacz. Obaj pomyśleliśmy to samo: fenianie.

- Idź już, synu, wszystko w porządku - zwrócił się szef do Małego Alberta i spojrzał na starszego. - A pan to kto?

- Detektyw Lafferty - przedstawił się starszy, a ja sięgnąłem po pogrzebacz. - To jest detektyw Coyle - dodał.

Młodszy zmierzył mnie takim wzrokiem, jakby nie spodobała mu się moja fryzura.

- Jesteśmy z CID - kontynuował Lafferty. - Przypuszczam, że pan Arrowood.

- Tak, to ja - potwierdził szef.

- A to zapewne pan Barnett. - Gdy kiwnąłem twierdząco głową, oznajmił: - Pogrzebacz raczej nie będzie panu potrzebny. - Popatrzył na mój oręż. - Jeśli spróbuje pan go użyć, wsadzimy go panu w dupę. - Gdy nawet nie drgnąłem, kontynuował: - Chcielibyśmy zaprosić obu panów do Scotland Yardu.

- Doprawdy? Do Scotland Yardu? - zapytałem, udając niedowierzanie.

- Doprawdy. W sprawie zabójstwa jednego z naszych funkcjonariuszy. Zakładam, że nie mają panowie nic przeciwko temu.

- Umówiliśmy się w południe - zaprotestował szef.

- Zabójstwo jednego z naszych agentów traktujemy jako sprawę niecierpiącą zwłoki - powiedział Coyle rozwlekłe z irlandzkim akcentem.

- Skąd mamy wiedzieć, że jesteście z CID? - zapytałem.

- A dlaczego miałby pan mieć jakieś wątpliwości? - Coyle podszedł do mnie o krok bliżej.

- Dziwią się panowie, że Irlandczycy pracują w policji? - odezwał się Lafferty, chwycił Coyle'a za ramię i odciągnął do tyłu.

- Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale nic na to nie poradzę. Oba nasze kraje są ze sobą sprzężone. Może nie byliśmy w was zakochani, ale skoro jesteśmy małżeństwem, to już jesteśmy. A prawda jest taka, że wy, Anglicy, myjecie się tak samo rzadko

jak my.

- Zapewne ma pan rację - zgodził się szef.

- Na zewnątrz czeka dorożka. Wyjdźmy razem grzecznie i kulturalnie.

Widząc, że szef gotów jest do wyjścia, zaproponowałem:

- Jeżeli nie robi to panom różnicy, to wolelibyśmy nie skorzystać z zaproszenia. Może usiadźmy i porozmawiajmy tutaj.

- Właśnie. Możemy porozmawiać tutaj - powtórzył szef, odsuwając dwa krzesła od stołu. - Moja siostra zaraz poda herbatę.

- Panie Arrowood, nie przyszliśmy tu dyskutować - stwierdził Lafferty.- Dlatego bardzo proszę, chodźmy już.

Nigdzie się nie wybierałem. Nie miałem wątpliwości, że ci dwaj to fenianie, a po tym, co spotkało tego glinę, byłem gotów ich zabić, zanim pozwolę, żeby mnie zabrali.

- Nikogo nie oszukacie - powiedziałem, czując w dłoni zimny uchwyt pogrzebacza. - Tacy z was policjanci jak z nas. - Przerwałem na moment i zacząłem z innej beczki: - Nie chcemy się z wami spierać, panowie. Próbujemy tylko znaleźć młodego Francuza w imieniu jego rodziny. Ma na imię Thierry. Nie interesuje nas, czym się zajmujecie. Chcemy tylko odnaleźć tego chłopca.

Podczas mojej wypowiedzi szef uważnie obserwował ich twarze, szukając w nich sygnałów pobudzenia emocjonalnego lub napięcia w chwili, gdy wymieniłem imię Thierry'ego. Jednak zamiast tego Coyle sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej rewolwer.

- Nie będziemy was prosić dwa razy - oznajmił beznamiętnym tonem. - Odłóżcie broń.

- Mój Boże! - Przerażony rzucił laskę na podłogę. - Doprawdy,

nie ma potrzeby, panowie, naprawdę to zbyt cenne. Wierzę w wolną Irlandię, Barnett też, prawda? Nie jesteśmy waszymi wrogami.

- To bardzo ciekawe, sir - ucieszył się Lafferty.

Spojrzeni po sobie. Skorzystałem z tego i sięgnąłem po pogrzebacz, żeby go uderzyć, ale Coyle okazał się szybszy. Odwinął się i przyłożył mi lufę rewolweru do piersi.

- Rzuć to! - syknął.

Nie miałem wyboru i pozwoliłem, by pogrzebacz wypadł mi z ręki. Coyle kopnął go na środek salonu.

- Panowie, proszę! - krzyknął szef. - Pomówmy o tym spokojnie. Nie stanowimy dla was żadnego zagrożenia. Dałem wam słowo.

- To pan niech się uspokoi - przerwał mu Lafferty. - Mój kolega zastrzelił was tylko wtedy, jeśli będziecie sprawiać kłopoty. Więc jak, mamy was zakuć w kajdanki, czy zachowacie się jak dżentelmeni, za jakich was uważam?

- Kajdanki? Jakie kajdanki? Po co kajdanki? - zaniepokoił się szef.

Lafferty westchnął i wyciągnął z kieszeni parę kajdanek.

- Tak jest, kajdanki - powiedział. - Jak już mówiłem, jesteśmy z CID. Wasz adres przekazał nam inspektor Petleigh.

- Inspektor Petleigh? Naprawdę jesteście z CID?

- Zabójstwo agenta to sprawa pilna, panie Arrowood, jak to już powiedział pan Coyle. Inspektor Petleigh złożył nam krótką wizytę tuż przed przybyciem waszego posłańca.

Szef zerknął na mnie z pytającym wyrazem twarzy.

Kiwnąłem głową, chociaż wydawało mi się to trudne nadal do uwierzenia. Nigdy nie słyszałem o irlandzkim policjancie, a tu nagle mamy przed sobą aż dwóch.

- A teraz, jeśli panowie pozwolą - powiedział Lafferty - koń się

narowi. Nienawidzi słońca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

W drodze do Scotland Yardu nie odzywali się do nas. Szef siedział naprzeciw mnie i z pogodnym uśmiechem na twarzy patrzył pustym wzrokiem przez okno. Widać było, że wciąż myśli o liście od Isabel. W Scotland Yardzie zeszliśmy do piwnic, a tam do szarego pomieszczenia z jednym małym i brudnym okienkiem pod samym sufitem. Na środku stał stół, wokół niego sześć krzeseł. Usiedliśmy, a Lafferty i Coyle opuścili pomieszczenie, zamykając za sobą stalowe drzwi. Przez prawie dwie godziny szef zachowywał spokój i pogodę ducha, co było zupełnie do niego niepodobne. Ale w końcu odezwał się jego żołądek. Zaczął burczeć, a pogodny nastrój przysł.

- Zrobili tak celowo - powiedział, podnosząc się z krzesła, po czym usiadł z powrotem. - Próbują na nas wywrzeć nacisk.

Pojawili się dopiero po upływie czterech godzin. I wcale nas nie przepaszali.

- Gdzie byliście? - zapytał szef. - Trzymacie nas tutaj pół dnia.

- Mieliśmy sprawy do załatwienia - odparł Lafferty, rzucając na stół blaszaną popielniczkę, notes i ołówek.

- My też mamy sprawy do załatwienia - zaprotestował szef. - Więc się pośpieszcie.

Zachowywali się tak, jakby go nie słyszeli. Coyle stał przy drzwiach, a Lafferty spacerował po pomieszczeniu. Zaczął zadawać pytania. Powiedzieliśmy mu wszystko, co wiemy, nie ukrywając niczego z wyjątkiem tego, co przy odpowiednim nastawieniu mogło grozić zarzutami kryminalnymi. Opowiedzieliśmy o Milky Sal, o bednarzu i o zabójstwie Marthy,

a także o złodziejskiej szajce fenian. Powiedzieliśmy, że Longmire jest znajomym Creama, nie ujawniając źródła tej informacji. Kiedy skończyliśmy, Lafferty usiadł za stołem naprzeciw nas i dał znak Coyle'owi, który włożył ręce do kieszeni i zaczął zadawać te same pytania, używając nieco innych słów. W miarę przesłuchania widziałem, jak w szefie wzbiera irytacja.

- Panowie, czy to naprawdę działa? - zapytał w końcu. Bo najbardziej ze wszystkiego nie lubił dominacji młodszych od siebie.

- Czasami działa - odparł Lafferty. - Jeśli się zmęczą albo kiedy zmyślają historie zbyt skomplikowane na ich rozum.

- Może powinniśmy to zastosować, Barnett. - Szef zerknął na mnie. - Ty będziesz detektywem Coyle'em, a ja inspektorem Laffertym. Zbadamy ich metody. Patrz, jaką Coyle przybrał groźną postawę. Co za poczucie władzy! Dlaczego nigdy nie stosujemy tej techniki, Barnett?

- Może dlatego, że nie jesteś prawdziwym detektywem - odpowiedział Coyle.

- Jestem prywatnym detektywem - odparł szef. - I rozwiązałem więcej spraw, niż zmieści się w twojej małej głowie.

- Ale jednak nie jest pan Sherlockiem Holmesem, prawda, sir? Jakoś nie czytaliśmy o panu w gazetach.

Szef pokręcił głową i cień smutku przemknął przez jego twarz.

- Coś takiego?! - wykrzyknął z emfazą. - Więc wydział śledczy też robi z Sherlocka gwiazdę, jak wszyscy w tym kraju? Jestem rozczarowany. Miałem nadzieję, że w Scotland Yardzie pracują lepsi fachowcy.

Coyle poczerwieniał.

- Masz o sobie wysokie mniemanie, co, Arrowood? Nie powiesz chyba, że potrafiłbyś rozwiązać zagadki kryminalne tak szybko

jak on. Holmes potrafi myśleć za czterech.

Lafferty przewrócił oczami. Najwyraźniej nie podzielał opinii Coyle'a.

- Weźmy na przykład taką sprawę Mormonów - ciągnął Coyle, ściskając oparcie krzesła. - Słyszałeś o niej?

- Ciało znaleziono w domu przy Brixton Road - odpowiedział szef znużonym tonem. - Thomas Drebber.

- Nie ma w Anglii nikogo, kto potrafiłby poskładać tę sprawę tak jak on. CID nie dał rady. Nawet Whicher nie potrafił jej rozwiązać.

- Holmes wcale nie rozwiązał tej sprawy - stwierdził szef stanowczo.

- Jasne, że ją rozwiązał. Wszystko jest tam opisane. Podał nazwisko mordercy...

- Hope! - przerwał szef. Widziałem, że znowu zaczyna się gotować. - Morderca nazywał się Hope!

- ...i nawet zaprowadził go na Baker Street, żeby go tam zatrzymali - ciągnął Coyle.

Szef zerwał się od stołu.

- Na miłość boską! - krzyknął. - Jedyne, co zrobił Sherlock Holmes, to zadzwonił do policji w Cleveland, gdzie powiedziano mu, że Drebbera prześladował Hope. Podano mu nazwisko zabójcy, ty imbecyłu! I to ma być rozwiązanie sprawy?

Coyle kręcił głową i z uporem mnożył przykłady: krwotok z nosa, ślady kopyt, mężczyzna z czerstwą cerą i obrączka.

- Holmes odczytał wszystkie tropy. Nikt inny nie potrafił ich poskładać.

- Przecież to są wszystko tylko szczęśliwe domysły - oburzył się szef, chwytając się za głowę. - Najpierw na każdy odkryty trop daje kilka wytłumaczeń. Potem odrzuca jedno z nich i wskazuje

inne jako rozwiązanie zagadki. Na przykład weźmy motyw morderstwa. To oczywiste, że nie chodziło o rabunek. Więc Holmes wnioskuje, że chodziło albo o kobietę, albo o politykę. Stwarza pozory, że ignoruje wszelkie inne motywy. A co z zemstą? Może Drebber zabił brata zabójcy? Może pozbawiono go należnego mu rodzinnego spadku? A może Drebber zatopił mu statek. Zostaje jeszcze zbrodnia z szaleństwa. Oraz szantaż. Ale nie! Holmes nie bierze pod uwagę żadnej z tych możliwości ani żadnego innego z tysięcy możliwych motywów morderstwa na świecie. – Mówił coraz szybciej, wpatrując się intensywnie w Coyle'a, żeby mu nie przerwał. Gnał dalej: – A potem wyklucza motyw polityczny, ponieważ ślady świadczą o tym, że morderca chodził wokół pokoju po śmierci Drebbera. Holmes twierdzi, że przy zabójstwie politycznym to jest absolutnie niemożliwe. Bzdura! Nic nie jest takie oczywiste, jak się wydaje. Może ktoś stał na ulicy i zabójca musiał zaczekać, aż przejdzie dalej? Może chciał się upewnić, że Drebber nie żyje? Może dręczyło go wspomnienie okrucieństwa, którego się dopuścił. Tak więc jedynie przez przypadek Holmes dochodzi do wniosku, że motywem była kobieta. Owszem, miał rację, ale tylko dlatego, że na ślepo wybrał ten właśnie motyw z powodu zaskakującej niemożności uwzględnienia wszystkich innych opcji.

– A obrączka? – zapytał Coyle. – To przecież był dowód...

– Żaden dowód! – ryknął szef, zmiatając ze stołu popielniczkę razem z czapką Coyle'a, zupełnie jakby opętał go jakiś demon. – Obrączkę można wytłumaczyć na milion sposobów. Może wypadła mu z kieszeni podczas szarpaniny. Albo szedł ją zastawić. Mogła też zostać podrzucona dla zmylenia tropów. Holmes odrzuca napis na ścianie, uznaje za wybieg, więc dlaczego nie odrzucić obrączki? Zresztą Drebber mógł próbować przekupić zabójcę.

Wreszcie najpoważniejszy problem, którego Holmes znowu nie dostrzega. Jeżeli obrączka jest rzeczywiście tak ważna, to jak to możliwe, że zabójca zostawił ją na miejscu zbrodni?

Szef mówił na coraz wyższych tonach, tak naprawdę piszczał, dziko wymachując rękami w powietrzu. Twarz mu płonęła, a głowa jakby mu spuchła, bo wyglądała na dwa razy większą. Uderzył pięścią w stół. Lafferty i Coyle przyglądali mu się z otwartymi ustami.

- Byle głupiec zrozumie, co to oznacza: że obrączka nie jest ważna! - wywodził dalej. - Ale także i tym razem Holmes ma szczęście, bo mimo wszystko zabójca zostawia ją na miejscu zbrodni. Zapewniam was, że to jest jedna szansa na milion. Holmes ma rację tylko dlatego, że przeoczył wszystkie inne możliwości. A doktor Watson pisze o tym w *Strandzie*, oznajmiając całemu światu, że Holmes jest geniuszem! - Szef stał przy stole, ciężko dysząc i przenosząc wzrok od Lafferty'ego przez Coyle'a na mnie.

Lafferty stukał ołówkiem w stół. Coyle z ramionami skrzyżowanymi na piersiach opierał się o ścianę. Wszyscy zamilkli. Szef wciąż na nas patrzył, przygryzając wargę.

W końcu przemówił Lafferty:

- Wydaje się, że wie pan bardzo dużo o tej sprawie, Arrowood.

Twarz szefa drgała i krzywiła się nerwowo, jakby nagle stracił pewność siebie.

- Szef bardzo dużo czyta - pośpieszyłem z wyjaśnieniem, podnosząc się z krzesła. Dotknąłem jego ramienia. Było nienaturalnie gorące. Nawet przez ubranie poczułem, że puls mu wali jak szalony. Pomogłem mu usiąść, potem podniosłem czapkę Coyle'a i położyłem na stole. - Nie rozstaje się z książką.

- Będziemy musieli założyć ci kajdanki, Arrowood, jeśli masz

zamiar nadal być taki wybuchowy – zażartował Lafferty.

– Nie ma potrzeby – zapewniłem. – Szef będzie zachowywał się jak należy. Ale nie sprzyjają temu różne sztuczki, które mają nas rozdrażnić.

Poczułem, że szef poklepał mnie po kolanie pod stołem.

– Nie możesz się porównywać z Sherlockiem Holmesem, Arrowood – powiedział Coyle, nie dając za wygraną. – Spójrz tylko na siebie. Jesteś zużyтым starym psem, który wraz z tym swoim osiłkiem zarabia jakieś grosze, tropiąc drobnych dłużników. Powiadają, że najlepiej się sprawdzasz w śledzeniu niewiernych żon. I podobno to lubisz.

Czułem, jak szef napina się i sztywnieje.

– No dobrze już, dobrze – przyhamował kolegę Lafferty. – Nie zaczynajmy od nowa.

– Ile masz lat? – zwrócił się szef do Coyle’a spokojnym tonem.

– A co ci do tego?

Żołądek szefa zakwakał. Udało mu się go zagłuszyć.

– Pytam tylko o twoje doświadczenie zawodowe. Wydaje się, że jesteś bardzo młody.

Coyle odsłonił zęby i zacisnął pięści. Spojrzał na Lafferty’ego, który siedział przy końcu stołu z rękami splecionymi za głową.

Rozległo się pukanie do drzwi i młody policjant wsunął głowę do pokoju.

– Inspektor Lafferty?

– O co chodzi? Jesteśmy zajęci.

– Inspektor Lestrade prosi, żeby panowie przyszli do jego biura, jak skończycie, sir.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie Whitehall. Nic więcej nie powiedział.

– Powiedz mu, że zaraz będziemy.

Policjant schował głowę i zamknął drzwi.

- Blisko współpracujecie? Dobrze znasz Lestrade'a? - zapytał szef.

- Nie wasz interes, kogo znamy, a kogo nie - uciął Lafferty. - A teraz, panowie, może spróbujemy jeszcze raz, co? Nie będziemy się przecież bić. Zapali pan cygaro?

Szef zgodził się po namyśle. Podniosłem z podłogi popielniczkę. Kiedy wszyscy zapalili, Lafferty powiedział:

- Ktoś zabił naszego człowieka. Łatwo się domyślić, że w związku z tym nie jesteśmy w najlepszym nastroju. Byłbym zobowiązany, gdybyś odpowiadał na nasze pytania, nawet jeśli się powtarzają.

- Oczywiście, inspektorze - zgodził się szef. - Ale może zechce nam pan zdradzić imię i nazwisko ofiary.

- To nie twój interes - uciął Coyle.

- Pomogłoby nam to w rozmowie - nalegałem.

Lafferty spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Petleigh ma o tobie dobre zdanie, Barnett. Twierdzi, że byłby z ciebie dobry policjant.

- To mi pochlebia - odparłem.

Lafferty zaciągnął się cygarem. Nie zachowywał się już tak pewnie jak na początku.

- Czy macie jakieś domysły, kto mógł go zabić? - zapytał szef niecierpliwie, a gdy Lafferty podniósł oczy do nieba z ciężkim westchnieniem, nalegał dalej: - To powiedzcie nam przynajmniej, nad czym pracował. Podejrzewam, że nad tym morderstwem, czyż nie?

- Morderstwem? Jakim morderstwem? - zdziwił się Lafferty.

- Dziewczyny! - krzyknął szef. - Do jasnej cholery! Tylko mi nie mówcie, że nie pracujecie nad tym morderstwem! - Lafferty

w milczeniu palił cygaro, ale szef nie ustępował: - Czy w takim razie zajmujecie się Creamem? - Lafferty wykrzywił wargi w uśmiechu. - Nieletnie dziewczęta? - ciągnął dalej szef. - Fenianie?

- Zamknij się - warknął Coyle.

- Panowie - zaczął szef z całym spokojem, na jaki było go stać. - Powiedzieliśmy wam wszystko, co wiemy. Teraz wy powiedzcie nam, o co chodzi.

- Tego nie możemy zrobić, niestety, sir. - Lafferty zaśmiał się. - Przejdźmy teraz do tego waszego pocisku. Czy jesteście pewni, że pochodzi z powtarzalnego karabinu Lee-Enfield?

- Tak nam powiedziano - odparł szef.

- Kto wam tak powiedział?

- Ktoś niezwiązany ze sprawą.

- Rozumiem. Gdzie jest ten pocisk?

- U mnie w domu.

- Aha - mruknął Lafferty. - Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie, ale będzie pan musiał nam go dać.

- Możecie wrócić z nami i zabrać go sobie, skoro musicie - powiedział szef i założył ręce na piersiach.

Lafferty wyjął zegarek z kamizelki.

- Umówmy się, że my tu zostaniemy i spotkamy się, powiedzmy, za jakieś dwie godziny, dobrze?

Szef wstał z krzesła, wzdychając ciężko.

- Chodźmy już, Barnett. Będziesz musiał im go przynieść.

- Nie sądzę - powiedział Lafferty, cedząc słowa. Uśmiech na jego twarzy świadczył o tym, że dobrze się bawi. - Pan Barnett zostanie tu do pańskiego powrotu, panie Arrowood. Nie żebym panu nie ufał, sir, ale uczono nas, że mamy być ostrożni.

Szef poczerwieniał na twarzy.

- Chce pan powiedzieć, że to ja mam przynieść panu ten pocisk? Że mam przejść przez całe miasto tam i z powrotem? Czekają na mnie znacznie ważniejsze sprawy, sir. Mam podagrę. Proszę posłać ze mną policjanta. Niech on przyniesie panu ten pocisk.

Lafferty wstał i otworzył drzwi.

- Im szybciej pan to zrobi, panie Arrowood, tym prędzej pan Barnett wróci do domu.

- Rozumiem, że wasza sprawa jest związana z tym pociskiem - podsumował szef.

- Radzę nie wyciągać przedwczesnych wniosków, panie Arrowood. Zawsze zbieramy niewyjaśnione wątki na wypadek, gdyby miały do nas kiedyś wrócić jak bumerang. Tak nas teraz szkolą i tyle. Nie ma żadnego powodu, żeby przyjmować hipotezę, że ta dziewczyna właśnie wam chciała przekazać pocisk. Poza tym nie mieliśmy ostatnio żadnych meldunków o zabójstwach przy użyciu broni palnej. Czy są jakieś raporty na ten temat, Coyle?

- Nie było.

- No właśnie. Karabin to raczej nie jest broń Creama. Prędzej nóż, pięści i buty. Rzeka, owszem, z konieczności pistolet. Ale o ile nam wiadomo, nie karabin. Myślę, że dziewczyna mogła znaleźć pocisk na ulicy w drodze na spotkanie z wami albo ukradła go kochankowi.

- Tak pan myśli? - powiedział szef z powątpiewaniem.

- Tak myślę. Tak czy owak, na wszelki wypadek musimy go mieć, gdyby nasz przełożony miał ochotę go sobie obejrzeć. I tyle.

Szef wyszedł z nimi, ja zostałem. Wrócili po godzinie. W piwnicznym pomieszczeniu panował chłód i musiałem chodzić w tę i z powrotem, żeby się rozgrzać.

Poprosili, żebym usiadł. Lafferty usiadł naprzeciw mnie. Coyle stanął za moimi plecami.

- Nie mówicie nam wszystkiego, panie Barnett - zaczął Lafferty. Zdjął marynarkę i siedział w kamizelce i koszuli. Czuć było od niego zapach piwa. - Rozumiem to. W naszej branży niebezpiecznie jest odkrywać wszystkie karty. Ale my musimy wiedzieć wszystko. Zabito jednego z naszych ludzi i nie możemy puścić tego płazem, prawda? Więc od czego chcesz zacząć?

- Powiedzieliśmy już wszystko.

Ledwie to powiedziałem, poczułem przeszywający ból, który przeniknął całe moje ciało od ramienia w dół. Zrobiło mi się słabo, chwyciłem się drugą ręką za miejsce, w które zostałem uderzony. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Coyle trzyma w ręce pałkę policyjną. Jego twarz wyrażała wściekłość i nienawiść właściwą ludziom, którzy dotkliwie krzywdzą bliźniego.

- No więc, panie Barnett, pytam ponownie - zaczął Lafferty.

Zerwałem się z krzesła, podskoczyłem do Coyle'a i zdrową ręką chwyciłem go za gardło. Jednak przejmujący ból odebrał mi siły i Coyle odepchnął mnie z powrotem na krzesło. A Lafferty trzymał w ręce pistolet, mierząc prosto w moją pierś.

- Idź do diabła. - Splunąłem na niego.

Coyle uderzył mnie ponownie w to samo ramię. Bezwiednie wydałem z siebie niski, zwierzęcy ryk. Zgiąłem się w pół i uderzyłem głową w blat stołu.

- Pułkownik Longmire. On nas interesuje. Chcemy dowiedzieć się czegoś o nim - powiedział Lafferty. - Co ma wspólnego z Creamem?

- Nie wiemy, co ma wspólnego - wydusiłem z siebie, krzywiąc twarz. Odwróciłem się tak, żeby Coyle nie mógł dosięgnąć mojego ramienia, ale wiedziałem, że plecy mam odsłonięte. Nigdy

przedtem nie czułem do nikogo takiej nienawiści jak do tego policjanta. Poprzysiągłem sobie, że dopadnę go przy pierwszej nadarzającej się okazji. – Znamy tylko jego nazwisko. To miało być nasze następne zadanie.

– Skąd znacie nazwisko?

Czując, jak Coyle szykuje się za mną do skoku, zastanawiałem się przez chwilę. Ale tylko przez chwilę. A potem powiedziałem:

– Włamaliśmy się do Barrel of Beef i znaleźliśmy zeszyt, w którym było pełno nazwisk. Nazwisko Longmire powtarzało się częściej niż inne w ciągu kilku miesięcy. To tyle, naprawdę. Wiedzieliśmy, że pracuje w Ministerstwie Wojny. Innych nazwisk nie znamy.

Podniosłem się. Jeżeli miałem otrzymać kolejne uderzenie, to wolałem odwrócić się do niego przodem. Coyle patrzył mi prosto w oczy, powoli rytmicznie uderzał pałką w udo, jego krzywy nos drgał.

Lafferty milczał przez chwilę, po czym położył na stole złotego suwerena i powiedział:

– To dla ciebie.

– Za co?

– Chcemy, żebyś nas informował. Tylko tyle. Kiedy coś odkryjecie, wyślij nam wiadomość przez posłańca.

Odsunąłem się od Coyle'a na drugi koniec stołu. Przy każdym ruchu czułem tak potworny ból, jakbym miał złamaną rękę. Może miałem?

– Dlaczego mnie nie uderzysz?

– Weź monetę – odparł Lafferty. – To mniej boli.

Wziąłem monetę, żeby uniknąć uderzenia.

– Jaką sprawą się teraz zajmujecie? – zapytałem. – Jeśli chcecie, żebym pomagał, to powinienem wiedzieć.

- Prowadzimy śledztwo na temat szajki włamywaczy.
- To zbyt duże zamieszanie jak na zwykłych złodziejasków.

Dlaczego akurat CID się tym zajmuje?

- Zdenerwowali pewnych wpływowych dżentelmenów - wyjaśnił Lafferty.

- Kogo? Pułkownika Longmire'a?

- Ukradli coś, co należało do pewnych wysoko postawionych członków rządu, którzy chcą odzyskać swoją własność.

- Jaką własność?

Jakiś policjant znowu zapukał do drzwi. Lafferty wyszedł na chwilę na korytarz. Po chwili wrócił.

- Możesz już iść, Barnett. Wrócił pan Arrowood.

- Czyli jak się czegoś dowiem o tych włamywaczach, to mam wam wysłać wiadomość, tak?

- O to właśnie nam chodzi. - Lafferty uśmiechnął się. - I wszystko o bandzie Creama, co może mieć z tym jakiś związek. Na przykład Longmire. Byłoby wskazane, żebyś nie informował o tym swojego pracodawcy, co? Nie mów o tym nikomu. I jeszcze jedna sprawa... Niewykluczone, że od czasu do czasu poprosimy cię, żebyś coś dla nas zrobił. Na przykład kogoś śledził czy otworzył jakiś zamek. Za to wszystko możesz dostać dziesięć szylingów tygodniowo.

- Już mam pracę.

- Tylko od czasu do czasu.

- Dlaczego nie zlecicie tego jakiemuś gliniarzowi?

- Niektóre sprawy odbywają się bez udziału policji - odparł Lafferty. - Zwłaszcza sprawy tak delikatne jak ta. No, a teraz Coyle odprowadzi cię do wyjścia.

Szedłem za Coyle'em wzdłuż ciemnego korytarza, trzymając się za ramię, żeby się nie ruszało. Lafferty szedł za nami. Każdy

najmniejszy ruch lub wstrząs wywoływał atak bólu. Za każdy taki skurcz miałem ochotę poderżnąć gardło temu śmierdzielowi Coyle'owi. Zanim dotarliśmy do schodów, minęliśmy stalowe drzwi z małym okienkiem do takiego samego pomieszczenia jak to, z którego wyszliśmy. Zajrzałem do środka. Przy stole odwrócony plecami do drzwi siedział szef. Chciałem tam wejść, ale Lafferty ścisnął mnie gwałtownie za ramię.

- Proszę tego nie robić, panie Barnett. Grzeczny chłopiec.

Czekałem w upale przed budynkiem Scotland Yardu ponad godzinę. Chciało mi się pić, było mi duszno i gorąco, bolała mnie ręka. W pobliskim pubie zamówiłem piwo i stałem na trotuarze, obserwując drzwi wejściowe. Na ulicy panował duży ruch, w obie strony jeździły omnibusy, wozy, dorożki i dwukółki. Krzyczeli gazeciarze, taszcząc sterty gazet. Zamówiłem kilka kielbasek, następne piwo i czekałem dalej. Pub zaczął wypełniać się gliniarzami, którzy skończyli służbę. Minęły dwie godziny, a szef wciąż się nie pokazywał, więc dałem za wygraną.

W powrotnej drodze zauważyłem, jak Coyle wychodzi z budynku. Ukryłem się w bramie, a potem śledziłem go, kiedy przechodził przez ulicę i wchodził do kawiarni. Ulicą przetoczył się wóz z mlekiem i na chwilę zasłonił mi widok, a kiedy przejechał, Coyle wychodził z kawiarni, kierując się na Waterloo Bridge. Śmiał się głośno i rozmawiał z niskim mężczyzną, który z trudem dotrzymywał mu kroku. Patrzyłem na niego zdumiony. Było gorąco, więc nie miał na sobie długiego płaszcza, którego poły łopotwały przede mną, kiedy za nim biegłem tamtego deszczowego i wietrznego dnia w Borough. Trudno jednak było nie rozpoznać tej kanciastej sylwetki i krzywych nóg. Gdy zatrzymali się na moście, mężczyzna odwrócił się profilem, ukazując przerażający haczykowaty nos. Coyle podawał rękę

człowiekowi, który zabił Marthę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W drodze do domu wstąpiłem do apteki. Ręka, którą wcześniej uszkodził mi tajniak w ciemnym zaułku, a teraz doprawiona przez Coyle'a, bardzo dawała mi się we znaki. Aptekarz obejrzał ją i zapewnił, że nie jest złamana, a na uśmierzenie bólu sprzedał pudełko black dropu. Szefer zażyczyłby sobie laudanum, które często stosował w różnych sytuacjach, ja jednak preferowałem moje pastylki.

Tej nocy spałem jak kamień. Zbudziłem się z głową pękającą z bólu, a ręka była spuchnięta i fioletowa, więc zażyłem pastylkę black dropu. Zabrałem kopertę, która od kilku dni leżała na stole, i udałem się na Coin Street. Przed sklepem spotkałem Ettie, panią Truelove i pannę Crosby w towarzystwie wielebnego Hebdena. Nie bardzo wiedziałem, jak się wobec niej zachować po tych jej intymnych zabiegach z moją głową, ale nie miało to większego znaczenia, bo okazało się, że niepokoi się losem brata, a nie tym, co zaszło między nami poprzedniego dnia.

- Gdzie on jest? - zapytała po przedstawieniu mnie pastorowi.

- Nie widziałem go od wczoraj, Ettie.

Westchnęła i wzięła mnie na bok.

- Czy on znowu pije? - wyszeptała, a gdy opowiedziałem, co działo się w Scotland Yardzie, spytała niespokojnie: - Myślisz, że go aresztowali?

- Niewykluczone, że próbują wycisnąć z niego więcej informacji.

- Skoro go zatrzymali, dlaczego szukał go tu dziś rano inspektor Petleigh?

- Petleigh pracuje w lokalnej policji, a tamci są ze Scotland Yardu, konkretnie z CID, czyli z kryminalnego wydziału śledczego, i nie muszą mu mówić, co robią. - Gdy nieco uspokojona spojrzała w głąb ulicy za moimi plecami, spytałem: - Wybieracie się gdzieś?

- Do Cutler's Court. Czekamy jeszcze na jedną z pań. Czy rozmawiałeś z panią Barnett na temat moich odwiedzin?

- Jest teraz dosyć zajęta.

Spojrzała na mnie w tak dziwny sposób, że kiedy podszedł do nas wielebny Hebden, odetchnąłem z ulgą.

- Też wybierasz się z nami, Norman? - zapytał.

Pastor, młodszy od pań, był roslym mężczyzną z mocno zarysowaną szczęką i bujną, falującą fryzurą.

- Niestety nie mogę, sir. Mam pełne ręce roboty w związku ze sprawą, którą badamy.

- Szkoda. Mamy zamiar wykraść młodą dziewczynę. Załatwiliśmy dla niej bezpieczną kryjówkę. Namawiamy ją do tego od kilku tygodni.

- W takim razie życzę powodzenia, pastorze.

- Na pewno nie pójdziesz, Norman? - łagodnie nalegała Ettie. - Brakuje nam męskich rąk.

- Może innym razem.

- No cóż, miejmy nadzieję.

- Ruszajmy, moje panie - zaproponował pastor. - Wystarczy tego czekania.

Potrząsnął energicznie moją dłoń, odwrócił się i ruszył przed siebie, a panie podążyły za pastorem. Zanim Ettie dołączyła do nich, ścisnęła mnie za łokieć.

Zwlekałem z tym długo, ale dyskretny uścisk Ettie dodał mi

otuchy, której tak bardzo potrzebowałem. Wiedziałem, że nadszedł już czas. Udałem się do biura rejestrowego przy ulicy St Olave i zająłem miejsce na końcu kolejki. Słuchałem, jak kolejni interesanci załatwiają swoje sprawy. Urzędnik w podeszłym wieku prosił o dokumenty i dane, a potem powoli wpisywał je do rejestru, raz po raz maczając pióro w kałamarzu i znacząc księgę kleksami. Niektórzy, ci biedniejsi, nie umieli się podpisać, więc podpowiadał im, gdzie postawić jaką literę, i sprawa była załatwiona.

- Co pan chce zarejestrować? - zapytał, kiedy nadeszła moja kolej.

Chciałem odpowiedzieć na to proste pytanie, ale słowa uwięzły mi w gardle. Zamrugalem tylko, powstrzymując łzy. Urzędnik kiwał powoli głową ze zrozumieniem, patrząc na mnie łagodnie spoza grubych okularów. Wreszcie podrapał się po bokobrodach i spytał:

- Zgon? - Gdy potwierdziłem ruchem głowy, powiedział łagodnie: - Poproszę o imię, sir.

- Elizab... - Wziąłem głęboki oddech i odwróciłem wzrok.

- Nie ma pośpiechu, sir - uspakajał mnie.

Przełknąłem głośno, wziąłem się w garść i zacząłem od nowa:

- Elizabeth Barnett.

Pióro zaskrzypiało na papierze.

- Jest pan mężem?

Kiwnąłem głową.

Zapisał adres, datę jej urodzenia, pracę w zakładzie kapelusznym.

Wzrok miałem zamglony, głos niepewny. Zapisał i postawił kleksa.

- Przyczyna zgonu?

Otworzyłem usta, ale znowu nie mogłem wydusić ani słowa. Zamiast tego wręczyłem urzędnikowi kopertę ze świadectwem zgonu, a gdy uważnie ją przestudiował, zapytał:

- Czy pana żona zmarła w Derby, sir?
- Nawet nie wiedziałem, że była chora.

Zmarszczył brwi.

- Według prawa powinien pan to zgłosić w Derby, i to w ciągu pięciu dni. Czy pan ją pochował?

Znowu kiwnąłem głową. Pojechała do Derby w odwiedzinach do siostry, i to zdarzyło się właśnie podczas tej wizyty. Tydzień przed tym, jak panna Cousture przyszła po raz pierwszy na Coin Street. Zaczęło się od tego, że Elizabeth dostała gorączki. I już nie wróciła do domu.

- Zazwyczaj nie zezwalają na pogrzeb - powiedział urzędnik.

Słyszałem, co mówi, ale sam nie mogłem odzyskać mowy. Chwyciłem brzeg jego biurka, żeby się nie przewrócić.

- Sir? - zwrócił się do mnie z niepokojem.
- Lekarz zachorował. Dostałem tylko ten list.

Urzędnik milczał przez chwilę. Potem znowu zaczął skrobać piórem w księdze, a po chwili podał mi kawałek papieru.

- Wiem, że nie jest panu łatwo. Ale musi pan być mocny.

Poszedłem do pubu po przeciwnej stronie ulicy, zamówiłem brandy i szklanek gorącej wody. Ręka, w której trzymałem szklanek, drżała. Wypiłem jednym haustem i zamówiłem kolejną brandy, ale tej już nie mogłem skończyć. Wyszedłem na zatłoczoną ulicę, poszedłem nad rzekę, przeszedłem mostem Tower Bridge na gwarne Katherine Dock wśród statków cuchnących smołą i solą. Nie mogłem zdobyć się na to, żeby zaraz po tym, jak to się stało, powiedzieć szefowi. Nie potrafiłem

powiedzieć nikomu, pewnie z obawy przed tym, co nastąpi, jak już im to powiem. Minął dzień, potem drugi i trzeci, a ja nadal nie potrafiłem się zebrać, żeby to powiedzieć. Chciałem po prostu być w ruchu. Wiedziałem, że szef i Ettie będą dla mnie bardzo mili, a to będzie jeszcze bardziej bolało. Zdawałem sobie jednak także sprawę, że nie mogę wyznania prawdy odkładać w nieskończoność. Więc szedłem przed siebie dalej i dalej aż do Western Dock, naokoło Tower aż do Lower Thames Street, dopóki nie zacząłem znowu dostrzegać wokół siebie ludzi i słyszeć ich głosów. A kiedy poczułem, że znów jestem sobą, ruszyłem z powrotem przez London Bridge na południe miasta i zapuściłem się w znajome ulice Southwark.

Nazajutrz była sobota. Spragniony towarzystwa, postanowiłem odwiedzić starego przyjaciela Nobbera Sugga. Nobber wciąż mieszkał w Bermondsey, nieopodal podwórka, na którym dorastałem. Wiodło mu się lepiej niż komukolwiek z sąsiedztwa. Po śmierci ojca pracował jako tragarz na targowisku i mieszkał z rodziną w czterech pokojach nad mydlarnią. Wypiliśmy z Nobberem kilka piw w pubie Bag o' Nails, dzięki czemu zaczynałem z wolna zapominać o swoich kłopotach. Po kilku porterach i pastylkach black dropu było mi całkiem dobrze, więc kiedy Nobber zaproponował, żebyśmy poszli na East Ferry Road, gdzie Millwall grał z Royal Ordnance, nie dałem się długo prosić. Dlatego dotarłem na Coin Street dopiero około siódmej.

Szef wyglądał na zmarnowanego i zmęczonego, do tego znów odezwała się podagra. Wiedziałem, że przed moim przyjściem wziął laudanum, bo siedział w fotelu zwiotczały w rozpiętej do pasa koszuli. Opowiedział mi, że Lafferty przetrzymał go w piwnicy przez całą noc bez jedzenia i picia. Nie pozwolili nawet

się załatwić. Szefowi, mówiąc delikatnie, bardzo się to nie podobało.

- Przynajmniej dowiedzieliśmy się, że pocisk jest dla nich bardzo ważny - powiedział z ciężkim westchnieniem.

- Ale Lafferty mówił, że nie jest ważny.

- Bardzo się starał dać nam to do zrozumienia. Zależało mu tylko na tym, żebyśmy uwierzyli, że to nie ma dla nich żadnego znaczenia. Nie Martha, nieletnie dziewczęta, burdel, a nawet nie fenianie, lecz właśnie pocisk to najważniejszy trop w ich sprawie, Barnett.

Wyprostował się dopiero wtedy, kiedy powiedziałem mu o spotkaniu i rozmowie Coyle'a z mordercą Marthy. Spojrzenie mu się wyostrzyło, na twarzy pojawił się wyraz zdecydowania.

- Nareszcie coś mamy.

- Ale co, szefie?

- Spisek, Barnett, spisek! - Wyjął cygaro z pudełka na stoliku i zapalił.- Sądzę, że najwyższy czas przedstawić się pułkownikowi Longmire'owi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Następnego dnia, który pobłogosławił nas drobnym deszczem, spotkaliśmy się w Whitehall. Na ulicach roiło się od przybyłych z daleka i z bliska gości, którzy podziwiali Big Bena i gmach Parlamentu, spacerując wte i wewte i ciesząc się letnim deszczem. Wartownik przed wejściem do War Office powiedział nam, że Longmire jest nieobecny. Dodał, że w niedzielę w ministerstwie nie ma nikogo.

- Przyjdźcie w poniedziałek, panowie - zaproponował, odkładając na talerz kromkę chleba z serem. Był blisko emerytury, ale nie wyglądał źle z wyjątkiem żółtych białek oczu, które mogłyby zaniepokoić lekarza. - W poniedziałek będziemy mogli wam pomóc.

- Sądziłem, że Ministerstwo Wojny urzęduje bez przerwy - powiedział poirytowany szef. - Wciąż prowadzimy przecież jakąś wojnę, czyż nie?

- Walczą żołnierze - odparł wartownik. - A nie ci tutaj.

Przesunął talerz na skraj biurka, odsłaniając pod spodem egzemplarz *Daily Chronicle*. Nagłówek głosił wielkimi literami:

SHERLOCK HOLMES ROZWIĄZUJE NIEZWYKŁĄ ZAGADKĘ
OBCIĘTYCH USZU W CIĄGU ZALEDWIE DWÓCH DNI!
W ALBERT DOCK ARESZTOWANO PODWÓJNEGO MORDERCĘ

Szef wprost chłonał nagłówek, zacisnąwszy usta i marszcząc czoło. Wreszcie spojrzął na starego żołnierza i oznajmił:

- Mamy bardzo pilną sprawę. Czy mógłby nam pan podać jego adres?

- Nie mam adresu. Proszę przyjść jutro. Przekażemy mu

wiadomość.

- Czy nie ma tu nikogo, kto zna jego adres?

- Ja tu jestem sam - odparł. - Przyjdźcie jutro.

Staliśmy na schodach w głębokiej bramie siedziby Ministerstwa Wojny, która osłaniała nas przed deszczem. Mieliśmy już odejść, ale Arrowood wskazał rząd eleganckich dorożek przy krawężniku po przeciwnej stronie ulicy. Podchodziliśmy kolejno do woźniców i pytaliśmy, czy znają pułkownika Longmire'a. Kilku pierwszych nie kojarzyło nazwiska, ale czwarty, który wieszał worek z owsem na łbie konia, przyznał, że go zna.

- Kazali mi go przywieźć parę dni temu - powiedział. - Sprytny gość. Na oko wygląda jak jakiś szpieg.

- Czy wie pan, gdzie mieszka?

- Nie, nie. - Pokręcił głową. - Ja go tu tylko przywiozłem z miasta.

- Może któryś z dorożkarzy zna jego adres?

- Tu pracuje pełno takich oficerów i różnych - wyjaśnił, klepiąc konia po szyi. - Normalnie nie znamy nazwisk.

- Chodźmy, Barnett - powiedział szef. - Wrócimy tu jutro.

- Ja go wiozłem z Junior Carlton Club - mówił dalej dorożkarz. - Wiecie, gdzie to jest? Ten klub, gdzie będzie ze dwa lata, jak Irlandczycy podłożyli bombę.

- Tak, znam ten klub - przyznał szef.

- Przy St James's Square - dodał dorożkarz. - Wszyscy policjanci i tym podobni tam chodzą.

Kwadrans później staliśmy przed wejściem do klubu. Od czasu eksplozji, która miała miejsce przed jedenastu laty, został odnowiony. W oknach wisiały grube zasłony, bogate wnętrza rozświetlały żyrandole podwieszane pod zdobionym sufitem. Odzwierny nie wpuścił nas do środka.

- Mogę was zaanonsować - zaproponował, patrząc na moje połatane spodnie, na białą koszulę szefa poszarzałą od potu i brudną wokół kołnierza. Dobrze wiedział, że nie należymy do grona bywalców klubu dżentelmena bez względu na akcent, jakim szef usiłował zrobić na nim wrażenie.

Szef podał swój pseudonim, Locksher, i powiedział, że musimy pilnie rozmawiać z pułkownikiem Longmire'em. Odźwierny podał nazwisko portierowi, który zniknął w głębi korytarza. Wrócił po chwili i powiedział:

- Pułkownik mówi, żebyście przyszli jutro do jego biura.

- To jest bardzo ważne - nie ustępował szef. - Musimy rozmawiać z nim dzisiaj.

- Przykro mi, sir - tłumaczył portier. - Pułkownik nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano. Jest na ważnym spotkaniu.

Szef włożył rękę do kieszeni kamizelki i wyciągnął pocisk.

- Daj mu to. Wtedy na pewno zechce się z nami spotkać.

- Chyba pan żartuje! - zaproponował portier.

- Pułkownik będzie wiedział, o co chodzi. Muszę z nim rozmawiać.

Portier pokręcił głową i zatrzasnął przed nami drzwi.

- Nie dał go pan glinom? - zdziwiłem się.

- Wstąpiłem po drodze do Lewisa i wziąłem od niego drugi, który im dałem. Wiedziałem, że musimy mieć oryginał podczas rozmowy z pułkownikiem.

- Lewis miał takich więcej?

- Są tego samego koloru. Świat nie jest doskonały, Barnett. Nie można mieć wszystkiego.

Trudno było się nie roześmiać.

- Czy kiedy Longmire będzie wychodził, może mu pan przekazać tę wiadomość? - zwrócił się szef do odźwiernego,

pisząc coś na kartce wyrwanej z notatnika. Odźwierny patrzył tępo na złożony na pół kawałek papieru. Szef wyjął szylinga i wcisnął mu go do kamizelki. - Jesteśmy detektywami. Prowadzimy ważne śledztwo.

- Gliny? - zaniepokoił się odźwierny.

- Prywatni agenci.

Odźwierny przyglądał nam się niepewnie.

- Jak Holmes i Watson - wyjaśniłem.

- Kiedy pułkownik przeczyta tę notatkę, na pewno będzie chciał z nami rozmawiać - wyjaśnił szef, udając, że mnie nie słyszał. - Nie będzie zadowolony, że mu jej nie pokazałeś. Więc bądź tak dobry i zanieś mu to od razu. Przysłużysz się ojczyźnie.

Powóz Longmire'a zajechał pod lokal U Pani Willows o siódmej. Pułkownik był mężczyzną średniego wzrostu. Na twarzy, tuż nad okiem, miał pokaźnych rozmiarów ciemnobrązowe znamię. W oku nosił monokl, a pod nosem opadające wąsy. Ubrany był w spodnie w kratkę, na łysej głowie miał brązowy melonik, a na twarzy kwaśny grymas. Stał na progu kawiarni, przesuwając wzrok po twarzach gości. Zatrzymał spojrzenie na pani Willows, która ścierała kontuar. Podniosłem się od stołu i skinąłem na niego zapraszająco. Jego woźnica obserwował nas przez okno.

- Kawy, pułkowniku? - zaproponował szef.

Zanim odpowiedział, przetarł krzesło chustką do nosa, dopiero potem usiadł. Rozejrzał się wokół raz jeszcze, badawczo przyglądając się klienteli. Były wśród niej cztery damy, które właśnie wyszły z kościoła, dorożkarz pijący herbatę i jakaś rodzina spożywająca ciasto z ziarnami.

- Otrzymałem wiadomość, że chce widzieć się ze mną pan Cream - przemówił w końcu. Grymas na jego twarzy wyrażał

ostentacyjnie obawę, że wizyta w tym lokalu może przyprawić go o chorobę. Z kieszeni kamizelki zwisał złoty łańcuch od zegarka. - A kim wy jesteście?

- Jesteśmy współpracownikami pana Creama - oświadczył szef.

- Dlaczego spotykamy się tutaj, a nie w Barrel of Beef? - Głos miał nosowy i pełen pogardy.

- Ponieważ to miejsce odpowiada nam bardziej - powiedział szef.

- Pytam, kim pan jest?

Szef ugryzł kęs kanapki i przeżuwał go powoli, wpatrując się intensywnie w monokl pułkownika. W kawiarni było duszno i gorąco. Na czoło pułkownika wystąpiły krople potu.

- Nazywam się Locksher - przedstawił się szef. - A to jest pan Stone. Przykro mi, ale skłamałem w wiadomości. Pan Cream nie wie, że się tu spotykamy. I lepiej, żeby się o tym nie dowiedział.

- Rozmawiam tylko z Creamem - syknął Longmire. - Rozumiesz? - Podniósł się, zamierzając ruszyć do wyjścia.

Szef sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął z niej pocisk. Postawił go na środku stołu, zamrugał i potarł swój dziobaty nos.

Longmire, patrząc na pocisk, przełknął głośno. Spojrzał po klientach kawiarni. Wargi zaczęły mu drgać, nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

- Nie ciekawi pana, skąd to mamy? - zapytał szef.

- Pocisk? Nie, nie interesuje mnie. Może kupiliście go w sklepie.

Szef rozparł się na ławie i podniósł brwi.

- Przecież pan wie, że takich pocisków nie można kupić w sklepie.

- Nic mi o tym nie wiadomo. I zapamiętaj pan, że jeśli jeszcze raz będziesz próbował zawracać mi głowę, każę pana aresztować.

Szef roześmiał się. Ja też. To był jeden z jego trików: śmiać się, kiedy rozmówca kłamie w żywe oczy. Śmiać się głośno i długo, jakbyś nie mógł przestać. Pozostali goście zaczęli nam się przyglądać. Longmire stał, jego wąskie nozdrza drżały, na twarzy miał upokorzenie, a w oczach gniew.

- Bardzo pana proszę, pułkowniku - zaczął szef. - To tylko pogarsza pana sytuację. Wiemy, co oznacza ten pocisk i skąd pochodzi. Pan też dobrze wie. Czy chciałby pan, żebyśmy to ogłosili wszem wobec w tej zatłoczonej kawiarni?

Longmire zacisnął usta. Spojrzał przez okno na woźnicę, po czym z powrotem usiadł. Wyciągnął rękę po pocisk, ale szef był szybszy. Chwytał go i schował do kieszeni kamizelki.

- Skąd to macie? - zapytał Longmire.

- Znaleźliśmy w dłoni umierającej dziewczyny.

- Jakiej dziewczyny?

- Miała na imię Martha. Pracowała jako kelnerka w Barrel of Beef. Znał ją pan?

- Mówicie o tej zamordowanej dziewczynie? Czytałem w gazecie.

- Ale czy ją pan znał?

- Kontaktuję się wyłącznie z Creamem.

- Ale korzysta pan ze stołów do gry.

- Tam jest dużo kelnerek. Nie znam ich po imieniu.

- A może wie pan, kto ją zabił?

- Nie mam pojęcia. - Rozłożył bezradnie ręce. - Niech pan nie nadużywa mojej cierpliwości tymi pytaniami.

- A jednak został pan przy stole - zauważył szef z uśmiechem.

Na tym właśnie polegała wyjątkowa umiejętność Arrowooda: potrafił rozpracowywać ludzi, a kiedy nie ulegał emocjom, był w tym naprawdę dobry.

- Został pan tu z powodu pocisku - ciągnął dalej. - Są wyłącznie na wyposażeniu armii jako amunicja do nowych karabinów powtarzalnych Lee-Enfield. To informacja interesująca dla *Gazette*, nie sądzi pan, pułkowniku? Jestem przekonany, że pańscy przełożeni bardzo chcieliby wiedzieć, w jaki sposób taki pocisk mógł trafić do rąk kelnerki.

Longmire podniósł wzrok.

- W porządku - powiedział. - Znałem tę dziewczynę. Dałem jej ten pocisk.

- Proszę to wyjaśnić.

- Miewałem czasem pewne okazjonalne związki z Martha - wyszeptał. - No już. Przyznałem się. Kiedy zerwałem ten związek, poprosiła o coś na pamiątkę. Myślę, że miała na myśli biżuterię, ale coś mnie podkusiło, żeby jej to dać.

Szef spojrział na mnie ponuro, ale tym razem nie był to żaden trik. Obydwaj pomyśleliśmy o tym samym. Jeśli Longmire mówił prawdę, to ten trop, który uważaliśmy za najważniejszy, jest nic niewart.

- Domyślam się, że chcecie pieniędzy - powiedział Longmire.

- Nie chcemy pieniędzy - odparłem.

- Zapłacę, żebyście nie poszli z tym do gazet.

- Nie chcemy pańskich pieniędzy - powtórzył szef. - A jak pan sądzi, dlaczego Martha postanowiła przekazać nam ten pocisk?

- Czy przekazała go panu? - zapytał Longmire.

- Gdy umierała, zaciskała go w dłoni. A ona czekała na nas.

- Podejrzewam, że nosiła go przy sobie, bo była we mnie zakochana. Może przyniosło jej to ulgę w chwili śmierci.

- A pan ją kochał? - zapytał szef.

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego została zamordowana?

- Skąd mam wiedzieć? - warknął Longmire. - W gazetach pisali, że to kolejna sprawka Rozpruwacza. Może nieudany napad rabunkowy? Nie wiem. Niech pan mi powie, panie Locksher, czego jeszcze chcecie ode mnie?

Przyglądałem się szefowi. Zamyślił się głęboko. Wydawało mi się, że się zgubił.

- Panie Arrowood? - powiedziałem.

Zamrugnął i wciągnął powietrze.

- Po pierwsze, chodzi o młodzieńca - odparł. - Francuza, który ma na imię Thierry. Pracował w kuchni w Barrel of Beef, ale zniknął i jego rodzina martwi się o niego. Czy pan go zna?

Longmire przymrużył powieki.

- Czy pan myśli, że ja wiem, kto pracuje w kuchni? Nigdy tam nie byłem i nie znam żadnego Francuza. Rozmawiam tylko z Creamem i z kilkoma jego ludźmi.

- Pan chyba nie rozumie, pułkowniku - powiedział szef z uprzejmym uśmiechem. - Przekażemy pańskim przełożonym wszystko, co wiemy, a potem zaniesiemy to do gazet. Mam wielu znajomych w prasie. Jestem pewien, że ta historia zaciekawi pańską żonę.

- Posłuchaj pan, nie znam tego chłopaka. Naprawdę nie znam go.

- Proszę wybaczyć, ale trudno nam w to uwierzyć. Jednak, jeśli rzeczywiście go pan nie zna, to musi się pan dowiedzieć, gdzie on jest.

- Jak mam to zrobić, do licha? - oburzył się Longmire.

- Proszę wypytać przyjaciół w Barrel of Beef. Dajemy panu na to dwa dni.

Pułkownik oparł łokcie na stole i zakrył twarz rękami. Oddychał ciężko. W końcu powiedział:

- Jak mam się z wami kontaktować?

- My skontaktujemy się z panem. Proszę wydać dyspozycję w biurze i klubie, żeby przekazywano wiadomości od nas. A tutaj proszę zapisać swój adres. - Szef podsunął mu notes.

Longmire szybko napisał adres, po czym zapytał z wściekłością:

- Czego jeszcze chcecie?

- O tym powiemy panu innym razem - odparł szef.

Longmire wstał od stołu tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło, a wychodząc, trzasnął drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jak tylko dwukółka pułkownika Longmire'a ruszyła, opuściliśmy lokal U Pani Willows i przeszliśmy na drugą stronę ulicy, gdzie czekała na nas zamknięta dorożka Sidneya. Śledziliśmy pułkownika od St George's Circus przez Waterloo Road aż do Barrel of Beef, gdzie pułkownik wyskoczył z dorożki. Wrócił po kilku minutach i powóz ruszył dalej.

- Ciekawe, czy rozmawiali o Thierrym, czy o pocisku - zastanawiał się szef.

- Prawdopodobnie prosił Creama, żeby wykopał nas w rzece w worku na węgiel.

- Być może. - Szef westchnął i wyjrzał przez okno.

W słońcu kryjącym się za chmurami przejechaliśmy za dwukółką przez Waterloo Bridge i dalej przez Mall, Green Park, a potem wzdłuż południowej strony Hyde Parku. Powóz Sidneya nie był zbyt komfortowy, podrzucał i trząsał na wybojach, co nie służyło mojej spuchniętej i czarnej ręce. Połknąłem kolejną pastylkę black dropu i zacisnąłem zęby. W Kensington dwukółka skręciła w Notting Hill i wkrótce zatrzymała się przed willą przy Holland Park Avenue.

Trzymaliśmy się z daleka, ale widzieliśmy, jak Longmire wchodzi po szerokich schodach i jak dzwoni do drzwi. Otworzył mu lokaj i pułkownik wszedł do środka. Wtedy opuściłem nasz powóz i podszedłem do bramy, żeby sprawdzić, czy wisi na niej wizytówka. Noc jeszcze nie zapadła i na ulicy panowała wieczorna szarówka. Nie zauważyłem żadnej wizytówki na bramie. Ulica była pusta, więc nie było kogo zapytać.

Wróciłem do powozu i czekaliśmy, obserwując dom. Szef odezwał się po kilku minutach:

- Muszę cię o coś zapytać, Norman. - Pochylił się do przodu i położył mi rękę na kolanie. - Zauważyłem, że ostatnio jesteś dziwnie nieswój. Ettie też coś zauważyła. Może jesteś chory?

- To te pastylki black dropu, sir - odparłem. - Na ból, bo ten gliniarz trochę mnie uszkodził.

Nie zdjął ręki z mojego kolana.

- Stało się coś jeszcze?

- Wszystko w porządku - powiedziałem, chociaż słowa omal nie utknęły mi w gardle.

- Aha.

Wyraźnie był zawiedziony, a ja czułem się niezręcznie, oszukując szefa i przyjaciela, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby wyznać mu prawdę.

Zastanawiałem się, czy zawsze tak już będzie.

- Będziemy śledzić Longmire'a - powiedział. - Zostań tutaj, może uda ci się dowiedzieć czegoś na temat właściciela tego domu. Przyjdź do mnie rano. Ale uważaj na siebie, Norman. Wiesz, do czego oni są zdolni.

Skrzywiłem się na wspomnienie topielca, wzdętego ciała i zmiądzonych stóp. Uścisnął mi rękę i spojrzał na mnie z powagą. Widziałem, że ten obraz również i jemu stanął przed oczami.

Longmire wyszedł z willi po kwadransie, wsiadł do dwukółki i ruszył. Wskoczyłem z powozu i zająłem stanowisko na ulicy po przeciwnej stronie domu. Willa była nieco cofnięta od ulicy, otoczona od frontu rzędem miniaturowych krzaczków żywopłotowych w doniczkach. Razem z wysoką piwnicą dom miał pięć poziomów i balkon nad frontowym wejściem. Wewnątrz

jaskrawo świeciły się lampy. Rezydencja była okazała i imponująca, ale elewacja wymagała naprawy. W porównaniu z sąsiednimi budynkami sprawiała wrażenie nieco zaniedbanej. Ulica nie była ruchliwa. Kilka razy przejechał omnibus w kierunku East Endu, od czasu do czasu przemknęła dwukółka albo załadowany wóz z towarem na targ. Znowu zaczęła mi dokuczać ręka, więc połknąłem kolejną pastylkę. Po godzinie jakiś człowiek wyszedł z willi bocznym wyjściem i ruszył w kierunku Shepherd's Bush.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy.

- Hej, przyjacielu - zawołałem do niego. Był młody, krótko ostrzyżony i przylizany. Miał na sobie gładki brązowy garnitur. - Pracujesz tutaj?

- Jestem lokajem.

- Masz wychodne?

- Zgadza się. A ty co, szukasz pracy?

- Jestem malarzem. Zauważyłem, że tej posesji przydałyby się nowe tynki.

- Musiałbyś o tym rozmawiać z panem Carstairsem. Jest kamerdynerem.

- A co ty na to, żebym postawił ci piwo i trochę wypytał, co i jak? Zawsze lepiej wiedzieć to i owo, zanim się porozmawia z szefem.

- No tak... - Namyslał się przez chwilę. - Może jedno piwko nie zaszkodzi.

Zaprowadził mnie do małego pubu przy Walmer Road, który nazywał się Rising Sun. Wypiliśmy po jednym piwie old six i zjedliśmy po misce ślimaków. Lokaj powiedział, że dom należy do sir Herberta Venninga, generalnego kwatermistrza sił zbrojnych. Pracował w Ministerstwie Wojny jako dyrektor

wydziału zaopatrzenia Armii Brytyjskiej. Słyszac to, zamówilem kolejne dwa piwa i zaczalem wypytywac, kto ostatnio tynkowal dom i czy sa tam jakies inne budynki, ktore tez moga wymagać remontu elewacji.

- Nie ma zadnych budynków.

- A stajnie?

- Za rogiem, przy Stewart Street.

- Tego budynku od dawna nie tynkowano, to widać.

- Maja robic remont - zapewnil, pospiesznie pijac piwo, zapewne liczac na moja dalsza hojnosć. - Kilka miesiacy temu byl tu jeden i cos zaczal robic od podworza, ale go wylali zaraz po tym wlamaniu. Pewnie mysleli, ze mial z tym cos wspolnego.

- A ty jak myslisz, mial?

- Nie wiem. Pan bardzo sie wsciekal. Wylal nawet kamerdynera, ktory sluzyl tu od ponad dwudziestu lat, co wszystkich bardzo zdziwilo. Ale pan byl tak zly, ze najchetniej wszystkich by wyrzucil, gdyby mogl.

- Jak dostali sie do srodka?

- Weszli w nocy przez okno - powiedzial lokaj. - Nikt niczego nie slyszal. Niektorzy z nas spia na dole, inni na poddaszu. Kamerdyner ma pokoj pod schodami, ale twierdzi, ze tez niczego nie slyszal. Pan i jego zona rowniez spali. Ktos musial zostawic otwarte okno, bo tylko w ten sposob mogli sie dostac do srodka. Dlatego wylali tynkarza.

- Ale dlaczego zwolnil kamerdynera? Czy policja go podejrzewala o wspoludzial?

- No wlasnie, to jest dziwne, bo pan w ogole nie wezwal policji.

Wypil piwo, wiec zamowilem jeszcze dwa. Kręcilo mi sie juz troche w glowie od pastylek black dropu usmierzajacych bol, ale czulem sie w tym malym pubie calkiem dobrze. W sasiednim

pomieszczeniu ktoś zaczął śpiewać.

- Jak to nie wezwał policji? - zdziwiłem się. - Niczego nie ukradli?

- Tylko jakieś papiery z gabinetu pana. Pewnie ktoś ich spłoszył, na przykład kucharka, bo ona zawsze wstaje najwcześniej. Może ją usłyszeli. Weszli przez okno salonu z fortepianem i poszli prosto do gabinetu. Nie wzięli żadnych kosztowności, chociaż pełno tego w salonie, obrazy, rzeźby, ozdoby i takie tam. Niczego nie wzięli.

- To znaczy, że te papiery musiały być cenne.

Lokaj zapalił papierosa capstan, ale mnie nie poczęstował. Zaciągnął się mocno i puścił parę kółek z dymu.

- Pan po prostu wychodził z siebie - powiedział. - Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. I nigdy nie widziałem, żeby tak pił i wrzeszczał na nas za byle co.

- Jak myślisz, co to były za papiery?

- Nie wiadomo. Sami się zastanawialiśmy, ale nikt nie wie. To mogły być jakieś papiery rządowe, tak nam się wydaje. Coś ważnego w każdym razie.

- I w ogóle nie wzywał policji?

- Żadnej policji nie było.

Szef był bardzo poruszony moją relacją z tego spotkania.

- Tak więc dwie osoby, które byłyby najbardziej zainteresowane naszym spotkaniem, to Stanley Cream oraz sir Herbert Venning - powiedział z namysłem, paląc fajkę i krążąc po salonie. - To dobrze. Wreszcie mamy trop, który łączy tych trzech z pociskiem.

- Mógł jednak rozmawiać z Creamem o Thierrym, a nie o pocisku.

Szef zatrzymał się, zmarszczył brwi, po czym stwierdził:

- To prawda, masz rację. Dziękuję ci, Norman. - Odłożył fajkę i włożył kapelusz. - Musimy wrócić do Ministerstwa Wojny. Mam nadzieję, że tym razem nie będziemy czekać na omnibus tak długo jak przedtem.

- Szybciej byłoby metrem, sir - powiedziałem, bo zawsze tak mówię.

Jak zwykle mnie zignorował.

Przy stoliku w holu ministerstwa siedział ten sam weteran. Wysłał posłańca na górę z wiadomością dla sekretarza Venninga. Odpowiedź przyszła natychmiast. Sir Venning nie może się z nami widzieć. Jednak jeśli sprawa jest poważna, prosi, żebyśmy napisali do niego list. Nie spodziewaliśmy się niczego więcej, dlatego jeszcze tego samego dnia spróbowaliśmy odwiedzić go w domu.

- Sir Herbert prosił, żeby mu nie przeszkadzać - oświadczył kamerdyner.

Jak na kamerdynera był stanowczo za niski i za gruby.

- To jest bardzo pilna sprawa - zapewnił szef.

- Napiszcie list. Jego sekretarz się tym zajmie.

- Mamy pewne informacje na temat włamania, do którego tu doszło. Jestem pewien, że sir Herbert chętnie się o tym dowie.

Kamerdyner zastanawiał się przez chwilę.

- Zapytam.

Zamknął drzwi.

Po chwili wrócił i powiedział:

- Sir Herbert mówi, że nie było żadnego włamania. Może pomyliliście adres?

- Ale tu przecież było włamanie - powiedział szef. - Dobrze o tym wiesz.

- Ja tu jestem od niedawna, sir.

- Ale wiesz, że było włamanie! - krzyknął szef. - Dlatego odszedł twój poprzednik.

- Żegnam, panowie. - Zatrzasnął nam drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Byliśmy w stajni tak wcześnie rano, że jeszcze było ciemno. Sidney znowu zgodził się nam towarzyszyć w roli woźnicy. Z powodu wczesnej pory w uliczce otwarta była tylko jedna stajnia. Wszedłem do środka bez pukania.

- Halo, przyjacielu - zwróciłem się do woźnicy. Szczotkował dorodnego czarnego konia przy świetle pięciu grubych świec ustawionych na belkach. - Która stajnia należy do Venninga?

- To jest jego stajnia - odezwał się głosem ochrypłym, jakby był przeziębiony.

- Mam na zewnątrz przesyłkę dla was - powiedziałem.

Woźnica wyszedł za mną i wtedy Sidney, który ukrył się za drzwiami, zdzielił go pałką w potylicę. Złapaliśmy go, zanim uderzył łysą głową o bruk, i zanieśliśmy z powrotem do stajni.

- Nieźle trafienie, Sidney - pochwalilem szwagra.

- Dziękuję, Norman.

Skrepowaliśmy biedakowi ręce i nogi i wepchnęliśmy knebel do ust. Następnie, wykorzystując część upręży, przywiązaliśmy go do słupa na tyłach stajni. Trochę się wyrywał, ale daliśmy sobie radę. Szef, który nie lubił przemocy, wszedł dopiero po chwili i wsunął nieszczęśnikowi kilka szylingów do kieszeni kamizelki.

- Wybacz, przyjacielu - zwrócił się do naszego więźnia, który patrzył na nas w niemym zdziwieniu. - To jest rekompensata za twoje niewygody. A teraz powiedz nam, kiedy twój pan spodziewa się ciebie?

Woźnica wyjęczał coś niezrozumiałego, więc go od kneblowałem.

- Nie róbcie mi krzywdy! - jęknął. Oczy miał pełne łez.
- Odpowiedz na pytanie - warknąłem.
- Wpół do szóstej. Ma dziś wrócić wcześniej.
- Jak masz na imię? - zapytał szef.
- Bert.
- Do kogo należy sąsiednia stajnia?
- Do pana Warnera.

Zakneblowałem woźnicę z powrotem, a szef poklepał go po głowie i powiedział:

- Nie podawaj policji naszego rysopisu, dobrze, Bert? - Gdy kiwnął głową, szef dodał: - Powiedz, że zostałeś uderzony od tyłu.
- Ponownie kiwnął głową.
- Nie chcesz chyba, żebyśmy tu wrócili, prawda, Bert? - zapytałem.

Zaprzeczył ruchem głowy.

Sidney zaprzągnął konia do landa Venninga, a ja zaciągnąłem dach. Pogasiliśmy świece i zamknęliśmy stajnię. Spodziewałem się, że Bert podniesie alarm, kiedy tylko usłyszy, że w stajni pojawili się inni woźnice, ale na to nie mogliśmy już nic poradzić. Wsiedliśmy z szefem do powozu i zaciągnęliśmy zasłonki w oknach, a Sidney zawiózł nas pod bramę willi.

Venning musiał czekać przed domem, bo Sidney zeskoczył z kozła, jak tylko się zatrzymaliśmy. Siedzieliśmy w środku w ciszy, wsłuchując się w dochodzące z zewnątrz odgłosy.

- Bert zachorował, sir - zwrócił się Sidney do Venninga bardzo naturalnym tonem. - Dostał gorączki i prosił, żebym go dzisiaj zastąpił. Jestem na służbie u pana Warnera, sir. Mój pan powiedział, że nie będę mu dzisiaj potrzebny.

- Dobrze - powiedział Venning szybkim, pewnym siebie i dość wysokim, jakby trochę kobiecym głosem. - I przywieziesz mnie

z powrotem wieczorem, tak?

- Tak jest, sir.

Drzwi powozu otworzyły się i Venning wspiął się do kabiny. Zanim nas spostrzegł, zdążyłem go chwycić i wciągnąć do środka.

- Co jest, do licha!?! - krzyknął, próbując się wyrwać, ale zakryłem mu usta dłonią i usiadłem na nim.

Sidney zatrzasnął drzwi powozu, wsiadł na kozioł i ruszył.

Venning był niewielkiego wzrostu, miękki i nieprzyjemny w dotyku. Twarz miał okrągłą, małe dziecięce usta i ostry nos. Wielkie oczy wyszły mu z orbit, tak bardzo próbował zorientować się, co się dzieje w jego powozie, i wyzwolić wątłe ciało spod mego ucisku. Poczułem dziwne ciepło pod siedzeniem i zdałem sobie sprawę, że nigdy przedtem nie siedziałem na osobie z wyższych sfer. Nawet mi się to spodobało razem z tym podskakiwaniem i wierceniem, jednak w pewnym momencie Venning ugryzł mnie w rękę. Zawyłem z bólu i wyrwałem dłoń, a drugą trzasnąłem go w twarz. Wrzasnął i zaczął wzywać pomocy, na co szef wyjął chusteczkę i zatkał mu usta.

- Sir Herbercie, proszę posłuchać - przemówił do niego spokojnie. - Nie mamy zamiaru krzywdzić ani okradać pana. Ponieważ nie chciał pan spotkać się z nami, jedynie w ten sposób możemy się z panem zobaczyć i porozmawiać. Chcemy tylko zadać kilka pytań. Mój kolega uwolni pana i usuniemy knebel, ale pod warunkiem, że nie będzie pan krzyczał. Kiedy dojedziemy do Whitehall, puścimy pana wolno. Czy pan to zrozumiał, sir Herbercie?

Generalny kwatermistrz Armii Brytyjskiej gorączkowo pokiwał głową.

Kiedy zszedłem z jego pleców, wdrapał się na kanapę i otrzepał ubranie. Jego drobna, ptasia twarz była biała jak prześcieradło,

a ręce w rękawiczkach trzęsły się.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał, błędząc wzrokiem od szefa do mnie i z powrotem.

- Jesteśmy prywatnymi detektywami, sir - wyjaśnił szef uprzejmie. - Czy zna pan może młodego kucharza, niejakiego Thierry'ego Cousture'a, zwanego także Terrym? Pracował w Barrel of Beef.

- A, to wy próbujecie szantażować pułkownika Longmire'a? - zorientował się sir Herbert.

- Owszem, konsultowaliśmy się z pańskim kolegą. Niestety z przykrością muszę stwierdzić, że niewłaściwie interpretuje pan to spotkanie.

Skulił się na siedzeniu, próbując przesunąć kolana tak, żeby nie dotykać moich, i schylił się niezgrabnie po kapelusz leżący na podłodze.

- Nie podoba mi się ta sytuacja, panowie. Zupełnie mi się nie podoba.

- Słusznie! Nam też się nie podoba - zgodził się szef. - Tak być nie powinno.

- A może byśmy tak kontynuowali tę rozmowę w moim biurze? - zaproponował drżącym głosem. - Z pewnością będzie wygodniej. Napijemy się herbaty, zamówię śniadanie.

- Bardzo dziękujemy, ale czy zna pan Thierry'ego Cousture'a? - powtórzył szef.

- Nie znam, sir. - Kręcił głową tak zawzięcie, jakby od tego kręcenia zależało jego życie. - Nie miewam kontaktów z kucharzami.

Gdy drżącymi rękoma zaczął rozsuwać firanki w oknach powozu, powstrzymałem go.

- A czy zna pan Stanleya Creama? - dopytywał szef.

Venning zawahał się przez chwilę i dotknął bokobrodów.

- Stanleya Creama? - powtórzył.

- Tak, sir. Czy go pan zna?

- Słyszałem o nim. Jest właścicielem gospody Barrel of Beef i sporego kawałka ziemi na południe od rzeki.

- Czy spotkał się pan z nim kiedykolwiek?

- Nie sędzę.

- A pułkownik Longmire?

- Co pułkownik Longmire? - zdziwił się sir Herbert.

- Czy jest znajomym Stanleya Creama?

- Przecież pan wie, że jest.

- W jakim celu pułkownik odwiedził pana w domu wczoraj wieczorem?

Kwatermistrz znowu dotknął bokobrodów, podniósł kapelusz z siedzenia i otrzepał go. Ponownie sięgnął do zasłonek, ale zatrzymał się w połowie drogi, spoglądając na mnie tak, jakby spodziewał się, że dam mu po łapach.

- Skąd wiecie, że był u mnie w domu? - zapytał.

- Śledziliśmy go - wyjaśnił szef.

- Obawia się skandalu. Prosił mnie o radę.

- Co pan mu poradził, Sir Herbercie?

- Żeby wam pomógł w poszukiwaniu tego zaginionego chłopca.

Szef oparł się na siedzeniu i skrzyżował ramiona. Wyjrzałem przez okno. Mijaliśmy Hyde Park.

- W takim razie proszę opowiedzieć nam o włamaniu - poprosił szef.

Sir Herbert pokręcił głową i zmarszczył czoło.

- A więc o tym też wiecie - powiedział niechętnie. - Nie wiem, kto się do mnie włamał. Nie chciałem w to mieszać policji.

- Co zginęło?

- Tylko kilka ozdób z salonu. Nic poważnego.

- A dokładnie co?

- No więc... - Namyslał się, patrząc w sufit. - Zegar oficerski, stojak na fajki i takie tam drobiazgi.

Szef wypuszczał powoli powietrze nosem, zacisnął wargi, przekrzywił głowę i mierzył zdenerwowanego dygnitarza przyjaznym, nieco pobłażliwym spojrzeniem. Zapadło milczenie. Sir Herbert patrzył na nas, wbijając palce w oparcie siedzenia. Powoli mijały sekundy.

- Mała akwarelka... - ciągnął dalej. - Srebrny kałamarz...
Wydaje mi się, że także globus.

- Wydaje się panu? - zdziwił się szef.

- Nie, jestem pewien, że zabrali globus.

- Dlaczego nie zawiadomił pan policji?

- To na prawdę nie było nic ważnego. Ale dlaczego o to pytacie?
Co to ma wspólnego z waszym zaginionym Francuzem?

- Prowadzimy śledztwo. Tylko pytamy - odparł szef, krzywiąc się i masując stopy. - Włamanie zdarzyło się w tym samym czasie, kiedy chłopak zaginął, wiemy też, że pan Cream jest zamieszany w sprzedaż towarów pochodzących z kradzieży. Więc jak pan widzi, sir, istnieje pewien związek.

- Tak czy owak, nie mam nic wspólnego z żadnym kucharzem.

- Dlaczego odprawił pan kamerdynera?

- Skąd o tym wiecie? - zapytał sir Herbert z nutą hysterii w głosie.

- Dlatego, że jesteśmy detektywami.

- To moja sprawa - stwierdził stanowczo, odzyskując pewność siebie. - A teraz proszę zatrzymać powóz i go opuścić. Odpowiedziałem już na wasze pytania. Zatrzymajcie powóz.

- Nie - twardo oznajmił szef. - Odpowie pan na wszystkie nasze

pytania, sir. Proszę pamiętać, że posiadamy pewne informacje na temat pańskiego przyjaciela pułkownika Longmire'a. Powtarzam pytanie: dlaczego odprawił pan kamerdynera?

Sir Herbert westchnął.

- Podejrzewam, że pomógł włamywaczom.

- A dlaczego nie zawiadomił pan policji?

- Służył u mnie od ponad dwudziestu lat, na początku jako lokaj. Chyba zaczął mnie nienawidzić, chociaż zawsze byłem dla niego łaskawy. Nie wiem, dlaczego. Może zmusili go, żeby im pomógł. Nie chciałem, żeby trafił do więzienia. Wystarczy, że odprawiłem go bez rekomendacji.

- To bardzo szlachetne z pana strony - przyznałem.

Wzruszył ramionami. Przez chwilę znowu siedzieliśmy w milczeniu. Powóz toczył się przez park.

- Proszę mi powiedzieć, sir Herbercie - odezwał się w końcu szef - ile pułków posiada na wyposażeniu powtarzalne karabiny Lee-Enfield?

Venning zamrugął.

- Ile pułków? - powtórzył szef, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

- Do czego pan zmierza? - Sir Herbert wlepił wzrok w szefa i otworzył małe usteczka, jakby miał zaraz zwymiotować.

Szef znowu zagrał ciszą, przekrzywiając głowę i unosząc brwi. Venning spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział.

- Co to ma wspólnego z waszą sprawą? - zapytał w końcu.

Szef wydał mięsiste wargi jak do pocałunku i nadal milczał.

- Czy ktoś wam polecił mnie o to zapytać? - dopytywał się sir Herbert. - Czy o to chodzi? Czy to Cream was tu przysłał?

- Sądziłem, że nie zna go pan. - Szef udawał, że jest zdziwiony.

- Nie drażnij się pan ze mną. Czy przysłał was Cream?

Szef uśmiechnął się i odparł, wzruszając ramionami:

- To nie jest wykluczone.

- Czy przekazał jakąś wiadomość?

- Proszę opowiedzieć nam o tych karabinach, sir Herbercie.

- To jest tajemnica państwowa. - Twarz Venninga poczerwieniała. Splótł dłonie i oparł je na brzuchu.

- W takim razie, drogi przyjacielu, niech pan nam opowie o tym, co nie jest częścią rządowego kontraktu.

- Nie wiem, o co wam chodzi - wybełkotał.

- Ale my już wiemy.

- Wiecie? O czym już wiecie?

- Więcej, niż powinniśmy - wyszeptał szef, mrugnawszy okiem.

Sir Herbert rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym stwierdził:

- Nic nie wiecie, tylko drwicie sobie ze mnie. - Przerwał na moment. - No dobrze, powiedzcie, co wiecie, albo co wam się wydaje, że wiecie.

- To byłoby z naszej strony dość nierozsądne - zauważył szef.

- Nic nie wiecie. Bo nie ma co wiedzieć.

- Doprawdy?

Powóz zatrzymał się nagle.

- Piccadilly! - krzyknął Sidney z kozła.

- No właśnie. I tu pana zostawimy, sir - oświadczył szef, otwierając drzwi powozu.

- Nie rozumiem - wymamrotał sir Herbert. - Jesteście prywatnymi detektywami czy ludźmi Creama?

- Do widzenia, sir - odparł szef, schodząc po stopniach powozu.

- I to wszystko?! - krzyknął zaniepokojony sir Herbert.

Odczekałem, aż szef wysapie się, wydyszy, odchrząknie i stanie na ulicy, a potem poszedłem w jego ślady.

- Miłego dnia, sir - powiedziałem. - Przepraszam, że na panu siedziałem.

Sir Herbert wychylił się z powozu.

- Ale kim wy jesteście? Czy macie dla mnie jakąś wiadomość?

- Na dzisiaj to wszystko między nami, sir Herbercie - skwitował szef.

- Dalej musi pan iść pieszo - zawołał Sidney z kozła. - Muszę odprowadzić powóz.

- A niech to! - zmartwił się sir Herbert.

Z trudem przeniósł na chodnik swoje dobrze odżywione ciało i rozejrzał się wokół, jakby nie wiedział, gdzie jest. Wspiął się na stopień i szepnął do Sidneya:

- Spróbuj wyciągnąć od woźnicy adres poprzedniego kamerdynera.

- Zrobi się, Norman.

- A jak dzieciaki?

- Jak trzeba, zdrowe jak ryby. Może wpadniesz do nas w niedzielę? Ucieszą się.

- W tę niedzielę najpewniej będę musiał pracować, przyjacielu. Ale niedługo was odwiedzę.

Sidney spojrzął na szefa i ściszył głos.

- Powiedziałeś mu już? - Gdy przecząco pokręciłem głową, spytał: - Mam mu powiedzieć?

- Dam sobie radę - odparłem.

Na odchodnym Venning zwrócił się do Sidneya:

- Ale przyjedziesz po mnie, jak obiecałeś, prawda? O wpół do trzeciej. - Włożył kapelusz na głowę.

- Ja jestem z nimi, sir - odparł Sidney. - Z detektywami.

- O do licha! - krzyknął sir Herbert.

Kiedy w ożywym porannym chłodzie ruszyliśmy w kierunku Leicester Square, szef zaśmiał się i powiedział:

- To jest kompletny idiota. Bóg jeden wie, w jakich znalazł się

opałach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Woźnica sir Herberta nie znał adresu zwolnionego kamerdynera, ale powiedział Sidneyowi, że siostrzenica kamerdynera nadal pracuje w posiadłości jako pomocnica praczki. Posłaliśmy Neddy'ego, żeby ukrył się po południu w zaroślach nieopodal miejsca, gdzie suszą bieliznę. Kiedy dziewczyna wyszła, żeby rozwiesić pranie, powiedział, że ma pilną wiadomość dla jej wujka w sprawie pieniędzy, które mu się należą. Po trzech godzinach wrócił z adresem.

George Gullen mieszkał niedaleko Earl's Court. Ulica z początku elegancka, im dalej, tym stawała się ciemniejsza i bardziej zaniedbana. Na samym jej końcu stała szpetna buda z podwórkiem jeszcze bardziej cuchnącym i brudnym niż to, którym opiekowała się Ettie. Kiedy zbliżyliśmy się, szukając adresu, otoczyła nas gromada żebrzących dzieciaków owiniętych w szmaty. Z trudem przepychaliśmy się wśród nich, trzymając ręce w kieszeniach, by chronić je przed złodziejstwem. Pod ścianami wśród śmieci wylegiwali się kloszardzi, a na stołkach siedziały bezzębne staruchy w poszarpanych łachmanach, które baczenie nam się przyglądały.

Pokój kamerdynera znajdował się na drugim piętrze kamienicy bez drzwi frontowych. Balustrady i poręcze wyrwano ze schodów na opał. Dzień był ciepły, więc nad stertą muszli i odpadków na półpiętrze unosiła się chmara much. Drzwi otworzyła rozczochrana kobieta. Skołtunione włosy opadały na ramiona, z nosa zwisał długi smark. W głębi słychać było płacz dziecka.

- Szukamy George'a Gullena - powiedziałem. - Jego

siostrzenica mówiła nam, że tu mieszka.

- Nie ma go - zachrypiała, a gdy dziecko zapłakało głośniej, spojrzała w stronę pokoju i wrzasnęła: - Cicho bądź, Mary!

- Ale tu mieszka, czy tak? - dopytywałem się.

- Jak nie jest w barze.

- W którym?

Obok kobiety przecisnął się bosy malec. Wyciągnął brudną łapkę i zagadnął:

- Da pan pensa, łaskawy panie?

- Nie dziaduj, Alfred - skarciła go. - Tyle razy ci mówiłam. - Gdy chłopak ruszył pędem po schodach, zawołała za nim: - A nie zapomnij przynieść coś na podwieczorek! - Skrzyżowała ramiona, oparła się o framugę i spytała: - Czego od niego chcecie?

- Szukamy człowieka, który zaginął - odpowiedziałem. - Pomyślałem, że George może nam pomóc.

- On nie był z nimi w żadnej znowie.

- Wiemy, wiemy. Ale chcemy się dowiedzieć, kto to zrobił.

Popatrzyła na nas z bezbrzeżnym smutkiem i spytała błagalnie:

- A możecie mu znaleźć jakąś robotę? Jest w Crosskeys. Przez podwórze i ulicą w dół. I powiedzcie mu, żeby nie wracał bez jedzenia dla dzieci.

W pubie była tylko jedna sala z otworem w ścianie dla obsługi. Na lepkiej od rozlanego piwa podłodze pełno było rozdeptanych muszli i popiołu. Siwowłosa kobieta wychylała się przez otwór w ścianie, przysłuchując się rozmowie czterech mężczyzn siedzących na ławie przy drzwiach. Dwa stare psy rasy greyhound podniosły się i podeszły z nisko zwieszonymi głowami, żeby nas obwąchać.

- Który z was to George Gullen? - zapytałem.

- To ja - odezwał się siedzący na końcu ławki szeroki w barach

mężczyzna o płaskiej twarzy, który czule obejmował kufel piwa. Na szyi miał zawiązaną czerwoną chustkę. Wyglądał jak robotnik, bo miał na sobie grubą roboczą koszulę i brązowy filcowy kapelusz, ale wyróżniał się wśród innych głosem i schludnie przystrzyżonymi włosami. - A wy to kto?

- Jesteśmy prywatnymi detektywami - przedstawił nas szef. - Szukamy zaginionego chłopaka. Potrzebujemy od pana kilku informacji.

- Prywatni, co? - zapytał starszy mężczyzna siedzący obok Gullena. Był bezzębny i miał tak krzywą szyję, że musiał wykręcić głowę, żeby nas zobaczyć. - Co on mówi, George? Czy to są gliny?

- Prywatni agenci - wyjaśniła starucha z okienka. - Jak Sherlock Holmes.

- Tak? Jesteście agentami? - zapytał Gullen z gorzkim grymasem.

- Co podać, panowie? - zapytała barmanka.

Zamówiłem dla siebie i szefa po portrze.

- A ty czego się napijesz, George? - zapytałem.

- To samo - odpowiedział, dopijając piwo. - I to samo dla nich. - Gestem wskazał trzech pozostałych mężczyzn na ławie.

- Zaraz, zaraz, spokojnie! - zaprotestował szef, trzymając rękę w kieszeni. - Chcemy rozmawiać tylko z tobą.

- Ale może ja nie chcę rozmawiać z wami.

Kiedy szef już zapłacił i podano kufle, Gullen przeniósł się z nami do stolika w rogu sali.

- Twoja żona kazała ci powtórzyć, żebyś nie wracał do domu bez jedzenia dla dzieci - powtórzyłem mu.

- To nie są moje dzieci. - Pociągnął długi łyk, wychlapując piwo na koszulę. Z bliska było widać, że jest już pijany.

- Rozmawialiśmy z sir Herbertem - zagałem. - Twierdzi, że

miałeś coś wspólnego z włamaniem.

- Nie miałem z tym nic wspólnego! - ryknął i uderzył pięścią w stół. - Słyszycie? Nic wspólnego! Czy po to tu przyszliście? Czy on was na mnie nasłał?

- Nie po to i nie nasłał, przyjacielu - uspokoiłem go. - Zresztą w ogóle nie chciał z nami rozmawiać. Nie chodzi nam o ciebie. Chcemy się tylko dowiedzieć, co tam się stało, bo wydaje się nam, że to może mieć związek z inną sprawą, którą prowadzimy.

Przez gwałtownie otwarte drzwi, zataczając się, wszedł jakiś olbrzym, największy obdartus, jakiego widziałem. Trzej goście siedzący przy drzwiach chwycili kufle i schowali je pod stół. Przybysz rozejrzał się powoli po sali, po czym potykając się, ruszył chwiejnie do naszego stolika. Gullen podniósł swój kufel i przycisnął go do piersi. Olbrzym sięgnął po kufel szefa i napluł do środka.

- Co robisz, do diabła?! - wydukał szef.

Wtedy gość nachylił się i napluł także w moje piwo, a Gullen zarechotał.

- Nie możemy tego wypić! - oburzył się szef. - Musi pan nam odkupić piwo, sir.

Mężczyzna wyprostował się, głową sięgnął sufitu. Teraz mogliśmy zobaczyć, że ma jakieś zakażenie. Zaczynało się na twarzy, tuż pod oczami, obejmowało szyję i schodziło między bure łachmany na piersi.

- Nie mam pieniędzy - wymamrotał i wskazał na kufle. - Pijecie to?

- Oczywiście, że nie! - krzyknął szef.

Obdartus chwycił oba kufle i zabrał do stolika na drugim końcu sali.

- To jest Cocko. Powinienem was przed nim ostrzec -

powiedział Gullen. - Też poproszę jeszcze jedno, jeśli zamawiacie.

Szef wręczył mi jednego szylinga, a kiedy na stole pojawiły się kolejne trzy piwa, Gullen zaczął opowiadać:

- Była trzecia rano albo coś koło tego. Wszyscy jeszcze spali. - Mówił powoli, z przymkniętymi oczami, po kilka słów, z przerwami. Cały czas przyciskał kufel do piersi. - Usłyszałem jakiś hałas na górze, więc wszedłem po schodach, żeby zobaczyć, co się dzieje. Było ich trzech, buszowali po gabinecie. Włamali się do wszystkich szuflad. - Przerwał i wbił wzrok w podłogę, próbując złapać wątek. - Była jakaś czwarta czy coś koło tego. Może trzecia - postanowił ostatecznie.

- Już mówiłeś - zauważył szef. On też przyciskał kufel do brzucha, popatrując raz po raz, czy Cocko wciąż siedzi w przeciwległym rogu sali.

- Zgadza się. Jak mnie zobaczyli, to jeden z nich wyciągnął nóż i kazał trzymać język za zębami, bo inaczej mnie sieknie. Kazali mi otworzyć drzwi frontowe i uciekli. Wszyscy trzej. I na tym koniec. - Zatarł ręce. - Rozpłynęli się w ciemności.

- Co zabrali?

- Mieli tylko jedną płócienną torbę.

- A globus? - zapytał szef.

- Nie zabrali żadnych kosztowności. Nawet nie weszli do salonu. Zresztą pani wszystko sprawdziła.

- Czy Sir Herbert wspomniał, że zginęło coś ważnego?

Gullen wychylił ostatni łyk piwa i beknął głośno. Wzrok miał szklisty. Wytarł nos rękawem.

- Dzieciaki nie są moje - powiedział sam do siebie. - A ona każe mi je żywić.

- Tak, tak - zgodził się szef. - Czy sir Herbert mówił, że coś zginęło?

- Nie mówił, ale tej nocy zaczął pić i pił bez przerwy także następnego dnia wieczorem, kiedy mnie wyrzucił. - Zamilkł. To było bolesne wspomnienie, widać to było po jego wyrazie twarzy.

Kiedy znowu zaczął mówić, miałem wrażenie, że trochę otrzeźwiał, jakby poprzednio za bardzo starał się wyglądać na pijanego.

- Nigdy nie widziałem, żeby był taki wściekły. Cały się trząsał i chodził wte i wewte przez całą noc. Nie pozwolił wezwać policji. Wiedziałem, że musieli zabrać coś ważnego z jego biurka, ale jak zapytałem, to tylko na mnie nawrzeszczał.

- Dlaczego podejrzewał, że masz z tym coś wspólnego?

- Wiedział, że nie mam nic wspólnego.

- Powiedział nam, że miałeś.

- Wszystkim tak mówił. Ale ja nie miałem.

- To dlaczego cię wylał?

- Bo ich widziałem i chciałem iść na policję. Może pan zamówić jeszcze szklanę dżinu? - zaproponował. - Przywołujecie złe wspomnienia. Zrujnował mnie, sukinsyn, nawet nie dał listu polecającego. Do tej pory nie mogę znaleźć pracy, po prostu mnie zrujnował. Widzieliście, gdzie muszę mieszkać. Popatrzcie na tę śmierdzącą spelunę. Połowa tych ludzi żyje ze złodziejstwa, a druga połowa wysyła swoje kobiety na ulicę. - Ścisnął kufel tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. - Gdybym go spotkał w ciemnej uliczce, to bez namysłu bym go zabił. Służyłem mu wiernie przez dwadzieścia lat!

Szef wydzielił mi jednego pensa.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego cię zwolnił - powiedziałem, stawiając przed nim szklanę dżinu.

- To mu dało pretekst, żeby nie iść na policję.

- Taki wykręt?

- Wobec dzieci, żony i reszty służby. Powiedział im, że nie zawiadomi policji, bo tylko tak może uchronić mnie przed więzieniem. Udawał odruch serca.

- Może naprawdę podejrzewał, że to twoja sprawka? - zasugerował szef.

- Służyłem mu przez dwadzieścia lat - powtórzył Gullen, piorunując go wzrokiem. - Znał mnie bardzo dobrze. Wiedział, że taki nie jestem. Nie! Wcale nie wywalił mnie, żeby nie iść na policję. A wiecie dlaczego? Bo poznałem jednego z nich.

Z ulicy dobiegł głośny piskliwy śmiech i przez raptownie otwarte drzwi wpadła na środek sali kobieta w poplamionej zielonej sukni i niebieskim czepku, a za nią mężczyzna w modnych pumpach. Starzec siedzący na ławce coś do nich krzyknął i wywiązała się głośna sprzeczka. Kiedy wreszcie ucichła, zapytałem:

- Kto to był?

- Widywałem go często na wyścigach. Zawsze chodzi na wyścigi na Frying Pan. Wiem tylko, że ma na imię Bill, Paddler Bill. Amerykanin. Wielki, brzuchaty, gęste kręcone rude włosy.

- A on czy cię rozpoznał?

Gullen wychylił połowę porcji dzinu i pokręcił głową. Wykrzywił twarz i uderzył pięścią w pierś.

- Jestem zwykłym człowiekiem, który nie wyróżnia się w tłumie. Nic we mnie nie ma szczególnego. Ale on bywa głośny i rozrzutny. Szampan, kobiety. Trudno go nie zauważyć.

- A pozostali? - zapytałem.

- Nie znam ich. Jeden był łysy i miał czarną brodę. Średniego wzrostu.

- Amerykanin?

- Nie odzywał się. Drugi to mały blondyn, nie miał jednego

ucha.

- Dlaczego sir Herbert nie chciał, żeby zatrzymała ich policja? - zapytał szef, opróżniwszy kufel.

- Sam się nad tym zastanawiam od paru miesięcy - wyznał Gullen. - Musieli zabrać coś, czego nie powinni. Myślę, że nie chciał, żeby to wyszło na jaw.

- Nie pomogłeś nam zbyttnio, Gullen. - Szef wstał od stołu. - Mam jeszcze jedno pytanie. Twoim zdaniem co to mogło być?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Potrząsnął głową. - Nie wiem, co trzymał w biurku. Swoją drogą, mógłby mi pan pożyczyć jakiegoś szylinga na dzieci, co, sir?

- Znowu wydasz na dżin - zauważył szef.

- Obiecuję, że nie wydam, sir. Dzieci trzeba nakarmić.

Szef zaczął grzebać w kieszeni, ale go powstrzymałem.

- Zajrzemy do piekarza, żeby coś dla nich kupić - zaproponowałem. - A ty baw się dobrze.

Gullen odprowadził nas gniewnym spojrzeniem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wracaliśmy w milczeniu, kierując się na Earl's Court. Szeff przechylił na bok sękatą głowę i myślał, przygryzając dolną wargę. Dotarliśmy do głównej ulicy, jak zwykle zatłoczonej wozami i omnibusami.

Dzieciom Gullena już dostarczyliśmy jedzenia zakupionego w osiedlowym sklepiku, teraz nastąpiła pora na nas. Szeff złapał w nozdrza zapach smażonej ryby i w poszukiwaniu jego źródła zaczął rozglądać się wokół jak pies, który złapał trop lisa. W żołądku głośno mu zaburczało.

- Barnett, co sądzisz o tym Gullenie? - zapytał, unikając mojego wzroku.

- Chyba mu wierzę. To, co mówił, zgadza się z relacją lokaja.

- A czy wiesz, przyjacielu, że objawy wściekłości są uniwersalne? Wyglądają tak samo u Anglików, jak u czerwonoskórych Indian Ameryki Południowej.

- Nie wątpię, sir.

- Tak twierdzi pan Darwin. Kiedy powiedziałem, że sir Herbert oskarża go o współudział w kradzieży, Gullen przedstawił nam pełny zestaw tych objawów. Rozdęte nozdrza, płomienny wzrok, nabiegła krwią twarz. Ani śladu niepewności. Trudno podejrzewać, że grał. A to znaczy, że sir Herbert nas oszukał.

Doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, żebym wyrzucił z siebie to, co chodziło mi po głowie przez ostatnich kilka dni.

- A co, jeśli to nie ma żadnego związku z naszą sprawą, sir? Wpadamy na jakiś ślad i podążamy w tym kierunku do czasu, aż trafimy na następny, a potem kolejny. Ale każdy z nich może

oddalać nas od właściwej ścieżki. Może fenianie nie mają nic wspólnego z zaginięciem Thierry'ego? Może ten pocisk wcale nie był znakiem przeznaczonym dla nas? I może problem Venninga to po prostu problem rodzinny?

- Rozumiem twe obiekcje, ale musimy badać te ślady - powiedział szef cicho. - Co innego nam zostało?

- Tylko że w ten sposób czasami tracę z oczu naszą sprawę, sir.

- Nasza sprawa dotyczy zabójstwa dziewczyny, Barnett, i ze względu na tę dziewczynę musimy ją rozwiązać. Oraz dowiedzieć się, co się stało z Thierryem.

Tuż obok nas jakiś koń nagle stanął dęba. Przewrócił pobliski stragan i na ulicę wysypały się tabletki do ssania i maści w słoiczkach. Podbiegły dzieci i zaczęły rozkradać medykamenty, a straganiarz odganiał je, przeklinając furmana, który nie upilnował konia.

- Myśli pan, że Longmire kłamał na temat pocisku? - zapytałem, kiedy minęliśmy całe to zamieszanie.

- Nie wiem. - Szef pogłaskał się po brzuchu, wciąż rozglądając się za sprzedawcą ryb. - Ale nie ulega kwestii, że kłamstwo nie sprawia mu kłopotu. Jeśli jednak nie pójdziemy tym tropem, to co nam zostaje? Musielibyśmy zaczynać wszystko od początku.

- Moglibyśmy odszukać kompanów Thierry'ego od kieliszka. Albo dowiedzieć się, skąd Coyle wie o tym morderstwie.

- Powinniśmy ich od razu znaleźć, Barnett - powiedział szef ostrym tonem. - Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?

- A dlaczego pan nie powiedział o tym wcześniej?

- Nie ma powodu się irytować. Zrobisz to jutro. Ja zastanowię się nad Coyle'em. No i musimy rozmówić się raz jeszcze z sir Herbertem.

- Po tym, jak go porwaliśmy, raczej nie będzie chciał z nami

rozmawiać.

- Może zmienić zdanie, kiedy się dowie, że rozmawialiśmy z Gullenem. O, tam jest! - Wskazał palcem sprzedawcę ryb, który stał przy stacji metra.

Wzięliśmy dwie porcje pieczonych ryb i posililiśmy się, czekając na omnibus do Notting Hill. Omnibus strasznie się włókł i był zapchany, więc całą drogę musieliśmy stać, ale wreszcie późnym popołudniem dotarliśmy pod dom Venninga.

Wchodziliśmy po szerokich schodach prowadzących do wejścia, kiedy drzwi otworzyły się nagle, wypadł z nich goniec i odpychając nas, wybiegł na ulicę.

- Wolnego, chłopcze! - krzyknął szef oburzony.

Chłopak nie zwrócił na niego uwagi, tylko pognął ulicą w kierunku Notting Hill Gate. Drzwi zostawił otwarte.

Szef uciszył mnie i w milczeniu weszliśmy do środka. Wewnątrz panowała cisza.

- Poszukajmy go - szepnął.

Czekaliśmy przez chwilę w holu. W domu była instalacja elektryczna i wszędzie świeciło się jak na Piccadilly Circus. Schody prowadziły na galerię, wysoko nad naszymi głowami wsiadł okazały, lśniący kryształami żyrandol. Na ścianach rozwieszono ciemne portrety tuzów zastygłych w godnych pozach, a w niszach i na postumentach stała kolorowa porcelana. Z góry dobiegły nas odgłosy pośpiesznych kroków i stłumionych rozmów za drzwiami, tylko z salonu nie dochodził żaden dźwięk. Drzwi do gabinetu po prawej były lekko uchylone. Szef popchnął je i wszedł do środka, a ja ruszyłem za nim, zamykając drzwi za sobą.

Sir Herbert leżał na wznak na stole z głową zwróconą w stronę kominka. W lewej skroni widniał przerażający czerwony otwór. Przez czoło biegła cienka szkarłatna strużka krwi, wpadała do

źrenicy, a stamtąd spływała na blat biurka, gdzie tworzyła rozległą kałużę tuż obok suszki. Sir Herbert miał otwarte usta, z których zwieszał się język. Obok jego dłoni leżał pistolet.

Na schodach rozległy się kroki. Usłyszeliśmy niski, stanowczy głos kobiety. Następnie głos kamerdynera.

- Posiedzę tam, dopóki nie przyjdzie policja, madame. To dla pani zbyt wstrząsający widok. Nie powinna pani na to patrzeć. To jest... niestosowne.

- Dziękuję, Carstairs - odparła opanowanym głosem. Nie słychać w nim było rozpaczy ani bólu. - Posłałeś po policję?

- Tak, madame.

Drzwi gabinetu otworzyły się, wszedł kamerdyner i na nasz widok rozłożył ręce.

- Kim jesteście? Co tu robicie?

- Przyszliśmy zobaczyć się z sir Herbertem - odparł szybko szef.

- Co tu się wydarzyło?

Wyraz twarzy kamerdynera uległ zmianie. Wycofał się w kierunku drzwi.

- Ratunku! - krzyknął głośno.

- Ależ nie! - próbował zatrzymać go szef z łagodnym uśmiechem na twarzy. - To nieporozumienie. My właśnie tu przyszliśmy.

- Ratunku! Pomocy!

Jego krzyk ściągnął pozostałych domowników.

- O co chodzi? - zawołał jakiś mężczyzna.

- Tutaj! Chodźcie tutaj! - wrzeszczał kamerdyner.

Drzwi otwarły się i stanął w nich ten sam lokaj, z którym niedawno byłem na piwie. Przy nim pojawił się następny mężczyzna i służąca, a na koniec sama pani domu. Obawiałem się, że lokaj wspomni o tym, że go wcześniej wypytywałem, ale na

szczęście trzymał gębę na kłódkę. Doceniłem to.

- Mamy was! - zawołała pani domu. - Brać ich!

- Ależ nie! - zaprotestował szef. - Przyszliśmy dopiero przed chwilą. Nie mamy z tym nic wspólnego.

- O Boże! - krzyknęła dama, dopiero teraz dostrzegając ciało męża. - Mój biedny Herbert.

- Przykro nam bardzo, madame. Proszę przyjąć wyrazy współczucia, madame - zwrócił się do niej szef. - Ale my jesteśmy zupełnie niewinni. Poślaniec potwierdzi po powrocie, że przybyliśmy w chwili, kiedy biegł na policję.

Korzystając z tego, że szef mówił, usiadłem na sofie.

- Zobaczymy, co na to powie policja - stwierdziła dama. - Proszę tu pozostać do ich przybycia. Służba panów przypilnuje. - Co powiedziawszy, wyszła z pokoju.

Wkrótce wrócił lokaj w towarzystwie konstabla. Chłopak przyznał, że widział, jak wchodziliśmy do domu, kiedy go opuszczał, i zebrana w pomieszczeniu służba przestała patrzeć na nas nieufnie. Konstabl, pogodny Walijczyk z wielkim brzuchem rozpychającym mundurową kurtkę, poprosił o zachowanie spokoju i zajął się oględzinami ciała. Spisawszy swe spostrzeżenia w notesie, rozejrzał się uważnie po pokoju, obejrzał dywan i półki, nadnaturalnej wielkości posąg nagiego atlety z wyeksponowanymi genitaliami oraz wielki globus pod oknem. Dokładnie przesłuchał całą służbę, gdzie kto był i co widział. Ale nikt nic nie widział. Szef usiadł na sofie obok mnie. Wkrótce w holu dały się słyszeć energiczne kroki i w drzwiach stanął inspektor Petleigh z policyjnym chirurgiem Benthamem.

Na nasz widok Petleigh pokręcił głową z kwaśną miną. Szef chciał coś powiedzieć, ale inspektor nie dopuścił go do głosu,

nakazując:

- Siadajcie. Potem z wami porozmawiam.

Po wysłuchaniu relacji konstabla przyglądał się, jak chirurg policyjny bada ciało.

- Śmierć nastąpiła w wyniku rany postrzałowej - stwierdził chirurg. - Całkiem niedawno.

- Nie zostawił żadnego listu? - zapytał Petleigh konstabla.

- Nie było, sir. Sprawdziałem wszędzie.

Petleigh zwrócił się do kamerdynera:

- Kiedy usłyszał pan strzał?

- Około wpół do dziewiątej, sir.

- Kiedy po raz ostatni widział pan sir Herberta?

- Około piątej. Powiedział, żeby mu nie przeszkadzać. Służba była na dole, dopóki nie rozległ się strzał. Pani była w sypialni.

- Mają dzieci?

- Dwóch chłopaków - odpowiedział kamerdyner. - Już dorosli.

Jeden jest w Indiach. A drugi w wojsku.

- Martwił się czymś?

- Dziś po południu dostał telegram i zamknął się w gabinecie, już z niego nie wychodził.

- Przyjmował jakichś gości?

- Nic mi o tym nie wiadomo, sir.

- Gdzie pan był przez całe popołudnie?

- W pokoju kredensowym. Gdyby ktoś dzwonił, tobym usłyszał, sir. Tam są wszystkie dzwonki z całego domu.

Petleigh westchnął i zaczął krążyć po pokoju z rękami w kieszeniach.

- Zauważył pan, żeby sir Herbert ostatnio jakoś się zmienił?

- Jestem tu od niedawna - odparł kamerdyner - ale mówią, że od paru miesięcy dziwnie się zachowywał.

- To znaczy jak?

- Miał humory, kłócili się z żoną, wydzierał się na służbę.

- Smutny był?

- Mówiąc krótko, po prostu pił - stwierdził kamerdyner. - Pił bez przerwy od czasu włamania.

- Jakiego włamania? - zdziwił się inspektor.

- Sprzed dwóch miesięcy - wyjaśnił służący. - Ktoś się tu włamał.

- Rozumiem... - Inspektor dumiał o czymś przez chwilę. - A teraz proszę wszystkich o opuszczenie pokoju. Powiedźcie jego żonie, że chciałbym z nią porozmawiać w salonie. I może poprosimy o herbatę.

Służący wyszli, zamykając drzwi.

- Co wy tu, u licha, robicie? - zwrócił się do szefa. - Spotykam was wszędzie tam, gdzie są jakieś zwłoki.

- Chcieliśmy go o coś zapytać, inspektorze - odparł szef. - Przyszliśmy tu zaraz po tym, jak wysłano chłopaka na policję.

- Jakie pytania? Co wiecie o sir Herbercie?

- Wiemy, że martwił się tym, co skradziono podczas włamania - wyjaśnił szef. - Nie wiemy, co to było, ale nie chciał mieszać w to policji. Jego poprzedni kamerdyner, niejaki George Gullen, widział włamywaczy, ale zamiast zawiadomić policję, Venning zwolnił kamerdynera. Coś musiało go zaniepokoić.

- Do tego stopnia, że odebrał sobie życie?

- Być może - zgodził się szef. - Ale on nie odebrał sobie życia, inspektorze.

Chirurg przestał szkicować ułożenie ciała i podniósł wzrok.

- Został zamordowany - ciągnął szef.

- Zamordowany? - wykrzyknął Petleigh. - Dlaczego tak twierdzisz?

Szef wstał i podszedł do ciała. Pistolet leżał obok lewej dłoni denata, a rana była w lewej skroni. Szef uniósł lewą rękę sir Herberta i pokazał nam jego dłoń. Kciuk wyglądał jak należy, ale zamiast pozostałych palców były tylko gładkie wzniesienia lśniącej skóry. Wyglądało na to, że sir Herbert urodził się z tą ułomnością.

- Boże! - westchnąłem.

- Nie zauważyłeś tego, Barnett? - zapytał szef.

- Nie, sir. Zawsze był w rękawiczkach.

- Też nie zauważyłem - przyznał Petleigh, chociaż widać było, że robi to z przykrością. Zmarszczył czoło. - Nie wiem, dlaczego to przeoczyłem.

- Nie chciałem o tym mówić przy wszystkich - wyjaśnił szef.

Petleigh patrzył przez chwilę na zwłoki, po czym usiadł w fotelu, zapalił cygaro i założył nogę na nogę.

- A teraz powiedz mi wszystko, co wiesz - polecił. - Nie pomijaj niczego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kiedy skończyliśmy, Petleigh wstał i zaczął przechadzać się przed kominkiem.

- Czy kamerdyner Gullen mógł tam dotrzeć przed wami? - zapytał.

- To jest możliwe - przyznał szef. - Po drodze zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść, no i omnibus włókł się niemiłosiernie. Proszę też nie zapomnieć o telegramie, inspektorze. Tuż przed tym, jak sir Herbert zamknął się w gabinecie, otrzymał telegram. To znaczy, że to nie mógł być Gullen.

Inspektor pokiwał głową, mówiąc przy tym:

- Telegram powinien gdzieś tu być.

Przeszukaliśmy kieszenie sir Herberta i szuflady jego biurka, bibliotekę, kominek oraz podłogę, ale telegramu nigdzie nie było.

- A jednak musi tu być - upierał się Petleigh.

- Chyba że zabójca go zabrał - zasugerował szef. - Jest taka możliwość, że telegram zapowiadał czyjeś odwiedziny, osoby, z którą sir Herbert bardzo chciał się spotkać.

Szef stanął po przeciwnej stronie biurka i wyjrzał przez wysokie okno w rogu pokoju.

- Jak sądzisz, Barnett, chyba nikt nie dotykał okien, odkąd tu przyszliśmy? - Gdy przytaknąłem, mówił dalej: - Zwróć uwagę, że we wszystkich oknach z wyjątkiem tego zamknięto okiennice. Z tego okna widać drzwi wejściowe i ulicę. Dlaczego Sir Herbert otworzył okiennice tego właśnie okna? Może dlatego, że wypatrywał gościa. W ten sposób mógł dotrzeć do drzwi, zanim przybysz naciśnie dzwonek.

- A służba nie zobaczyła, że ktoś przyszedł - podchwycił Petleigh.

- No właśnie. Jest więc całkiem prawdopodobne, że sir Herbert sam wpuścił mordercę.

- Wpuszcza mordercę - ciągnął Petleigh takim tonem, jakby sam na to wpadł - który strzela do niego, a potem usuwa telegram. Tak, tak! Tak mogło właśnie być. Czy masz pomysł, kto to mógł być, Arrowood?

- Moim zdaniem, inspektorze, sir Herbert został zabity po to, żeby nie mógł nam powiedzieć, co zginęło podczas włamania.

- Rzeczywiście - zgodził się Petleigh, sięgając po leżący na stole kapelusz. - To całkiem możliwe, chociaż Gullen nadal pozostaje dla mnie pierwszym podejrzanym. Myślę, że dzisiaj go przymkniemy, a jutro złożymy wizytę pułkownikowi Longmire'owi. Zobaczymy, co wie. Ale posłuchajcie: zdecydowanie nalegam, żebyście zostawili to w spokoju. Sami się tym zajmujemy. Mówię poważnie. Sir Herbert to zbyt ważna figura. Nie możecie mieszać się do tego śledztwa.

- Chcemy tylko odnaleźć brata panny Cousture - powiedział Arrowood. - Nie mamy wyboru. Za to nam zapłacono.

- Więc trzymajcie się tego wątku. Morderstwo jest sprawą policji. Rozumiecie?

Szef chrząknął, ale powstrzymał się od komentarza.

- Posłuchaj, William - zaczął Petleigh łagodniejszym już tonem. Potarł nadgarstek i nagle jakby przestał być taki pewny siebie i najbystrzejszy pod słońcem. - Jak się ma twoja siostra?

- Moja siostra? - Szef nie ukrywał zdziwienia.

- Wpadłem do was pewnego dnia, kiedy cię nie było - wyjaśnił z pewnym wahaniem, spoglądając na mnie. Nawet w tym mrocznym ciemnym pokoju widziałem, że się zaczerwienił. - Czy

siostra mieszka z tobą?

- Tymczasowo, zanim dostanie następne zlecenie.

- Więc nie jest mężatką? - Inspektor przestępował z nogi na nogę, przyciskając kapelusz na brzuchu. Stracił całą elegancję, jego szykowny czarny garnitur nie leżał na nim już tak dobrze.

- Nie jest - powiedział szef z wahaniem. Przyglądał się inspektorowi, a na jego twarzy powoli pojawiał się uśmiech. - A może... może zechciałby pan wpaść do nas kiedyś na lunch, inspektorze.

- Z wielką przyjemnością, William. Oczywiście jeśli Ettie nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Doskonale. Porozumiem się z Ettie na temat jej zajęć. Jestem pewien, że z przyjemnością pana zobaczy w jakieś wolne popołudnie. A teraz, Barnett, idziemy. Przed nami dużo pracy. - Szef wstał i ruszył do wyjścia. - Aha! - krzyknął, jakby przypominając sobie coś ważnego, i odwrócił się do inspektora. - Miałem pana zapytać: czy zna pan detektywów Lafferty'ego i Coyle'a z CID? Obaj są Irlandczykami.

- Tak, słyszałem o nich.

- Ściągnęli nas w piątek do Scotland Yardu i przesłuchiwali. Wygląda na to, że zabity oficer to był ich agent. Z przykrością muszę powiedzieć, że zachowali się wobec nas brutalnie. Zamknęli mnie na całą noc bez jedzenia, a Barnett został pobity policyjną pałką. Bardzo dotkliwie, Coyle niemal złamał mu rękę.

- Stosują inne metody niż my - powiedział Petleigh.

- Kim oni są, u diabła? Nie chcieli nam nawet powiedzieć, nad jaką sprawą pracują.

- Tak, to prawda.

- Ale dlaczego?

- To nie są agenci CID, William. To jest SIB. - Gdy szef

popatrzył na niego zdezorientowany, inspektor wyjaśnił: - Special Irish Branch^[6].

- Wiem, co to jest SIB, Petleigh. Przez dziesięć lat jako dziennikarz zajmowałem się terrorystyczną działalnością fenian. Sądziłem jednak, że SIB rozwiązano, kiedy ataki ustały.

- Home Office chce, żeby ludzie tak właśnie myśleli. Działają w ukryciu, poza protokołem. Oprócz zastępcy komisarza i kilku detektywów, takich jak Lafferty i Coyle, cała reszta działa nieoficjalnie. SIB ma sieć tajnych agentów, których nie zna CID i policja. Większość z nich to kryminaliści, byli członkowie Clan na Gael, ci, którzy żywią urazę, i w ogóle każdy, kto się do tego nadaje.

- Nadaje się do czego? - zapytałem, patrząc na nieruchome ciało sir Herberta.

- Do przesłuchań, śledztwa, inwigilacji, zbierania materiałów wywiadowczych, infiltracji różnych środowisk - ciągnął Petleigh.

- Niektórzy z nich działają jako agenci prowokatorzy. Nie przestrzegają żadnych procedur. Stworzono specjalny fundusz tajnych służb. Musisz wiedzieć, że oni zawsze działali poza prawem, William.

- To tłumaczy, dlaczego ten typek z taką rozkoszą przyłożył Barnettowi, zupełnie jakby nie znał lepszej rozrywki - kwaśno zauważył szef.

- Cóż, to słuszne spostrzeżenie.

- Próbowali mnie zwerbować - powiedziałem.

- Nic mi o tym nie mówiłeś - zdziwił się szef, marszcząc czoło. - I co im powiedziałaś?

- Nic, ani tak, ani nie. Pomyślałem, że może nam się kiedyś to przydać.

- Słusznie - przyznał szef i zwrócił się znowu do inspektora: -

Będzie pan, jak sędzę, rozmawiał z Laffertym o zabójstwie sir Herberta.

- Tak, ale wątpię, czy dowiem się od nich czegoś w zamian. Ci z SIB nigdy nie dzielą się informacjami z policją. Uważają, że możemy im tylko zaszkodzić. Często bywa to przyczyną różnych problemów w Scotland Yardzie.

- Jest jeszcze jedno, o czym powinien pan wiedzieć, inspektorze
- dodał szef.

- Nie! Błagam, nie! - powiedział Petleigh, który odzyskał już dawną pewność siebie. - Co jeszcze zmaistrowałeś, na miłość boską?

- Barnett widział, jak Coyle rozmawiał z mężczyzną, który zabił Marthę.

Minęło kilka dobrych chwil, zanim inspektor zareagował.

- Barnett, jest pan pewien?

- Widziałem ich - potwierdziłem. - I wyglądało na to, że są w dobrej komitywie.

Petleigh długo kiwał głową, wodząc wokół pustym wzrokiem. Zegar tykał w grobowej ciszy, która zaległa w pokoju.

- To nie jest dobra wiadomość, panowie - powiedział w końcu.

O dziewiątej ponownie jechaliśmy przez most na drugą stronę rzeki. W omnibusie panował tłok, wszystkie miejsca były zajęte, siedzieliśmy ściśnięci na podwójnym siedzeniu na dolnym pokładzie. Z powodu rozłożystości kształtów szefa musiałem trzymać nogi w przejściu.

- Dlaczego zaprosił pan inspektora na lunch? - zapytałem. - Wydawało mi się, że pan go nie lubi.

- Być może oceniałem go zbyt surowo.

- Nie wydaje mi się, żeby mógł pan tak łatwo i nagle zmienić o nim zdanie.

Westchnął i poruszył się na siedzeniu, spychając mnie jeszcze bardziej w stronę przejścia.

Omnibus zatrzymał się i wziął następną partię pasażerów.

- Jesteśmy w kłopotcie, Norman - powiedział, kiedy wysiedliśmy z autobusu. - Potrzebujemy sojusznika w policji.

- Petleigh nie jest taki zły - odparłem. - Nie daje tylko poznać tego po sobie.

Parsknął głośno jak koń.

Szef postanowił, że jeszcze tej nocy zaczniemy rozpytywać o Thierry'ego w pubach i pijalniach dżinu w pobliżu Barrel of Beef. Bardzo się z tym spóźniliśmy, ale tak się stało przez zabójstwo Marthy, a teraz musieliśmy to nadrobić.

Rozdzieliliśmy się przy St George's Circus, przypominając sobie wzajemnie o zachowaniu ostrożności i o tym, żeby zwracać uwagę, czy ktoś nas śledzi. Może powinniśmy trzymać się razem. Wiedzieliśmy przecież, że są tam ludzie, którzy z radością zrobią z nami to, co zrobili tamtemu gliniarzowi. Mieliśmy jednak tak wielki obszar do sprawdzenia, a czas tak szybko uciekał, że musieliśmy zintensyfikować działania, przez co ludzie Creama lub fenianie szybko się zorientują, że o coś wypytujemy.

Ja zająłem się trójkątem między Blackfriars Road a Waterloo Road, natomiast szef, któremu stopy w za ciasnych butach znowu zaczęły dawać się we znaki, wybrał mniejszy obszar między Waterloo Road a Westminster Bridge Road.

W pierwszym pubie zamówiłem piwo i porcję baraniny w cieście. Nikt tam nie pamiętał żadnego młodego Francuza. Tego samego dowiedziałem się w kolejnych pięciu pubach. Zamówiłem jeszcze jedno piwo i łyknąłem pastylkę black dropu, bo ręka przypomniała o sobie. Już po chwili poczułem się lepiej. Nikt nie pamiętał, żeby jakiś młody Francuz przychodził na piwo

do New Cut przy Cornwall Road ani żeby bywał w cuchnących i niebezpiecznych pubach przy Broad Wall. Na koniec dotarłem do Commercial Road, ostatniej ulicy przed rzeką, przy której znajdowały się puby obsługujące magazyny i nabrzeża. Nikt tam nie pamiętał żadnego Thierry'ego Cousture'a.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nazajutrz rano na Coin Street zgromadził się wielki tłum. Policja ustawiła barierki w poprzek ulicy, zatrzymując ruch konny, a po przeciwnej stronie stały dwa wozy strażackie. W miarę jak przeciskałem się przez gęsty tłum, nasilał się swąd palonego drewna. Na koniec zobaczyłem dym unoszący się z dachu sklepu z puddingami. Strażacy albo biegali we wszystkie strony, albo pompowali wodę. Jedna rura zniknęła gdzieś w bocznej uliczce, a druga prowadziła do sklepu przez drzwi frontowe. Okna były wybite, a wewnątrz wszystko czarne od sadzy.

Przedarłem się w końcu przez tłum na drugą stronę ulicy, a tam przed kawiarnią Churcha siedział szef z Ettie. Jadł wielką kromkę chleba z serem. Twarz miał czarną od sadzy, resztki włosów sterczały wokół łysej głowy. Ettie siedziała milcząca, blada i cała się trzęsła. Oboje mieli koce na ramionach.

- Norman! - krzyknęła Ettie, chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno, przywierając do mnie. - To było okropne. Musieli nas wynosić przez okno. - Wciąż ściskając moją rękę, rozkaszała się.

- To dym - wyjaśnił szef z pełnymi ustami i też głośno zakaszał.

- Ale co się stało?

- Obudzili nas strażacy, którzy wpadli do sypialni przez okno - odparł ze świstem. - Znieśli nas na dół po drabinie. Uratowali nam życie.

- Znieśli was?

- Byliśmy półprzytomni od dymu i płomieni, Norman. - Znowu się rozkaszał.

Podał mi kromkę do potrzymania, próbując się opanować, a ja spytałem:

- Ale jak to się zaczęło?

- Strażacy znaleźli bańki z parafiną - powiedziała Ettie, puszczając w końcu moją rękę. - Ktokolwiek to był, włamał się przez okno sklepu.

Wpatrywała się we mnie. Wtedy właśnie, dokładnie w tamtej chwili, zacząłem na nią patrzeć zupełnie inaczej. Wydała mi się niezwykle wdzięczna, kiedy tak siedziała na krześle z twarzą pobrudzoną sadzą, i nadal oczywiście dzielna, ale jednak trochę bezbronna. Kobieta, która całkiem niedawno wkroczyła do salonu z walizką, wydawała mi się kimś zupełnie innym.

Szef przestał kaszleć i odebrał ode mnie kromkę z serem.

- Kto to mógł być, pana zdaniem? - zapytałem.

Szef uciszył mnie, kładąc palec na ustach, i mruknął:

- Chodźmy na chwilę do środka, Barnett.

- Na miłość boską! - krzyknęła Ettie, po czym przycisnęła ręce do piersi, próbując stłumić kolejny atak kaszlu. - Czy możesz przestać mnie ochraniać, William? W Afganistanie widziałam rzeczy gorsze, niż potrafisz sobie wyobrazić. A teraz omal nie zostałam zamordowana. Myślę, że mam prawo brać w tym wszystkim udział na równych prawach.

Szef pokiwał głową.

- Okazuje się, że ludzie, których śledzimy, wiedzą, gdzie mieszkam, Ettie. Nie możemy tu zostać, to zbyt niebezpieczne.

- Ale kim oni są? - zapytała.

- Ludzie Creama, fenianie, Longmire - odparł szef z ciężkim westchnieniem. - Do wyboru.

- O mój Boże! Oni nas chcą zabić.

- Nie zabijają, Ettie - zapewnił Arrowood. - Nie pozwolimy im.

Tak czy owak, musimy zamieszkać gdzie indziej, dopóki to się nie skończy. A oni nie mogą się dowiedzieć, jaki będzie nasz nowy adres.

Gromada małych uliczników przedarła się przez tłum i przebiegła obok nas na drugą stronę ulicy.

- Czy jesteśmy ubezpieczeni? - zaniepokoiła się Ettie.

Arrowood przygryzł górną wargę i spuścił wzrok.

- Posłuchaj, Ettie, nie złość się, ale nie zapłaciłem składki w ubiegłym roku z powodu braku funduszy. Nie mieliśmy zbyt wielu zamówień.

- Ach, Williamie! - krzyknęła, owijając się ciasniej kocem. - To było bardzo nierozsądne.

- Ettie, po prostu nie miałem pieniędzy.

- Mogę zapłacić murarzem. Mam trochę oszczędności.

- Masz oszczędności? - zdziwił się szef. - Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Powiedziałam, że zapłacę - ucięła.

Szef odwrócił się, zapukał do okna kawiarni i powiedział:

- Albercie! Pozwól no tu. - Gdy Albert wyszedł, ponury i zmęczony, szef spytał: - Gdzie mieszkasz?

- Przy Mint Street, obok przytułku.

- Możesz przyjąć mnie i moją siostrę na kilka tygodni? Ile macie pokoi?

- Tylko dwa pokoje na całą naszą czwórkę, panie Arrowood. Jest bardzo ciasno.

- Twoi synowie mogą przecież spać z tobą i z panią Pudding, a my w drugim pokoju.

Albert miał niepewną minę. Nie lubił sam podejmować takich decyzji.

- Będziemy płacić połowę czynszu.

Albert przestępował z nogi na nogę i drapał się po głowie.

- No może tak - powiedział, cedząc słowa. - Może tak. Ale tylko na jakiś czas. Tylko na czas remontu.

- Dziękuję, Albercie - powiedziała Ettie.

- W zasadzie połowa czynszu to nie jest fair - dodał szef. - Bo was jest czworo, a nas dwoje, więc wychodzi jedna trzecia czynszu, co ty na to? Zgoda? - Albert wahał się, krzywił, próbował rachować w głowie. - No dobrze - rzucił szef, nim padła odpowiedź. - Umowa stoi. Powiedz pani Pudding.

Ale pani Pudding wszystko słyszała i stanęła w drzwiach kawiarni.

- Nie możecie u nas zamieszkać, panie Arrowood - stwierdziła stanowczo. - Jutro przyjeżdża do nas moja siostra z trójką dzieci. Nie starczy miejsca dla was dwojga.

- No właśnie, panie Arrowood, nie ma miejsca - powtórzył Albert.

- No cóż - odparł szef, biorąc głęboki oddech. - W takim razie zatrzymamy się u Lewisa.

- Czy u niego jest miejsce? - zapytała Ettie.

- Ma dom w Elephant and Castle.

- Dom? - wykrzyknąłem. - Jak to dom? Przecież on w tym swoim sklepie więcej kupuje, niż sprzedaje.

- Jego ojciec był złotnikiem - wyjaśnił szef. - Lewis otrzymał dom w spadku.

- W takim razie dlaczego Lewis też nie został złotnikiem? - zdziwiłem się. - Dlaczego się męczy w starym sklepiku?

Szef ściągnął koc z ramion i odłożył go na kolana Ettie.

- Ojciec go szkolił na złotnika, ale Lewis mówi, że brakowało mu dokładności, nawet kiedy pracował oburącz. Zresztą on zawsze kochał broń. Od dzieciństwa tylko nią się interesował.

Nagle w tłumie pojawiła się znajoma postać: brązowy melonik, spodnie w kratkę i niebieski surdut, a w ręce szykowna laseczka z wiśniowego drewna.

Szef ścisnął mnie za ramię, a ów dżentelmen rzucił nam na powitanie:

- Co za spotkanie, panowie!

Był to nie kto inny jak Stanley Cream. Uśmiechnął się, ukazując najbielsze i najrówniejsze zęby w całym Londynie. Był gładko ogolony i pachniał perfumami. Tuż za nim szedł Boots. Zatrzymał na mnie spojrzenie, twarz wykrzywił mu złośliwy uśmiech, którym usiłował mi przypomnieć, jak dotkliwie mnie pobił, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni kilka lat temu. Zdobył wtedy nade mną przewagę tylko dlatego, że poślizgnąłem się na rozlanym piwie, ale pewnie już tego nie pamiętał. Wytrzymałem jego wzrok, gotów do ataku, a strach tłumiała chęć, by skoczyć mu do gardła i zmiażdżyć tę odrażającą twarz.

- Zapłacisz mi za to, Cream - powiedział szef, świszcząc z nerwów jeszcze głośniejsze niż zwykle. Zakaszłał i przyłożył chusteczkę do ust.

- To raczej pan będzie musiał zapłacić, panie Arrowood - odciął się Cream ze śmiechem. Nie należał do tych, którzy udają wyszukany akcent. Zachowywał się naturalnie. Nigdy nie rozumiałem, jak wylądował w branży restauratorskiej. - No cóż, wygląda na to, że czeka pana spory remont tej rudery. Przykro mi widzieć pana w tak opłakanym stanie z twarzą powalaną sadzą. Czy to pańska żona?

- Jestem jego siostrą - odparła Ettie.

- Ach madame, mogła pani stracić życie! - zawołał z jawnie obłudnym współczuciem.

- Czy to pańskie dzieło? - zapytała, podnosząc się z krzesła

i gotowa stawić mu czoło.

- Czy pani także jest detektywem, madame?

- Jestem pielęgniarką.

- Ach, to godne podziwu, naprawdę godne najwyższego podziwu. - Gdy spojrzał na mnie, leniwy uśmiech zniknął z jego twarzy, i głosem zimnym jak stal oznajmił: - Uprzedzałem, żeby się do mnie już nigdy nie zbliżać. Wydawało mi się, że wyrażam się jasno, panie Barnett. A wy mimo to niepokoiście moich dobrych znajomych. Więc posłuchajcie uważnie: zaniechajcie tych najść, odejdźcie, bo będziemy zmuszeni do naprawdę nieprzyjemnych działań. Czy to jest jasne? Czy mam poprosić Bootsa, żeby wam to wytłumaczył inaczej?

- Szukamy Thierry'ego Cousture'a - odparłem. - Pracował u was w kuchni. Czy pan wie, co się z nim stało? Albo gdzie przebywa?

- A, młody Terry. - Cream pokręcił głową. - Zniknął bez uprzedzenia kilka tygodni temu. Porzucił nas, zanim znaleźliśmy następcę, co bardzo mnie zezłościło. - Uderzył laską o but. - Sam chętnie bym go dopadł.

- Czym on się u pana zajmował? - zapytałem.

Cmoknął i zwracając się do szefa, powiedział:

- Kiedy go znajdziecie, chciałbym dowiedzieć się o tym pierwszy. Muszę się z nim rozmówić. Ale ostrzegam, nigdy więcej nie zbliżajcie się do moich znajomych. Dziękujcie Bogu, że żyjecie. Następnym razem szczęście już panu nie dopisze, panie Arrowood. Sam o to zadbam.

Cream podniósł laskę i dźgnął szefa w brzuch, po czym odwrócił się i wraz z obstawą zniknął w tłumie gapiów.

- Sprawdź, czy są z nimi jeszcze jacyś inni ludzie - polecił szef,

łapiąc powietrze.

Ettie znowu się rozkaszłała, gorączkowo przeczesując wzrokiem tłum gapiów. Zaszedłem gromadę od tyłu w poszukiwaniu ludzi Creama, którzy mogli tam na nas czekać, i natknąłem się na Neddy'ego.

- Czy pan Arrowood jest bezpieczny? Nic mu się nie stało? - zapytał chłopak z prawdziwym lękiem w oczach. Brudną głowę miał przykrytą męską czapką z naderwanym pomponem, który zwisał nad uchem.

- Oboje z siostrą są bezpieczni i czują się dobrze. A jak twoje zęby?

Uśmiechnąłem się, pokazując ubytek w przedniej szczęce.

- Ładnie wyglądam, sir?

Roześmiałem się z trudem, bo wizyta Creama bardzo mnie zdenerwowała.

- A jak twoja matka, synu?

- Znowu ma zły dzień. Kazała mi przynieść jakieś pieniądze.

- Myślę, że pan Arrowood będzie cię dzisiaj potrzebował.

Zaprowadziłem go do kawiarni, gdzie schronił się szef i siedział na krześle.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedział grzecznie Neddy.

Szef uśmiechnął się i pogłaskał chłopca po głowie.

- Sprzedajesz dzisiaj muffinki, synu?

- Dopiero od czwartej. Przedtem mogę panu pomagać.

- Przydasz się nam do ciągnięcia wózka. Dasz radę w za dużych butach? Dlaczego ich nie zasznurowiesz?

Neddy schylił się, żeby zasznurować o kilka numerów za duże i nie do pary buty.

- Kiedy strażacy wpuszczą nas do środka, spakujemy trochę

rzeczy i przewieziemy do naszego nowego lokum - powiedział szef. - Ale najpierw powiedz mi, chłopcze, jak się czujesz po tej przygodzie. Takie przeżycia mają większy wpływ na nasz umysł niż na ciało. Jak sypiasz? Dręczą cię jakieś koszmary?

- Raczej nie, sir. Nic mnie nie dręczy.

- To dobrze. A melancholia? Nie czujesz się smutny?

- Jestem taki jak przedtem. Proszę się o mnie nie martwić.

- Nie prześladowuje cię uczucie lęku? - Gdy Neddy przecząco pokręcił głową, szef uśmiechnął się. - Doskonale, chłopcze, prawdziwy z ciebie żołnierz. Mały dzielny żołnierz. A każda armia musi dbać o swoich żołnierzy. - Wspierając się na moim ramieniu, szef podniósł się z krzesła i zwrócił się do nas: - Idę pomówić z Lewisem. Ty, Ettie, zostań tutaj z Neddym i spakuj nam jakieś rzeczy. Ale kiedy już cię tam wpuszczą, nie rób tego sama, lecz koniecznie w towarzystwie konstabla. Musimy bardzo uważać. I bądź czujna na wypadek, gdyby ktoś cię śledził.

- Nie martw się o mnie, braciszku. Dam sobie radę.

- Aha, i nie zapomnij zabrać mojego portretu. Niedługo po ciebie przyjdę.

- Ja też będę czujny, sir - obiecał Neddy.

- Słusznie! Dobry chłopiec. I pamiętaj, nikomu nie mów, gdzie się przenosimy. Ty, Barnett, nadal przeszukuj puby, ale bądź ostrożny. Sprawdzaj, czy ktoś za tobą nie chodzi. Mogą próbować dopaść cię, kiedy będziesz sam.

- Jak twoje ręka, Norman? - spytała Ettie.

- O wiele lepiej, jak nikt jej nie szturcha.

Uśmiechnęła się. Czarna sadza podkreślała drobne zmarszczki na jej twarzy. Jej troska sprawiła, że poczułem nagły przypływ smutku.

- W takim razie uważaj na nią - poradziła.

- Spotkajmy się o szóstej u Fontaine'a, Barnett - zarządził szef.
- Powinniśmy zameldować się panie Cousture. Zostawiła tam dla nas jakieś wiadomości.
 - Czy będę panu potrzebny w Studio Fontaine? - zapytał Neddy.
 - Nie, mój mały żołnierzu. Tylko do czwartej. A potem postaraj się sprzedać jak najwięcej muffinek.

Tego dnia przeczesywałem puby między Blackfriars a Borough High Street, ale do końca dnia nie osiągnąłem nic oprócz zmęczenia i bólu nóg. Nikt nie pamiętał młodego Francuza o jasnych włosach.

Wczesnym wieczorem wszedłem do Studia Fontaine'a. Panna Cousture stała za ladą z surowym wyrazem twarzy.

- Panowie - powiedziała na powitanie. - Wszędzie was szukam. A dlaczego wy mnie nie szukacie? Wysłałam wam dwie pilne wiadomości.

- Zaszło wiele nowych okoliczności - wyjaśnił szef. - Musieliśmy zbadać pewien trop, póki był jeszcze świeży.

- Czy rozmawialiście z Milky Sal?

- Nie dopuścili nas do niej.

Gniewny wyraz twarzy ustąpił miejsca rozczarowaniu.

- Czy zastaliśmy pani pracodawcę?

- Ma sesję z klientem.

- Prywatne zdjęcia?

- Tak sądzę.

- A czy pani widziała kiedyś te prywatne zdjęcia? - zapytał szef.

- Eric nie łączy tych dwóch interesów, ale tak, kiedyś je widziałam. Zajrzałam mu do torby.

- Gdzie je zazwyczaj przechowuje?

- W domu. Sesje zwykle odbywają się w nocy, kiedy mnie tu nie

ma.

- Czy prosił kiedyś, żeby mu pani pozowała?
- Nie! Skądże! - krzyknęła. - Dlaczego pan pyta?
- Próbuję tylko coś zrozumieć. Proszę się nie obrażać.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić tę myśl z głowy.

- Panie Arrowood, w takim razie proszę mi wyjawić, czego pan się dowiedział.

Szef opowiedział, co stało się z Longmire'em i o naszym porwaniu sir Herberta. Powiedział o włamaniu i o tym, co zeznał Gullen.

W tym miejscu przerwała:

- Proszę powiedzieć coś więcej o sir Herbercie.
- Pracuje w Ministerstwie Wojny jako generalny kwatermistrz - wyjaśnił szef. - Ma wielki dom ze stajnią.
- W jakim jest wieku?
- Około pięćdziesiątki.
- A jak wygląda?

Szef spojrział na mnie zdziwiony.

- Niski, łysiejący, okrągła twarz.
- Gruby - dodałem.
- Czy słyszała pani o sir Herbercie Venningu? - zapytał szef.
- Nie.

Spróbował ponownie zastosować chwyt milczenia w połączeniu z łagodnym spojrzeniem, ale nie zadziałało.

- Mam nieodparte wrażenie, że pani coś przed nami ukrywa - powiedział w końcu.
- Niczego nie ukrywam - odparła, krzyżując ramiona.
- Ale przedtem nie powiedziała nam pani prawdy.
- Już panu mówiłam, że nie ukrywam niczego, panie Arrowood!

- odparła z gniewem. - A teraz zmienmy temat. Interesuje mnie Longmire. Proszę mi o nim opowiedzieć. Czy też jest niskiego wzrostu?

- Dlaczego pani pyta? - zdziwił się szef. - Skąd zna pani to nazwisko?

- Może widywałam go w towarzystwie mojego brata.

- Jest średniego wzrostu. - Dopadł go nagły atak kaszlu. Chwytał się brzegu kontuaru i kaszlał, zamknawszy oczy, aż w końcu się uspokoił.

- Dostyc szczupły - dodałem. - Nosi monokl. Ma znamie nad okiem wielkości sześciopensówki.

Jej oczy rozbłysły, jakby wstąpił w nią nowy duch.

- Czy pani go zna? - powtórzył szef, zdejmując z krzesła oprawiony w ramę portret, żeby usiąść.

Pokręciła głową.

Gdy opowiadał jej o śmierci Venninga, panna Cousture cały czas patrzyła przez okno na ulicę. Stała wyprostowana z wysoko uniesionymi ramionami. Odchrząknęła dwa razy, po czym sięgnęła po stojący na ladzie dzbanek z wodą. Nie byłem pewien, czy słucha. Przy opisie pożaru w sklepie z puddingami po prostu kiwała głową.

- Czy pani poznała jakichś kolegów Thierry'ego, z którymi chodził na piwo? - zapytałem.

- Nie - odparła, a głos uwiązł jej w gardle. - Nigdy ich nie poznałam.

- A czy wie pani, dokąd chodził na piwo?

Wzruszyła ramionami, potem spuściła wzrok na ladę. Wydawało mi się, że osłabła, jakby odpływała z niej krew.

- Thierry udaje przede mną, że nie pije - powiedziała wreszcie cicho, a po chwili milczenia dodała: - Musicie już iść. Za chwilę

wróci Eric.

- Znajdziemy pani brata - zapewnił szef, z trudem podnosząc się z krzesła.- Wrócimy do pani, kiedy dowiemy się czegoś nowego.

Wyszedł na ulicę, a ja zostałem jeszcze na chwilę. Napotkałem spojrzenie jej brązowych oczu. Wydawało mi się puste, włosy miała związane w kok i chociaż koronkowy brzeg wysokiego kołnierzyka bluzki był lekko postrzępiony, w tym uczesaniu wyglądała jeszcze bardziej doskonale. Poczułem, że zaczynam się pocić.

- Potrzebna nam jest kolejna zaliczka, panno...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Od samego rana znów zabraliśmy się do przeglądu pubów. Ja badałem obszar między New Kent Road a Great Dover Street, natomiast szef szedł ulicami na południe od Westminster Bridge Road. Narzekał głośno na obolałe stopy, tym bardziej że wprawdzie za ciasne, ale jednak własne kamasze stracił w pożarze, i chodził w obuwiu pożyczonym od Lewisa. Ponieważ jednak nie kuśtykał tak bardzo, jak podczas prawdziwego ataku podagry, puszczałem jego skargi mimo uszu.

Spotkaliśmy się w kawiarni U Pani Willows w porze obiadowej. Niebo poszarzało, a powietrze zgęstniało. Szef musiał zajrzeć jeszcze do robotników remontujących mieszkanie, więc wlokłem się z Bethlem do samego Oval. O młodym Francuzie nikt nigdzie nie słyszał. Wychyliłem po drodze kilka piw, żeby czas płynął przyjemniej. W lokalu, który nazywał się Bear, natknąłem się na skulonego w ciemnym kącie drobnego jegomościa o bladej twarzy, którego, byłem tego pewien, już spotkałem na ulicy. Stojąc przy barze, czułem, że mi się przygląda. Ilekroć na niego spojrzałem, uciekał wzrokiem, udając, że mówi sam do siebie. Wypiłem szybko piwo, wyszedłem z pubu i schowałem się za wozem kilka bram dalej. Wyszedł zaraz po mnie na środek ulicy, rozejrzał się w prawo i w lewo, zaklął i ruszył w kierunku skrzyżowania, gdzie znowu stanął i rozglądał się na wszystkie strony. Po pewnym czasie zawrócił do pubu. Miałem zamiar wejść za nim i dowiedzieć się, o co chodzi, ale w końcu pomyślałem, że to tylko skomplikuje sprawy, i postanowiłem dalej robić swoje.

Kiedy zaczęło padać, znowu odezwał się ból w ręce. Złagodniał

po zażyciu kolejnej pastylki black dropu. Ponieważ do szóstej wieczorem zdążyłem odwiedzić wszystkie knajpy w odległości pół godziny od Barrel of Beef, zdecydowałem, że pójdę dalej na wschód w kierunku biedniejszych ulic w bok od Tabard Street. O dziesiątej, w podłej speluncie w piwnicznej norze chylącej się ku upadkowi i stojącej krzywo kamienicy, wreszcie dopisało mi szczęście.

- Tak, przychodził tu taki jeden - przyznał barman. - Nieźle rozrabiał. Jakiś czas już go nie było.

- Gdzie go można znaleźć?

- Zapytaj pan tego tam, jego kompana. - Najbrudniejszą ścierką, jaką w życiu widziałem, wskazał samotną postać skuloną przy pianinie. - Zawsze siedzieli razem.

Człowiek przy pianinie ubrany był w kamizelę szytą na grubasa, chociaż sam był chudy jak szczapa. Na głowie nosił zdefasonowany kapelusz. Przez rzadką brodę przezierała skóra pokryta obrzydliwymi strupami. Przed nim stał pusty kufel. Zamówiłem dwa piwa i przysiadłem się. Spojrzał na mnie mętym wzrokiem. Okazał się znacznie młodszy, niż wyglądał z daleka. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat i był wyraźnie niedożywiony.

- Szukam Terry'ego - powiedziałem, stawiając przed nim pełen kufel. - Barman mówi, że go znasz.

Zdobył się na odpowiedź dopiero po dłuższej chwili, kiedy to wymamrotał:

- Nie widziałem go.

- Gdzie go mogę znaleźć?

- Nigdzie. - Zaśmiał się krótko, sięgnął po kufel i jednym haustem wypił pół zawartości. Pod ogromną kamizelką miał brudną koszulę, a w kącikach ust zakrzepłą krew.

- Co cię tak śmieszy? - Gdy tylko pokręcił głową, jakby dziwił

się mojej głupocie, zadałem kolejne pytanie: - Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Widziałem... - Machnął ręką, jakby oganiał się od much, a głowa mu opadła. - Będzie miesiąc, może dwa. Tak czy siak, wyjechał.

- Dokąd?

- Nie wiem. Wyjechał i już.

- A dlaczego wyjechał?

- Nie wiem dlaczego. Nie wiem. - Wychylił kufel do dna. - Po prostu zniknął.

Wyjąłem z kieszeni jednego szylinga i położyłem na stole.

Przyglądał się monecie, jakby nastawiał ostrość w lornetce.

- Będzie twoja, jeśli mi powiesz, gdzie on jest.

Znowu zgubił wątek, ale po różnych głupich uśmiechach i pomrukach wydusił w końcu:

- Hassocks niedaleko Brighton. Pracuje w piekarni.

- Skąd wiesz?

- Bo mi powiedział.

- Dlaczego wyjechał z miasta?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Ale był przerażony.

Tyle mogę ci powiedzieć za darmo.

Kiedy sięgnął po monetę, przykryłem ją dłonią, po czym spytałem:

- Może ci powiedział, że coś się dzieje w Barrel of Beef?

Spojrzał na mnie gniewnie, przymknął oczy. Głowa chwiała mu się tak, że zebrało mi się na mdłości.

- Nie gadaliśmy o robocie - wybełkotał wreszcie. - Tylko piliśmy, patrzyliśmy na kobiety i na konie. No, powiedział, że ma kłopoty, ale nic więcej.

- Nie pytałeś, jakie to kłopoty?

- Jasne, że pytałem, ale nie chciał powiedzieć. - Odbiło mu się głośno, otworzył oczy, złapał się za brzuch, krzywiąc twarz.

Przesunąłem monetę w jego stronę.

- Jeden szyling. To cena twojej przyjaźni, chłopie. Masz szczęście, że go nie szukam.

Posłał mi znowu rozmyte spojrzenie. Wyczuł zniewagę, ale był zbyt pijany, żeby się przejmować. Wziął monetę i powlókł się do baru.

Nazajutrz w południe ruszyliśmy w drogę do Brighton. Całe rano padało, więc pociąg nad morze był prawie pusty. Szeł siedział na brzegu kanapy i wciąż się wiercił. Był wyraźnie podekscytowany. Kiedy poprzedniego dnia wieczorem pakował swoje rzeczy, przyszedł kolejny list od Isabel. Zapropowała, żeby spotkali się jutro w południe w Imperial Restaurant na West End. Był to lokal dość drogi, ale Isabel zawsze uważała, że jest stworzona do lepszych rzeczy.

- Jeśli ona wróci, to moja siostra będzie musiała znaleźć sobie inne mieszkanie - powiedział z rozmarzeniem, patrząc na czerwone dachy domów przesuwające się za oknem. - Czy będziecie mogli wraz z panią Barnett przyjąć ją do siebie, zanim coś sobie znajdzie?

- Mamy tylko jeden pokój.

- Chyba sobie żartujesz? - wykrzyknął. - Mieszkacie w jednym pokoju?

- Nie stać nas na więcej - odparłem, posyłając mu chłodne spojrzenie.

- Przykro mi, Norman. - Westchnął ciężko. - Nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak źle.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Pociąg opuścił Londyn

i zatrzymał się na jakiejś stacji, ale nikt nie wsiadł.

- Ona wcale nie musi wrócić - zauważyłem, kiedy ruszyliśmy. Chociaż mówiłem to z troski o szefa, to ze zdziwieniem wyczułem w swoim głosie pewną nutę okrucieństwa.

- Wiem o tym - powiedział, patrząc na zielone pola hrabstwa Sussex. - Ale chciałbym ją znowu zobaczyć.

Dojechaliśmy do Hassocks, małej i schludnej wioski. Stacja kolejowa znajdowała się przy końcu głównej ulicy. Była tam tylko jedna piekarnia. Za ladą stała kobieta z dzieckiem na ręku. Powiedziała nam, że Thierry jest przy piecu na podwórzu. Wróciliśmy na ulicę, a potem przeszliśmy przez bramę w kamiennym ogrodzeniu. Piekarnia stała na środku podwórza, drzwi były otwarte. Kiedy się zbliżyliśmy, wyszedł stamtąd młody mężczyzna w białym fartuchu. Na ramieniu niósł tacę pełną bochenków chleba. Miał jasne włosy i głęboką bliznę za prawym uchem.

- Thierry? - zapytał szef.

Zatrzymał się i spojrzał na nas nieufnie, po czym zapytał z mocnym francuskim akcentem:

- O co chodzi?

- Nazywam się Arrowood, a to jest mój asystent pan Barnett. Pana siostra zleciła nam odnalezienie pana.

- Zaraz wrócę, tylko zaniosę chleb - powiedział uprzejmie. - Proszę chwilę poczekać. - Zniknął za bramą.

- Idź za nim, Barnett - polecił szef.

Wyszedłem na ulicę w chwili, gdy Thierry rzucił tacę przed sklepem i zerwał się do biegu. Był to jednak bieg na oślep, bo wpadł prosto na mnie.

Złapałem go za rękę i wykręciłem do tyłu, aż zajęczał, po czym

zawlokłem na podwórze. Był ode mnie młodszy, ale słabszy.

- Próbował uciekać, sir.

- Oj, bardzo nieładnie z twojej strony, chłopcze. A my przyjechaliśmy do ciebie z samego Londynu, Thierry.

- Bardzo proszę, zostawcie mnie w spokoju. - Był blady jak ściana i pocił się jak mysz. - Ja nie wchodzę w drogę panu Creamowi. Przyjechałem tu, żeby zejść mu z oczu, przysięgam. Chcę trzymać się od tych spraw z daleka. Nie chcę sprawiać żadnego kłopotu.

- Nie przysłał nas pan Cream - wyjaśnił szef spokojnie. - Już ci mówiliśmy, że to twoja siostra. Nie musisz się nas obawiać.

Thierry zamachnął się wolną ręką i uderzył mnie w twarz tak mocno, że na moment go puściłem. Zerwał się do ucieczki, ale podstawiłem mu nogę i przewrócił się. Nos pulsował mi tak, jakby poszła z niego krew, więc rzuciłem się na Thierry'ego z większym impetem, niż było trzeba, co nie posłużyło najlepiej mojej kontuzjowanej ręce.

- Ty głupcze! - wysyczałem mu do ucha, gdy wił się pod moim ciężarem. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Przysłała nas twoja siostra. - Postawiłem go na nogi.

- I tak wiem, że przysłała was pan Cream - wydusił bliski płaczu.

- Posłuchaj. Thierry - zaproponował szef. - Posłuchaj uważnie. Twoja siostra poleciła nam, żebyśmy cię odnaleźli. Przyjechaliśmy tutaj, żeby ci pomóc.

- Moja siostra nie mogła was wysłać, bo wie, że tu jestem.

- Thierry, naprawdę nas wynajęła, żebyśmy cię odnaleźli.

- Niby po co? - Pokręcił głową. - Przecież sama znalazła mi tu mieszkanie.

Rzadko się zdarzało, żeby w tej samej chwili szefowi i mnie zabrakło słów, ale właśnie tak się stało. Wpatrywaliśmy się

w Thierry'ego, usiłując poukładać w głowach to, co powiedział.

- Ona wie, że tu jestem - powtórzył Thierry.

- Nie kłam - ostrzegł szef. - Twoja siostra już dość nam nakłamała.

- Przysięgam, sir. Moja siostra przyjechała tu razem ze mną z Londynu i na tydzień opłaciła mi pokój.

Tego było już dla mnie za wiele. Uderzyłem Thierry'ego w twarz otwartą dłonią. Wrzasnął z bólu i przewrócił się na ziemię.

- Barnett, czy to było konieczne? - zapytał szef z niepokojem. - Mam już dość tych wszystkich kłamstw.

Thierry odczołgał się na plecach z zasięgu moich butów, wciskając się między beczkę i ogrodzenie podwórza.

- Ja nie kłamię - powiedział żalonym tonem. - Ona wie, że tu jestem. Nie wiem, co wam powiedziała.

Szef podniósł głos.

- To dlaczego zleciła nam, żebyśmy cię odnaleźli?

Chłopak miał rozcięte usta, leciała mu krew. Patrząc na mnie jak przerażone szczenię, zakrył twarz rękami.

- Sami ją zapytajcie. Ja nie wiem.

- Pomóż nam, Thierry.

- Nie mam pojęcia, sir.

Szef skinął głową w moją stronę i odwrócił się do nas plecami. Złapałem chłopaka i zaprowadziłem do piekarni. Wyrwał się, ale bez skutku. Przez małe okienko w stalowych drzwiach pieca chlebowego widać było płonące drwa.

- Musi tam być bardzo gorąco, co Thierry? - zauważyłem.

- Proszę, nie! - załkał.

Chwyciłem go z tyłu za włosy i przyciągnąłem do pieca. Jedną ręką otworzyłem drzwi i z wnętrza buchnął ryczący żar. Walczył dzielnie, wymachując rękami, ale jednak zachowałem

zdecydowaną przewagę. Powoli zbliżyłem jego głowę do otwartych drzwi. Pękł dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż przy płomieniach.

- Dobrze, dobrze. Już powiem! Wszystko powiem!

Obróciłem go i wywlokłem na podwórze, z ulgą opuszczając nieznośny krąg żaru. Szef siedział na skrzynce i palił cygaro.

- Prosimy o samą prawdę, chłopcze - poprosił łagodnie.

Otrzeptałem Thierry'ego z popiołu. Trząśnięty cały, był czerwony i mokry na twarzy, usta wciąż mu krwawiły.

- Dlaczego zostaliśmy wynajęci? - zapytałem.

- Ona chce dowiedzieć się jak najwięcej o panu Creamie - powiedział, z trudem łapiąc oddech. - Pomagałem jej, ale musiałem uciekać, bo okazało się to dla mnie zbyt niebezpieczne.

- Dlaczego? - nalegałem.

- Kazali mi zawieźć skrzynie. Zawsze są w piwnicy. Raz znalazłem skrzynie z karabinami i amunicją. Zajrzałem do nich, a wtedy jeden z nich, pan Piser, zszedł na dół i mnie zobaczył. Wściekł się, rzucił się na mnie, powalił na podłogę i skopał. Zamknął mnie w piwnicy, i przyszedł pan Cream. Popatrzył na mnie i wrócił na górę. Nie wiem, co zdecydował o mnie, ale na pewno nic dobrego. - Przerwał na moment. - Ale mam kolegę w kuchni. Kiedy mnie długo nie było, schodził na dół i mnie szukał.

- Harry? - zapytał szef.

- Tak, to on mnie wypuścił, a ja już nie wróciłem do Barrel of Beef. Wiem, że widziałem coś, czego nie powinienem widzieć. Przyjechałem tutaj, żeby mnie nie odnaleźli.

- To ty zabrałeś pocisk?

- Tak, żeby go użyć przeciw nim.

- Rozmawialiśmy z Harrym, ale nawet o tym nie wspomniał.

- Prosiłem, żeby nikomu nie mówił.
- To twój wierny i lojalny przyjaciel - przyznał szef. - Dla kogo były przeznaczone te karabiny?

- Nie wiem, sir.

- Skąd Cream je miał?

- Nic o nich nie wiedziałem, dopóki nie otworzyłem skrzyni.

- To od ciebie Martha dostała ten pocisk?

- Rozmawialiście z Marthą? - Oczy mu rozbłysły. - Jak ona się ma? Czekam na nią, ale wciąż nie przyjeżdża do mnie.

- To ty nic nie wiesz? - zapytał szef ostrożnie, całą swą postawą wyrażając głębokie współczucie.

- Nie wiem? O czym nie wiem? - wyszeptał Thierry, patrząc na szefa z przerażeniem.

- Bardzo mi przykro, synu. - Szef położył mu rękę na ramieniu.

- Martha nie żyje. Byliśmy z nią umówieni, ale została zasztyletowana, kiedy czekała na nas.

Thierry otarł krew z warg i chwycił się za głowę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Na koniec z oczu strumieniem popłynęły mu łzy. Siedzieliśmy przez jakiś czas w milczeniu.

Na podwórze przyszła kobieta ze sklepu, ale na widok Thierry'ego zacisnęła usta i szybko zawróciła. Niebo przejaśniło się, ale tylko na moment, bo znów napłynęły chmury, najpierw białe, później szare. Szef westchnął i mówił dalej:

- Przykro mi, Thierry, bardzo mi przykro. Próbujemy ustalić, kto to zrobił, dlatego musimy zadać ci jeszcze kilka pytań. Czy możesz odpowiadać? - Gdy kiwnął głową z zamkniętymi oczami, szef spytał: - Dlaczego dałeś jej ten pocisk?

Odpowiedział cicho, zacinając się:

- Na wypadek gdyby mi się coś stało.

- Dlaczego nie siostrze?

- Musiałem przekonać Marthę, że grozi mi niebezpieczeństwo - wyszeptał, trzymając rękę przy oczach. - Myślała, że ją chcę rzucić. Nie wierzyła, że ją kocham. Francuzi, rozumiecie. Angielskie dziewczyny myślą, że każdy Francuz wykorzystuje kobiety. - Znow zaczął szlochać.

- Ona wiedziała, że ją kochasz, Thierry - powiedział szef. - Zgodziła się spotkać z nami, ale morderca dopadł ją dosłownie minutę przed naszym spotkaniem. Umierając, trzymała w ręce ten pocisk. - Podszedł do chłopaka, objął go ramieniem i przygarnął, głaszcząc po głowie jak dziecko. - No już, synu, już dobrze - mruczał.

Kiedy Thierry w końcu się uspokoił, szef zadał dalsze pytania.

- Dlaczego twoja siostra próbuje dowiedzieć się czegoś o Creamie?

- Ona nie jest moją siostrą, to moja przyjaciółka. Pomogłem jej uciec, żeby mogła tu wrócić.

- Wrócić tutaj?

Thierry podniósł wzrok. Oczy miał czerwone, wzrok zamglony.

- Ona jest Angielką. Kiedy była mała, jej matka przeczytała ogłoszenie, że dziewczęta mogą jechać na służbę do Francji, ale kiedy dotarła do Rouen, to okazało się, że to nie jest żadna służba, tylko zwykły burdel. Stała za tym kobieta, która się nazywa Milky Sal. Do dziś pracuje dla Creama. Caroline miała trzynaście lat, kiedy przyjechała do Francji, i jedenaście lat więcej, kiedy uciekła do Anglii. To ja pomogłem jej uciec z tego burdelu.

- Jak ją poznałeś?

- Dowoziłem *pâtisserie*. Z tego się utrzymywałem, zanim zostałem piekarzem.

- Dlaczego nam o tym nie powiedziała?

- Ona się wstydzi, że była dziwką. Mówiła o tym policji, ale nic nie zrobili w tej sprawie, a ona nie mogła tego ścierpieć, więc postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, a ja jej pomagałem. Potrzebowaliśmy dowodów na Creama, żeby policja go aresztowała, dlatego zatrudniłem się w Barrel of Beef. Niestety nic nie znalazłem na temat handlu dziewczętami, ale wiem, że Cream jest paserem. Próbowaliśmy zebrać dowody, żeby policja wsadziła go do więzienia, gdzie jego miejsce.

- Dlatego kiedy wyjechałeś, ona nas wynajęła, mając nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej na temat interesów Creama - podsumował szef znużonym tonem. - Mogła nam to powiedzieć. Przecież jesteście amatorami. Czy wiecie, jak groźny jest Cream?

- Ja wiem - powiedział Thierry i ukrył twarz w dłoniach. - Myślicie, że nie wiem?

Zostawiliśmy go, gdy tak siedział w podwórzu pogrążony w rozpacz. Sierpniowe słońce chyliło się ku zachodowi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Czekając na pociąg, dyskutowaliśmy o sprawie. Miałem już dość nieustających kłamstw panny Cousture, jednak szefowi jakoś nie przeszkadzały, jakby z góry ze wszystkiego ją rozgrzeszał, co drażniło mnie jeszcze bardziej. Zawsze tak było. Nigdy nie wiedziałem, kiedy uzna, że naruszono jego dumę. Czasem drobiazg powodował wybuch złości, lecz gdy się okazało, że panna Cousture cały czas wiedziała, gdzie jest Thierry, przyjął to z filozoficznym spokojem i uznał za kolejny element układanki, a o samej kłamliwej pannie nie dał powiedzieć złego słowa. Zapewne to perspektywa jutrzejszego spotkania z Isabel tak bardzo go uszlachetniała.

W pociągu znad morza do Londynu jechało więcej pasażerów. Usiedliśmy naprzeciw podenerwowanej młodej damy w błękitnej letniej sukience. Przy nogach miała koszyk piknikowy, a na głowie czepek, który zasłaniał oczy. Siedziała wciśnięta w kąt przedziału ze starym magazynem ilustrowanym na kolanach. Kiedy przewróciła kolejną pożółkłą stronę, rozpoznałem opis jednego ze starych wyczynów Holmesa. Szef także to zauważył i jęknął głośno tak, żeby młoda dama go usłyszała. Podniosła głowę i zauważyła, że nieznany jej dżentelmen patrzy na nią z wyraźną dezaprobatą. Zarumieniła się i wróciła do lektury.

- Proszę wybaczyć, łaskawa pani - odezwał się szef - ale czy mogę spytać, co pani czyta?

- *Skandal w Bohemii*, starą przygodę Sherlocka Holmesa, sir.

- Ach tak! I jak się pani podoba?

- Interesująca rozrywka, ale już kiedyś ją czytałam.

- Czy to jest sprawa Ireny Adler?

- Tak, szantażowała króla Czech.

- Znam ten przypadek. Chodziło, o ile pamiętam, o Niemca Wilhelma von Ormsteina, dziedzicznego króla Czech.

- Tak, sir. Zamierza go zrujnować, gdyż postanowił zakończyć z nią romans.

- No właśnie - zgodził się szef, krzyżując ramiona. - Von Ormstein ma ożenić się ze skandynawską księżniczką, ale panna Adler grozi, że wyśle kompromitujące zdjęcie królewskiej rodzinie, z której wywodzi się jego narzeczona. Von Ormstein obawia się, że skandal może doprowadzić do zerwania zaręczyn i proponuje Holmesowi siedemset funtów za wykradzenie fotografii.

- Tysiąc funtów, sir - skorygowała dama, prostując się na siedzeniu. Pociągiem zatrzęsło tak gwałtownie, że musiała przytrzymać się za oparcie. - Siedemset w banknotach i trzysta w złocie.

- Rzeczywiście - zgodził się szef, posyłając mi zniesmaczone spojrzenie. - Tysiąc funtów! A zatem Holmes zaczyna obserwować dom pani Adler i w ciągu kilku dni zdobywa zdjęcie.

- Bo on to wszystko starannie zaplanował, sir. To prawdziwy geniusz. - Młoda dama spojrzała na mnie i pośpieszyła z wyjaśnieniem: - Sherlock Holmes posyła tłum ludzi pod dom Ireny Adler, żeby zrobili tam zamieszanie. Potem udaje, że został zraniony, żeby panna Adler zabrała go do domu. A kiedy jest już w środku, Watson wrzuca przez okno raketę dymną, wszyscy krzyczą „Pali się! Pali się!”, a panna Adler biegnie ratować fotografię, ujawniając miejsce jej ukrycia. Ale zanim zdąży wyjąć ją z kryjówki, Holmes krzyczy, że alarm jest fałszywy. - Spojrzała na szefa. - Ale wbrew temu, co pan powiedział, nie odzyskuje

fotografii, ponieważ Irena Adler orientuje się, że ma do czynienia z Sherlockiem Holmesem i rozkazuje woźnicy, by miał na niego oko. Holmes nie może więc dobrać się do zdjęcia, to jednak wystarcza, żeby odwieść pannę Adler od szantażu. Wyjeżdża za granicę ze świeżo poślubionym mężem, zostawiając list, w którym obiecuje, że nie ujawni fotografii.

- I pani zdaniem sprawa zostaje wyjaśniona? - zapytał uprzejmie szef.

- Tak. Król Czech jest już bezpieczny. Ma nadzieję, że Irena Adler dotrzyma słowa.

- To prawda, ale proszę powiedzieć, czy nie dostrzegła pani w tej sprawie czegoś dziwnego?

- Co pan ma na myśli?

- Jak pani twierdzi, król ma nadzieję, że ta kobieta dotrzyma słowa. To znaczy, że jej ufa. Ale jak to się stało, że honorowej osobie, która zasługuje na zaufanie, w ogóle przyszło do głowy, żeby posunąć się do szantażu? Czy to nie są przeciwstawne i wzajemnie wykluczające się postawy?

- Cóż... tak, myślę, że tak - odpowiedziała po chwili, wpatrując się w szefa. - O tym nie pomyślałam.

- A jak pani sądzi, co w jej przypadku było prawdziwym motywem szantażu?

- To proste, chce go zrujnować.

- Ale dlaczego? - wyszeptał, pochylając się ku niej.

- Bo z nią zerwał. - Wzruszyła ramionami. - Wiemy o tym z relacji doktora Watsona.

- Ale teraz ma już męża, są małżeństwem dopiero od dwóch dni. W liście pisze, że jest zakochana w swym mężu, który okazał się zdecydowanie lepszym i wartościowszym człowiekiem niż król.

Dama pokiwała głową, mrużąc oczy w namyśle, po czym

oznajmiła:

- No właśnie, tego nie rozumiem. Bo skoro już ma to wszystko, to co ją obchodzi król? Dlaczego zależy jej na tym, żeby mu zaszkodzić?

- Też się nad tym zastanawiałem! - triumfalnie wykrzyknął szef. Przynął się do niej jeszcze bliżej, przez co niemal dotykał damy grubymi kolanami.

A dama odsunęła się gwałtownie, bo wystraszył ją swą raptowną reakcją.

- Irena Adler jest utalentowaną śpiewaczką operową - powiedział z wielkim ożywieniem. - Odnosi sukcesy, uwielbiają ją tłumy, ma wspaniałą posiadłość, a na koniec znajduje miłość swojego życia. Kobieta z jej pozycją nie posuwa się do czegoś takiego jak szantaż. Jednak co pisze w liście do Holmesa? Że król potraktował ją okrutnie. Potraktował okrutnie, madame. Gdybym był detektywem, to dokładnie bym rozważył, co to może znaczyć. Zamiast ukłonić się, zainkasować honorarium, podziękować za uwagę i oznajmić, że sprawa zamknięta, bardzo bym chciał wiedzieć, co to znaczy.

- A pana zdaniem co to może znaczyć, sir? - spytała dama z niepokojem. Wyraźnie walczyły w niej sprzeczne uczucia. Z jednej strony bardzo już nie chciała pobudzać obcego grubasa, ale z drugiej strony nie potrafiła oprzeć się pokusie, żeby zapytać.

- No cóż madame - odparł, wodząc palcem po wielkiej głowie - oto wyjaśnienie. Dwa lata wcześniej król poprosił Irenę Adler o rękę, a ona włożyła na palec pierścionek zaręczynowy, który jej podarował. I była kompletnie nieświadoma, że w tym samym czasie król zalecał się do skandynawskiej księżniczki.

- Ach, więc pragnęła zemsty!

- Nie! - zaprotestował szef. - Proszę pamiętać, że wyszła już za

mąż za lepszego człowieka. Prawda tego przypadku tkwi w tym, że panna Adler chciała ujawnić zdradę króla, żeby ostrzec jego narzeczoną, jakie z niego ziółko.

Młoda dama zacisnęła wargi. Widać było po niej, że nie jest przekonana.

- Przecież on tylko dokonał wyboru - zaproponowała. - Zmienił zdanie, zapragnął mieć za żonę inną kobietę. Nie ma w tym nic złego. Każdemu wolno rozmyślić się przed ślubem.

- Pozwolę sobie zauważyć, że jest to bardzo nowoczesny pogląd - oświadczył szef z dezaprobatą. - Ale jest jeszcze coś, madame. Zanim król zerwał z panną Adler, nabrała wobec niego podejrzeń. Wynajęła agenta, żeby go śledził, i ten agent odkrył, że król utrzymywał intymne stosunki jeszcze z dwiema innymi kobietami, z których jedna też była artystką, a konkretnie aktorką.

- Aktorką!

- Tak jest! W tym samym czasie! Szykując się do ślubu z córką skandynawskiego króla, romansuje z trzema innymi kobietami. Ale na tym jeszcze nie koniec. Tą drugą kobietą jest pokojówka z Langham, gdzie król Czech wynajmował apartament. Po kilku miesiącach dziewczyna zorientowała się, że jest brzemienna, a kiedy mu o tym powiedziała, król nakazał dyrektorowi hotelu wyrzucić ją z pracy. - Szef na moment zawiesił głos, po czym dodał dramatycznym szeptem: - Tej samej nocy nieszczęsna kobieta rzuciła się do rzeki z Waterloo Bridge.

Młoda dama wstrzymała oddech i posłała mi rozpaczliwe spojrzenie, natomiast szef mówił dalej:

- Wynajęty przez pannę Adler detektyw dowiedział się o tym od pracujących w hotelu przyjaciół dziewczyny, a panna Adler chciała ostrzec narzeczoną przed okrutnym kłamcą i oszustem. Tylko w ten sposób mogła obnażyć jego prawdziwy charakter, nie

narażając się na proces o pomówienie i zniesławienie.

- Czyżby więc to nie Irena Adler była czarnym charakterem? - zapytała młoda dama, podczas gdy pociąg zwalniał przed kolejną stacją.

- Czarnym charakterem był król, natomiast Irena Adler tylko usiłowała ostrzec swoją rywalkę, a dalsze wydarzenia wykazały, że postąpiła słusznie. Jak powszechnie wiadomo, w praskim zamku król utrzymuje kuzynkę swojej żony. Robi to na jej oczach, nie bacząc na to, kto jeszcze o tym wie. Jego żona żyje w poniżeniu i głębokiej rozpacz.

Kręcąc głową, młoda dama zamknęła pismo i odłożyła na sąsiednie siedzenie. Pociąg zatrzymał się na stacji, a do przedziału wsiadł starszy mężczyzna z lekarską torbą.

- W takim razie dlaczego Sherlock Holmes nie zorientował się, że król jest kłamcą? - zapytała, gdy pociąg znowu ruszył.

- Może dlatego, że przeoczył pewne wskazówki. Może jego słynna przenikliwość osłabła z powodu wysokiej pozycji osoby, która zwróciła się do niego o pomoc? W końcu nie tylko Sherlock Holmes uważa, że szlachetnie urodzeni zasługują na większe zaufanie niż zwykli śmiertelnicy. Albo, co sugeruję z pewnym wahaniem, niebotycznie wysokie honorarium oszołomiło Wielkiego Detektywa. - Zadumał się na moment. - Warto też pamiętać, co Sherlock Holmes często powtarza. Że kobietami powodują emocje. Przez co nie traktuje ich poważnie.

- Mój Boże! - westchnęła dama. - Ale dlaczego w takim razie panna Adler obiecała w ostatnim liście, że nie ujawni postępowania króla?

- Niewątpliwie onieśmieliło ją to, że występuje przeciw słynnemu Sherlockowi Holmesowi. - Szef wzruszył ramionami. - W końcu urządził spektakularne przedstawienie, żeby dostać się

do jej domu, wszyscy też wiedzą, że ceni go wiele wysoko postawionych osobistości. To mogło sprawić, że panna Adler nie miała już sił na dalszą walkę. Ale to już tylko domysły.

Dama podniosła koszyk, postawiła na siedzeniu i spojrzała na szefa podejrzliwie.

- Skąd pan to wszystko wie, sir?

- Nie wiem - odparł szef z uśmiechem, splatając dłonie na brzuchu. - Wymyśliłem to wszystko.

Otworzyła usta ze zdumienia. Na jej twarzy malowało się tak wielkie zaskoczenie, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- Ale tak mogło być, szanowna pani - ciągnął znów bardzo ożywiony. - I o to właśnie chodzi. W tym, co wiemy, jest wystarczająco dużo wątpliwości, żeby w niektórych przypadkach zasugerować dalsze śledztwo. W tej sprawie Holmes nigdy nie zastanawiał się nad tym, kto może być prawdziwym złoczyńcą. Zaufał królewskiej pozycji, zignorował znaki wskazujące na to, że pod powierzchnią może się kryć jakaś inna historia. A prawdziwa część mojej opowieści polega na tym, że teraz, kiedy są już małżeństwem, król nie kryje się z tym, że kuzynka żony jest jego kochanką i utrzymanką. Wszyscy o tym wiedzą, a jego biedna żona wie o samotnym i smutnym życiu.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Dama, kręcąc z niesmakiem głową, jakby zepsuto jej wycieczkę, podniosła się, zabrała torbę i koszyk i mruknęła:

- Moja stacja.

- Miłego dnia, madame - pożegnał ją szef pogodnie.

Kiedy zamykała za sobą drzwi przedziału, silny podmuch powietrza przewrócił strony magazynu.

Tuż przed Croydon szef wyjął z kieszeni płaszcz małe czerwone aksamitne pudełko, spojrzał na mnie i powiedział:

- Kupiłem to dzisiaj rano dla Isabel. Myślisz, że jej się spodoba?
Wewnątrz leżał delikatny złoty łańcuszek, na którym wisiała łaża opalu. Spojrzałem na głupkowatą i pełną nadziei twarz szefa.

- Na pewno się jej spodoba - odparłem z przekonaniem.

Uśmiechnął się i schował pudełko do kieszeni.

- A co pan zrobi, sir, jeśli jednak nie wróci do pana?

- Kiedyś było nam dobrze razem, więc możemy spróbować jeszcze raz.

- Nie ułatwiał jej pan życia. Przez ten czas mogła sobie kogoś znaleźć. Kogoś z większą forszą.

- Dobrze odrobiłem lekcję, przyjacielu. Dostałem nauczkę od życia. - Oparł łokieć o brzeg okna i patrzył na przesuwające się w dole domy, osmalone kominy, szare dachy błyszczące po letnim deszczu. - Tym razem już taki nie będę.

- Jakim cudem? - zapytałem bardziej opryskliwie, niż zamierzałem. - Jest pan taki sam. I nadal nie ma pan pieniędzy.

- Mam wrażenie, że osiągnęliśmy punkt zwrotny, Norman, a to dzięki całej tej pracy, którą dotąd wykonaliśmy, oraz dzięki temu, co wiemy o naszym zawodzie. Jeżeli ujawnimy, w jaki sposób Cream wszedł w posiadanie karabinów, które są własnością Armii Brytyjskiej, zostaniemy bohaterami.

- Tyle że nie wiemy, skąd on ma te karabiny.

- Jesteśmy coraz bliżej odpowiedzi na to pytanie. Z pewnością w tym procederze brali udział Venning i Longmire. Musimy to tylko umiejętnie poskładać. A kiedy to już zrobimy, gazety będą się o tym rozpisywać całymi miesiącami. Ludzie wreszcie zrozumieją, że Sherlock Holmes nie jest jedynym prywatnym detektywem w Londynie. I będziemy dostawać następne zagadki do rozwiązania. Mógłbyś nawet pisać takie opowiadania jak doktor Watson. - Roześmiał się na głos. - Oczywiście gdybyś

umiał pisać, przyjacielu.

- Isabel nie odeszła tylko z powodu pieniędzy - zauważyłem, przemilczając złośliwy żarcik.

- Ale pieniądze jeszcze bardziej wszystko skomplikowały. Kiedy zobaczy, że odniosłem sukces i że dobrze nam się wiedzie... - Zatrzymał wzrok na swoich butach. - Kiedy będzie mogła być ze mnie dumna.

- Mam nadzieję.

- A co ja innego mogę zrobić?

Patrzyłem na szefa, którego rozpierała nadzieja tak silna, że niemal czuć ją było w powietrzu, i zrobiło mi się go żal.

- Ale musi pan być czujny, sir. Nie chciałbym, żeby stała się panu krzywda.

Spojrzał na mnie znad okularów i zamrugął, jakby zebrało mu się na płacz.

Podąłem mu kawałek toffi.

Żuł go przez chwilę, po czym powiedział:

- Powiedz mi, Norman, co myślisz o wczorajszym zachowaniu panny Cousture?

- Wydaje mi się, że rozpoznała Longmire'a.

- No właśnie, zdradził ją wyraz twarzy. Pan Darwin twierdzi, że wyraz twarzy jest dla namiętności tym, czym język dla myśli. Panna Cousture jest wytrawną kłamczuchą i tylko bardzo silne emocje mogły ją aż tak wyraźnie zdemaskować. Ale dlaczego próbowała je ukryć? Jakie emocje wyczytałeś z jej twarzy?

- Nie wiem. Może wyczerpała już wszystkie możliwości?

- To była nienawiść, Norman. To z nadzwyczajną wyrazistością zobaczyłem w jej oczach.

- Z całym szacunkiem, sir, ale nie jestem pewien, czy potrafi pan to wyczytać z ludzkich oczu. Nie wiem, czy to jest możliwe.

- Zaraz ci to wytłumaczę. W Studio Fontaine jest ciemno. W ciemności źrenice rozszerzają się, chłonąc niewielkie ilości dostępnego światła. W słońcu się zwężają, żeby nie dać się oślepić. To prosta fizjologia. Czy obserwowałeś jej oczy?

- Nie, sir.

- Na początku rozmowy były szerokie jak węgle, zresztą podobnie jak twoje i niewątpliwie także moje. Ale z chwilą, gdy tylko opisałem Longmire'a i znamię na jego twarzy, jej źrenice się zwężyły. Skurczyły się do rozmiarów ziarnka pieprzu. Stało się to tak szybko, jak szybko ręka cofa się przed gorącym talerzem.

- Czy to jest jakiś nowy trik, sir?

- To żaden trik, tylko sposób odczytywania emocji. Dostarczyłem jej umysłowi obraz, a jej oko próbowało go zablokować, zapobiec wejściu. Potem nienawiść ustąpiła, a jej miejsce zajęło coś dziwnego. Czy zwróciłeś uwagę, jak nie mogła odchrząknąć? Co wtedy czułeś?

- Nie przypominam sobie.

- Ja poczułem silny niepokój - wyznał. - Miałem wrażenie, że jej emocje przeniosły się na mnie. To było przedziwne, Barnett. Sądysz, że to jest możliwe?

- Nie wiem. Myślę, że wszystko jest możliwe.

- A nawet gdyby, to dlaczego miałyby tak właśnie zareagować?

- Może ze strachu? Ze strachu można dostać mdłości.

- Wymiotować ze strachu? - powiedział, marszcząc się. - To ciekawe. Warto o tym pamiętać. Może teraz, kiedy już znaleźliśmy Thierry'ego, sama nam o tym powie. Może wreszcie będzie z nami szczerą. - Potrząsnął wielką głową i ciężko westchnął. - Zdaje się, że połowa tej całej sprawy dotyczy problemów panny Cousture.

Przeżuwaliliśmy toffi, obserwując podmiejskie domy za oknami

pociągu. Szef milczał aż do Victoria Station.

- Wprawdzie odnaleźliśmy Thierry'ego, Barnett, ale nasza sprawa wciąż nie została rozwiązana. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Oczywiście, sir.

- Musimy znaleźć zabójcę Marthy i postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Nie mógłbym spokojnie spać, gdybyśmy tego nie zrobili.

Gdy pociąg zatrzymał się, opuściliśmy go, włączając się w gęsty tłum pasażerów zmierzających do wyjścia.

- A jeśli uda nam się pomóc panie Cousture w jej próbach zdemaskowania pana Creama i ujawnienia jego przestępczej działalności, to tym lepiej - stwierdził, kiedy przechodziliśmy przez bramkę. - Jutro spotykam się z Isabel. Chciałbym, żebyś udał się do Alexandra Park. W południe zaczyna się gonitwa. Odszukaj Gullena, zaproponuj mu kilka szylingów i zabierz ze sobą. Sprawdź, czy potrafi zidentyfikować włamywaczy. Pamiętasz rysopis Paddlera Billa? Wielki, rudowłosy, z amerykańskim akcentem. On jest hersztem tej szajki. Idź za nim, sprawdź, gdzie mieszka. Jeśli go tam nie zastaniesz, sprawdź, czy Gullen potrafi rozpoznać innego członka bandy. Zabierz też Neddy'ego. Będziecie wyglądali jak ojciec z synem na spacerze.

- Dobrze, sir.

- Aha, i bądź ostrożny. My z siostrą mieliśmy szczęście, bo udało nam się przeżyć. W razie zagrożenia łap Neddy'ego i zmykaj. Nie pozwól, żeby cię rozpoznali.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Neddy i Gullen chętnie wybrali się ze mną na Frying Pan. Następnego ranka wsiedliśmy do zatłoczonego pociągu, który zawiózł nas do Alexandra Park. Przed stacją protestowali członkowie National Anti-Gambling League^[7]. Dwóch mężczyzn i kilkanaście kobiet stało z transparentami głoszącymi tego typu niezbyt wyrafinowane półprawdy:

Zakłady to degradacja człowieka!

Gonitwy prowadzą do ruiny!

Kiedy ich mijaliśmy, jeden z mężczyzn przyczepił się do mnie.

- Jak się nie wstydzisz przyprowadzać tu dziecko?! - wrzasnął z wściekłością. Miał na głowie nowy satynowy kapelusz i błyszczące buty.

Neddy przyglądał mu się z przerażeniem.

- Zarazisz syna chorobą, na jaką cierpią tysiące głupców, którzy przez hazard przepuszczają swoje zarobki! - ciągnął dalej, chwytając mnie za rękę. - Bądź odpowiedzialny. Nie narażaj na to uzależnienie niewinnego i podatnego na wpływy umysłu!

Obok nas stanęły także trzy kobiety.

- Wstydz się! - powiedziała pierwsza.

- Odprowadź dzieciaka do domu! - domagała się druga.

- Powinien być w szkole! - krzyknęła trzecia.

Chwyłem Neddy'ego za kołnierz i pociągnąłem za sobą. Weszliśmy na teren wyścigów, kiedy zaczynała się pierwsza gonitwa. Było pełno ludzi. Neddy podskakiwał, próbując zobaczyć konie, ale było za ciasno, a on był za mały. Kiedy konie pojawiły się na ostatniej prostej, wybuchła wrzawa, a potem było po

wszystkim. Podarte bilety rzucono na ziemię, a gromady mężczyzn ruszyły do barów.

- Kiedy widziałeś ich po raz ostatni? - zapytał Gullen.

- Zawsze staję po tamtej stronie, na prawo od trybuny. - Wskazał przeciwną stronę. - Nie ma tam takiego tłoku, a drzewa nie zasłaniają boksów startowych.

Dziesięć minut przedzieraliśmy się przez wstawionych i rozkrzyczanych mężczyzn, którzy analizowali swoje typy przed następną gonitwą. W końcu dotarliśmy na drugą stronę trybuny, gdzie znajdował się długi bar piwny. Mężczyźni siedzieli na ławach między barem a kabinami bukmacherów.

- Tam, przy tych śmietnikach - pokazał Gullen, naciągając czapkę na oczy, żeby go nie rozpoznali.

Byli dokładnie tam, gdzie powiedział Ernest. Był ten wysoki, Paddler Bill. Spod czarnej czapki wystawała bujna ruda czupryna, która mieszała się z gęstą brodą. Jego śmiech dominował wśród gwaru męskich głosów. Obok niego czytał gazetę jakiś barczysty mężczyzna ze schludnie przystrzyżoną brodą, w meloniku na głowie i nowym trzyczęściowym garniturze. Rozmawiał z nimi szpetny długowłose blondyn w za długich spodniach ciągnących się po ziemi. Na ich widok wstrząsnął mną dreszcz.

- O co chodzi? - zapytał Gullen.

- O nic.

Dołączył do nich jeszcze jeden, objuczony czterema kuflami z piwem. Ten ubrany był w brązowy garnitur z czerwoną chustką pod szyją. Bill wziął kufel i podszedł do bukmachera obstawić wyścig.

- To jak będzie z tym piwem? - zagadnął Gullen.

Zamówiliśmy piwo i znaleźliśmy miejsce z brzegu, skąd mogliśmy mieć oko na wszystkich fenian. Neddy precyzyjnie się do

barierek przed kolejną gonitwą. Wypiliśmy piwo.

- Mógłbym dostać te dwa szylingi? - zapytał Gullen, a gdy dałem mu pieniądze, spytał o co innego: - Czy będę jeszcze potrzebny?

- Dzięki, kolego. Możesz wracać do domu.

Skrzywił się i spojrzał w kierunku baru.

- W sumie to mogę. Napijesz się jeszcze?

Gang siedział tam aż do wieczora. Popijali, gadali, chodzili do baru, do bukmachera albo do wychodka. Łatwo ich było obserwować, bo nie wiedzieli, że tu jesteśmy. Wyglądaliśmy jak typowi bywalcy wyścigów. Gullen siedział razem ze mną ukryty za słupem. Okazało się, że nie jest taki do niczego, na jakiego wygląda. Całkiem niezły kompan w gruncie rzeczy.

- Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć - powiedział późnym popołudniem.

- Powiem szefowi. - Wypiliśmy jeszcze po piwie.

- Musicie prowadzić ciekawe życie. Czytałem wszystkie przygody Sherlocka Holmesa. To prawdziwy geniusz.

- Zachowałbym tę opinię dla siebie, jeśli chcesz z nami pracować - poradziłem. - Szef nie przepada za Holmesem.

Po ostatniej gonitwie fenianie skierowali się do wyjścia razem z resztą tłumu. Poszliśmy za nimi do pociągu, trzymając się w bezpiecznej odległości. Udało mi się wcisnąć do tego samego wagonu. Gullen wysiadł na King's Cross, żeby przesiąść się na inną linię do domu. My z Neddym jechaliśmy za nimi aż do skrzyżowania z Metropolitan Line. Tym razem byliśmy ostrożniejsi. Wsiedliśmy do następnego wagonu i obserwowaliśmy ich przez drzwi. Byli w doskonałych nastrojach, rozmawiali z ożywieniem i śmiali się, wymachując rękami. Wyglądało na to,

że niektórzy z nich coś wygrali na wyścigach. W każdym razie nie spodziewali się, że ktoś ich może śledzić. Wszyscy wysiedli przy Westbourne Park i poszli do pubu po drugiej stronie kanału. Zostawiłem Neddy'ego na zewnątrz i kazałem mu śledzić rudego, gdyby się odłączył. W środku zamówiłem piwo i usiadłem na ławie po przeciwnej stronie pubu. Zapadał wieczór. W środku było ze dwudziestu, może trzydziestu gości. Bukmacher chodził między nimi i zbierał zakłady, fenianie kupili jeszcze kilka, a potem przyszedł sprzedawca ślimaków, a ja zamówiłem galaretę z węgorza. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nagle do lokalu weszły dwie dziewczyny, obie w kwiecistych letnich czepkach i usztywnianych halkach. Wszyscy mężczyźni odwrócili się w ich stronę, a Paddler Bill się podniósł.

- Polly! Mary! Chodźcie tutaj do nas. Postawię wam piwo.

Dziewczęta przecisnęły się ze śmiechem do stołu fenian i wpadły w ich objęcia. Mężczyźni zaczęli je ściskać i całować, podniósł się hałas.

Wkrótce czarnobrody wyszedł, a ja wziąłem jeszcze jedno piwo. Już odchodziłem od baru, kiedy w drzwiach stanął człowiek, którego szukaliśmy od tygodni. Twarz miał wynędzniałą, zaczerwienioną i mokrą od deszczu i potu, tłuste siwe włosy przyklejone do czoła. W rękę ściskał *Timesa*. Był to mężczyzna, który zabił Marthę.

Nie miałem pewności, czy przyjrzał mi się tego dnia, kiedy go ścigałem, dlatego na chwilę zamarłem. Włożyłem rękę do kieszeni, żeby dotknąć ukrytego tam noża, a potem schowałem się za postawnym węglarzem. Morderca omiół pomieszczenie badawczym spojrzeniem. Zatrzymał się na mnie i wydawało się, że nad czymś się zastanawia. Już byłem gotów rzucić się do ucieczki, kiedy zmarszczył się, odwrócił wzrok i zobaczył fenian.

Zacząłem znowu oddychać.

Przedarł się do nich i rzucił *Timesa* na stół. Nie słyszałem, co powiedział, ale Bill podniósł gazetę i obejrzał ją. Zmarszczył brwi, powiedział coś i z wściekłością odrzucił gazetę, a wszyscy zaczęli szarpać bokobrody. Otarli wąsy, chwycili kapelusze i wyszli z pubu mimo protestów Polly i Mary, które były rozczarowane tak nagłym zakończeniem przyjęcia.

Odniosłem pusty kufel do baru i po drodze zerknąłem na porzuconą gazetę. Na pierwszej stronie widniał nagłówek:

SIR HERBERT VENNING ZAMORDOWANY!

Po drodze zabrałem Neddy'ego i poszliśmy za nimi, wciąż utrzymując bezpieczną odległość. Chociaż na ulicach wciąż panował ruch i roiło się od omnibusów, wozów i ludzi wracających z pracy do domu, coraz łatwiej było nas zauważyć. Wystarczy by rozpoznał nas tylko jeden z nich, żeby wzbudzić podejrzenia.

Wkrótce zatrzymali się przed księgarnią, nad którą wisiał szyld *Gaunt's Booksellers*. Obserwowaliśmy ich ukryci w bramie po przeciwnej stronie ulicy. Człowiek, który zabił Marthę, wyciągnął z kieszeni klucze i otworzył księgarnię. Weszli do środka i zamknęli drzwi za sobą. W oknie na piętrze zapaliła się lampa. Kilka minut później na ulicy pojawił się chłopak z pubu pchający wózek, więc zapytałem go, czyj to sklep.

- To sklep Johna Gaunta, sir - powiedział.

- Jest Irlandczykiem?

- My tu przeważnie wszyscy jesteśmy Irlandczykami.

- Jest tu z tyłu jakaś uliczka?

- Nic nie wiem o żadnej uliczce - odparł chłopak i odszedł, pchając wózek.

Robiło się ciemno. Przenieśliśmy się na drugą stronę ulicy

i usiedliśmy pod schodami biura porad prawnych. Czekaliśmy tam godzinę, zanim z księgarni wyszedł Paddler Bill. Kiedy skręcił za róg, posłałem Neddy'ego, żeby pobiegł za nim i zaczekał na mnie na rogu.

- Skręcił w tamtą ulicę - powiedział, wskazując kierunek.

- Ruszajmy.

Pobiegł na najbliższy róg i znowu na mnie czekał. Powtarzaliśmy tę operację przez kilka minut, aż wreszcie Bill wyciągnął klucze z kieszeni i otworzył drzwi do wysokiego domu naprzeciwko szkoły.

Zapadła noc, a my przykucnęliśmy za szkolnym ogrodzeniem. W trzech oknach na parterze paliło się blade światło, wkrótce lampka gazowa oświetliła także okno w suterenie. Poczekaliśmy jeszcze pół godziny, ale nic się nie zmieniło. Wyglądało na to, że Paddler Bill wrócił do domu na noc. Podniosłem się. Przez cały dzień myślałem o szefie i jego spotkaniu z Isabel. Obawiałem się, że o tej porze będzie pogrążony w rozpacz i bardzo przydałaby mu się pomocna dłoń.

- Zabierajmy się stąd - powiedziałem. - Muszę wracać do pana Arrowooda.

- Ale on może znowu wyjść, panie Barnett - zaprotestował Neddy, patrząc na mnie. Dostrzegłem błysk w jego oczach. - Ja zostanę, sir.

- Nie, Neddy. Wracasz razem ze mną. Nie zostawię cię tu samego.

- Ale ja to już robiłem sto razy. Przecież sam pan mówił, że jestem wyszkolony.

- Wiem, ale...

- Może mi pan zaufać, sir - przekonywał mnie z poważnym wyrazem twarzy. Włożył ręce do kieszeni płaszcza. - Nikt mnie

nie zobaczy. To nie jest niebezpieczne.

- Jestem innego zdania.

- Bardzo pana proszę, panie Barnett. Naprawdę będzie dobrze, obiecuję.

Rozejrzałem się wokół, pamiętając o ostrzeżeniu szefa, że Neddy będzie chciał sprawić mu przyjemność. Widziałem, że chłopcu bardzo zależy na tym, żeby zostać. Na ulicy nic się nie działo. Było pusto i nie wyglądało na to, żeby miało się tu coś jeszcze wydarzyć.

- Dobrze, synu - zgodziłem się w końcu. - Chyba poszedł spać, ale możesz chwilę poczekać, żeby sprawdzić, czy nikt go nie odwiedzi. Jeśli nic się nie zdarzy w ciągu pół godziny, wracaj do domu, a przez cały czas zachowaj ostrożność. Nie ryzykuj. I tym razem nie próbuj nikogo śledzić. Zostań tu w ukryciu i niech nikt cię nie widzi. - Kucnąłem i ścisnąłem go za ramię, a Neddy spojrzał na mnie z wielką powagą. - Obiecujesz, że nie będziesz ryzykował?

- Będę ostrożny, sir. Nikt się nie zorientuje, że tu jestem.

- Obiecuj, że nie będziesz nikogo śledził.

- Obiecuję - powtórzył. - Panie Barnett?

- Co jeszcze?

- Czy pan myśli, że oni zabili Terry'ego?

- Nie, przyjacielu. Znaleźliśmy go wczoraj w Sussex. Zapomniałem ci powiedzieć. Jest bezpieczny, nic mu nie jest. Pracuje w piekarni.

- Czyli rozwiązaliśmy sprawę?

- Prawie, bo zostało do wyjaśnienia kilka wątków.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Zacząłem czuć ból w kolanach, więc podniosłem się i naciągnąłem Neddy'emu czapkę na oczy.

- Nie mogłeś znaleźć mniejszej? - zażartowałem. - To przecież

czapka dla dorosłego.

- Ja tam ją lubię.

- Jest na ciebie za duża. I cała poszarpana.

- Lepsza niż pana, sir. - Nadąsał się.

Roześmiałem się.

- Jutro przyjdź do Lewisa - powiedziałem.

Kupiłem mu jeszcze za rogiem pieczonego kartofla, dałem na autobus i zostawiłem skulonego na szkolnym podwórku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Tej nocy dotarłem do domu po dziesiątej. Otworzył mi Lewis, za nim w wąskim przedsionku stała Ettie.

- Nie wrócił z tej kolacji - powiedział Lewis, przyciskając się do ściany, żeby zrobić dla mnie przejście. W środku było ciemno, świeciła się tylko jedna z dwóch lampek gazowych. Chociaż na dworze było dość ciepło, w domu panował chłód.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni, Norman? - zapytała Ettie.

- Wczoraj po powrocie z Sussex.

- Myślisz, że wciąż z nią jest?

- Nie mam pojęcia, gdzie mogą być o tej porze - odparłem, bezradnie wzruszając ramionami. - Ona nie ma gdzie zatrzymać się w Londynie, a pubów nie znosi.

Złożyła ręce i zacisnęła w panice.

- Boże! Ale chyba nie dopadł go Cream, prawda?

- Pójdę do pubu Hog i sprawdzę - powiedziałem. - Jeżeli Isabel oznajmiła, że nie wraca do niego, mógł pójść właśnie tam. A jeśli tak, to do tej pory już niemal zatonął w dżinie.

- Iść z tobą? - zaproponował Lewis.

- Nie ma potrzeby.

- Wyglądasz na zmęczonego, Norman. - Ettie chwyciła mnie za rękę. - Nie jesteś głodny?

- Nic mi nie jest. Lepiej pójdę go szukać.

- Dziękuję, Norman. Będziemy na ciebie czekać.

Tak naprawdę byłem wykończony. Do pubu Hog było pół godziny drogi piechotą. Wprawdzie opuchlizna prawie już zesła z ręki, ale wieczorami znowu czułem ból i potrzebowałem kolejnej

dawki black dropu. Wiedziałem jednak, że chce mi się po nich jeszcze bardziej spać.

Atmosfera w pubie Hog była gęsta od dymu i oparów piwa. Większość gości była pijana. Odbywała się tam stypa, czyli wszyscy ubrani na czarno, żałobnicy ze wszystkich pokoleń, od niemowląt po dziadków. Pijaństwo musiało trwać już od wielu godzin. Dwóch wyrostków, mocno poobijanych po z pewnością zażartej bójce, przytrzymywano na ławie. Wyrwali się, mieli czerwone twarze, rzucali przekleństwa i wściekłe spojrzenia, koszule były w strzępach, a jednemu z nich leciała krew z nosa. Drobną staruszką z włosami do pasa stała na stole ze szklanką dżinu w dłoni i śpiewała jakiś hymn. Chłopiec nie więcej niż dwunastoletni leżał pod stołem w kałuży wymiocin.

Za kontuarem stała ta sama barmanka, którą pamiętałem z poprzednich odwiedzin tego lokalu. Spojrzałem jej w oczy i spytałem:

- Pan Arrowood?

Bez słowa podniosła klapę baru i wskazała drzwi na tyłach. Prowadziły do ciemnego korytarza. Po obu stronach stały skrzynie i beczki. Szedłem przed siebie, aż usłyszałem jakieś głosy w pokoju na końcu korytarza. Pchnąłem drzwi. Na brudnym materacu odziana tylko w bieliznę siedziała kobieta w średnim wieku. Miała siwiejące kręcone włosy i pomalowane na czerwono usta.

- Jesteśmy zajęci, kochasiu - zganiła mnie z krzywym uśmiechem.

Na umywalce obok migoczącej świeczki łożowej stała opróżniona do połowy butelka dżinu.

Szef leżał na materacu. Oczy miał zamknięte, usta szeroko otwarte. Jego wielki brzuch porośnięty był czarnymi włosami,

a tłuste piersi opadały po obu stronach żeber. Na podłodze leżały zmięte spodnie. Na moje szczęście miał na sobie szare i połatane gacie, nie oszczędzono mi jednak smrodu. Na podłodze przy łóżku leżało czerwone aksamitne pudełko, które pokazywał mi w pociągu.

- Jeżeli przychodzisz w interesach, to zaczekaj na zewnątrz - wyjaśniła kobieta chrapliwym, lecz przyjaznym tonem. - Jak widzisz, mam pełne ręce roboty przy tym dżentelmenie.

- Czy on śpi?

Na dźwięk mojego głosu szef chrząknął.

Kobieta podniosła się.

- Idź już, kochany - powiedziała, wypychając mnie za drzwi. - Będę gotowa za pół godziny.

- Nie, moja droga - odparłem. - Przyszedłem tu po pana Arrowooda. Zabieram go do domu. Jestem jego asystentem. Nazywam się Barnett. A ty jesteś Betts, prawda?

- Tak, kochasiu. Mówił ci o mnie?

- Jasne, że mówił.

- Dobrze. - Zmarszczyła czoło w namyśle. - Ale jeszcze niezapłacone.

- Ile?

- Koronę.

Sięgnąłem po spodnie szefa i znalazłem w nich monetę.

- Panie Arrowood! - Potrząsnąłem go za ramię. - Czas do domu. - Gdy wydał jakiś odgłos podobny do przekleństwa i odwrócił się do ściany, ponowiłem próbę: - No już, proszę wstawać.

- Jest tutaj od drugiej - wyjawiała Betts. - A to nie jest jego pierwsza butelka dżinu - dodała, wskazując ruchem głowy.

Pomogła mi szefa ubrać, wspólnym wysiłkiem postawiliśmy go na nogi. Kiedy nie patrzyła, sięgnąłem po czerwone pudełko

i schowałem do kieszeni.

Z trudem wyprowadziliśmy szefa na ulicę. Betts zatrzymała dorożkę i wepchnęliśmy go do środka.

Kiedy skręciliśmy w ulicę, przy której stał dom Lewisa, szef wymiotował. Zapaskudził cały przód koszuli i podłogę w dorożce, więc kiedy zatrzymaliśmy się przed domem, woźnica bardzo narzekał:

- Już trzeci raz w tym tygodniu muszę po kimś sprzątać. W dodatku nie ma gdzie umyć rąk z tego smrodu.

- Przykro mi, stary - powiedziałem. - Pomóż mi go wyciągnąć, zanim znów się porzyga.

- Więcej tego nie zrobię. Muszę zapłacić dwa pensy za mycie.

- Pomóż mi go wyciągnąć, proszę - powtórzyłem.

Dorożkarz, stary i chudy, stał na trotuarze i wyglądał na takiego, co nie dostaje od życia żadnych przyjemności.

- Najpierw dwa pensy ekstra.

Dopiero kiedy dostał pieniądze, pomógł mi wyciągnąć szefa z powozu i odprowadzić na próg domu Lewisa.

Kiedy wróciłem następnego dnia rano, szef siedział w salonie i przykładął do czoła brązowy papier nasączony octem, a na kolanach trzymał miskę. Był blady, ręce mu drżały. Naprzeciw niego siedział w rozpiętej kamizelce Lewis. Przyniósł ze sobą gazetę, a na rękawie zdrowej ręki nad łokciem miał gumową opaskę, jak krupier.

- Napijesz się herbaty, Norman? - Ettie dotknęła mojego ramienia i uśmiechnęła się. Była ubrana w swoją najlepszą jedwabną suknię wciętą w talii. Włosy upięła wysoko.

- Tak, poproszę.

- A ty, Lewis?

- Z przyjemnością, Ettie. W kuchni są herbatniki.
- Dla mnie cukier ekstra, siostrzyczko - powiedział szef niskim głosem.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Czy Neddy już wrócił? - zapytałem.
- Nie było go tu - odparła Ettie. - Może jest w kościele?
- Jeżeli w kościele, to u unitarian. W każdą drugą niedzielę miesiąca pastor rozdaje tam potrzebującym po trzy pensy. - Powiedziałem to, żeby przekonać samego siebie, że nie ma powodu do niepokoju.

Prawda była taka, że już wczoraj wieczorem w drodze do domu zacząłem się zastanawiać, czy powinienem zostawiać tam chłopaka samego. Może jednak nie należało podejmować takiej decyzji po tylu piwach i pastylkach black dropu. Z drugiej strony Neddy znał przecież różne sztuczki. Tyle razy stał dla nas na czatach, że nauczył się być niewidzialnym i niesłyszalnym. Spojrzałem na zegarek na kominku. Było jeszcze wcześniej.

Kiedy Ettie wyszła z pokoju, żeby zrobić herbatę, szef zwrócił się do mnie:

- Co się wczoraj działo, Barnett? - Gdy dokładnie mu wszystko zrelacjonowałem, oznajmił wciąż wątlwym głosem: - Nie powinieneś go tam zostawiać, zwłaszcza po tym, co zaszło ostatnio.

- Zawsze zachowuje się ostrożnie.
- Oprócz ostatniego razu. Powinieneś sam tam zostać.
- Zostałbym, gdybym nie musiał wyciągać pana z bagna, szefie - odciąłem się ostro.
- Twoja pomoc wcale nie była mi potrzebna - odparował ze złością.

Przez chwilę mierzyliśmy siebie złym wzrokiem, wreszcie

powiedziałem:

- Myślę, że niedługo się tu pojawi.
- Mam nadzieję, że masz rację, Barnett.

Znów milczeliśmy przez chwilę, aż wreszcie odezwał się Lewis:

- Mówicie, że ten, który zabił dziewczynę, jest z fenianami, tak?
- Na to wygląda - przyznałem. - Ale dzieje się jeszcze coś innego. Jak już mówiłem, widziałem, jak rozmawiał z Coyle'em, jednym z agentów z SIB, co nas przetrzymali w Scotland Yardzie. Wyglądało na to, że dobrze się znają.

- Ten, który spuścił ci manto? - zapytał Lewis.

- Ten sam.

- Ciekawe, dla kogo pracuje.

Weszła Ettie z herbatą.

- William mówił mi o waszej podróży do Hassocks - powiedziała, wręczając mi filiżankę. - Nie wiedzieliście, że panna Cousture była prostytutką? - zapytała.

- Ani ja, ani William nie mieliśmy pojęcia.

- A ten dom, w którym mieszka? - Zmarszczyła brwi. - Ten przytułek dla niezamężnych panien, gdzie on jest?

- Lorrimore Road, za Kennington Park.

- Czy na drzwiach jest jakaś tablica?

- CSJ, tylko te trzy litery.

- Christian Sanctuary and Justice - wyjaśniła, podając herbatę Lewisowi, ale nie bratu. - W zeszłym tygodniu zostawiliśmy u nich dziewczynę. To jest przytułek dla upadłych kobiet. Prowadzi wielebny Jebb, bardzo porządny młody człowiek.

- Na miłość boską! - krzyknął z nagłym ożywieniem szef. - Dlaczego, u licha, nie powiedziałaś nam tego wcześniej?

- Nie wiedziałam, że ona tam mieszka.

- Ach, Ettie - wychrypiał. - Jakiś czas temu ta informacja

bardzo by nam się przydała.

Zignorowała go i odwróciła się do mnie.

- Teraz, kiedy znamy jej historię, to wszystko ma jakiś sens. Normanie, a co wydarzyło się wczoraj na wyścigach?

Ettie słuchała uważnie, kiedy opowiadałem, co widzieliśmy w Alexandra Park i w pubie, a na koniec spytała:

- Mówisz, że zaskoczyła ich wiadomość o śmierci Venninga?

- Doskonale się bawili, dopóki nie przyszedł zabójca Marthy i nie pokazał im gazety.

- Mówisz, że byli wściekli?

- Paddler Bill się wściekł, kiedy to przeczytał.

- Nic dziwnego - zauważył Lewis, biorąc garść herbatniczków peek freans z tacy. - Sir Herbert był ważną osobistością, więc policja na pewno przydzieli kilku funkcjonariuszy do tej sprawy, a gazety będą ją obszernie relacjonować. Fenianom bardzo się nie spodoba ten cały rozgłos, bo może zagrozić ich nielegalnym operacjom.

- Nolan mówi, że zanim do tego doszło, włamywali się do ambasad i tym podobnych instytucji - dodałem. - I wtedy uszło im to na sucho.

Lewis wsadził całego herbatnika do ust i zaczął go głośno ssać.

- To prawda, ale tym razem chodzi o zabójstwo wysokiego urzędnika państwowego.

- Masz rację, Lewis - wtrącił szef, biorąc filiżankę z tacy. Powoli zaczynał nabierać kolorów. - Ale teraz mają jeszcze jeden powód do niezadowolenia. Longmire kłamał na temat swoich relacji z Marthą i na temat pocisku. Nie chciał, żebyśmy myśleli, że to coś ważnego. Karabiny, które znalazł Thierry, musiały pochodzić z Ministerstwa Wojny, bo nikt inny nie ma nowych karabinów Lee-Enfield. Kiedy pokazaliśmy mu pocisk, Longmire

najpierw udał się z tym do Creama, a potem do Venninga.

- Mówił, że chciał zasięgnąć przyjacielskiej rady - zauważyłem.

- Ale kto może mieć lepsze doświadczenie do karabinów niż generalny kwatermistrz Armii Brytyjskiej? Jeśli to prawda, to nie widzę innego powodu, dla którego Paddler Bill miałby się wściekać, że Venning nie żyje.

- Fenianie kupują karabiny od Creama? - zapytała Ettie.

- Tak, od niego - potwierdził szef.

- W takim razie jaki był sens tego włamania? - dociekałem.

- Nie wiem, Barnett. Po prostu nie wiem.

- Ciekawe, dlaczego właśnie teraz skupują karabiny? - zastanawiała się Ettie. - Przecież kampania zamachów bombowych skończyła się dziesięć lat temu.

- Nie wszyscy z bojowników chcieli przyłączyć się do parnellitów - wyjaśnił Lewis, zapalając cygaro. - Niektórzy sądzą, że rozwiązanie polityczne nie jest możliwe. Widzieli, jak padają w parlamencie ustawy mające zapewnić Irlandii autonomię, na przykład ustawy „Home Rule”, dlatego opuścili organizację. Zresztą nie po raz pierwszy przejmują uzbrojenie brytyjskiego wojska. Były już afery z tym związane.

- Tak, to prawda - potwierdził szef. - Dodajmy do tego zamach na Clerkenwell. Ta metoda walki miała stanowić główną siłę uderzeniową Irlandii, a nie parlamentarna walka o autonomię czy niepodległość. Możemy przyjąć, że kupują karabiny od Creama i będą to robić nadal.

- Szykują się do powstania - powiedział Lewis.

- A zabójstwo Venninga przerywa ciąg dostaw - uzupełnił szef.

Przez chwilę w milczeniu zastanawialiśmy się nad tym wszystkim. Ettie naląła sobie kolejną filiżankę herbaty i poczęstowała się ciasteczkiem.

- Jak sądzicie, czy Cream jest fenianinem? - zapytała w końcu.

- Ettie, on nie miesza się do polityki - wyjaśnił szef. - Interesują go wyłącznie pieniądze, a zbrodnię ma we krwi, można go nazwać „dziedzicznym kryminalistą”. Cztery lata temu mocno się natrudziłem, próbując dowiedzieć się o nim czegoś więcej. - Przerwał na moment. - Kiedy Cream był dzieckiem, jego ojciec zabił jego matkę dla polisy ubezpieczeniowej. Zawisł za to na stryczku, a Creama wychowała ciotka, żona stryja, który był duchownym. Niestety, jak już powiedziałem, miał zbrodnię we krwi, odziedziczył to po ojcu.

- Nie wierzę w takie teorie - zaprotestowała Ettie. - Biblia uczy, że każdy z nas wybiera własną drogę.

- Nie, Ettie. Zbrodnia jest tak głęboko wpisana w naturę Creama, że jest jej sługą, niewolnikiem, kimś, kto zawsze jest na jej rozkazy. Do tego jest wyjątkowo utalentowany, ma dzikie, wręcz zwierzęce predyspozycje do zbrodni, która jest dla niego tak samo naturalna jak polowanie na króliki dla jastrzębia.

- Przyjmując twoje rozumowanie, można by stwierdzić, że w takim razie Cream nie ponosi odpowiedzialności za swoje czyny - zaprotestowała Ettie.

- W żadnym razie nie twierdzę, że nie należy mu się surowa kara, siostrzyczko.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Poderwałem się na nogi w nadziei, że to Neddy. Otworzyłem drzwi, ale nikt nie stał na progu, tylko pustą ulicą biegł jakiś chłopak w kierunku synagogi, choć nikt go nie gonił. A na wycieraczkę leżała zaadresowana do szefa koperta.

Gdy mu ją wręczałem, czułem, że nie jestem posłańcem dobrej wiadomości.

Szef rozerwał kopertę, a kiedy czytał list, w jego oczach

narastało przerażenie. Jęknął i zmiął list.

Wyjąłem go szefowi z garści i przeczytałem:

Panie Arrowood,

Choć domyślam się, jakie to przykre doświadczenie, mam jednak nadzieję, że doszedł już Pan do siebie po pożodze.

Jeśli chce Pan odzyskać chłopca, proszę jutro o północy przyprowadzić Francuza do Składu Isslera przy Park Street.

Jeżeli Pan nie przyjdzie, chłopiec zginie.

Jeżeli zawiadomi Pan policję, chłopiec zginie.

Z poważaniem

Pański uniżony sługa

Opadłem ciężko na krzesło, opuściły mnie wszystkie siły i zakręciło mi się w głowie.

- Co się stało? O co chodzi? - zaniepokoiła się Ettie.

- Mają Neddy'ego. - Głos szefa dobiegł mnie jakby z oddali.

- Kto ma Neddy'ego?!

- Cream.

- Znowu?! - Ettie gwałtownie wstrzymała oddech. - W jaki sposób go złapali?

- Zapewne złapali go na ulicy fenianie i przekazali Creamowi.

Złapałem się za głowę. To moja wina! Gdzie miałem rozum, kiedy go tam zostawiłem? Co za cholerny głupiec ze mnie! Pomijając nadmiar piwa i pastylek black dropu, nie zaopiekowałem się chłopcem jak należy. Okazałem słabość. Moja wielka wina!

W pokoju zapanowała grobowa cisza. Nie miałem odwagi spojrzeć im w oczy. Byłbym wdzięczny Bogu, gdyby raził mnie piorunem i wyrzucił spośród żywych.

- To moja wina - powtórzyłem na głos, wciąż trzymając się za głowę. Nie chciałem, żeby szef mnie usprawiedliwił. - To tylko

moja wina. Zostawiłem go tam, żeby ich obserwował.

- Ach, Norman! - jęknęła Ettie. - Nawet mi nie mów! Jak mogłeś narazić dziecko na takie niebezpieczeństwo?

Nie umiałem jej odpowiedzieć, tylko pełen odrazy do siebie wbiłem wzrok w dywan. Czułem, jak wzbiera we mnie wściekłość.

- Czego oni chcą? - zapytał Lewis.

- Chcą Thierry'ego - wyjaśnił szef. Odstawił miskę na podłogę, wstał i odkleił z czoła brązowy papier.

- Musimy zawiadomić policję - powiedziała Ettie. - Inspektor Petleigh może nakazać przeszukanie Barrel of Beef.

- Tam go na pewno nie ukryli - stwierdził szef. - Już prędeż u bednarza albo u Milky Sal. Cream wie, że w pierwszym rzędzie u niego zrobią rewizję.

- Czy oni skrzywdzą Neddy'ego?

Szef milczał. Wstałem z krzesła. Przypomniał mi się przerażający widok policjanta wyciągniętego z rzeki.

Odezwałem się drżącym głosem:

- Bedzie mi potrzebny pistolet, Lewis.

Lewis kiwnął głową i podszedł do sekretery.

- Nie, Norman - zaprotestował szef. - Po co ci pistolet?

- Powie mi, gdzie jest Neddy, jeżeli będzie od tego zależeć jego życie.

- Kto? Cream? Zginiesz, zanim staniesz na pierwszym stopniu schodów.

- Ale to moja wina! Więc ja muszę to załatwić.

- Lewis, nie dawaj mu broni!

Lewis patrzył to na mnie, to na szefa.

Wybiegłem z pokoju do kuchni i chwyciłem nóż do krojenia chleba. Kiedy wróciłem, wszyscy troje stali w wąskim korytarzu.

- Norman, przestań! - powiedział szef stanowczym tonem,

chwytając mnie za kurtkę. - Norman, stój! - Odepchnąłem go i rzuciłem się do drzwi.

- Norman! - krzyknęła Ettie. - Zaczekaj!

Zignorowałem ją i wybiegłem na ulicę. Nie zdążyłem jednak postawić kroku, kiedy potknąłem się o coś i upadłem na trotuar, przygniatając kontuzjowaną rękę. Kątem oka dostrzegłem Ettie z parasolką w ręku. Trzymała ją za koniec, podczas gdy uchwyt zaczął się o moją nogę w kostce. Wyplątałem się najszybciej, jak mogłem, i podnosiłem się na czworaka, kiedy Ettie rzuciła się na mnie.

- Przestań się opierać - wysapała mi do ucha tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Zabiją cię, a to chłopcu nie pomoże.

Leżałem więc otumaniony bólem ręki i wstydem.

- Zachowałeś się jak głupiec, Norman - powiedziała, przylegając do mnie całym ciałem. - Nie próbuj tego naprawić jeszcze większą głupotą.

Kiedy zorientowała się, że osłabła we mnie wola walki, zabrała nóż i podniosła się, a Lewis pomógł mi wstać.

- Pójdę porozmawiać z matką chłopca - powiedziała Ettie. - Znowu będzie się o niego martwić.

- Dziękuję ci, siostrzyczko - powiedział szef. - Chodź, Norman, przejdziemy się i opracujemy plan. - Wziął laskę i włożył kapelusz.

- Musimy go uratować - powiedziałem jękliwie, kiedy ruszyliśmy ulicą. Wbiłem wzrok w ziemię, bo wstydziłem się spojrzeć szefowi w oczy.

- Wiem, Norman.

W niedzielny poranek sklepy i puby były zamknięte, a dźwięki dzwonów z pobliskich kościołów spierały się wesoło na wietrze. Ulicami maszerowały rodziny w odświętnych strojach, by dotrzeć

do domu bożego albo złożyć niedzielną wizytę u krewnych lub przyjaciół. Szef szedł w głębokiej zadumie.

Pomyślałem o niewinnym dziecku ze sprawy Betsy, które straciło nogę z powodu uwikłania w sprawy dorosłych, choć w ogóle go nie dotyczyły. Przed oczami stawała mi umorusana twarzyczka Neddy'ego, tak bardzo nam oddanego i gotowego do pomocy. Jeszcze nigdy nie czułem do siebie takiego obrzydzenia. Przeszliśmy przez Blackfriars, potem wzdłuż rzeki obok dźwigów na Bankside, gdzie przy brzegu cumują barki i lichtugi. Też miały dziś wolne.

W końcu szef powiedział:

- Neddy musiał im powiedzieć, że znaleźliśmy Thierry'ego.
- Na pewno nie powiedział... Chyba że... - Nie byłem w stanie dokończyć zdania.
- Musimy wydać im Thierry'ego - z ciężkim westchnieniem oświadczył szef. - Nie ma innego wyjścia.
- Nie zgodzi się wrócić, nie jest samobójcą.
- Mógłby, gdybyśmy go przekonali, że nic mu nie grozi. Ściągniemy tam policję, Petleigh nie może odmówić pomocy, gdy chodzi o życie dziecka. - Zamilkł, odezwał się ponownie dopiero w pobliżu Southwark Bridge: - Panna Cousture musi go tutaj ściągnąć z powrotem. Pamiętajmy, że jej sprawa nie jest zamknięta, a nam też bardzo zależy, żeby postawić Creama przed sądem. I być może jest to dla panny Cousture jedyna okazja.
- Ale przecież nic nie mamy na Creama, tylko Thierry może zeznać coś nowego. W każdym razie my mamy tylko tyle, że ktoś nam opowiedział, że mieli karabiny w piwnicy. Czyli nie mamy nic.
- Cream porwał Neddy'ego, a za to Petleigh może go zatrzymać. Do tego jedna z dziewcząt od Milky Sal może

zaświadczyć, że była więziona.

- Oskarżą najwyżej Lenny'ego, Bootsa albo Milky Sal, ale nie Creama. Jego nigdy nie dopadną.

Szliśmy dalej Southwark Bridge Road. Na placu zabaw przy Newington Causeway sprzedawano ciastka i sorbety, a roześmiane dzieci biegały i krzyczały. Przed stacją Elephant and Castle stał chłopiec z plikiem *Daily News*.

Szef szedł przed siebie nadal zatopiony w myślach.

- Ostatnie wiadomości o zabójstwie Venninga! - krzyczał piskliwie gazeciarz. - Kupujcie najnowsze wiadomości.

Szef sięgnął do kieszeni po monetę.

- Może są jakieś nowe informacje - powiedział, biorąc do ręki gazetę.

Kiedy odchodziliśmy, chłopak krzyczał dalej.

- Najnowsze doniesienia na temat morderstwa Venninga! Sherlock Holmes będzie pomagał policji! Ostatnie wiadomości w sprawie Venninga!

Szef błyskawicznie odwrócił się i podniósł laskę. Zrobił to tak gwałtownie, że z nosa spadły mu okulary i upadły na trotuar.

- Zamknij się, szczeniaku! - krzyknął. Jeszcze przed chwilą blady na twarzy, teraz cały spurpurowiał, a żyły na skroniach nabrzmiały. - Nie wrzeszcz! Kogo obchodzi Sherlock Holmes?

Gazeciarz skulił się za stertą gazet, rękami osłaniając głowę. Szef uderzył laską w gazety tak mocno, że kilka egzemplarzy pofrunęło na ulicę, a gdy uderzył ponownie, jakieś niemowlę w wózku zaczęło płakać z przerażenia. A skulony gazeciarz nieśmiało popatrywał, czy zagrożenie już minęło, czy też nie.

- Proszę się opanować, sir! - próbował go poskromić jakiś dżentelmen, wysiadając z dorożki. - Niech pan zostawi chłopaka w spokoju!

Rzuciłem gazeciarzowi dwupensówkę i powiedziałem:

- Wstawaj, kolego. Nie bój się. Ten pan ma dziś zły dzień.

Wścieka się na wszystkich od samego rana.

Po drugiej stronie ulicy szef zwrócił się do mnie:

- Jak mogli wplątać w to tego szarlatana!? Zajmujemy się tą sprawą od tygodni! A Petleigh już nie żyje! Niech tylko go spotkam, od razu go uduszę! Na śmierć! Przysięgam, Barnett, że go zabiję. A będziemy tam przed Holmesem. Zobaczysz.

Skręciliśmy, żeby przejść przez park. Szef kroczył w ponurym nastroju.

- Co powiedziała Isabel? - zapytałem.

Uniósł laskę i uderzył w barierkę.

- Chce wyjść za jakiegoś prawnika, którego poznała w Cambridge - odparł z głęboką urazą i bólem. - Chce rozwodu, a także nalega, żebym sprzedał dom i przekazał jej połowę kwoty.

- Nie można jej tego wybić z głowy?

- To się jeszcze okaże - odparł, wściekle uderzając laską w barierkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Dochodząc do domu, w którym mieszkała panna Cousture, natknęliśmy się na pastora. Szedł kilkanaście metrów przed nami. Dotarł do furtki, skręcił na ścieżkę, wyjął klucz i włożył do zamka. Wtedy nas zobaczył i uśmiechnął się.

- Dzień dobry. Panowie Arrowood i Barnett, jak sądzę?

Był to mężczyzna młody, szczupły i szczery. Miał na sobie ciemne ubranie, na głowie czarny i znoszony kapelusz, a na szyi białą koloratkę. Trzymał Biblię spiętą mosiężną klamrą.

- Tak jest, sir - odparł szef. - Z kim mamy przyjemność?

- Wielebny Josiah Jebb. Spodziewaliśmy się panów. - Otworzył drzwi na oścież. - Bardzo proszę. - Gestem zaprosił nas do środka.

- Czy panna Cousture uprzedziła wielebnego o naszej wizycie?

- W rzeczy samej. - Zaprowadził nas do salonu, a gdy usiedliśmy, powiedział: - Poproszę Caroline. Bardzo chce z wami porozmawiać.

Na dworze szare chmury zasnuwały niebo, a ciężkie czerwone zasłony w oknach przepuszczały niewiele światła. W rogu stało to samo pianino, wzdłuż ściany ta sama sofa. Na ścianie wisiał ten sam srebrny Chrystus na krzyżu. Siedzieliśmy na tych samych zniszczonych krzesłach.

Do pokoju weszła panna Cousture i przywitała się z nami. Ubrana była w prostą czarną suknię, na którą narzuciła biały bezrękawnik. Włosy miała upięte wysoko pod białą chustką. Wielebny stał wyprostowany, godnie opierając się o kominek. Panna Cousture, tak jak poprzednim razem, usiadła

w pomarańczowym fotelu z podłokietnikami.

- Czy mogę wiedzieć, do którego należy pan kościoła? - zapytał szef.

- Nie jesteśmy zakonem, jesteśmy organizacją misyjną, przyjęliśmy nazwę Christian Sanctuary and Justice. Jesteśmy uczniami Chrystusa, pragniemy dla świata sprawiedliwości, a celem naszej działalności jest udzielanie schronienia kobietom, które źle traktowano. Dajemy im szansę na nowe życie na chwałę Pana.

- Nie słyszałem o waszej organizacji misyjnej.

- Wolimy zachowywać dyskrecję, sir. Niektóre z naszych pensjonariuszek uwolniły się od złych osób, które z tym się nie godzą i gotowe są na wiele, by je odzyskać. - Spojrzał znacząco na mnie, a potem na szefa.

- Wielebny, mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy pomówili z panną Cousture w pewnej bardzo delikatnej sprawie natury osobistej - zagaił szef. - Czy pozwoli nam pan na kilka minut rozmowy?

- Wielebny Jebb wie o wszystkim - wyjaśniła panna Cousture z ledwie rozpoznawalnym francuskim akcentem. - Możemy rozmawiać o wszystkim w jego obecności.

Szef skinął głową, po czym oznajmił:

- Panno Cousture, w takim razie chciałem panią poinformować, że znaleźliśmy pani brata.

Spuściła wzrok na dłonie splecione na białym fartuszk.

- Tak, wiem - odparła cicho. - Wczoraj tu przyjechał.

- Panno Cousture, od kilku tygodni karmi nas pani samymi kłamstwami. Dlaczego na samym początku nie powiedziała nam pani, czego od nas oczekuje? W ogóle czego pani oczekuje od tej sprawy? Wtedy wszystko byłoby o wiele prostsze.

- Ponieważ wtedy z pewnością byście się nie zajęli tą sprawą - wyjaśniła, patrząc na nas spokojnie. - Wszyscy wiedzą, jak niebezpieczny jest Stanley Cream i jak niewielu jest takich, którzy mają odwagę się z nim zmierzyć. Nawet policja zostawiła go w spokoju. Przyznaję, że wykorzystałam pana, panie Arrowood, ale jaki miałam wybór?

- Uznaliśmy, że tak będzie lepiej - dodał wielebny Jebb.

- Josiah radził, żebym zwróciła się do Sherlocka Holmesa, ale wybrałam pana.

Surowa twarz szefa natychmiast przybrała łagodny wyraz. Spojrzał na mnie, żeby upewnić się, że to usłyszałem, a potem rozparł się na krześle, zakładając nogę na nogę.

- Droga pani, pochlebia mi pani zaufanie.

Panna Cousture ciągnęła dalej, jakby go nie słyszała:

- Uznałam, że pan Holmes znajdzie Thierry'ego zbyt szybko, by dowiedzieć się czegoś o Stanleyu Creamie i jego ciemnych interesach.

W pierwszej chwili szef przeoczył tę uwagę, ale po chwili twarz znów mu stężała. Gwałtownie zerwał się z krzesła i krzyknął wzburzony:

- Czy chce pani powiedzieć, że zatrudniła nas, bo nie wierzyła pani, że go znajdziemy?!

- Ależ skąd, panie Arrowood! - zaprotestował duchowny. - Nasze kalkulacje były inne. Liczyliśmy na to, że dysponując skromniejszym funduszem niż pan Holmes, będzie pan musiał zebrać więcej informacji o siatce Creama, zanim zlokalizuje pan Thierry'ego. A nam chodziło właśnie o te informacje.

Szef spojrział podejrzliwie na pannę Cousture, która skwapliwie potwierdziła słowa wielebnego:

- Właśnie o to nam chodziło, panie Arrowood, zapewniam pana.

Szef założył ręce na brzuchu i namyślał się przez chwilę z wyrazem twarzy dziecka, które lada moment wybuchnie płaczem, a na koniec spytał:

- Dlaczego nie powiedziała pani Thierry'emu, że Martha nie żyje?

- Obawiałam się, że tu wróci, by ją pomścić, a wtedy oni by go zabili. Jest na mnie wściekły, że mu nie powiedziałam.

- Panno Cousture, pojawił się pewien problem - włączyłem się do rozmowy. - Cream uwięził naszego chłopca i chce go wymienić na Thierry'ego. Wyznaczył spotkanie jutro o północy. Grozi, że jeśli nie spełnimy jego żądań, zabije Neddy'ego.

Panna Cousture zmarszczyła brwi, patrząc przy tym na wielebne.

- A kto to jest Neddy? - zapytała. - Pana syn?

- To chłopiec, który z nami współpracuje, głównie dokonując obserwacji - wyjaśniłem. - Musimy go odzyskać. Ma tylko dziesięć lat.

- Używacie dziecka do śledzenia przestępców? - zapytał wielebny z oburzeniem.

- Zapewniam pana, że to nic nadzwyczajnego, tylko zwykły chleb powszedni, sir - pośpieszył szef z wyjaśnieniem. - Sherlock Holmes ma całą bandę chłopaków, którzy dla niego pracują.

- Ale jak mogliście pozwolić, żeby go złapano? - dopytywała się panna Cousture.

- Niestety, tak się stało - odparłem. - To nie jest łatwa sprawa.

- Nie płaciłam wam za to, żebyście posyłali dzieci do śledzenia przestępców! - krzyknęła z gniewem. - *Mon Dieu!* Jak mogliście do tego dopuścić?

- Proszę posłuchać, panno Cousture! - Zirytował mnie jej podniesiony głos po tych wszystkich kłamstwach, którymi nas

karmiła. - Bardzo się martwimy, że mu się coś stanie, ale w niczym nie pomoże wytykanie nam błędów. Sami wiemy, że to był straszny błąd. Ale potrzebujemy pani pomocy, żeby ocalić Neddy'emu życie.

- Panno Cousture - ciągnął szef. - Chcielibyśmy panią prosić, żeby udała się pani do Sussex i namówiła Thierry'ego do bezzwłocznego powrotu. Ale powiedziała pani, że Thierry już przyjechał do Londynu, co ułatwia sprawę. Spotkanie wyznaczono na jutro o północy. Proszę mu powiedzieć, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, zamierzamy jedynie stworzyć pozory, że chcemy im go wydać. W pobliżu w ukryciu będzie czekał inspektor Petleigh ze swoimi funkcjonariuszami, którzy natychmiast podejmą interwencję, gdy tylko pojawi się Neddy. Ale musi pani przekonać Thierry'ego do powrotu. Proszę mu powiedzieć, że chcemy postawić zabójcę Marthy przed sądem. Zależy nam tylko na tym, żeby Cream przyznał, a Petleigh żeby to usłyszał, że zlecił to zabójstwo. To wystarczy, żeby go skazać.

- A co, jeśli się nie przyzna? - zapytał Jebb.

- Wtedy zachęcimy go, żeby opowiedział o karabinach, o sir Herbercie albo o dziewczętach, którymi handluje. To wszystko, co możemy zrobić. Jeżeli powie coś w obecności świadków powołanych przez policję, to będziemy mogli tego użyć jako dowodu w sądzie. Ale nawet jeśli nic nie będzie mówił, może zostać aresztowany za uprowadzenie i uwięzienie Neddy'ego.

- To niestety nie jest już możliwe - niespodziewanie stwierdziła panna Cousture.

- Dlaczego? - krzyknął szef. - Proszę przynajmniej spróbować!

- Nie rozumie pan. Thierry w południe wypłynął stąd statkiem, jest w drodze powrotnej do Francji. Zostałby tu dla Marthy, ale nie dla mnie, a już zwłaszcza po tym, co zrobiłam.

Szef jęknął i uderzył się dłonią w czoło. Znowu zaczął krążyć po pokoju, marszcząc brwi w głębokim namyśle.

- Musimy natychmiast wysłać do niego telegram - powiedział w końcu.

- Nie popłynął do Rouen - odparła. - Pojechał do Paryża, a ja nie znam jego paryskiego adresu.

- W takim razie musi pani pojechać za nim.

- Jak miałabym go znaleźć w Paryżu? Od czego miałabym zacząć? Oczekuje pan zbyt wiele.

- Do cholery jasnej! - krzyknął szef, tupiąc nogą. - Niech to piekło pochłonie!

- Panie Arrowood - odezwał się wielebny. - Bardzo pana proszę, by zechciał pan powstrzymać się od przekleństw w naszym domu.

- Przecież my musimy go mieć! Jak inaczej uratujemy Neddy'ego?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo pojmuję, dlaczego tak bardzo zależy mu na Thierrym, szefie - wtrąciłem, szukając jakiegoś tropu na smutnej twarzy panny Cousture. - Przecież on tylko widział te karabiny, a potem zniknął i już nie sprawił im najmniejszego kłopotu. Nie rozumiem tego. Nie wie na tyle dużo, żeby stanowić dla nich prawdziwe zagrożenie. Moim zdaniem jest jeszcze coś, czego nam pani nie powiedziała.

Panna Cousture otworzyła usta ze zdziwienia, odsłaniając ułamany ząbek.

- Nie wiem, do czego potrzebny mu jest Thierry - powiedziała, potrząsając głową.

- Cream próbuje połączyć wątki, Barnett - powiedział szef. - Moim zdaniem, zamierza pozbyć się każdego, kto coś wie o karabinach. To by wyjaśniało Marthę, ludzi z SIB, a także sir Herberta. - Skrzywił się nerwowo.

- Następny będzie Thierry.

- A my? - zapytałem.

Szef pokiwał głową.

- Wszyscy troje, Barnett. A jutro wszyscy tam będziemy.

- Chce pan powiedzieć, że jutro spróbuje was wszystkich pozabijać? - dopytywał się wielebny.

Szef wziął głęboki wdech.

- Tak mi się wydaje - wyszeptał.

- Nie możecie podjąć takiego ryzyka.

- Musimy spróbować uwolnić Neddy'ego.

- Ale co możemy zrobić bez Thierry'ego? - zapytałem.

Szef wciąż krążył po pokoju pochylony, mamrocząc coś do siebie pod nosem. Spojrzał na mnie, potem na wielebnego i na pannę Cousture. Wszyscy troje milczeliśmy. Raz po raz przystawał, otwierał usta, potem potrząsał głową i znowu zaczynał krążyć. W końcu zatrzymał się i wyprostował.

- Musi pani tam jutro z nami pójść, panno Cousture. Powie im pani, że gdzieś w pobliżu ukrywa się Thierry i że go pani przyprowadzi, kiedy zobaczymy, że Neddy jest bezpieczny.

- Ale to ją narazi na niebezpieczeństwo - zauważył wielebny.

- Nie szkodzi, Josiah - powiedziała. - Do tej pory to ja wszystkich narażałam, teraz moja kolej.

- Ściągnę tam także Longmire'a i Paddlera Billa - powiedział szef. - Im większe zrobimy zamieszanie, tym większa szansa na to, że nie damy się zabić, i tym większa nadzieja, że powiedzą coś, co można będzie uznać za dowód przestępstwa.

- Albo tym większe zagrożenie - zauważyłem.

- Cóż, Barnett, tym razem wszystko albo nic.

- Tak - zgodziła się panna Cousture. - To nasza jedyna szansa.

Szef spojrzał na nią czujnie i spytał:

- Skąd zna pani pułkownika Longmire'a?
- Nie znam go.
- Panno Cousture, nie ma sensu zaprzeczać. - Zamilkł, a ona patrzyła na niego ze spokojem. - Dotarliśmy do końca gry, panno Cousture - oznajmił szef. - Czy nie czas na uczciwość wobec nas?
- Milczała. - Możemy zginąć - wyszeptał. - Milczała nadal. - Rozumiem - powiedział szef. - Nie powie nam pani.
- Nie powiem, sir.
Szef wziął laskę i kapelusz.
- Przyjedziemy po panią kwadrans po dziewiątej wieczorem. Proszę się przygotować.

Po powrocie do Lewisa szef wyjaśnił, co i jak zrobimy. Wysłał dwie wiadomości.

Do pułkownika Longmire'a napisał tak:

Przynieś 25 funtów do Składu Isslera przy Park Street dziesięć minut po północy. Nikomu nic nie mów. Przyjdź sam. Jeśli nie przyjdiesz albo nie będziesz sam, albo jeśli dowiemy się, że powiedziałeś o tym spotkaniu Creamowi, jutro przed południem odpowiednia informacja znajdzie się na biurku Pall Mall Gazette.

I podpisał:

Locksher.

Do Paddlera Billa napisał tak:

Macie informatora SIB w waszej organizacji. Przyjdź do Składu Isslera jutro dziesięć minut po północy. Zabierz wszystkich swoich ludzi, ale nie mów im, po co. Przynieś 25 funtów, a zdrajca zostanie ujawniony.

Pojechałem na Park Street, żeby obejrzeć Skład Isslera. Ponieważ była niedziela, wszystko było zamknięte, a ulice puste. Skład mieścił się między zakładami produkującymi ocet a fabryką

pikli Crosse i Blackwell. Był opuszczony, drzwi i okna osmalone niedawnym pożarem. Szeroka brama wejściowa była zaryglowana, okna zabite deskami. Na tyłach biegła wąska uliczka, zaczynała się przy kominie browaru Barclay Perkins, i wiodła wzdłuż dziedzińców wszystkich magazynów. Przeskoczyłem przez płot na podwórze Składu Isslera. Było tam kilka oficyn, składzików i warsztatów. I duże wrota prowadzące do magazynu, przez które mogły wjeżdżać wozy konne.

Stałem na środku podwórza. Czułem dziwne odrętwienie, jakby między mną a wszystkim wokół rozpościerała się dodatkowa przestrzeń, która mnie od tego oddziela. Wiedziałem, że mam zadanie do wykonania, ale wszystkie myśli pędziły do Neddy'ego. Zastanawiałem się, co mogli mu zrobić, jak się czuje... Od takich myśli robiło mi się niedobrze i słabo. Próbowałem się temu oprzeć, spoglądając raz po raz w niebo.

Wyjąłem mały łom i wyważyłem zamek. W środku unosił się zapach dymu. Zapaliłem lampę. Znajdowałem się w przestronnym, pustym pomieszczeniu wyłożonym setkami beczek różnych rozmiarów od małych antałów po beczułki, baryłki, duże beczki piwne, beki i kadzie wielkości kopy siana. Górą, na piętrze, wzdłuż wszystkich czterech ścian biegła galeryjka. Tam także zmagazynowane były beczki. W jednym rogu pomieszczenia pod galerią mieściło się kilka pomieszczeń biurowych, których okna wychodziły do wnętrza magazynu. Wysoko na belkach stropowych, gdzie wodnista i sina poświata księżycyca przezieriała przez dziurawy dach, gniazdowały gołębie. Ściany były pobrudzone sadzą, podłoga zasypana popiołem. Beczki umieszczono tam zapewne już po pożarze, bo nie były okopcone.

Kilka razy krzyknąłem:

- Neddy! - ale jedynym odzewem był łopot gołębich skrzydeł pod sufitem.

Zajrzałem tu i tam, wsłuchując się w odgłos własnych kroków, które odbijały się echem od wysokich ścian. Szukałem dobrej kryjówki, gdzie mógłby się schować inspektor Petleigh ze swymi ludźmi. Chyba najlepiej nadawały się do tego dobudówki magazynu albo ciemne puste miejsca między beczkami. Wzdłuż jednej ze ścian, oddzielony od reszty pomieszczenia kanałem odpływowym wypełnionym brudną wodą, ciągnął się rząd kadzi fermentacyjnych. Każda z nich mogłaby pomieścić kilku stojących mężczyzn.

W pobliżu pomieszczeń biurowych natknąłem się na właz w podłodze. Wewnątrz była drabina, która prowadziła do piwnicy. Jak na złość jedyne, czego naprawdę nie znosiłem, to piwnice. Ale wiedziałem, że muszę tam zejść ze względu na Neddy'ego. Wzięłem głęboki wdech i zszedłem po drabinie. Na dnie znajdowało się podłużne niskie pomieszczenie, zimne i ciemne jak rodzinny grobowiec, ze stertą cuchnących wilgocią i gnijących szmat oraz kałużą oleju na środku. Nie podobało mi się to. Zawahałem się, nim wszedłem do środka. Nasłuchiwałem. Słysząc było tylko chrobotanie gryzoni i gdzieś w głębi odgłos spadających kropel wody. Kiedy już upewniłem się, że nic więcej tu się nie dzieje, przemierzyłem całą długość pomieszczenia, oświetlając latarnią wszystkie kąty i zagłębienia, na wypadek gdyby ukryto tam Neddy'ego. Wyglądało jednak na to, że od wielu lat nie było tam nikogo.

- Ukryjemy tam inspektora razem z jego ludźmi, zanim tamci się pojawią - zarządził szef, kiedy wróciłem do domu Lewisa z relacją z wizji lokalnej. - Cream przyjdzie wcześniej, więc my

musimy tam być przed nim. Poproś Sidneya, żeby przyjechał po nas o dziewiątej. I niech zaczeka na nas w pobliżu. Nie jest wykluczone, że będziemy musieli ratować się szybką ucieczką.

- To zbyt niebezpieczne, Williamie - stwierdził Lewis. - Jest ich za dużo. Nie powinieneś liczyć na to, że Petleigh i jego policjanci cię obronią.

- Nie mamy wyboru, Lewis. Policja mogłaby przesłuchać Creama, ale on przysięgnie, że o niczym nie wie. A możesz być pewien, że tym razem nie ukryli Neddy'ego u bednarza. Nie martw się, przyjacielu, Petleigh przyrzekł, że przyśle swoich ludzi.

Lewis westchnął. Z trudem podniósł się z krzesła, podszedł do sekretery, wysunął szufladę, wyjął pudełko z wiśniowego drzewa i otworzył je kluczykiem wiszącym na łańcuszku od zegarka.

- Strzelałeś już kiedyś z pistoletu? - zapytał.

Gdy zaprzeczyłem ruchem głowy, wyjął srebrny pistolet i podał mi go. Pistolet był ciężki i zimny. Nie czułem się zbyt pewnie, trzymając go w ręce. Drugi pistolet wręczył szefowi. Potem wyjaśnił, jak się ładuje, jak trzyma, jak celuje i strzela. Poprosił, żebyśmy udawali, że strzelamy do popiersia Aleksandra Wielkiego, który stał przy drzwiach.

- Nie podoba mi się to, Williamie - powiedział po jakimś czasie, ocierając pot z czoła. - Przyjaźnimy się od tak dawna i nie chciałbym cię stracić.

Mnie też się to nie podobało, ale nic nie mówiłem. Nie wiedziałem, co jeszcze można zrobić.

- Musimy odzyskać Neddy'ego - powtórzył szef.

Lewis przytaknął i zwracając się do mnie, powiedział:

- Norman, opiekuj się nim.

Miałem nadzieję, że nie dostrzegł przerażenia na mojej twarzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Skład Isslera był zamknięty. Zamknięte były też na noc wszystkie inne fabryki i składy w pobliżu oprócz browaru na drugim przeciwnym krańcu drogi. Świeciło się tam i dymiło z komina. Nawet gdyby doszło do strzelaniny, i tak nikt by jej nie usłyszał.

Zostawiliśmy Sidneya przy kominie i poszliśmy pieszo wąską uliczką na tyłach składów, gdzie szef umówił się z inspektorem Petleigh. Wielebny Jebb uparł się, że pójdzie razem z nami, twierdząc, że w obecności osoby duchownej Cream będzie bardziej powściągliwy. Ja uważałem, że to dość naiwne, niemniej byłem zadowolony, że przyłączył się do nas. Im nas więcej, tym lepiej.

Panna Cousture ubrana była po męsku. Wielebny wyszukał dla niej zniszczony czarny garnitur, bo z jakiegoś powodu uznał, że tak będzie bezpieczniej. Ponieważ szef nie mógł przeskoczyć przez płot, poluzowałem kilka sztchet, żeby się przez nie przecisnął, a wewnątrz składu zapaliłem kilka świec, objaśniając przybyłym rozkład pomieszczenia. Kiedy robiliśmy obchód, nasze kroki rozbrzmiewały echem w ciemnej i pustej sali, a ja trzymałem rękę w kieszeni na zimnej rękojeści rewolweru.

- Tam schowają się policjanci - powiedział szef, wskazując leżące z boku wielkie beczki. - Do każdej z nich zmieści się dwóch. Nawet jeśli ludzie Creama postanowią przeszukać pomieszczenie, wszystkich beczek nie sprawdzą. Kilku kolejnych policjantów może ukryć się w piwnicy.

Ciemność panująca w składzie tak bardzo onieśmieliła pannę

Cousture i wielebnego, że nie odzywali się, dopóki nie wyszliśmy na zewnątrz.

- Co teraz? - zapytała drżącym głosem.

- Wy dwoje wracajcie i czekajcie z Sidneyem - komenderował szef. - Dołączymy do was, kiedy nadejdzie Petleigh.

Czekaliśmy w alejce, aż oddalą się na tyle, żeby nie mogli nas słyszeć, a wtedy szef zapytał:

- Załadowałeś rewolwer?

- Tak.

- Lewis też mi załadował. Masz tu kilka naboju na wszelki wypadek.

- Nigdy nie przypuszczałem, że będziemy w naszej pracy używali broni, sir.

- Żałuję, że nie mieliśmy ich przy sprawie Betsy - odparł twardo.

- I tak byśmy nie zdążyli, szefie. Dla Johna Spindle'a było już za późno.

Spojrzał na mnie. Mały kapelusik tkwił na jego głowie jak czekoladowe ciastko na świńskim łbie. W świetle księżyca można by sądzić, że jego bokobrody pływają wokół twarzy. Wyczułem zapach wina w oddechu szefa. Puścił głośnego bąka.

- Posłuchaj, Norman. Chcę ci powiedzieć, że bardzo na ciebie liczę. I zawsze cię ceniłem. - Zawahał się. - Tworzymy razem prawdziwy, zgrany zespół.

Położyłem mu rękę na tłustym ramieniu.

- Wiem o tym, sir. Nie musi pan nic mówić.

Poczęstował mnie cygarem i zapaliliśmy, przez co czekanie było odrobinę mniej dokuczliwe. Pojawił się rozczochrany pies, obwąchał nas i zaczął się łąsić. Minęła dziesiąta.

- Gdzie on jest, do diabła? - zaniepokoił się szef.

- Jest pan pewien, że miał być o dziesiątej?

- Oczywiście, że jestem pewien!

Minął kwadrans, potem drugi, a po inspektorze ani śladu. Szef chodził tam i z powrotem od pół godziny.

- W co ten Petleigh ze mną gra!?! - wykrzyknął, po czym zreflektował się i wyszeptał: - Jeśli się wkrótce nie pojawi, to nie zdążą zająć stanowisk.

Uliczką na tyłach nadbiegł wielebny Jebb, ściskając w ręku kapelusz.

- Czy jest jakiś problem? - zapytał, łapiąc oddech.

- Jeszcze nie przyszli - odparłem.

- Wielkie nieba! Co zrobimy, jeśli nie przyjdą na czas?

- Przyjdą na pewno - zapewnił szef. - Petleigh obiecał, że przyjdą. Proszę wracać i czekać w wozie razem z panną Cousture.

Za kwadrans jedenasta uliczka wciąż była pusta.

- Coś musiało się zdarzyć, Norman. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze się nie zjawił.

- Może mieli wypadek.

Wpatrywaliśmy się w głąb pustej uliczki.

- Obiecał, że tu będzie.

- A co zrobimy, jeśli nie przyjdą? - wyszeptałem.

- Nie zdobędziemy dowodów.

- I nie będziemy mieli ochrony.

- Z tymi naszymi dwoma rewolwerami nie mamy żadnych szans.

Będzie ich za dużo.

Pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

- Do licha, Barnett! Nie mamy wyboru. Musimy w to wejść bez nich.

- Co oni zrobią, kiedy się zorientują, że nie mamy Thierry'ego?

Szef zaciągnął się głęboko chłodnym nocnym powietrzem

i zapalił następne cygaro.

- W najgorszym razie - zaczął z wolna - będą próbowali nas zmusić do zdradzenia miejsca jego pobytu. A potem nas zabiją.

I tak się bałem, ale po tych jego słowach przestraszyłem się jeszcze bardziej.

Sięgnął do kieszeni i podał mi piersiówkę. Pociągnąłem kilka porządnych łyków i drżącą ręką oddałem mu piersiówkę. Kiedy ją odbierał, jego ręka też drżała.

- Do licha! - powiedział znowu, a echo powtórzyło jego słowa w ciemnej alejce.

Wrócił nasz znajomy pies, usiadł i patrzył na mnie ze smutkiem w oczach.

- Coś wymyślimy - powiedziałem bez przekonania.

- A jeśli nie wymyślimy - uzupełnił szef - to będziemy musieli zacząć strzelać.

Tuż po jedenastej usłyszeliśmy szcęk otwieranej bramy frontowej i odgłos licznych kroków we wnętrzu budynku. Był to Cream i jego ludzie. Szef chwycił mnie za ramię i cofnęliśmy się w głąb ciemnej uliczki, ukrywając się za stertą skrzyń. O wpół do dwunastej Petleigh wciąż się nie pojawił. Wtedy byłem już pewien, że policja nie przyjdzie. Siedzieliśmy cicho za skrzynkami. Myślałem o śmierci i podejrzewam, że on też. Gdyby miała przyjść dzisiaj wieczorem, byłem przygotowany. Kiedy już nie żyjesz, to o tym nie wiesz, powtarzałem sobie. Zresztą po co miałbym żyć? Dla ciała, które z trudem znosiło skutki pobicia sprzed paru dni i chłód pustego pokoju, do którego nie miałem ochoty już wracać? To wszystko, co mi zostało. Ale mimo to wiedziałem, że nie chcę umrzeć tej nocy. Nie tu i nie z ręki ludzi Creama.

Kiedy dzwony kościelne wybiły północ, przestaliśmy czekać na inspektora. Petleigh się nie zjawił, zostawił nas samych w skrajnie trudnej sytuacji, taka była naga prawda.

Zabraliśmy kilka lamp z powozu i ruszyliśmy Park Street razem z panną Cousture i wielebnym Jebbem. Szef zaproponował, żeby zostali z Sidneyem, przekonując, że bez inspektora i jego ludzi zagrożenie ogromnie wzrasta, ale panna Cousture nie przyjęła tego do wiadomości. Chciała pomóc w uratowaniu Neddy'ego. Wielebny też szedł, ale był kompletnie roztrzęsiony. Nalegał, żebyśmy zatrzymali się na rogu i odmówili modlitwę. Chciał wiedzieć, jakie mamy zamiary, ale ponieważ sytuacja uległa radykalnej zmianie, nie potrafiliśmy mu powiedzieć.

- W takim razie miejmy ufność w Panu. - W jego głosie nie było już słycać takiej pewności siebie jak wczoraj. Wyglądało na to, że młody duchowny wyczerpał swoje zasoby.

Panna Cousture szła obok nas w milczeniu, jakby już była martwa. Na jej twarzy ukrytej pod chustką malował się nienaturalny wręcz spokój. Miałem wrażenie, że nie oddycha.

Wszystkie okna składów przy Park Street były ciemne. Jaskrawy księżyc rzucał miękki blask na bruk. Przed bramą Składu Isslera stał wóz. Szef dał mi kuksańca w bok i wskazał mężczyznę stojącego nieco dalej w głębi ulicy. Drugi stał w bramie po przeciwnej stronie.

Zapukałem do wrót składu. Otworzył Piser. Czapkę miał naciągniętą głęboko na oczy. W jednej ręce trzymał lampę, w drugiej rewolwer. Rozejrzał się w obie strony ulicy i wpuścił mnie do środka. Wewnątrz, na środku wielkiej sali, stał Cream. W ręce trzymał lampę, która oświetlała jego biały płaszcz i brązowy cylinder. W drugiej ręce trzymał hebanową laseczkę. Obok niego stali Boots i Long Lenny. Boots też miał w ręce

rewolwer, a Lenny długi pogrzebacz, którym uderzał we wnętrze dłoni.

- Kim są ci ludzie, Arrowood? - zapytał Cream.

- To siostra Thierry'ego - odpowiedział szef głosem ochryłym, jakby bolało go gardło. - A to nasz przyjaciel, wielebny Jebb.

- Wielebny może wyjść - powiedział Cream.

- Nie, ależ nie... - wyjąkał wielebny. - Wolałbym... wolałbym zostać.

- Lenny! - mruknął Cream.

Long Lenny podszedł, szurając butami po posadzce.

- Chodźmy, ojczy - zaproponował, wyciągając przed siebie pogrzebacz.

Wielebny Jebb, choć słusznego wzrostu, nie był jednak tak wysoki jak Long Lenny. Wycofywał się tyłem, ostrożnie, wciąż protestując, aż wreszcie Lenny chwycił go za kurtkę i wypchnął za drzwi, które Piser zatrzasnął za nim z hukiem.

- No cóż, przejdźmy więc do interesów - zaproponował Cream.

- Gdzie jest Terry?

- Niedaleko - odparł szef. - A gdzie jest chłopiec?

Cream skinął na Bootsa, który podniósł lampę i przeszedł na drugą stronę składu. Zatrzymał się przed kanałem odpływowym i postawił lampę na ziemi. Leżał tam skulony Neddy i zakrywał głowę rękami. Ubranie miał mokre i brudne. Nie widzieliśmy jego twarzy, ale nawet z odległości kilkudziesięciu metrów widać było, że cały się trzęsie.

Podbiegłem do niego i podniosłem z ziemi. Jęknął, kiedy dotknąłem nogi, a kiedy wziąłem go na ręce, wtulił we mnie twarz.

- Już dobrze, synu - wyszeptałem, głaszcząc go po głowie. - Już cię mam.

Silny dreszcz wstrząsnął jego drobnym ciałem. Jeszcze mocniej wcisnął twarz w moją koszulę, ale nic nie mówił. Jedna noga zwisała mu pod dziwnym, nienaturalnym kątem.

- Co mu zrobiliście, do jasnej cholery!?! - krzyknął szef.

- Gdzie jest Thierry? - powtórzył Cream.

- Przeprowadzimy go, jak bezpiecznie wyprowadzimy stąd chłopca - odparł szef. - Barnett, zabierz Neddy'ego do wozu.

- Ani się waż! - uciał Cream. - Ja tu rządzę, Arrowood, nie ty. Panienska pójdzie z Bootsem po brata, a my tu zaczekamy.

- Może lepiej ja pójdę - zaproponował szef. - Thierry może potrzebować zachęty.

- Już Boots go zachęci - odparł Cream z szyderczym śmiechem.

- Zachęcanie to jego specjalność.

Boots ruszył, trzymając w ręce rewolwer, a panna Cousture spojrzała na szefa, niepewna, co ma robić.

- Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy panu na Thierry, sir - powiedział szef, stając między Bootsem a panną Cousture. - Przecież zupełnie wam nie wadzi. Widział tylko jakąś skrzynkę z karabinami. Jest zbyt przerażony, żeby się wygadać. Jeśli zrobicie mu krzywdę, to tylko bardziej zaryzykujecie.

Cream zaśmiał się ponownie. Wyciągnął przed siebie ręce i podszedł do szefa.

- To wam powiedział?

- To, właśnie to, i nic więcej.

- I nie powiedział, że zanim uciekł, ukradł mi portfel?

Szef spojrzał na pannę Cousture, która potrzęsnęła głową. Cream zakręcił laską i mówił dalej.

- Nie wspomniał, że w portfelu było ponad tysiąc funtów w wierzytelnościach kolei kanadyjskich?

- *Putain!* - krzyknęła panna Cousture. - Idiota!

- Czy pani o tym wiedziała? - zwrócił się do niej szef.

- Nie wiedziałam, przysięgam! Nic mi nie powiedział.

Szef zerknął na mnie. Myśleliśmy o tym samym. Żaden z nas nie wiedział, czy po tym wszystkim można jej jeszcze wierzyć.

- Zabierz ją, Boots - rozkazał Cream.

Boots chwycił ją brutalnie za ramię i popchnął w stronę drzwi. Ostrożnie postawiłem Neddy'ego na ziemi i wysunąłem się do przodu, wiedząc, że muszę ich zatrzymać. Boots odwrócił się i skierował we mnie lufę rewolweru.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Wszyscy zamarli.

Cream dał znak Piserowi, który uchylił drzwi i coś powiedział przez szparę. Nadstawiłem ucha w nadziei, że z drugiej strony usłyszę głos tak dobrze mi znanego inspektora policji, ale było za daleko, bym mógł cokolwiek usłyszeć.

Piser otworzył drzwi. Stał w nich Paddler Bill z lampą w dłoni. Tuż za nim kroczył łysy Amerykanin, dalej człowiek z jasnymi włosami, a na końcu księgarz Gaunt, człowiek, który zabił Marthę. Był bez nakrycia głowy, w tym swoim długim, postrzępionym i rozpiętym szynelu. Stał z tyłu poza kręgiem światła. Kiedy uwaga wszystkich skupiła się na fenianach, nachyliłem się szybko i powiedziałem do Neddy'ego:

- Skocz szybko za te beczki, żeby nie było cię widać.

Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się z bliska jego twarzy. Miał rozciętą wargę, usta spuchnięte bardziej niż poprzednio, na policzku zakrzepła krew, a na wierzchu dłoni blizny po oparzeniu. Podniósł na mnie wzrok, ale się nie ruszył.

Piser zasunął drzwi składu za fenianami.

- Bill?! - wykrzyknął Cream zdziwiony. - Co ty tutaj robisz?

Po raz pierwszy jego głos nie brzmiał tak zarozumiale jak

zwykle.

- Dostałem wiadomość - powiedział Bill. Mówił szybko, tak szybko, że trzeba było dobrze się wsłuchiwać, żeby go zrozumieć. Zdecydowanie górował wzrostem nad wszystkimi kompanami. Ubrany był w modny trzyczęściowy garnitur i amerykański kapelusz, spod którego wystawała gęsta ruda czupryna.

- Nie wiem, od kogo. Myślałem, że może od ciebie, współniku.

- Przyznaję, że to ode mnie - wtrącił szef.

- A kto pan jesteś, do diabła?

- To prywatny detektyw - pośpieszył Cream z wyjaśnieniem. - Szuka chłopaka, który ukradł nasze obligacje kolejowe. Nie wiem, po co cię tu ściągnął. To nie ma z tobą nic wspólnego. Sytuacja jest pod kontrolą.

- Chętnie wysłucham, co ma do powiedzenia - powiedział amerykański olbrzym.

Wtedy usłyszeliśmy kolejne pukanie do drzwi.

- Kto tam znowu, do diabła!?! - krzyknął Cream.

Piser lekko uchylił drzwi, spojrzał na zewnątrz, po czym poinformował:

- Pułkownik Longmire, panie Cream.

- Wpuść!

Piser otworzył drzwi i wszedł Longmire. Prawdopodobnie wracał z teatru, bo miał na sobie strój wieczorowy, pelerynę i aksamitny kapelusz. Zatrzymał się tuż przed kręgiem światła z lampy Pisera, zaskoczony tak licznym audytorium.

- O co chodzi? Co to znaczy?! - wykrzyknął. - Stanley, co tu się dzieje?

- A więc zaprosiłeś również pułkownika Longmire'a - zauważył Cream. - Brawo, Arrowood. Udało ci się mnie zaskoczyć, a to nie zdarza się często. Ale to ci niestety w niczym nie pomoże.

Podczas tej wymiany zdań panna Cousture odsunęła się o kilka kroków od Bootsa i wyciągnęła z rękawa coś, co wyglądało jak szewski nóż. Przez chwilę wyglądała na niezdecydowaną i zwróciła się w stronę Creama, jakby zamierzała rzucić się na niego. Jednak zaraz potem odwróciła się znowu i wydawszy z siebie niski jęk, rzuciła się na pułkownika Longmire'a. Stało się to w mgnieniu oka.

Longmire krzyknął, chwycił się za szyję i upadł najpierw na Piserę, potem na posadzkę. Krew tryskała mu spomiędzy palców, krzyk zamierał w ustach.

- Brać ją! - wrzasnął Cream.

Piser stał jak skamieniały, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Piser! - krzyknął Cream, usiłując pobudzić go do działania.

Tymczasem panna Cousture uklękła przy pułkowniku i uderzyła go nożem w pierś. Po każdym uderzeniu wił się i próbował krzyczeć, ale jego krzyki tłumiła bulgocząca w gardle krew. Piser ocknął się wreszcie i chwycił ją za rękę i wyrwał nóż. Boots chwycił ją za drugą rękę i postawili ją na nogi. Stojąc, patrzyła na ciało pułkownika. Jej pierś falowała, oddychała ciężko. Pułkownik jęczał jak zwierzę i wyciągnął ręce, jakby szukał czegoś w powietrzu. Krew wypływała mu z ust i wylewała się na brodę, walczył o każdy kolejny oddech.

- Idź do diabła! - powiedziała i plunęła mu w twarz. Cała była obryzgana krwią. Pokrywała jej policzki, szyję i białą koszulę pod czarnym garniturem.

Longmire wydał z siebie ostatnie długie tchnienie i przestał się ruszać.

Piser i Boots odciągnęli ją od ciała. Nie mogła od niego oderwać oczu.

- Co tu się dzieje, do cholery? - zadudnił Paddler Bill. - Co to za

kobieta?

- To siostra Thierry'ego - wyjaśnił Cream.

- Jakiego Terry'go?

- Tego, który ukradł obligacje.

Cream zwrócił się do szefa jadowitym tonem:

- Masz dziesięć sekund, żeby nam wytłumaczyć, co tu się dzieje, Arrowood, albo zaczniemy wyłamywać ci palce.

Szef stał z otwartymi ustami i patrzył na pannę Cousture, na ciało pułkownika i znów na pannę Cousture.

- Pięć sekund.

- Nie mam pojęcia - przyznał Arrowood, kręcąc głową.

Próbowałem pochwycić jego wzrok, żeby mu zasygnalizować, że musimy coś zrobić, bo nas w końcu załatwią. Widziałem, jak wkłada rękę do kieszeni, żeby chwycić rewolwer. Zrobiłem to samo. Czułem, jak pulsują mi skronie, a serce wali między żebrami. Nie miałem wątpliwości, że za chwilę rozpocznie się strzelanina, i nie widziałem najmniejszej szansy, żebyśmy wyszli z niej żywi. Na miłość boską, Petleigh, gdzie jesteś?

- Czy pan mnie nie zna, panie Cream? - zapytała panna Cousture, której Piser wreszcie zdołał wykręcić rękę do tyłu.

Cream podniósł lampę, żeby ją oświetlić.

- A powinienem?

- Powinien pan, chociaż oczywiście mnie pan nie zna - odpowiedziała lodowatym tonem.

- Dlaczego zabiłaś Longmire'a?

- Bo na to zasłużył.

Cream zbliżył się do niej i uderzył ją w twarz otwartą dłonią.

- Odpowiadaj, kobieto! - rozkazał ostro, jakby to był psi szczek.

- Skąd go znasz?

Wciągnęła powietrze w płuca i zamknęła oczy, zanim

odpowiedziała:

- Zgwałcił mnie.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Na miłość boską! - zawołał Cream. - I to wszystko? Zabiłaś mężczyznę z tego powodu? Spójrz na siebie. Jesteś zdrowa, przeżyłaś.

- Pozwól dziewczynie powiedzieć - syknął Paddler Bill, po czym spojrzał na nią. - Wyjaśnij to, panienko.

- Dziękuję, sir - zwróciła się teraz do olbrzyma i znów nabrała powietrza. - Kiedy miałam trzynaście lat, moja matka dowiedziała się z ogłoszenia w gazecie, że dziewczęta mogą dostać pracę we Francji. Miałam czterech młodszych braci, a matka nie była w stanie nas wszystkich utrzymać.

- Nie interesuje nas twoja historia - przerwał jej Cream. - Ona wie, gdzie są nasze obligacje kolejowe, Bill. Dlatego tu dzisiaj jesteśmy.

- Pozwól jej mówić, Cream - powtórzył fenianin z naciskiem, a jego głos zadudnił groźnie w pustym składzie.

- Więc poszliśmy na spotkanie z agentką - ciągnęła panna Cousture, odwracając się do Creama. - Pan ją zna, panie Cream. Nazywa się Sal i pracuje dla pana. Powiedziała nam, że zna porządną rodzinę we Francji, która czeka na taką dziewczynę jak ja. Ale kiedy tam pojechałam, to okazało się, że nie ma żadnej rodziny, prawda?

- Już mi się zbiera na płacz, panienko - powiedział Cream z szyderczym uśmiechem. Jego białe zęby lśniły nawet w ciemności. - Mój Boże! A ile ty masz lat? To musiało być dawno temu!

- Nie przerywaj jej - powtórzył Paddler Bill.

- Pierwszego dnia zabierają mnie do *accoucheuse*, żeby

sprawdzić, czy nie jestem zepsuta - mówiła jak w transie - a potem do domu, gdzie będę przetrzymywana przez dziesięć lat i co noc wykorzystywana. Wykorzystywana przez mężczyzn, jednego za drugim. I gdzie zrobiono ze mnie dziwkę. Sprzedał mnie pan do burdelu, panie Cream.

- Wygląda na to, że raczej jego powinnaś dźgnąć, panienko - powiedział Paddler Bill. Jego trzech towarzysze roześmiali się głośno.

Cream wycelował w nią pistolet, dając znak Bootsowi, który jeszcze mocniej wykręcił jej rękę. Syknęła. W wątym świetle lampy panna Cousture, poplamiona krwią pułkownika, wyglądała jak upiór.

- Drugiego dnia myją mnie i czeszą, nakładają puder i róż. Potem podają mi chloroform, tylko tyle, żebym za dużo nie myślała. Do pokoju przychodzi mężczyzna, jakiś bogacz z Londynu. A ja nadal nie wiem, co mnie czeka.

- Longmire - podpowiedział szef.

Kiwnęła głową, po czym kontynuowała swoją opowieść:

- Wtedy zdarzyło się właśnie to. A kiedy skończył, zaczął okładać mnie pięściami, jakbym to ja go zgwałciła. Zaczyna od twarzy - pokazała złamany ząb - a potem po rękach, po piersiach. Bije mnie bez przerwy, po brzuchu... - Jej głos przeszedł w szept.
- Depcze po mnie całej. Leżałam w łóżku przez miesiąc, zanim byłam w stanie znowu stanąć na nogi. - Płomiennym wzrokiem spojrzała na szefa. - Nigdy w życiu nie widziałam u mężczyzny tak strasznej złości, i to wywołanej tym, co sam zrobił. Mnie zrobił.

- O to chodziło w tej sprawie? - zapytał szef.

- Szukałam go, odkąd zesłam z pokładu statku. - Teraz mówiła głosem dość jednostajnym, wyważonym, jakby gniew już minął.

- Więc uporządkujmy to wszystko - powiedział Paddler Bill, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Cream sprzedaje dziewczęta do rozdziawiczenia, tak? To jest jeden z jego biznesów?

- Po mnie było wiele innych dziewczyn - wyszeptała panna Cousture. - Tak samo młodych jak ja, z Londynu.

- Wystarczy! - zaprotestował Cream, wymachując rękami. - Nie jestem jakimś chłopaczkiem do bicia. Pamiętajmy, że wiek zgody na współżycie podniesiono dopiero dziesięć lat temu.

- Ja nie wyrażałam zgody.

- No dobrze, już dobrze - rzucił z odrażającym uśmiechem i oblesnie skamlącym głosem. - Ja tylko świadczę usługi. A grzeszni są ci mężczyźni, którzy mają dzikie pragnienia. - Spojrzał na Paddlera Billa. - Ta panienska zabiła pułkownika Longmire'a, Bill. Dokonała zemsty. A ja tylko robiłem interesy.

- To jest kiepski argument, Cream - powiedziałem.

Przysunął się do mnie i odpowiedział szybko i gniewnie:

- Posłuchaj uważnie, głupcze. Silni mężczyźni są jak rasowe konie. Przewodzą temu krajowi, bo są wyjątkowi. Jeżeli nie będą zadowoleni, to nie spełnią należycie swojej roli w społeczeństwie. Po kimś takim jak ty nie spodziewam się, żeby to zrozumiał. To są ludzie lepszego sortu. Mają potężną osobowość, czują wiele różnych potrzeb, pragnień i żądź zarówno w swej zwierzęcej, dzikiej naturze, jak i dotyczących sfery cywilizacyjnej. Potrzebują wina i whisky, żeby lepiej im się myślało. I ktoś im to musi dostarczać. Potrzebują laudanum, i też ktoś go dostarcza. Potrzebują też żony i domu. Oraz sportu i rozrywki.

Cream zaczął przechadzać się po pomieszczeniu, coraz bardziej zbliżając się do Bootsa i Pisera, którzy nadal trzymali pannę Cousture. Wodziliśmy za nim wzrokiem, gotowi w każdej chwili wyciągnąć broń. Czuję, że coś knuje.

- Potrzebują eleganckich ubrań, wykwintnego jedzenia i wspaniałych mebli - mówił dalej. - Ktoś ich w to wszystko zaopatruje i zapewnia im niezbędne wygody. Służba, lokaje, pokojówki, portierzy. Wszyscy o nich dbają, żeby oni mogli dbać o nasz kraj. Ja ich rozumiem. Chodziłem do szkoły z pułkownikiem Longmire'em. Wynajmowaliśmy razem pokój w Marlborough. On wstąpił do wojska, a mnie ciągnęło do interesów. Nie pochwalał mojego wyboru, ale przydałem mu się, kiedy potrzebował pewnych rzeczy. Pomagałem w służbie dla ojczyzny i tyle. I to nie ja odpowiadam za jego żądze. To natura je stworzyła. - Spojrzał na swoich ludzi, którzy potakiwali, kiwając głowami. Spojrzał na fenian, szukając ich aprobaty, ale patrzyli na niego w nieprzeniknionym milczeniu. - Bill, a jak waszym zdaniem dowiedziałem się o fotografiach sir Herberta? - zapytał. - Od pułkownika Longmire'a. Mieli podobne zainteresowania. Wymieniali się fotografiami.

- Nic mi o tym nie mówiłeś - stwierdził Paddler Bill.

- Siedzisz w tym tak samo jak ja, Bill. Przecież przekazałeś mi te zdjęcia.

- Myślałem, że kupuję od ciebie karabiny. Nie prowadziłbym interesów z Longmire'em, gdybym wiedział, kim jest.

- Longmire nie dostał ani pensa z naszych pieniędzy, Bill. Ani jednego pensa. Zwróciłem się do niego, bo wiedziałem, że może załatwić karabiny, a on wiedział, że mogę wywołać skandal. Longmire współpracował z nami tylko dlatego, że bał się ujawnienia kompromitujących go faktów. Dlatego zabił Venninga, ale nigdy nie dostał złamanego pensa z twoich pieniędzy, Bill.

Paddler pokręcił głową, po czym spytał:

- To ty kazałeś mu zabić Venninga?

- Skądże! - zaprotestował Cream. - Kiedy ci dwaj głupcy - tu

spojrzał na szefa i na mnie - zaczęli wypytywać o karabiny, Venning wpadł w panikę. Gotów był zostać świadkiem koronnym, do czego Longmire nie mógł dopuścić, bo to by pograżyło również jego. Powiedziałem Longmire'owi, że to jego problem, który sam musi rozwiązać. I rzeczywiście sam go rozwiązał.

- Panie Cream - wtrącił szef - powiada pan, że jest pan niewinny, bo pan tylko handluje i świadczy usługi, tak?

Cream odwrócił się do niego. Sprawiał takie wrażenie, jakby z ulgą przyjął zakończenie rozmowy z Paddlerem Billem, chociaż pytanie szefa go zirytowało.

- Tak właśnie jest! - odparł opryskliwie.

- Czy w ten sam sposób uzasadnia pan kwestię dostawy karabinów? - ciągnął szef niezrażony, przysuwając się nieco bliżej fenianina, a nieco dalej ode mnie.

- Oczywiście, że tak. Odpowiedzialność bierze na siebie ten, kto strzela, a nie ja. Ja nikogo nie morduję. Nie biorę udziału w tej wojnie.

Fenianin z włosami blond wystąpił krok do przodu, gniewnie mrużąc oczy, a Paddler Bill zerknął na niego przez ramię i lekko poruszył głową.

Twarz Creama drgnęła.

- A teraz, Arrowood, dosyć już tego...

- Jesteś podłą mendą, Cream! - warknął szef, przekrzykując Creama w nagłym przypiływie złości. Tym razem jego słowa odbiły się echem od ścian składu. - Jesteś w to zamieszany tak samo jak ci, którzy strzelają z tych karabinów i zabijają. Ale ty jesteś jeszcze gorszy, bo temu zaprzeczasz! Oni przynajmniej próbują coś zmienić. A ty? Co ty robisz?

- Ja nie zabijam kobiet ani dzieci - odciął się Cream. - Nie mieszaj mnie w to! Jestem tylko narzędziem rynku. Sprzedaję

i kupuję, to wszystko. - Uderzył laską o but. - W tym, co robię, nie ma żadnych emocji. Nie kieruję się nienawiścią. Uważaj, Arrowood! Widzę ten protekcyjny uśmieszek na twojej twarzy, ale nie masz prawa mnie osądzać. Zatrudniam dwadzieścia jeden osób. A ty? Zapewniam wyżywienie ponad dwudziestu gębom i ich rodzinom. Na przykład spójrz na Lenny'ego. Daję mu pracę, żywię jego żonę i trójkę dzieci. Wydają pieniądze w piekarni, cukierni, na targu, w sklepie. I w pubie. Więc pieniądze, które mu daję, krążą dalej i dobro się pomnaża. Ten kraj żywią interesy takie jak mój. Nie jestem bez winy, wiem o tym, ale trzeba ważyć zło i dobro, które czynię.

- Naprawdę uważasz się za takiego? - przerwał mu Paddler Bill, zakładając ręce na piersi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Cream tak bardzo zaangażował się w swoją przemowę, że wypowiedź Amerykanina całkiem go zaskoczyła.

- Że jesteś lepszy od nas?

Cream skrzywił się i pokręcił gwałtownie głową, po czym z przymilnym uśmiechem odpowiedział:

- Nie, nie, nie! Nie to chciałem powiedzieć. To Arrowood mnie sprowokował. Wiesz przecież, jak bardzo was szanuję. Chciałem powiedzieć, że jestem tylko pośrednikiem i tyle, Bill. Ludzie tacy jak ja nie powinni mieszać się w cudze sprawy, bo wtedy nie mogą świadczyć usług jak należy.

- Ale uważasz, że napędza nas tylko nienawiść, tak? - dociekał Paddler Bill.

- Nie, Bill, zupełnie nie. Arrowood mnie prowokuje. Nie to chciałem powiedzieć.

Paddler Bill zwrócił się do blondyna w loczkach:

- Powiedz, Declan, czy w związku z tym, że sir Herbert

i Longmire nie żyją, można uznać, że nasze interesy z panem Creamem zostały zakończone?

- Tak sądzę, Bill - potwierdził Declan.

- I można powiedzieć, że utrata czci tej damy została pomszczona?

Declan spojrzał z góry na Creama.

- No nie całkiem, Bill. Uważam, że nie do końca.

Paddler Bill odwrócił się do nas. W ręce trzymał pistolet.

- Bill! - krzyknął Cream.

Zabrzmiał strzał. Cream zachwiał się, odchylił do tyłu i zwałił na posadzkę. Boots i Piser podnieśli pistolety, ale Declan i ciemnobrody Amerykanin już wcześniej wzięli ich na muszki. Long Lenny stał z pogrzebaczem bezradnie zwisającym z dłoni.

- Nic do was nie mamy, panowie. Rzućcie broń - rozkazał Bill, a gdy go posłuchali, dodał stanowczym tonem: - A teraz wynoście się stąd. I niech wam nie przyjdzie do głowy, żeby się na nas mścić czy coś w tym stylu. Mamy oczy dookoła głowy. I pamiętajcie o najważniejszym: wasz chlebodawca nie żyje, a wy nic nie jesteście mu winni.

Long Lenny, Boots i Piser wyszli pośpiesznie ze składu.

Paddler Bill podszedł do nas.

- Co mam zrobić z wami? - zapytał. - Domyślam się, że to wy wysłaliście do mnie tę wiadomość. Co chcieliście mi powiedzieć?

Wskazałem na Gaunta, który stał za Declanem z nożem w ręce. Tylko on nie miał rewolweru.

- Ten człowiek pracuje dla SIB - powiedziałem.

- To nieprawda, Bill! - zaprotestował księgarz ochrypłym głosem. - Nie słuchaj go! - Spojrzał na mnie z wściekłością. - Zabiję cię za to, ty kłamliwy fiucie!

Wyrwał się do mnie, wyciągając nóż, ale łysy Amerykanin go

przytrzymał. Wyjąłem rewolwer z kieszeni.

- Nie, Bill! - krzyczał Gaunt. - To jest kłamstwo!

Ale Paddler Bill go nie słuchał, zwrócił się do mnie, patrząc na mój rewolwer, i spytał z napięciem:

- Skąd to wiesz?

- W zeszłym tygodniu zatrzymali mnie w SIB. Wychodząc ze Scotland Yardu, widziałem, jak rozmawiał w kawiarni z niejakim Coyle'em, który pracuje w SIB z detektywem Laffertym. Wyglądało na to, że się dobrze znają.

- To jakaś bzdura, Bill - protestował Gaunt. - Nie znam żadnego Coyle'a, przysięgam. On próbuje mnie wrobić, żeby się ratować.

Bill przebierał palcami w gęstej brodzie i patrzył na Declana.

- Bill! On łże jak pies! - wrzeszczał Gaunt.

- Miałeś rację, Declan - powiedział w końcu Bill.

- Declan? - krzyknął Gaunt. - Co ty mówisz?

Bill podszedł do niego i wymierzył silny cios w brzuch. Kiedy Gaunt skulił się, Bill przeszukał mu kieszenie. Znalazł w nich klucz i włożył go do kieszeni swojej kamizelki.

- Nie, Bill - prosił księgarz, łapiąc powietrze. - To nieprawda. Przysięgam!

- Wrzućcie go do wozu - polecił Bill, odwracając się od niego.

Declan i łysy fenianin odciągnęli go na bok, chociaż opierał się, kopał i zaklinał, że nie zrobił nic złego. Były to jednak zaklęcia człowieka pogrążonego w rozpacz i śmiertelnie przerażonego, który wie, że wyrok już zapadł i czeka go śmierć.

Widok był odrażający, tak bardzo, że Bill odwrócił wzrok. Zaczekał, aż wyprowadzą zdrajcę, dopiero wtedy mówił dalej:

- Kilka miesięcy temu dostaliśmy cynk z organizacji. Jego niektóre raporty się nie kleiły, a my mieliśmy na niego oko. Natomiast Declan podejrzewał go od samego początku.

- Zapłata wynosi dwadzieścia pięć funtów - dodałem.
- Niech będzie - zgodził się Bill.

Pistolet miał wycelowany we mnie, a mój wycelowany był w niego. Teraz ruch należał do szefa, który powinien wyciągnąć swoją broń, ale jakoś się do tego nie kwapił.

Drzwi składu otworzyły się, znowu wszedł łysy Amerykanin, wycelował karabin w szefa i nakazał:

- Ręce na kark, grubasie.

Szef odwrócił się i podniósł ręce.

- Rzuć broń - powiedział do mnie Paddler Bill.

Przez moment pomyślałem, żeby strzelić, ale wiedziałem, że nie mam wyboru. Rzuciłem rewolwer na ziemię, przeklinając szefa za to, że nie strzelił, kiedy mógł to zrobić.

- Powiedz nam - zwrócił się szef do Paddlera Billa - dlaczego Gaunt zabił kelnerkę?

- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Czy to ty kazałeś mu ją zabić?
- Powiedziałem przecież, że nic o tym nie wiem.
- A ten tajniak? Czy ty go zabiłeś?

Paddler Bill wzruszył ramionami.

Zapadła dziwna cisza, jakby nikt nie chciał wykonać następnego ruchu. Spojrzałem na mój leżący na ziemi pistolet i pomyślałem, że gdyby szef wyciągnął swój w tej samej chwili, kiedy ja rzuciłem mój, to mielibyśmy jakieś szanse. Ale już ich nie mamy.

- Masz zamiar nas zabić? - zapytałem w końcu.

Paddler Bill westchnął.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, przyjacielu. Naszym celem jest wolna Irlandia. Chodzi o niepodległość, ale wygląda na to, że wasz rząd rozumie jedynie język krwi. Parnell nigdy by ich nie przekonał do pokojowych metod.

- Jestem za wolną Irlandią - powiedział szef. - Wielu Anglików popiera tę ideę.

- No tak, ale ci, co rządzą, nie popierają. Posłuchaj, Arrowood, to nie my wymyśliliśmy przemoc, to Anglicy nas jej nauczyli. My zabijamy ludzi tylko dla sprawy.

- Niewinnych ludzi - dodał szef.

- Jak to na wojnie - odparł Paddler Bill.

Podniósł nóż panny Cousture, który Piser rzucił na ziemię, gdy wychodził. Chwycił za nogi okryte białym płaszczem ciało Creama i zaciągnął po posadzce tam, gdzie leżał już Longmire. Potem rzucił obok niego nóż panny Cousture i włożył swój rewolwer w dłoń Longmire'a. Na koniec podniósł swój rewolwer, włożył do kieszeni i ruszył w kierunku drzwi, gdzie stał łysy z karabinem wciąż wycelowanym w nas.

- Wasza śmierć w niczym nie pomoże naszej sprawie - powiedział Paddler Bill. - Gdyby znaleziono wasze martwe ciała, policja by uznała, że padliście ofiarą porachunków z Creamem, nie skojarzono by waszej śmierci z naszym ruchem. Zresztą nie zajmujemy się już terroryzowaniem Londynu. Szykujemy się do powstania, które wybuchnie w Irlandii. Wszyscy o tym wiedzą.

Odwrócił się i otworzył drzwi. Gdy dotarło do mnie, że nie zamierza nas zastrzelić, dopiero wtedy zacząłem się trząść.

- Mam nadzieję, że nie opowiecie policji, co tu zaszło, prawda?
- mówił dalej Paddler Bill. - Bo wtedy będziemy musieli im wyjaśnić, kto zabił Longmire'a. - Zerknął na pannę Cousture. - A wtedy ta panienka zawiśnie na stryczku. Jednak wydaje mi się, że nikt z nas nie sądzi, że na to zasługuje. Więc mam nadzieję, że będziecie siedzieć cicho. - Przerwał na moment. - Ale ostrzegam was: trzymajcie się z daleka od moich interesów. Jeżeli jeszcze kiedyś was zobaczę, nie będę już taki wspaniałomyślny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wziąłem Neddy'ego na rękę, a szef przetrząsał kieszenie pułkownika Longmire'a w poszukiwaniu dwudziestu pięciu funtów, które był nam winny. Ulica nadal była pusta. Fenianie sobie poszli. Spojrzałem w ciemne niebo, na księżyc i gwiazdy. Wciąż były na miejscu. Z bramy wyszedł nam na powitanie wielebny Jebb, po czym wszyscy razem poszliśmy do dorożki Sidneya. Posadziłem chłopca na kolanach i ruszyliśmy do przytułku. Neddy siedział w milczeniu z twarzą wciśniętą w moją koszulę.

- Jesteś już bezpieczny, Neddy - powiedział szef. - Dzielny z ciebie chłopiec, wiesz? Skrzywdzili ciebie?

Cienkim głosem wyszeptał tylko:

- Przepraszam.

- Przepraszam? - powtórzyłem. - Nie ma powodu, żebyś przepraszał, synu.

Z twarzą w mojej koszuli wydusił:

- Powiedziałem im, gdzie jest pan Arrowood. Powiedziałem, że znaleźliście Thierry'ego.

- Nie mamy ci tego za złe - zapewnił szef. - To są źli ludzie.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać chłopca po nodze, ale ledwie jej dotknął, Neddy szarpnął się do tyłu, jęcząc przy tym z bólu. I musiał być to ból przerażający, nie jakiś tam zwykły ból, widać to było po Neddym. Miałem wrażenie, że to cierpienie przechodzi na mnie.

- Co ci się stało w nogę? - zapytałem.

Pociągnął nosem i głębiej wcisnął twarz w moją koszulę.

Trudno było zrozumieć, co mówi, aż wreszcie powiedział wyraźnie:

- Zmiażdżyli mi. - Próbował się powstrzymać, ale w końcu wybuchnął płaczem. - Mieli młot...

- Wygląda na to, że przypalali mu też ręce - powiedziałem.

- Jesteś bohaterem, chłopcze - oświadczył szef łamiącym się głosem. - Jak tylko wrócimy, wezwiemy lekarza. Da ci coś, żeby cię nie bolało.

Wielebny, który siedział skulony w kącie, obserwował chłopca w milczeniu, a panna Cousture, która siedziała obok mnie, pogłaskała go po głowie.

Zastanawiałem się, czy to, co zrobiła, zdoła ją uzdrowić. Raczej nie. Kiedy patrzyła na puste ulice, jej oczy wciąż pełne były gniewu. Miałem jednak wrażenie, że straciła już energię, która ją napędzała, kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy. Szef także patrzył przez okno. Jego przekrwione oczy wezbrały łzami, w których błyskały światła mijanych latarni gazowych. Jechaliśmy w mrocznym i podniosłym milczeniu.

Zanim dojechaliśmy do misji, szef zapytał:

- Panno Cousture, jest coś, czego nie rozumiem. Jak pani trafiła do studia fotograficznego Fontaine'a.

- Eric nie ma z tym nic wspólnego - odparła, trzymając rękę na plecach Neddy'ego. - Najpierw Thierry dostał pracę w Barrel of Beef. Roznosił po mieście różne pakunki od Creama, ale nim je dostarczył na miejsce, otwierał i zaklejał z powrotem, i robił to tak doskonale, że nikt się nie zorientował. Niektóre przesyłki pochodziły ze studia Fontaine'a. Trudno sobie nawet wyobrazić, jakie tam były zdjęcia. To znaczy... - Urwała, patrząc na Neddy'ego, po czym skończyła: - Zdjęcia intymne. Mężczyźni z mężczyznami, grupy ludzi, nawet małe dziewczynki... Po prostu

wszystko. Cream je sprzedawał albo wykorzystywał do szantażu. Pomyśleliśmy, że człowiek, którego szukamy, może kupować takie zdjęcia. Że jego upodobania się nie zmieniły. Ale nie mieliśmy pewności. Więc Josiah pomógł mi podjąć pracę w studio. zaproponował tak niską stawkę, że Eric zwolnił asystentkę i zatrudnił mnie. Ale Longmire i Venning nigdy nie przyszli do Erica. Inni tak, ale nie oni.

- Czyli wielebny był w to wtajemniczony od samego początku? - zapytał szef.

- Na tym także polega działalność misji - odparł Jebb. - Dajemy schronienie, ale staramy się także postawić przed obliczem sprawiedliwości tych, którzy wykorzystują i krzywdzą kobiety. Oko za oko, panie Arrowood.

- Proszę wybaczyć, ale nie sądzę, by wielebny nadawał się do tego.

- Uczę się, sir.

Zatrzymaliśmy się przy siedzibie misji.

- Czym się teraz pani zajmie, panno Cousture? - zapytałem.

Nie przeszkadzało jej, że twarz i ubranie ma poplamione krwią. Była smutna i pełna powagi. Po chwili namysłu odpowiedziała:

- Chyba pojedę do Paryża i poszukam Thierry'ego. Myślę, że jest mi winien połowę tych obligacji kolejowych.

- Słusznie. Radzę wyjechać pierwszym statkiem z samego rana - powiedział szef. - Policja rozpocznie śledztwo w sprawie tych trupów, ale może być pani pewna, że nie ujawnimy pani udziału w tym wydarzeniu.

- Dziękuję panu, panie Arrowood.

- Naprawdę nie wiedziała pani, że je ukradł?

- Naprawdę.

- W takim razie życzę szczęścia, panno Cousture -

powiedziałem.

- Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy w jego odnalezieniu...
- zaczął szef, a gdy spojrzała na niego ze zdziwieniem, dokończył:
- ...to proszę nie zwracać się do nas.

Po raz pierwszy widziałem, że panna Cousture się śmieje.

Ettie i Lewis czekali na nasz powrót. Posłaliśmy po doktora i położyliśmy Neddy'ego do łóżka. Szef przyniósł butelkę brandy, Lewis chleb i szynkę. Usiedliśmy w salonie i rozmawialiśmy o tym, co zaszło.

- A więc pułkownik Longmire nie otrzymał swojej części pieniędzy? - zapytał Lewis, siłując się z nożem, żeby ukroić jedną ręką kromkę chleba.

- Na to wygląda - potwierdził szef. - Sądziłem, że on i Cream są wspólnikami i wspólnie zarabiają krocie na sprzedaży karabinów, ale Longmire został do tego zmuszony, podobnie jak Venning. Cream groził mu ujawnieniem jego sekretu, jeśli nie załatwi broni. Nie mam wątpliwości, że Cream i Milky Sal zaspokajali ich perwersyjne upodobania.

Podniosłem się, żeby pomóc Lewisowi.

- Longmire był nierozsądny, że im zaufał - powiedziała Ettie.
- Longmire i Cream byli razem w Marlborough - wyjaśnił szef. - Podejrzewam, że pułkownik zaufał staremu kumpłowi ze szkoły.
- A sir Herbert? - zapytała Ettie.
- Longmire nie mógł sam zdobyć broni, potrzebował do tego swojego przyjaciela sir Herberta, który mu to umożliwił, a ponieważ mieli podobne zainteresowania... - Szef zawiesił głos i zwrócił się do Ettie: - Mam na myśli zainteresowania seksualne, siostrzyczko.

- Doskonale rozumiem, co masz na myśli, Williamie.

- Tak czy owak - ciągnął dalej zaskoczony - Cream wiedział, czym go zaszantażować.

- Masz na myśli pozbawianie dziewictwa, czyli deflorację - powiedziała.

Kiwnął głową, po czym dodał:

- A także zdjęcia nieletnich dziewcząt. To takie same dziewczęta jak te, którym udzielasz wsparcia, Ettie. Przed dwudziestu laty to nie był żaden skandal, ale teraz nie patrzy się już przez palce na takich ludzi jak sir Herbert. Kiedy zaczęliśmy zadawać pytania, Venning przeraził się i był gotów zostać świadkiem koronnym, a Longmire nie mógł do tego dopuścić. Próbował upozorować samobójstwo, ale zapomniał, że sir Herbert ma niesprawną rękę.

- Mielicie szczęście, że uszliście z życiem - powiedział Lewis ustami pełnymi szynki. - Nadal nie potrafię w to uwierzyć.

- Ale jakoś ten idiota Petleigh w ogóle nam w tym nie pomógł - oznajmił szef. - Wiedziałem, że naszą jedyną szansą jest jak największe zamieszanie, dlatego zależało mi na tym, żeby zjawili się tam fenianie. I dlatego chciałem, żeby byli tam panna Cousture i pułkownik Longmire. - Zadumał się na moment. - Cóż, muszę przyznać, że udało mi się to tylko częściowo, przyjacielu. To było bardzo długie zlecenie. Takich spraw nie rozwiązuje się, lecz zamyka. Podsumuję to tak: zrobiliśmy po drodze wystarczająco dużo, żeby dzisiaj spotkać się tutaj.

- Czy jesteś zadowolony, że sprawa została zamknięta w taki sposób? - nalegał Lewis.

- Dla panny Cousture jest zamknięta. Osiągnęła to, co chciała osiągnąć. Wytropiliśmy także zabójcę Marthy. I to była nasza sprawa. Gdybyśmy tego nie zrobili, jej śmierć zostałaby zapomniana. Mam nadzieję, że w pewien sposób ofiarowaliśmy jej

zadośćuczynienie.

- Nie powinieneś przekazać go policji? - zapytała Ettie.
- W jaki sposób, siostrzyczko?
- Norman był świadkiem, więc Gaunt zostałby skazany.
- Gaunt miał przyjaciół w SIB. Wyciągnęliby go z tego.
- Nie możesz mieć pewności. - Ettie potrząsnęła głową. -

Demaskując Gaunta przed Paddlerem Billem, skazałeś go na śmierć. Czy to cię nie niepokoi?

- Nie ja ustanawiam prawa tego świata, siostrzyczko. Ci ludzie żyją zgodnie ze swoim kodeksem i dobrze to rozumieją.

Siedzieliśmy przez chwilę z własnymi myślami. Kiedy zegar wybił równą godzinę, Ettie zwróciła się do mnie:

- Norman, bałeś się? - zapytała, lekko przechylając głowę.

Wysoki kołnierzyk sięgał jej do podbródka, a ja, patrząc na nią, zrozumiałem, jak bardzo jest zmęczona.

- Nigdy przedtem tak strasznie się nie bałem - wyznałem. - Było ich za dużo. A kiedy szef zaczął krzyczeć na Creama, byłem pewien, że to już koniec. Gdyby Bill nie zastrzelił Creama, skończylibyśmy w rzece.

- Ach, Williamie! - Westchnęła. - Dlaczego nigdy nie potrafisz utrzymać nerwów na wodzy?

- Zagrałem w ciemno, Ettie. - Szef odstawił talerz i oparł się wygodnie. - Cream miał zamiar nas zabić. Szukałem sposobu, żeby mu się wywinąć. Billowi bardzo się nie spodobało, że Cream wykorzystał proceder defloracji nieletnich dziewcząt do tego, by dotrzeć do karabinów. Był też wściekły z powodu śmierci Venninga, bo przez to zamknął się kanał dostawczy karabinów. - Przerwał na moment. - To jeszcze nie było to, o co mi chodziło, ale wystarczyło na dobry początek. Podczas monologu Creama obserwowałem fenian i dostrzegłem szansę. Kiedy Cream

powiedział, że nie ma sobie nic do zarzucenia, i że to fenianie są mordercami, Declan wysunął się do przodu. Był wściekły, co bardzo mnie ucieszyło. W ruchu fenian uczestniczą bardzo różni ludzie. Niektórzy lubią przemoc, inni marzą o zemście, jeszcze innym zależy na prestiżu. Ale są też tacy jak Bill i Declan, którzy chwytają za broń, bo wierzą, że to jedyny sposób na osiągnięcie celu. Cream tego nie rozumiał, dlatego sprowokowałem go, żeby posunął się o krok dalej. To, że Cream twierdził, że jest lepszy, zabrzmiało dla nich jak ciężka obelga. Bill stracił wielu przyjaciół w walce o szczytny cel, o niepodległą Irlandię, więc oskarżanie go o niemoralne uczynki było dla niego straszliwą zniewagą, szczególnie gdy kalumnie ciska taka kreatura jak Cream. Podsumuję to tak: dostrzegłem detonator i nacisnąłem guzik. – Sięgnął po fajkę i starannie ją nabił.

– Ale dlaczego Cream, przecież nie głupiec, nie zorientował się, w co się pakuje? – dopytywała się Ettie.

– Jeśli kiedykolwiek wygłaszałaś przemówienie, to wiesz, jak łatwo ulec emocjom i stracić czujność. Uwaga audytorium działa jak brandy, nabierasz złudnej pewności siebie. – Zapalił fajkę i podsumował: – A ludzie źli i podli często są przekonani o swojej szlachetności i dobroci.

– Czy to znaczy, że próbowałaś ich nakłonić do zabicia Creama?
– z niepokojem spytała Ettie, ścisząc głos, a gdy szef uparcie milczał, oznajmiła: – Ach, Williamie, obawiam się, że podjąłeś zbyt wiele ryzykownych decyzji.

– To był akt sprawiedliwości, Ettie, za krzywdę tych wszystkich nieletnich dziewcząt. Za krzywdę panny Cousture. Za zabitego policjanta. Ale nawet jeśli się z tym nie zgadzasz, to musisz przyznać, że to była nasza jedyna szansa. Inaczej wszyscy byśmy zginęli. A także zginąłby Neddy.

Niedługo potem ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Zanim je otworzyłem, spojrzałem przez okno w obawie, że może to być Boots albo Piser. Ale był to tylko Petleigh.

- Właśnie wracam ze Składu Isslera - oznajmił w korytarzu. Chociaż było późno, pachniał perfumami, a wąsy miał świeżo wywoskowane. - Co tam zaszło?

- Do diabła, gdzie się podziewałeś, na Boga!?! - krzyknął szef, nie wstając z krzesła. - Niewiele brakowało, a by nas wszystkich pozabijali.

Petleigh wszedł do salonu.

- To naprawdę nie moja wina, William. W ostatniej chwili, kiedy już mieliśmy ruszać, zastępca komisarza kazał nam jechać z Sherlockiem Holmesem w sprawie jakiegoś napadu. Mówiłem ci, że poprosili go o pomoc w sprawie Venninga?

- Cały Londyn już o tym wie - odparł szef, zaciągając się wściekle fajką i tworząc wokół siebie gęstą chmurę dymu.

- Sam minister zażądał, żeby zapewnić Holmesowi wszelką pomoc. Wydaje się, że Ministerstwo Wojny wiedziało o kradzieży karabinów, a Venning był podejrzany, że brał w tym udział. Był nawet w tej sprawie przesłuchiwany w dniu śmierci. Dokładano wszelkich starań, by odnaleźć tę broń, zanim dostanie się w niepowołane ręce.

- Wiedziałaś, że grozi nam niebezpieczeństwo?! - zawołał Arrowood. - A chłopiec! Co z nim?

- Gdzie jest chłopiec? Znaleźliście go?

- Jest bezpieczny. Ale gdyby zginął, to pan byłby za to odpowiedzialny.

Petleigh wreszcie się zezłościł.

- Próbowałem się urwać, William! - oznajmił podniesionym głosem. - Ale nie miałem wyboru, bo zastępca komendanta wysłał

mnie i dwudziestu funkcjonariuszy do napadu. Było za późno, żeby cię ostrzec, a zajmuję zbyt niskie stanowisko, żeby odmówić wykonania polecenia. Jeśli przełożeni mówią, że mam coś zrobić, to ja muszę to zrobić. Ale jak widzę, jesteś już bezpieczny.

Szef chrząknął, wychylił do dna pełną szklanekę. Kiedy do salonu weszła Ettie, Petleigh uklonił się i szarmancko pocałował ją w rękę.

- Jest mi niezmiernie miło, że cię znowu widzę, Ettie - powiedział. - Późno chodzisz spać. Pewnie musisz usługiwać bratu...

- Dlaczego nie przybył pan, żeby im pomóc, inspektorze? - zapytała. - Obiecał pan, że tam będzie.

- Dostałem rozkaz asystowania Holmesowi. Usiłowałem się urwać, ale okazało się to niemożliwe.

Zmarszczyła brwi i usiadła na sofie obok mnie.

- I Holmes zapewne rozwiązał tę sprawę - powiedział szef.

- Był genialny! - odparł Petleigh, opierając się łokciem o kominek i spoglądając tęsknym wzrokiem na karafkę Lewisa. - Na szczęście znał pewne informacje na temat fenian i ich sojuszników z czasów kampanii bombowej. Trzeba przyznać, że Holmes posiada najbardziej wszechstronny rejestr informacji w mieście. Powiedział, że posiada dokumentację wszystkich ważniejszych zbrodni popełnionych w Londynie w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nie mam pojęcia, jak to zrobił. Ten człowiek to po prostu prawdziwy geniusz, ale potrafił odtworzyć mapę wędrówki karabinów po całym Londynie...

- Pewnie znalazł ją między książkami - wymruczał szef.

- Co masz na myśli?

- W księgarni.

Petleigh zeszywniał.

- Wiedziałeś, gdzie są te karabiny?
- W księgarni Gaunta, jeśli się nie mylę, prawda, inspektorze?
- Skąd wiedziałeś?
- Zajmowaliśmy się tą sprawą przez kilka tygodni - powiedział szef lekceważąco.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Może pan nie pamięta, ale byliśmy trochę zajęci, inspektorze.
- Te karabiny mogły pozbawić życia wielu brytyjskich żołnierzy!
- A my tylko uratowaliśmy życie jednego chłopca - odparował szef. - Zresztą czy my też nie używamy kara...

- Zmiłuj się, William - prosiła Ettie. - Bo sam skończysz w więzieniu.

Petleigh, nie rozumiejąc, co zaszło między rodzeństwem, czekał na jakieś wyjaśnienie, a ponieważ nie nastąpiło, mówił dalej.

- W takim razie zapewne ucieszy cię wiadomość, że odzyskaliśmy wszystkie sześćdziesiąt karabinów i dwie skrzynki amunicji oraz okazałą ilość nitrogliceryny. Minister jest zachwycony. Niestety właściciela sklepu nie było na miejscu, ale na pewno jutro go dopadniemy.

Szef znacząco chrząknął.

- Dlaczego chrząkasz? - zaniepokoił się Petleigh.
- Radzę wam, poszukajcie go w rzece.
- Powiedz, co zaszło w Składzie Isslera - domagał się Petleigh. - Są dwa ciała.

- Zwróć się do Holmesa z prośbą o rozwiązanie tej zagadki.
- Powiedz, proszę, William. Dwie osoby zostały zabite.
- Przyjdę jutro do pańskiego biura, inspektorze, i wyjaśnię, co zaszło - odparł szef znużonym tonem. - Mieliśmy dziś z Barnettem ciężką noc. Jesteśmy zbyt wyczerpani, żeby myśleć trzeźwo.

Mimo że nie było to po jego myśli, Petleigh widział, że to prawda. Zabrał się do wyjścia, ale stojąc już w drzwiach, jeszcze zapytał:

- Czy umówimy się kiedyś na ten lunch, o którym wspominałeś, Williamie?

- Myślę, że będzie to możliwe dopiero wtedy, kiedy wrócimy do naszego domu, Petleigh.

- Ach tak, rzeczywiście - przyznał inspektor ze smutkiem w oczach. O tej wieczornej porze wyglądał znacznie starzej. Wyszedł, życząc dobrej nocy Ettie i Lewisowi.

- Skąd pan wiedział, że karabiny były u Gaunta, sir? - zapytałem, kiedy zostaliśmy sami.

- Bill wyjął klucz z kieszeni Gaunta, zanim go zabrali - odparł szef. - Pamiętasz? To musiał być klucz do księgarni.

- Mógł to też być klucz od wynajętej skrytki.

- Gdyby wynajęli skrytkę, nie powierzyliby jedyne go klucza człowiekowi, do którego nie mieli zaufania. To musiał być klucz do sklepu Gaunta. Magazyn księgarni to idealna przechowalnia łupów pochodzących z kradzieży. Od razu pomyślałem, że jest to właśnie to miejsce, kiedy tylko powiedziałeś mi o tej księgarni. - Jęknął, podniósł się z trudem z krzesła i przeszedł przez salon. - Odwiedzę jeszcze toaletę i idę do łóżka.

- Williamie... - zagadnęła Ettie. - Sherlock Holmes rzeczywiście jest wielkim detektywem. Nikt inny nie byłby w stanie odnaleźć tych karabinów w ciągu dwóch dni. Kiedy w końcu to przyznasz?

Szef zatrzymał się w drzwiach i miałem wrażenie, że nagle zeszło z niego całe napięcie dzisiejszej nocy. Opadły mu ramiona, twarz złagodniała i rozjaśnił ją uśmiech. Pomyślałem, że może wreszcie odda Holmesowi to, co mu się należy.

Już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Zamiast tego pokręcił

głową, zabrał lampę i udał się do wychodka.

Ja też wyszedłem. Szef odprowadził mnie do drzwi, po czym wyciągnął z kieszeni pięćfuntowy banknot, wciąż mokry i poplamiony krwią pułkownika Longmire'a.

- Twoja działka, Norman.

Patrzyłem na ten banknot długo i z wyraźnym wahaniem.

- Och, tam do licha! - powiedział w końcu z rezygnacją. Wyciągnął z kieszeni kolejny banknot i wcisnął mi oba do ręki. - Już za późno, żeby się spierać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Spałem przez cały dzień. Obudziłem się dopiero późnym popołudniem.

Miałem do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Wsiadłem w omnibus do Scotland Yardu, stanąłem przed pubem po przeciwnej stronie ulicy i obserwowałem wchodzących i wychodzących z budynku gliniarzy. Zapadł zmrok i zrobiło się chłodno. Ręka znowu zaczęła mi pulsować boleśnie. Było już całkiem ciemno, kiedy Coyle wyszedł w końcu na ulicę. Szedłem za nim wzdłuż Victoria Embankment. Skręcił na północ i po dziesięciu minutach wszedł do pustego o tej porze parku. Uznałem, że to dogodny moment. Szedł pewnym krokiem, nie oglądając się za siebie, ale usłyszał moje kroki.

Poszło mi bardzo łatwo. Wziąłem szeroki zamach i od razu poczułem się lepiej, znacznie lepiej. W chwili gdy dosięgnął go pogrzebacz, ugięły się pod nim nogi i zakwiczał jak koń, który dostał czkawki. Wbiłem mu kolano w klatkę piersiową i ścisnąłem za gardło. Szarpał mi rękami ubranie, wierzgał nogami, ale byłem za ciężki, żeby mógł się mnie pozbyć. Ścisnąłem go mocniej za gardło, z ust pociekła mu ślina, oczy wyszły z orbit i pociekły z nich łzy. Gdy tylko zwolniłem ucisk, zaczął kaszleć, dławić się i charczeć, z trudem łapiąc oddech. Podniosłem się, przydeptałem mu nadgarstek, drugą nogę stawiając na ramieniu. Potem uniosłem pogrzebacz i z całej siły uderzyłem go w rękę dokładnie w tym samym miejscu, w którym uderzył mnie pałką. Zawył. Ukląłem mu na brzuchu.

- Boli, prawda Coyle?

Znowu się rozkaszał, machając rękami i ciężko dysząc.

- Byłem ci to winny. A teraz odpowiesz mi na jedno pytanie, jeśli nie chcesz dostać jeszcze raz. Dlaczego wasz agent zabił tę kelnerkę?

- Pocałuj mnie w dupę - wysapał.

- Proszę bardzo - zgodziłem się, podnosząc pogrzebacz.

- Nie! - wrzasnął. - Zaczekaj, powiem!

Znowu zaczął się krztusić, więc odczekałem, aż odzyska mowę. Podniósł się i usiadł, jedną ręką trzymając się za gardło.

- Wiedział, że fenianie go podejrzewają - powiedział ochryplym głosem. - Musiał im udowodnić, że jest wobec nich lojalny. Oni obawiali się, że wasz Francuz mógł powiedzieć dziewczynie, co widział. Wiedzieli, że się z nią spotkaliście, że ją wypytywaliście i że macie się z nią ponownie spotkać. Zaproponował im, że ją sprzątnie. Myślał, że to ich przekona, że w ten sposób dowiedzie, że nie jest podwójnym agentem.

- Ty mu to poradziłeś?

- Nie, nie. - Pokręcił głową. - Nic o tym nie wiedzieliśmy, przysięgam. Nasi agenci tak pracują, sami podejmują decyzje. Czasem słuszne, czasem nie.

- Ale go nie aresztowaliście. Wiedziałeś, że ją zabił, a mimo to go nie zamknęliście.

Spojrzał na mnie. Jego brzydka twarz wyrażała słabość i rezygnację.

- Był dla nas zbyt cenny, od lat przekazywał dużo ważnych informacji. Jeśli ktoś będzie przygotowywał jakiś zamach, to on nas o tym uprzedzi.

- Nie sądzę - powiedziałem.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Wyjąłem z kieszeni suwerena i rzuciłem mu na kolana.

- Dobranoc, Coyle.

Wracałem pieszo przez Waterloo Bridge wzdłuż nabrzeża, gdzie cumowano na noc barki i promy. Był tam otwarty do późna pub, w którym nikt mnie nie znał. Nie miałem ochoty wracać do siebie. Byłoby tak, jak co noc, odkąd zmarła pani Barnett: zimno, ciemno i pusto. Przy oknie wisiały jak duchy nasze dwa wyblakłe portrety sylwetkowe, które zrobiliśmy sobie zaraz po ślubie. Zatarły się na nich nasze rysy i wspólne życie. Nie mogłem już na nie patrzeć. W tym pustym pokoju wspomnienie pani Barnett dusiło mnie. Powiem szefowi dopiero wtedy, gdy będę gotów. Teraz musiałem się czymś zająć, żeby jak najdłużej trzymać się z dala od tego pokoju. Potrzebna mi była jakaś następna sprawa. Obaj z szefem potrzebowaliśmy jej, i to szybko.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Vince'owi za jego wieloletnią i wyjątkową gotowość do lektury, dziękuję Jo, Sally i Lizzie za to, że pomogły mi tchnąć życie w tę książkę, oraz wszystkim moim przyjaciołom za liczne rozmowy. Materiały do tła historycznego czerpałem z wielu książek i źródeł internetowych. Są wśród nich, między innymi: *The Invention of Murder* oraz *The Victorian City*, Judith Flanders, *War in the Shadows*, Shane Kenna, *The Suspicions of Mr Whicher*, Kate Summerscale, *London's Shadows*, Drew D. Gray, *How to be a Victorian*, Ruth Goodman, a także mapy georeferencyjne z National Library of Scotland (maps.nls.uk/geo), *The Dictionary of Victorian London*, Lee Jackson (victorianlondon.org) oraz *Booth's Poverty Maps* (booth.lse.ac.uk/map).

NOTA BIOGRAFICZNA

Mick Finlay urodził się w Glasgow, skąd jako chłopiec wyjechał do Kanady, a następnie do Anglii. Zanim zajął się działalnością akademicką, prowadził stragan na pchlim targu przy Portobello Road, zatrudnił się jako pracownik fizyczny w cyrku wędrownym, był pomocnikiem rzeźnika i hotelowym portierem. Wykonywał też różne prace w brytyjskiej służbie zdrowia i w systemie pomocy społecznej. Obecnie jest wykładowcą na Wydziale Psychologii. Publikował prace badawcze na temat przemocy politycznej i stronnictw politycznych, komunikacji werbalnej i niewerbalnej oraz niepełnosprawności. Mieszka z rodziną w Brighton.

- [1] Nalewka z opium.
- [2] Stowarzyszenie Kobiet na rzecz Opieki i Ochrony Młodych Dziewcząt.
- [3] Lek zawierający między innymi opium i marihuanę.
- [4] Pastyłki z opium.
- [5] Criminal Investigation Department - Kryminalny Wydział Śledczy.
- [6] Wydział Specjalny do spraw Irlandii.
- [7] Narodowa Liga Przeciwhazardowa (NAGL).

Tytuł oryginału: *Arrowood*

Pierwsze wydanie: An Imprint of HarperCollins Publishers Ltd, Londyn, 2017

Opracowanie graficzne okładki: *Emotion Media*

Redaktor prowadzący: *Grażyna Ordega*

Opracowanie redakcyjne: *Jakub Sosnowski*

Korekta: *Małgorzata Narewska*

© 2017 by Mick Finlay

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion Images, 123rf..com

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3507-5

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.